

# JULIAN FELLOWES

POWIEŚĆ TWÓRCY *DOWNTON ABBEY*



## SNOBY

PRZEŁOŻYŁA BARBARA KOPEĆ-UMIASTOWSKA

MARGINESY



JULIAN  
FELLOWES

# SNOBY

PRZEŁOŻYŁA  
BARBARA KOPEĆ-UMIĄSTOWSKA

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

## **CZĘŚĆ PIERWSZA.** *Impetuoso – fiero*

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

## **CZĘŚĆ DRUGA.** *Forte – piano*

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

## **CZĘŚĆ TRZECIA.** *Dolente – energico*

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

**EPILOG.** *Smorzando*

Przypisy

Tytuł oryginału SNOBS  
Przeład BARBARA KOPEĆ-UMIASTOWSKA

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja MAREK GUMKOWSKI  
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK  
Projekt okładki MICHAEL STORRINGS  
Adaptacja projektu okładki, strony tytułowe MICHAŁ PAWŁOWSKI  
Zdjęcie na okładce © The National Trust Photolibrary / Alamy Stock Photo  
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

*Snobs*

Copyright © Julian Fellowes 2004  
First published in Great Britain in 2004 by Weidenfeld & Nicolson, London.  
Copyright © for the translation by Barbara Kopeć-Umiastowska  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017

Warszawa 2017  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65780-58-4

Wydawnictwo Marginesy  
ul. Forteczna 1a  
01-540 Warszawa  
tel. 48 22 839 91 27  
e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Oczywiście dla Emmy i Peregrine'a,  
ale również dla najdroższego Micky'ego,  
bez którego ta książka nie byłaby możliwa*

CZĘŚĆ PIERWSZA

*Impetuoso – fiero*<sup>[1]</sup>

# 1

Dokładnie nie wiem, jak to się stało, że Isabel Easton wzięła pod swoje skrzydła Edith Lavery. Być może miały wspólną znajomą albo zasiadały w tym samym Komitecie, albo po prostu chodziły do tej samej fryzjerki. Pamiętam tylko, że Isabel niemal od razu uznała, iż Edith stanowi dla niej swego rodzaju zdobycz, że jest kimś specjalnym, kogo można dozować sąsiadom na wsi w niewielkich porcjach. Oczywiście bieg wypadków potwierdził, że miała rację, chociaż kiedy pierwszy raz spotkałem Edith, nie widziałem jakichś przytłaczających tego dowodów. Niewątpliwie była bardzo ładna, jednak nie tak ładna jak później, kiedy – jak to mówią dizajnerzy – odnalazła swój styl. Blondynka o dużych oczach i nienagannych manierach była po prostu wspaniałym przykładem konkretnego angielskiego typu.

Z Isabel Easton, którą znałem od czasów wspólnego dzieciństwa w Hampshire, łączyła mnie miła, niewymagająca przyjaźń oparta wyłącznie na długowieczności. Mieliśmy ze sobą niewiele wspólnego, z drugiej jednak strony liczba ludzi, którzy pamiętają, jak mając dziewięć lat, jeździliśmy na kucyku, jest coraz mniejsza, więc nasze spotkania, mimo że nieczęste, stanowiły dla obojga swoistą pociechę. Po ukończeniu studiów na uniwersytecie zająłem się teatrem, podczas gdy Isabel wyszła za maklera giełdowego i zamieszkała w Sussex, toteż nasze drogi rzadko się przecinały. Niemniej Isabel sprawiało pewną frajdę, że może czasem gościć u siebie aktora, i to takiego, którego widuje się w telewizji (choć tak się dziwnie składało, że żaden jej znajomy nigdy go nie widział). Dla mnie zaś było przyjemnością spędzenie weekendu na wsi z towarzyszką dziecięcych zabaw.

Akurat byłem w Sussex, kiedy Edith przyjechała tam po raz pierwszy, toteż mogę poświadczyć, że Isabel powitała nową przyjaciółkę z ogromnym entuzjazmem, co zresztą wielu mniej wielkodusznych znajomych podawało



później w wątpliwość. Jednak uczucie Isabel było najzupełniej szczerze: „Wokół niej będzie się działo. Ma w sobie to coś” – zapowiadała, gdyż bardzo lubiła używać sformułowań, które wskazywały, że znane jej są wewnętrzne mechanizmy rządzące światem. Ktoś wprawdzie mógłby powiedzieć, że kiedy ujrzałem Edith wysiadającą z samochodu pół godziny później, bynajmniej nie odniosłem wrażenia, że ma „to coś” – no, może z wyjątkiem urody i dość pociągającego, leniwego wdzięku – jednak byłem skłonny przyznać rację mojej gospodyni. Patrząc wstecz, chyba dostrzegłem zapowiedź przyszłych wydarzeń w wyrazistych ustach Edith o precyzyjnie zarysowanych, niczym diamentem wyciętych wargach, takich, jakie kojarzą się z aktorkami z lat czterdziestych. No i ta jej cera. Dla Anglików komplement dotyczący cery z reguły stanowi ostatnią deskę ratunku, pochwałą wygłaszana, gdy poza tym już naprawdę nie ma czego chwalić; piękna cera to coś, co często się podkreśla, mówiąc o brzydszych członkach rodziny królewskiej. Wszystko to prawda, niemniej Edith Lavery istotnie wyróżniała się wspaniałą cerą, najpiękniejszą, jaką widziałem w życiu – chłodne, jasne pastele pod nieskazitelnie gładką woskową powłoką. Przez całe życie miałem słabość do ładnych ludzi, dzisiaj więc sędzę, że zacząłem sprzyjać Edith z chwilą, gdy ujrzałem jej twarz. W każdym razie Isabel dołożyła starań, by jej proroctwo się spełniło, gdyż to ona osobiście zabrała Edith do Broughton.

Dwór Broughton Hall, a w gruncie rzeczy cały ród Broughtonów, stanowił przykrą i nieusuwalną skazę na gładkiej jak marmur egzystencji Eastonów w Sussex. Od niepamiętnych czasów jakiś Broughton – najpierw z tytułem barona, następnie hrabiego, a od 1879 roku markiza Uckfield – cieszył się w tym wschodnim zakątku hrabstwa potężnymi i przemożnymi wpływami. Niewiele ponad sto lat temu sąsiedzi i wasale Broughtonów byli najczęściej podrzędnymi farmerami na bagnistych poletkach pogórza Sussex, z trudem wiążącymi koniec z końcem, później jednak, na skutek rozwoju dróg i kolei żelaznych, a także wynalazku weekendu na wsi, napłynęła w te strony fala *haute bourgeoisie*<sup>[2]</sup> tłumnie przybywającej w poszukiwaniu *ton*<sup>[3]</sup>. Broughtonowie, na podobieństwo Byrona, z dnia na dzień obudzili się sławni<sup>[4]</sup> i niebawem obecność na ich liście gości stała się w okolicy chlubną oznaką „dopuszczenia”. Muszę wszakże uczciwie przyznać, że rodzina nie

szukała rozgłosu i nie dążyła do celebryctwa, w każdym razie nie na początku; byli to po prostu główni przedstawiciele *anciens riches*<sup>[5]</sup> w okolicy, która akurat przeżywała burzliwy awans społeczny, więc ranga ta została im poniekąd narzucona.

Mieli szczęście również pod innymi względami. Dwa owocne związki małżeńskie – jeden z córką bankiera, drugi z dziedziczką sporej części San Francisco – pozwoliły im bezpiecznie przeprowadzić nawę rodzinną przez odmęty kryzysu rolnego oraz Wielkiej Wojny. W odróżnieniu od wielu innych rodów zachowali prawie wszystkie domy w Londynie, a dzięki dalszym sprytnym posunięciom na rynku nieruchomości w latach sześćdziesiątych pomyślnie dobili do względnie spokojnej przystani Wielkiej Brytanii pod rządami pani Thatcher. Szczęśliwym trafem kolejne przegrupowania socjalistów zaowocowały powstaniem New Labour, ugrupowania o wiele bardziej wyrozumiałego dla klas wyższych aniżeli ich zachłanni polityczni poprzednicy. W efekcie Broughtonowie awansowali do roli symbolu angielskiego rodu, któremu udało się „przetrwac” i wkroczyć w lata dziewięćdziesiąte z nienaruszonym prestiżem oraz, co istotniejsze, z nietkniętym stanem posiadania.

Problem Eastonów nie na tym oczywiście polegał. Rodzinne przywileje nie budziły ich zazdrości, przeciwnie, otaczali je wręcz nabożną czcią. Nie, ich kłopot był innego rodzaju – oto, mieszkając zaledwie dwie mile od Broughton Hall (podczas lunchów z koleżankami na Walton Street Isabel przechwalała się, jakie to szczęście mieć Broughtonów „na wyciągnięcie ręki”), przez trzy i pół roku nie udało im się postawić stopy we dworze ani nawet spotkać nikogo z zamieszkującej go rodziny.

Oczywiście David Easton nie był pierwszym Anglikiem z klasy średniej, który odkrył, że arystokratyczne pochodzenie łatwiej udawać w Londynie aniżeli na prowincji. Problem polegał na tym, że po wielu latach nieustannego pomstowania – podczas lunchów u Brooksa, sobót na wyścigach i wieczorów w klubie Annabel’s – na współczesne społeczeństwo socjalnego awansu w końcu przestał dostrzegać, że sam jest jego wytworem. Zupełnie zapomniał, że jego ojciec jako dyrektor niewielkiej fabryki mebli w środkowej Anglii

z ogromnym trudem sfinansował jego naukę w Ardingly. W chwili, gdy go poznałem, był już na tym etapie, że zapewne wielce by się zdumiał, nie znajdując swojego nazwiska w almanachu Debretta<sup>[6]</sup>. Pamiętam, że gdy zacytowałem Roddy'ego Llewellyna<sup>[7]</sup>, który w jakiejś gazecie narzekał, że w przeciwieństwie do starszego brata nie chodził do Eton, gdzie zawiera się przyjaźnie na całe życie, przechodzący obok David skwapliwie przytaknął: „Racja. Czuję dokładnie to samo”. Zerknąłem przez pokój, aby pochwycić wzrok Isabel, skinęła mi jednak głową w taki sposób, że od razu pojąłem, iż przynajmniej w tej sprawie niewątpliwie opowie się po stronie swojego męża.

Osobom z zewnątrz może się wydawać, że podtrzymywanie złudzeń partnera jest nieodzownym składnikiem udanego pożycia małżeńskiego. David, który dzięki życzliwej postawie Isabel – a także abnegacji londyńskich gospodyń, które troszczą się tylko o to, by ich goście gadali i jedli – dotychczas żył jak pod kloszem, teraz musiał siedzieć przy eleganckich stołach i wysłuchiwać pytań o podróż Charlesa do Włoch albo o to, jak sprawdza się nowy mąż Caroline. W odpowiedzi mógł jedynie wymamrotać, że właściwie Broughtonów nie zna, toteż jego gorycz zaiste musiała być wielka. „Coś takiego! – dziwił się wówczas interlokutor. – Sądziłem/am, że jesteście sąsiadami”. Ale nawet w tym wyznaniu Davida kryło się ziarno nieuczciwości, gdyż nie tyle nie znał Broughtonów „właściwie”, ile nie znał ich wcale.

Pewnego razu, kiedy na jakimś przyjęciu koktajlowym na Eaton Square poważny się na opinię o sąsiadach, jego rozmówca zapytał: „Ale czy to nie Charles tam stoi? Musisz mnie przedstawić, zobaczymy, czy pamięta, kiedyśmy się poznali”. I David był zmuszony skłamać, że bardzo źle się czuje (poniekąd zgodnie z prawdą), po czym czmychnął do domu, rezygnując z kolacji, na którą wszyscy się wybierali. Przyjął więc strategię zbywania wszelkich wzmianek o Broughtonach lekkim lekceważeniem. Stał trochę z boku, przysłuchując się rozmowom, i ostentacyjnie milczał, jakby to on, David Easton, wolał Broughtonów nie znać; jakby spróbował tej znajomości i uznał, że nie przypadła mu do gustu, chociaż nic nie było dalsze od prawdy. Trzeba

uczciwie przyznać, że David nie był chyba do końca świadomy, jak dalece frustrują go te niezaspokojone ambicje towarzyskie. Z pewnością my mieliśmy pozostać tego nieświadomi – tak przynajmniej pomyślałem, patrząc, jak zapina kurtkę myśliwską i gwizdże na swoje psy.

Wizytę we dworze, jak się okazało dość dla siebie fortunnie, zaproponowała Edith. Przy sobotnim śniadaniu Isabel zapytała, co chcemy robić, na co Edith zaczęła się zastanawiać, czy nie ma w okolicy jakiejś historycznej rezydencji, i co my na to? Zerknęła na mnie pytająco.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparłem.

Zobaczyłem, jak Isabel obrzuca spojrzeniem Davida, który siedział przy drugim końcu stołu pogrążony w lekturze „Telegraph”. Znałem i rozumiałem ich sytuację z Broughtonami, chociaż jako rasowi Anglicy nigdy nie zamieniliśmy na ten temat ani słowa. Tak się złożyło, że ja sam zdążyłem już poznać Charlesa Broughtona, dość niezgrabnego dziedzica rodu, którego kilka razy spotykałem w Londynie na owych hybrydowych wieczornych imprezach, gdzie Biznes spotyka się ze Sztuką, lecz na podobieństwo konfluencji dwóch rzek oba żywioły nieczęsto się mieszają. Nie chcąc sypać soli na rany, nie zwierzyłem się Isabel z tej znajomości.

– David? – zapytała.

Jej mąż szerokim, niefrasobliwym gestem przewrócił stronicę gazety.

– Jedźcie, jeśli chcecie. Ja muszę wybrać się do Lewes. Sutton znowu zgubił zakrętkę wlewu paliwa do kosiarki. On je chyba pożera.

– Mogę to załatwić w poniedziałek.

– Nie, nie. I tak muszę kupić naboje. – Uniósł wzrok. – Ale wy jedźcie, naprawdę.

W jego oczach zalśnił wyrzut, Isabel wszakże uporała się z tym, robiąc lekki grymas, jakby działała trochę wbrew swej woli. Prawda była taka, że zawarli niepisaną umowę, iż nigdy nie będą zwiedzać pałacu w roli „publiczności”. David początkowo nie chciał tego robić, bo liczył na to, że wkrótce pozna Broughtonów prywatnie, a byłoby niezręcznie zaczynać znajomość z niewłaściwej strony barierki. Ale w miarę upływu lat i rosnącego

rozczarowania odmowa zwiedzania domu stała się dla niego nieledwie zasadą, jakby nie chciał dać Broughtonom satysfakcji, płacąc za coś, co przecież należało mu się za darmo. Isabel, bardziej pragmatyczna od męża, przyzwyczała się już do myśli, że pozycja wśród miejscowej socjety na razie pozostaje dla nich nieosiągalna, teraz więc była po prostu ciekawa, jak wygląda miejsce, które stało się dla nich symbolem braku towarzyskiej siły przebicia. Po krótkich namowach wladowaliśmy się zatem we trójkę do jej poobijanego renaulta i ruszyliśmy w drogę.

Zapytałem Edith, czy zna Sussex.

– Właściwie nie. Kiedyś miałam przyjaciela w Chichester.

– Na modnym końcu.

– Ach tak? Nie wiedziałam, że hrabstwa mieswiają modne końce. To bardzo po amerykańsku. Jak dobre i złe stoliki w tej samej restauracji.

– Byłaś w Ameryce?

– Spędziłam kilka miesięcy w Los Angeles po skończeniu szkoły.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie? – zaśmiała się Edith. – Dlaczego człowiek robi cokolwiek w wieku lat siedemnastu?

– Nie wiem, po co jeździć aż do Los Angeles. Chyba że człowiek chce zostać gwiazdą filmową.

– Może ja chciałam zostać gwiazdą filmową.

Uśmiechnęła się do mnie z wyrazem lekkiego smutku, który nauczyłem się później rozpoznawać jako dla niej typowy, i zobaczyłem, że inaczej, niż początkowo sądziłem, jej oczy nie są niebieskie, lecz mglistoszare.

Skęciliśmy między dwa monumentalne kamienne przęsła, zwieńczone ołowianymi głowami jeleni z porożem, i wjechaliśmy na szeroki żwirowy podjazd. Isabel zatrzymała samochód.

– Czy to nie wspaniałe? – zawołała.

Przed nami widniała ogromna bryła Broughton Hall. Edith uśmiechnęła się, udając entuzjizm; podobnie jak ja, wcale nie uważała domu za wspaniały. Niemniej na swój sposób robił wrażenie, gdyż niewątpliwie był bardzo duży,

jakby zaprojektował go osiemnastowieczny odpowiednik Alberta Speera. Składał się z głównego budynku, ogromnego sześcianu z granitu, i dwóch bocznych, mniejszych sześcianów połączonych z głównym gmachem toporną, przysadzistą kolumnadą. Niestety, jeden z dziewiętnastowiecznych Broughtonów pozbawił wszystkie okna słupków i szprosów, wstawiając zamiast nich tafle pancernego szkła, które teraz otwierały na park ślepe, ciemne oczodoły. Sterczące w narożnikach krępe kopuły przywodziły na myśl wieże strażnicze w obozie jenieckim. Ogólnie rzecz biorąc, pałac nie tyle domykał perspektywę, ile ją zasłaniał.

Samochód zatrzymał się z miłym chrzęstem.

– Najpierw zwiedzamy dom czy ogród? – Isabel, niczym sowiecki inspektor wizytujący główną siedzibę NATO w latach sześćdziesiątych, była zdecydowana niczego nie przeoczyć.

– A w środku jest co oglądać? – zapytała Edith.

– Och, sądzę, że tak – odrzekła Isabel, krocząc stanowczo ku drzwiom oznaczonym „Wejście”, przycupniętym w ciężkich objęciach półkolistych schodów prowadzących na *piano nobile*<sup>[8]</sup>. Wchłonał ją omszały granit, a my pokornie podążyliśmy za nią.

Później Edith szczególnie lubiła opowiadać o tym, że po raz pierwszy ujrzała Broughton Hall z pozycji osoby zwiedzającej, która zapłaciła za bilet, odgrodzoną czerwonym sznurem od intymnego życia dworu. „Chociaż – dodawała ze swoim dziwnym uśmiechem – nie można powiedzieć, żeby tam kwitło życie intymne”. Istnieją domy do tego stopnia przesiąknięte osobowością ludzi, którzy je zbudowali, zapachem życia, które toczyło się tu przedtem, że gość czuje się jak coś pośredniego między włamywaczem a duchem, jak natrętny podglądacz cudzych sekretów. Broughton Hall do nich nie należał. Do ostatniego kwiatonu i kapitelu został zaprojektowany wyłącznie w jednym celu: by robić wrażenie na przybyszach. Z tą jedyną różnicą, że obecnie przybysze kupowali bilety zamiast dawać napiwki klucznicy.

Jednakże w oczach współczesnego gościa splendor paradnych sal dawno już przygasł, a wilgotne pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy (później

dowiedziałem się, że nazywane jest Dolnym Holem), było mniej więcej tak przytulne jak pusty stadion. Pod ścianami stały twarde krzesła dla lokajów, przywołujące wizję niezliczonych godzin nudnego wyczekiwania; środkiem poplamionej kamiennej posadzki ciągnął się długi czarny stół. Nie było tu żadnych obrazów z wyjątkiem czterech brudnych pejzaży Wenecji, dalekich popłuczyn po Canaletcie. Niemniej hol, tak jak wszystkie sale, był przepastny i czuliśmy się w nim jak rodzina Pożyczalskich<sup>[9]</sup>.

– No cóż, najwyraźniej nie wierzą w łagodną perswazję – mruknęła Edith.

Ściskając w dłoniach przewodniki, wstąpiliśmy na Wielkie Schody, których rzeźbione dębowe stopnie wznosiły się spiralnie wokół masywnej i dość ponurej figury umierającego niewolnika. Szeroki podest na pierwszym piętrze prowadził do olbrzymiej Sali Marmurowej, komnaty o podwójnej wysokości, otoczonej ze wszystkich stron galerią. Wchodząc zewnętrznymi półkolistymi schodami, trafilibyśmy właśnie do tej sali, aby następnie (zapewne zgodnie z intencją) zemdleć z wrażenia. Przeszliśmy do równie olbrzymiego Salonu, którego ściany, zwieńczone mahoniowym gzymsem ze złoceniami, pokrywała szkarłatna flokowana tapeta.

– Dla mnie kurczak *tikka*, proszę – powiedziała Edith.

Roześmiałem się. Miała absolutną rację; sala wyglądała jak gigantyczna indyjska restauracja.

Isabel otworzyła przewodnik i zaczęła czytać głosem nauczycielki geografii:

„W Salonie wciąż zachowała się oryginalna tapeta, jeden z głównych cudów wystroju Broughton Hall. Stojące tu pozłacane podręczne stoliki w 1739 roku zamówiono w pracowni Williama Kenta specjalnie do tego wnętrza. Morskie motywy oprawy luster z rżniętego kryształu powstały z okazji mianowania trzeciego hrabiego ambasadorem Korony w Portugalii w 1737 roku. Sam hrabia został upamiętniony na portrecie Jarvisa, który wraz z towarzyszącym portretem hrabiny wisi nad kominkiem wykonanym z włoskiego marmuru”.

Spojrzeliliśmy na obrazy. Portret lady Broughton, namalowany zapewne z aspiracjami do pewnej wesołości, przedstawiał młodą damę o grubo ciosanych rysach na tle ukwieconego wzgórze, trzymającą letni kapelusz

w dużej dłoni.

– Do mojej siłowni chodzi jedna pani, która wygląda dokładnie tak samo – powiedziała Edith. – Wciąż usiłuje mi sprzedać losy na loterię konserwatystów.

„Serwantka na środku południowej ściany – ciągnęła monotonie Isabel – to mebel Boulle’a, dar żony delfina Francji, Marii Józefy Saskiej, dla narzeczonej piątego hrabiego z okazji ślubu. Pomiędzy oknami...”

Przesunąłem się ku wysokim oknom i spojrzałem z góry na park. Był jeden z owych gorących, parnych sierpniowych dni, gdy drzewa wydają się przeciążone liśćmi, a bujna zieleń krajobrazu jest duszna i pozbawiona powietrza. Wtem ujrzałem, że zza rogu budynku wyłania się jakiś mężczyzna. Pomimo upału ubrany był w sztruksy i tweedy oraz jeden z tych nieznośnych małych kapelusików, które mieszkający na wsi Anglicy uważają za zawadiackie. Gdy spojrzał w górę, zobaczyłem, że to Charles Broughton. Najpierw musnął mnie wzrokiem, ale zaraz przystanął i przyjrzał mi się uważniej. Widząc, że mnie poznaje, uniosłem dłoń na powitanie, on zaś skinął mi głową i ruszył dalej do swoich spraw.

– Kto to? – Edith stała tuż za mną, porzuciwszy Isabel i jej przemowy.

– Charles Broughton.

– Syn właściciela domu?

– Jedyne, jak sędzę.

– Zaprosi nas na podwieczorek?

– Nie przypuszczam. Spotkałem go dokładnie dwa razy.

Charles nie zaprosił nas na podwieczorek i z pewnością w ogóle by o mnie nie pomyślał, gdybyśmy na niego nie wpadli, wracając do samochodu. Właśnie skończył rozmawiać z jednym z licznych ogrodników krzątających się po posiadłości i natknął się na nas na dziedzińcu.

– Dzień dobry – rzekł przyjaźnie. – Co ty tu robisz? – Wyraźnie zapomniał, jak się nazywam i skąd mnie zna, ale uprzejmie zaczekał, aż przedstawię go pozostałym.

Isabel, osłupiała na skutek nagłego i niespodziewanego przedostania się do



krainy spełnionych marzeń, gorączkowo usiłowała wymyślić jakieś zdanie, które wczepione w umysł Charlesa niczym fascynujący rzep spowodowałyby natychmiastowy rozkwit bliskiej przyjaźni. Ale nie miała natchnienia.

– On mieszka u nas. Dwie mile stąd – oznajmiła rzeczowo.

– Naprawdę? Często tu bywacie?

– Mieszkamy tu przez cały czas.

– Aha – powiedział Charles i zwrócił się do Edith. – Pani też jest miejscowa?

– Proszę się nie martwić. – Uśmiechnęła się. – Nie jestem groźna. Mieszkam w Londynie.

Roześmiał się i jego mięsista, rubaszna twarz przez chwilę wyglądała niemal atrakcyjnie. Zdjął kapelusz, ukazując jasne włosy w stylu Ruperta Brooke'a, z typowymi dla angielskiego arystokraty loczkami na karku.

– Mam nadzieję, że dom wam się spodobał.

Edith milczała z uśmiechem na ustach, pozostawiając Isabel głupie czytanki z przewodnika.

Zlitowałem się.

– Powinniśmy już jechać – powiedziałem. – David pewnie się zastanawia, co się z nami dzieje.

Pośród ukłonów i uśmiechów podaliśmy sobie ręce i kilka minut później byliśmy już w drodze.

– Nigdy nie mówiłeś, że znasz Charlesa Broughtona – rzekła Isabel bezbarwnie.

– Bo nie znam.

– No, w każdym razie nigdy nie mówiłeś, że go kiedyś spotkałeś.

– Nie?

Chociaż naturalnie wiedziałem, że nie mówiłem. Przez resztę drogi Isabel nie odezwała się ani słowem, Edith zaś odwróciła się ku mnie na fotelu pasażera i wymówiła bezgłośnie: „No to już koniec!”. Było jasne, że się naraziłem; Isabel do końca weekendu traktowała mnie z wyraźnym chłodem.

## 2

Edith Lavery była córką zamożnego dyplomowanego księgowego, wnuka żydowskiego emigranta, który przybył do Anglii w 1905 roku. Uciekał przed pogromami, rozpętanymi w Rosji za rządów cara Mikołaja II (jego późniejszej śmierci ojciec Edith w żadnym razie nie miał powodu opłakiwać). Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek poznał jego pierwotne nazwisko, być może brzmiało ono Levy albo Levin. Tak czy inaczej, zwłaszcza w owym czasie wydawało się, że zmiana nazwiska to dobry pomysł, ostatecznej zaś inspiracji dostarczył im edwardiański portrecista sir John Lavery. Gdy później pytano Laverych, czy są jakoś z nim spokrewnieni, mówili „może troszkę”, w ten sposób ustanawiając więź z brytyjskim establishmentem bez wywoływania spornych pretensji.

Przyjęło się, że Anglicy zapytani, czy kogoś znają, odpowiadają: „Owszem, ale on/ona na pewno mnie nie pamięta” albo „Spotkaliśmy się, ale tak naprawdę się nie znamy”, chociaż wcale nie spotkali danej osoby. Jest to skutek podświadomego pragnienia, by wytworzyć przyjazną iluzję, jakoby Anglia, a raczej Anglia klas średnich i wyższych, pokryta była milionem krzyżujących się niewidzialnych jedwabnych nici, łączącą ich połyskliwą społeczną siatką rang i zaszczytów, a wykluczającą pozostałych członków społeczeństwa. Jest w tym pewna nieuczciwość, bo z reguły wszyscy świetnie rozumieją, o co chodzi. Dla Anglika lub Angielki z określonych środowisk sformułowanie „Owszem, ale na pewno mnie nie pamięta” oznacza po prostu „Nie znam tej osoby”.

Pani Lavery, matka Edith, szczerze lubiła swojego małżonka, uważała się wszakże za kogoś z zupełnie innej sfery. Jej ojciec wprawdzie tylko służył w Indiach w stopniu pułkownika, ale liczyło się zupełnie co innego: jej matka była stryjeczną wnuczką „bankowego baroneta”. Albowiem pani Lavery, mimo

że serdeczna i życzliwa światu, była namiętą snobką w stopniu graniczącym z szaleństwem i wąła koligacja z tym najniższym z dziedzicznych tytułów napawała ją rozkosznym poczuciem przynależności do owych wewnętrznych kręgów przywilejów i rang, w których jej biedny mąż musiał na zawsze pozostać intruzem. Pan Lavery nie żywił z tego powodu niechęci do żony. Nic podobnego, przeciwnie, był z niej bardzo dumny. W końcu była wysoką, postawną kobietą, która świetnie się ubierała, a pomysł, że fraza *noblesse oblige* (jedna z jej ulubionych) ma jakiegokolwiek zastosowanie w jego domu, wprawiał go raczej w rozbawienie.

Zajmowali duże mieszkanie przy Elm Park Gardens, prawie (ale nie całkiem) na niewłaściwym końcu Chelsea. Niezbyt odpowiadało to ambicjom pani Lavery, niemniej nie było to Fulham ani, co byłoby jeszcze gorsze, Battersea, które to nazwy dopiero ostatnio zaczęły figurować na jej mentalnej mapie. Zapraszana na kolacje do świeżo zaślubionych dzieci swoich znajomych, nadal odczuwała dreszczyk emocji, niczym nieustraszony podróżnik przekraczający granice cywilizowanego świata. Słuchała z ożywieniem dyskusji o tym, jaką dobrą inwestycją jest „stojak do tostów” lub jak dzieci uwielbiają Tooting po tym ciasnym mieszkanku na Marloes Road, ale to wszystko była dla niej chińszczyzna. Jeśli o nią chodzi, przebywała w piekle, dopóki nie znalazła się na powrót po drugiej stronie rzeki, która była dla niej prywatnym Styksem, na wieczność dzielącym Świat Podziemny od Prawdziwego Życia.

Lavery'owie nie byli bogaci, ale i nie biedni, i mając jedno dziecko, nie musieli oszczędzać. Edith posłano najpierw do modnego przedszkola, potem zaś do szkoły Benenden („Nie, nie z powodu księżniczki. Po prostu rozejrzeliśmy się i uznaliśmy, że to takie inspirujące miejsce”). Pan Lavery chciał, aby Edith kontynuowała edukację na uniwersytecie, ale kiedy się okazało, że wyniki egzaminów są za słabe, by ją przyjęto na interesującą uczelnię – w każdym razie nie taką, którą oni uważali za interesującą – pani Lavery bynajmniej nie poczuła się zawiedziona. Jej najwyższą ambicją było zawsze wprowadzenie córki w wielki świat.

Stella Lavery sama nigdy nie była debiutantką, czego ogromnie się

wstydziła. Usiłowała to ukryć, czyniąc mnóstwo żartobliwych aluzji do zabaw wieku dziewięcącego, a zapytana o konkrety, wzdychała, że jej ojciec w latach trzydziestych „trochę się przejechał” (w ten sposób podłączając się do krachu na Wall Street i przywołując ducha Scotta Fitzgeralda i jego Gatsby’ego). Jako alternatywę zwała wszystko na wojnę, całkowicie myląc epoki. Prawda była taka – do czego pani Lavery musiała się przyznawać w momentach ciemnej nocy duszy – że w mniej wyluzowanym świecie lat pięćdziesiątych linie demarkacyjne określające, kto należy do lepszego towarzystwa, a kto nie, były wyznaczone o wiele wyraźniej. Rodzina Stelli Lavery po prostu nie zaliczała się do wyższych sfer. Znajome, które poznały się na balach debutantek<sup>[10]</sup>, budziły jej głęboką, choć tajoną zazdrość, od której aż skręcało ją w trzewiach. Serdecznie nienawidziła, gdy wspominając o Henriecie Tiarks czy Mirandzie Smiley, mówiły również o niej, Stelli Lavery, jakby wierzyły w jej rzekomy debiut, choć doskonale wiedziały – wiedziała, że one wiedzą – że żadnego debiutu nie było. A zatem od razu na wstępie postanowiła, że nie pozwoli, by życie jej ukochanej Edith okryło się takim cieniem. (Notabene imię Edith wybrała ze względu na wonną nutę spokojniejszej, lepszej Anglii; być może również chciała podświadomie zasugerować, że jest ono rodzinną schedą po jakiejś edwardiańskiej piękności, choć była to oczywista nieprawda). W każdym razie od początku zamierzała dołożyć starań, by wepchnąć dziewczynę do zaczarowanego kręgu. A skoro w latach osiemdziesiątych prezentacja na dworze (z czym byłby pewien problem) należała już do przeszłości, pani Lavery pozostało jedynie przekonać męża i córkę, że nakłady czasu i pieniędzy na londyński Sezon sownie im się opłacą. Nie trzeba ich było długo przekonywać. Edith nie miała żadnych konkretnych planów, jak chce spędzić resztę dorosłego życia, i bardzo jej odpowiadało, że decyzja odwlecze się o rok, pełen nieustannych przyjęć. Co się tyczy pana Lavery’ego, to spodobała mu się wizja żony i córki w uściskach *beau monde* i był skłonny z radością za to zapłacić. Starannie pielęgnowane koneksje pani Lavery wystarczyły, by umieścić Edith na układanej przez Petera Townenda<sup>[11]</sup> liście osób zapraszanych na wstępne herbatki, a uroda dziewczyny zakwalifikowała ją do roli modelki na Berkeley Dress Show. Po tym już wszystko poszło gładko. Pani Lavery chodziła na lunch z matkami

debiutantek i pakowała córce sukienki na bale na wsi, świetnie się przy tym bawiąc, a Edith również czerpała z tego przyjemność.

Jednak pani Lavery nie była zadowolona; Sezon dobiegł końca, odbyły się ostatnie zimowe bale dobroczynne, wycinki z „Tatlera” wraz z zaproszeniami zostały wklejone do albumu, a w życiu jej rodziny nic się zmieniało. Edith chodziła na przyjęcia do córek arystokratów – nawet, co szczególnie ekscytujące, latorośli pewnego księcia – i rzeczywiście na koktajl urządzony na jej cześć w hotelu Claridge’s (najszcześniejszy wieczór w życiu pani Lavery) przyszły wszystkie zaproszone dziewczęta, lecz pozyskane w ten sposób przyjaciółki niezwykle przypominały koleżanki Edith ze szkoły, córki zamożnych biznesmenów z wyższej klasy średniej. Prawdę mówiąc, były dokładnie takie same jak Edith. Zdaniem pani Lavery coś tu było nie tak. Zawsze sądziła, że tylko brak odpowiedniego „startu” uniemożliwił jej zdobycie zawrotnych wyżyn londyńskiej socjety (którą filuternie nazywała „Dworem”), teraz więc po swojej córce spodziewała się rzeczy nadzwyczajnych. Niewykluczone, iż zaślepiona entuzjazmem nie dostrzegła jednej prostej prawdy: to, że Sezon tak skwapliwie przyjął jej córkę na swoje łono, oznaczało, że w latach osiemdziesiątych nie była to już ekskluzywna instytucja z czasów jej młodości.

Edith zdawała sobie sprawę z rozczarowania matki, choć jednak nie była całkiem odporna na urok tytułów i fortun, nie bardzo wiedziała, jak miałyby podtrzymać intymne stosunki z córkami Wielkich Rodów. Po pierwsze, one wyraźnie znały się od urodzenia, po drugie, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że nie zdoła spełniać ich kaprysów w mieszczańskim mieszkaniu przy Elm Park Gardens. Skończyło się więc na tym, że z większością dziewcząt poznanych owego roku wymieniała zdawkowe ukłony, ale poza tym wróciła w koleiny, w których utknęła po ukończeniu szkoły.

Wszystkiego tego dowiedziałem się wkrótce po spotkaniu u Eastonów, okazało się bowiem, że Edith podjęła pracę jako telefonistka u agenta nieruchomości na Milner Street. Moje mieszkanie w suterenie mieściło się tuż za rogiem, zacząłem więc na nią wpadać u Petera Jonesa lub jedząc kanapkę w lokalnym pubie, albo kupując o świcie mleko u Partridge’a, i stopniowo,

niemal niezauważalnie, nawiązała się między nami przyjaźń. Któregoś dnia około pierwszej po południu zobaczyłem ją wychodzącą z General Trading Company i zaprosiłem na lunch.

– Widziałaś się ostatnio z Isabel? – zapytałem, wciskając się w ławkę we włoskiej knajpcie pełnej krzykliwych kelnerów.

– W zeszłym tygodniu jadłam z nimi kolację.

– Wszystko dobrze?

Było dobrze albo przynajmniej nieźle. Akurat toczyli dramatyczny spór ze szkołą swojego dziecka, u którego Isabel odkryła dysleksję. Współczułem dyrektorowi.

– Pytała o ciebie. Powiedziałam, że czasem cię widuję – wyjaśniła Edith.

Mruknąłem, że Isabel chyba mi jeszcze nie wybaczyła, iż przemilczałem fakt znajomości z Charlesem Broughtonem. Edith wybuchnęła śmiechem i opowiedziała mi o swojej matce. Zapytałem, czy zrelacjonowała pani Lavery naszą wizytę w Broughton Hall; osoba Charlesa przemknęła mi przez myśl, bo akurat tego ranka przeczytałem jakiś idiotyczny artykuł o kawalerach do wzięcia, a on zdecydowanie znajdował się na czele stawki. Z rumieńcem wstydu przyznaję, że spis jego aktywów bardzo mi zaimponował.

– Nie, nie wspominałam jej o tym ani słowem. Nie chcę, żeby wbiła sobie coś do głowy.

– Musi być bardzo podatna na wpływy.

– Owszem. Posłałaby mnie do ołtarza bez mrugnięcia okiem.

– A ty nie chcesz wyjść za mąż?

Spojrzała na mnie, jakbym oszalał.

– Oczywiście, że chcę wyjść za mąż.

– Nie widzisz siebie jako kobiety pracującej? Myślałem, że dzisiaj wszystkie dziewczyny chcą robić karierę. – Nie wiem dlaczego, ale ześliznąłem się w nadęty antyfeminizm, choć w najmniejszym stopniu nie odzwierciedla on moich poglądów.

– No wiesz, nie chcę do końca życia odbierać telefonów w agencji nieruchomości, jeśli o to ci chodzi.

Poczułem się należycie skarcony.

– No, niezupełnie to miałem na myśli – bąknąłem.

Edith spojrzała na mnie wyrozumiale, jakby musiała powtórzyć ze mną tabliczkę mnożenia przez trzy.

– Skończyłam dwadzieścia siedem lat. Nie mam żadnych kwalifikacji, a co gorsza, żadnych szczególnych zdolności. Jednocześnie jednak mam potrzeby, których zaspokajanie wymaga co najmniej osiemdziesięciu tysięcy funtów rocznie. Po śmierci ojca jego niewielkie pieniądze dostanie matka, ale nie przewiduję, by któreś z rodziców zawinęło się przed rokiem 2030. Co mam robić twoim zdaniem?

Nie wiem czemu, ale trochę mnie speszyło to praktyczne do bólu podejście à la Anita Loos<sup>[12]</sup>. Zwłaszcza w wydaniu angielskiej ślicznotki z opaską na włosach, ubranej w schludny granatowy kostiumik.

– Więc zamierzasz bogato wyjść za mąż?

Zawahała się niepewnie. Być może uznała, że zbyt się zdradziła, i chciała sprawdzić, czy jej nie osądzam, a jeśli tak, to jak wypadła. To, co zobaczyła w moich oczach, zapewne ją uspokoiło. Zawsze mi się wydawało, że jeśli człowiek dość wcześnie jasno uprzytomni sobie, czego naprawdę w życiu pragnie, to ma spore szanse uniknąć rzekomo nieuchronnej choroby współczesności, zwanej kryzysem wieku średniego.

– Niekoniecznie – odparła nieco defensywnym tonem. – Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym znaleźć szczęście przy boku kogoś biednego.

– Rozumiem to bardzo dobrze – powiedziałem.

Po tym lunchu nie widzieliśmy się przez pewien czas. Obsadzono mnie w jakimś amerykańskim miniseriale nie do oglądania, więc wyjechałem na kilka miesięcy, najpierw do Paryża, a potem, na domiar złego, do Warszawy. W związku z tym spędziłem nader przygnębiające Boże Narodzenie i Nowy Rok w obcym hotelu, gdzie na śniadanie podawano ser, a chleb zawsze był czerstwy. Do Londynu wróciłem dopiero w maju, mając poczucie, że co jak co, ale moja sztuka aktorska niezbyt się rozwinęła; z drugiej strony

przynajmniej byłem odrobinę zamożniejszy niż przedtem.

Niedługo potem dostałem kartkę od Isabel – która najwyraźniej pod moją nieobecność zdążyła mi przebaczyć – z zaproszeniem, bym przyłączył się do nich drugiego dnia wyścigów w Ascot. Sądziłem, że będę musiał odmówić, gdyż nie kiwnąłem palcem, by odnowić abonament do sektora królewskiego, okazało się jednak, że zrobiła to za mnie moja matka (nie aprobowała mojej drogi życiowej i takie gesty stanowiły dobitny wyraz jej sprzeciwu). W dzisiejszych nieeleganckich czasach działanie w czyimś imieniu, nawet własnego dziecka, byłoby niemożliwe, ale wtedy było inaczej. Prawdę mówiąc, podjęła się tego dorocznego obowiązku jeszcze w czasach mojej młodości i niechętnie z niego zrezygnowała. „Będziesz żałował, jeśli ominie cię jakaś zabawa” – zbywała moje protesty, gdy mówiłem, że nie planuję chodzić na wyścigi. I tym razem miała rację. Przyjąłem zatem propozycję Isabel z półuśmiechem, który propozycja spędzenia dnia w Ascot zawsze przywołuje na moje wargi.

Podobnie jak w wypadku innych słynnych instytucji, medialny wizerunek sektora królewskiego w Ascot ma niewielki związek z rzeczywistością. Sama nazwa „sektor królewski” (nie mówiąc o landrynkowych opisach w brukowej prasie) przywołuje na myśl wizje księżniczek i hrabiów, słynnych piękności i milionerów z RPA, którzy w wytwornej odzieży przechadzają się po wypieszczonych trawnikach. Z tego wszystkiego jedyna rzecz, którą mogę potwierdzić, to stan trawników. Przeważającą większość klienteli sektora stanowią dzisiaj biznesmeni w średnim wieku z zamożniejszych przedmieść Londynu, którym towarzyszą żony w nieodpowiednich strojach, na ogół z szyfonu. Tym wszakże, co czyni tę rozbieżność niezwykle i zabawną, jest fakt, że całą fikcję ślepo i rozmyślnie podtrzymują jej uczestnicy. Wręcz wzruszająca jest radość okazywana przez członków wyższych sfer, a raczej klas średnich, którzy stroją się i puszą, jakby wyścigi faktycznie były imprezą tak ekskluzywną, jak piszą gazety. Damy, przyodziane w dopasowane kostiumiki – równie nieodpowiednie, lecz bardziej twarzowe – krążą po terenie, witając się łaskawie niczym uczestniczki przyjęć w Ranelagh Gardens<sup>[13]</sup> w 1770 roku. Przez jeden lub dwa dni w roku jacyś ciężko



pracujący ludzie pozwalają sobie na luksus naśladowania przypadłej klasy próżniaczkiej, udając, że świat, który oplakują i podziwiają, wciąż żyje i rozkwita gdzieś w okolicach Windsoru. W swoich pretensjach, by do tamtej rzeczywistości należeć, wydają się nadzy i bezbronni, a więc, przynajmniej dla mnie, bardzo ujmujący. Zawsze się cieszę, mogąc spędzić dzień na wyścigach w Ascot.

David podjechał po mnie swoim volvo kombi. W środku, oprócz Isabel, siedziała Edith, której się spodziewałem, oraz małżeństwo, państwo Rattray. Simon Rattray, który chyba pracował u Strutta i Parkera, mówił dużo o polowaniach; jego żona Venetia mówiła niewiele, wyłącznie o dzieciach. Z pewnym trudem przedarliśmy się przez ścisk na trasie M4, miniliśmy Windsor Great Park, aż w końcu zajechaliśmy na leżący na uboczu mały parking w pewnej odległości od terenu wyścigów. David, straszliwie zirytowany faktem, że nie dostał miejsca na głównym parkingu, nieodmiennie rozładowywał swoje rozdrażnienie na Isabel, która czytała mu na głos znaki drogowe, ale byłem tu z nimi już kilka razy i zdążyłem się przyzwyczaić. Uważałem to za część wyprawy do Ascot, podobnie jak częścią Bożego Narodzenia była dla mnie złość ojca na lampki choinkowe, jedno z najwyraźniejszych wspomnień mojego dzieciństwa.

Postawiliśmy samochód na wyznaczonym miejscu i wypakowaliśmy lunch. Było jasne, że Edith nie ma tu nic do roboty – Isabel i Venetia, które przejęły całkowitą kontrolę nad przedsięwzięciem, kwokały, gdakały, kroiliły i mieszały, dopóki naszym oczom nie ukazała się uczta w pełnej krasie, podczas gdy panowie oraz Edith, siedzący na składanych krzeselkach i ściskający w dłoniach plastikowe kubeczki z szampanem, obserwowali ich krzątanie z bezpiecznej odległości. Na swój sposób, jak zwykle, starania te budziły rozrzewnienie, zważywszy na to, jak niewiele czasu mogliśmy poświęcić na konsumpcję. Ledwie przysunęliśmy krzesła do chwiejnego stolika, a już Isabel – równie przewidywalna w tych sprawach jak David w sprawie parkingu – spojrzała na zegarek.

– Musimy się pośpieszyć. Już za dwadzieścia pięć druga.

David przytaknął i dobrał sobie truskawek. Nikomu nie trzeba było nic

tłumaczyć. Rytuał dnia był całkowicie ustalony i obejmował przybycie rodziny królewskiej z zamku Windsor. Aby je obejrzeć, należało zająć miejsce w sektorze królewskim, i to zająć je dostatecznie wcześnie, niemal jak podczas mszy niedzielnej. Edith spojrzała na mnie, przewracając oczami, oboje jednak posłusznie dopiliśmy kawę, przypięliśmy identyfikatory i skierowaliśmy się na tor.

Stewardzi przy wejściu pieczołowicie odsiewali ziarno od plew. Dwóch nieszczęśników nie zostało wpuszczonych, nie wiem dlaczego – albo nie mieli identyfikatorów, albo po prostu byli źle ubrani. Edith ścisnęła mnie za ramię i uśmiechnęła się tajemniczo. Spojrzałem na nią.

– Coś cię bawi?

Pokręciła głową.

– Nie.

– Więc co?

– Mam słabość do wchodzenia tam, gdzie innych ludzi się zatrzymuje.

Roześmiałem się.

– To zrozumiałe. Wiele osób tak czuje. Ale to dość niegodne przyznawać się do tego.

– Ojej. No to obawiam się, że jestem bardzo niegodna. Mam tylko nadzieję, że to mnie nie powstrzyma.

– Nie sądzę – powiedziałem.

Najbardziej interesująca w tej wymianie zdań była jej otwartość. Edith wyglądała na absolutnie wzorcową przedstawicielkę stylu Sloane Ranger<sup>[14]</sup> (którą w istocie była), zaczynałem jednak pojmować, że jest wręcz niepokojąco świadoma swojej rzeczywistej sytuacji życiowej, podczas gdy dziewczyny tego typu na ogół ostentacyjnie udają całkowitą ignorancję. Nie chodzi o to, że była w swoich uczuciach osamotniona. Anglicy – tak się składa, że dotyczy to chyba wszystkich klas społecznych – są wręcz uzależnieni od ekskluzywności. Wystarczy zostawić trzech Anglików w jednym pokoju, a zaraz wymyślą regułę, żeby czwarty nie mógł się do nich przyłączyć. Tym, co odróżniało Edith od większości ludzi – a już z całą

pewnością od członków arystokracji – był fakt, że ci ostatni usilnie starają się zachowywać pozory. Sugestia, że przyjemnie jest wejść do salonu, przejść przez bramkę, mieć zaproszenie, kiedy inni muszą płacić za bilet, witana jest pytającym spojrzeniem i wystudiowanym brakiem zrozumienia. Wprawna towarzysko matrona zapewne lekkim uniesieniem brwi zaznaczy, iż sama ta myśl świadczy o złym wychowaniu. Obłuda tego wszystkiego wręcz zapiera dech w piersiach, ale jak zwykle dyscyplina, z jaką w tych sferach przestrzega się reguł, budzi również pewien respekt.

Chyba szliśmy z Edith trochę zbyt wolno, bo reszta naszej grupki była już na schodach i machała, byśmy się pośpieszyli. Daleki ryk gawiedzi obwieścił, że powozy nadjeżdżają; lokaje czy też stewardzi podbiegli pędem, aby otworzyć bramy na tor. Do środka wtoczył się pierwszy powóz, z Jej Królewską Mością i ciemnoskórym premierem jakiegoś naftowego mocarstwa na pokładzie. Edith szturchnęła mnie w bok, wskazując ruchem głowy Isabel. Przyznaję, że tak jak inni mężczyźni, ja również z nieskrywanym entuzjazmem zdjąłem kapelusz, ale mina Isabel to było coś wyjątkowego: szklisty, ekstatyczny wzrok królika wpatzonego w kobrę, zahipnotyzowany, urzeczony. Niczym Parwana w *Hassanie* przystałaby na Orszak Przedłużonej Śmierci<sup>[15]</sup>, aby znaleźć się na przyjęciu królewskim w Ascot, a przynajmniej rozważyłaby taką możliwość. Przypuszczalnie dowodzi to jedynie, że mimo wzgardy, z którą klasy wykształcone odnoszą się do uwielbienia, jakim masowy odbiorca darzy gwiazdy filmowe, same są równie podatne na fantazje, pod warunkiem że poda się je w strawnej formie.

W rzeczywistości orszak tamtego roku sprawił nam zawód. Nie było księcia Walii, który dla Isabel wyznaczał wzorzec elegancji, ani w ogóle żadnych innych książąt. Z młodszych członków rodziny królewskiej pojawiła się tylko Zara Phillips, jaskrawo przyodziana w wyzywający strój plażowy. Edith przez cały czas mruzczała mi do ucha prześmiewcze uwagi, doprowadzając do szału Isabel i stojącą obok panią o błękitnych włosach, postanowiliśmy więc odejść, żeby nie psuć im przyjemności. Wówczas za plecami usłyszałem głos. Odwróciłem się; przede mną stał Charles Broughton.

Tym razem nie doszło do niezręcznych zgadywanek; najprzyjemniejsze

w sektorze jest to, że wszyscy noszą identyfikatory z nazwiskami, nie ma więc mowy, by ktoś pomylił nazwiska albo udawał, że jest naszym znajomym. Doprawdy, takie wizytówki powinny być obligatoryjne na wszystkich spotkaniach towarzyskich. Tak czy inaczej, na piersi Charlesa widniał identyfikator z napisem „hrabia Broughton” skreślony charakterystycznym, wyraźnym, krągłym duktem dobrze wychowanych dziewcząt z biura wyścigów.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Pamiętasz Edith Lavery? – Sformułowanie to jest nader przydatne w sytuacjach, gdy przedstawiamy kogoś osobie, która niemal na pewno o nim zapomniała.

Tym razem jednak się myliłem.

– Naturalnie, że pamiętam. Pani jest ta niegroźna, która mieszka w Londynie.

– Cóż, mam nadzieję, że aż taka niegroźna nie jestem. – Edith uśmiechnęła się, po czym, nie wiem z czyjej inicjatywy, wzięła go pod ramię.

Eastonowie i Rattrayowie, którzy nieubłaganie się do nas zbliżali, niemal wytrzeszczyli oczy, gdy zaproponowałem Edith i Charlesowi, byśmy zeszli we troje na padok. Zapewne był to z mojej strony przejaw okrucieństwa albo głębokiej niepewności, ale poczułem się trochę zażenowany podnieceniem biednej starej Isabel, a David ze swoją intensywną ambicją robił wrażenie wręcz złowieszcze. Chwała Bogu Charles, który w gruncie rzeczy był człowiekiem uprzejmym, ukłonił się Isabel. Wprawdzie zrobił to trochę zdawkowo, lecz przynajmniej okazał, że pamięta, iż zostali sobie przedstawieni. David przystanął i z wściekłością patrzył, jak kierujemy się na padok, aby obejrzeć paradę koni przed pierwszą gonitwą.

Jak było do przewidzenia, Charles sporo wiedział o koniach, toteż niebawem radośnie i kompetentnie rozprawiał już o proporcjach i pęcinach. Nie interesowało mnie to w najmniejszym stopniu, jednakże z rozbawieniem przyglądałem się Edith, która wpatrywała się w niego z pochlebną fascynacją. Niektóre kobiety wyraźnie rodzą się z tą umiejętnością. Miała na sobie schludny lniany kostiumik bladoniebieskiej barwy – poprawna nazwa brzmi chyba *eau-de-nil* – oraz mały toczek zsunięty na czoło. Wyglądała nieco frywolnie, ale niesentymalnie i szykownie, całkiem inaczej niż matrony

z Weybridge w organizacyjnych falbankach. Jej twarz, urzekająca, co na tym etapie skonstatowałem bez wahania, zyskiwała w tym stroju dowcip i humor. Przeglądała program wyścigów, coś w nim notując ołówkiem Charlesa, a ja, widząc, jak on na nią patrzy, być może po raz pierwszy dopuściłem do siebie myśl, że mógłby ją uznać za pociągającą. Nie było w tym nic szczególnie zaskakującego. Miała wszystkie pożądane atrybuty: była ładna, dowcipna oraz, jak sama powiedziała, niegroźna. Nie należała, rzecz jasna, do jego sfery, ale mówiła i zachowywała się, jakby tak było. Złudzeniem jest powszechne przekonanie, że klasy wyższa i średnia bardzo się od siebie różnią pod względem manier i obejścia. Tak naprawdę w codziennym życiu zachowują się niemal identycznie. Oczywiście arystokracja obraca się w znacznie węższym kręgu, toteż poczucie ekskluzywnej przynależności jest w jej przypadku nieuchronne. Czasem to poczucie bezpieczeństwa skutkuje pewną skłonnością do odruchowego chamstwa, co nie przeszkadza jej członkom, lecz wkurza niemal wszystkich wokół. Oprócz tego wszakże (a chamstwa niezwykle łatwo się nauczyć) obie te klasy pod względem stylu naprawdę trudno odróżnić. Nie, Edith Lavery wyraźnie była dziewczyną w typie Charlesa.

Obejrzeliliśmy razem kilka gonitw, wyczułem jednak, że Edith niezwykle miło i delikatnie próbuje się mnie pozbyć. Kiedy więc Charles zaproponował herbatę u White'a, przeprosiłem ich i poszedłem poszukać pozostałych. Na odchodnym Edith rzuciła mi wdzięczne spojrzenie, po czym oboje oddalili się ramię w ramię.

Znalazłem Isabel i Davida w jednym z barów za główną trybuną. Pili ciepłego szampana, bo obsługa skończył się lód.

– Gdzie jest Edith?

– Poszła z Charlesem do White'a.

David się nabzdyczył. Biedny David. Ani razu nikt w Ascot nie zabrał go do White'a – ani do starego namiotu, ani do nowego kosmicznego lokalu. Dałby sobie uciąć rękę, żeby zostać członkiem tego klubu.

– Nieźle – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Też bym się napił jakiejś herbaty.

– Chyba mieli się spotkać z resztą znajomych Charlesa.

– Z pewnością.

W przeciwieństwie do niego Isabel milczała, sącząc ciepły trunek z czterema pływającymi kawałkami ogórka.

– Umówiliśmy się przy samochodzie przed przedostatnią gonitwą.

– Świetnie – odrzekł ponuro David. Zapadła niezręczna cisza. Isabel, co należy jej poczytać za zasługę, wpatrywała się w swój nieapetyczny napój bardziej zaciekawiona niż rozdrażniona.

Kiedy dotarliśmy do samochodu, Edith już tam była i od razu dostrzegłem, że dzień się jej udał.

– A gdzie Charles? – zapytałem.

Skinęła ku głównej trybunie.

– Poszedł odszukać ludzi, u których dzisiaj nocuje. Będzie tu jutro i w piątek.

– Powodzenia.

– A ty, dobrze się bawiłeś?

– O tak – powiedziałem. – Ale nawet w połowie nie tak dobrze jak ty.

Zaśmiała się, lecz nic nie powiedziała, bo w tym momencie nadszedł David i otworzył samochód. Nie wspominał o Charlesie, a Edith traktował gburowato, więc nie odważyła się powiedzieć głośno, że Charles zaprosił ją na kolację w przyszły wtorek. Ale szepnęła mi to na ucho; nie umiała zachować tej wiadomości dla siebie, to było ponad jej siły.

### 3

Edith siedziała przy toalecie, wykąpana i pachnąca, szykując się do nałożenia swojej wyjściowej twarzy. Nie powiedziała matce, z kim idzie na kolację, i teraz zastanawiała się dlaczego. Z pewnością Stella nie posiadałaby się z radości, ale być może właśnie obawa przed tą radością kazała Edith milczeć. Poza tym na obecnym etapie Edith nie potrafiła jeszcze ocenić, czy cała sprawa, jak to piszą w czasopiśmie, ma jakąkolwiek przyszłość.

Edith Lavery w żadnym razie nie można by nazwać rozwiązłą, ale z pewnością nie była dziewicą. W swoim czasie miała kilku chłopaków, nic poważnego, lecz gdy skończyła dwadzieścia trzy lata, zdarzył się jej pewien makler, pięć lat starszy i bardzo przystojny, którego postanowiła przyjąć, gdyby się jej oświadczył. Chodzili ze sobą około roku, jeździli na te same wiejskie przyjęcia i ogólnie rzecz biorąc, byli ze sobą szczęśliwi, a przynajmniej nie mniej szczęśliwi niż ich otoczenie. Na imię miał Philip, jego matka była wielką damą, mieli trochę pieniędzy – dosyć na początek, powiedzmy, w Clapham – słowem, wszystko zapowiadało się naprawdę świetnie. Toteż nic nie mogło się równać zdumieniu Edith, kiedy pewnego wieczoru Philip łamiącym się głosem wyjąwił, że spotkał kogoś i że z nimi koniec. Przez chwilę Edith nie mogła zrozumieć, co on mówi – może dlatego, że na miejsce swojego wyznania wybrał lokal San Lorenzo na Beauchamp Place, gdzie goście przy sąsiednich stolikach słyszą każde słowo, a może również dlatego, że nie umiała sobie wyobrazić, co ten „ktoś” ma takiego, czego jej brak. Lubili się z Philipem, stanowili ładną parę, oboje uwielbiali weekendy na wsi, oboje jeździli na nartach. O co chodziło?

Tak czy inaczej, Philip oszedł, a trzy miesiące później dostała zaproszenie na jego ślub. Poszła, żeby okazać wielkoduszność, i wyglądała (zgodnie z zamiarem) zachwycająco. Panna młoda była od niej brzydsza i właściwie

dość pospolita, jednak Edith, widząc, że wpatruje się w Philipa, jakby chwyciła Pana Boga za nogi, nabrała nieprzyjemnych podejrzeń, że ma to coś wspólnego z niepowodzeniem ich własnego związku.

Potem było jeszcze kilku mężczyzn, ale niewielu. Jeden z nich, agent nieruchomości imieniem George, przetrwał nawet pół roku, jednak tylko dlatego, że był pierwszym kompetentnym kochankiem, z jakim miała do czynienia, i dawał jej niespotykaną dotąd rozkosz, więc poniekąd celowo starała się nie widzieć jego niedociągnięć. Jednak któregoś dnia na regatach w Henley (dokąd zabrał ją, sądząc, dość rozczulająco, że to elegancka impreza) zobaczyła go z drugiej strony stołu, gdy rechotał donośnie, po swojemu pokazując dziąsła, i zdała sobie sprawę, że naprawdę jest zbyt okropny. Rozstanie było już wyłącznie kwestią czasu.

Jej rodzice żalowali Philipa, którego zdążyli polubić (George'a wcale nie żalowali), na ogół jednak nie wyrażali opinii o kandydatach, okresowo przenikających do Elm Park Gardens. Mimo to Edith zauważyła, że odkąd skończyła dwadzieścia siedem lat, jej matka coraz częściej pozwala sobie na zawołane aluzje i na w pół żartobliwe, na w pół zatroskane uwagi. I po raz pierwszy w jej duszy odezwał się daleki, cichy sygnał paniki. Przypuśćmy, tak teoretycznie, że nikt nigdy nie poprosi jej o rękę. Co ona wtedy zrobi?

Co ona, u licha, wtedy zrobi?

Z drugiej strony, pomyślała, wyjmując z włosów podgrzewane wałki i biorąc do ręki szczotkę od Masona Pearsona, wszystko to może się bardzo szybko zmienić. Być kobietą to co innego niż być mężczyzną. Mężczyzna albo się rodzi z pieniędzmi, albo całymi latami pracuje jak mrówka, żeby się dorobić, ale kobieta... kobieta biedna dzisiaj, jutro może być bogata, a przynajmniej zamężna z bogatym mężczyzną. Niemodnie jest przyznawać się do tego, ale nawet w dzisiejszych czasach życie kobiety ulega całkowitemu przeobrażeniu za sprawą odpowiedniej ślubnej obrączki.

Ktoś mógłby na podstawie tych rozważań odnieść wrażenie, że Edith na tym etapie życia była rażąco, wręcz wyjątkowo interesowna, lecz byłby to wniosek niesprawiedliwy. Byłaby nim bardzo zaskoczona. Zapytana, czy jest materialistką, odpowiedziałaby, że myśli praktycznie, a gdyby była w bardziej



snobistycznym nastroju – że jest osobą światową. W końcu czytywała powieści, chodziła do kina, wiedziała, co to jest szczęście, wierzyła w miłość. Ale swoją przyszłą karierę postrzegała głównie na gruncie towarzyskim (gdzieżby indziej?), a skoro chciała brylować w towarzystwie, to jak miała to zrobić, nie mając pozycji ani pieniędzy? Oczywiście w latach pięćdziesiątych takie ambicje podobno uchodziły już za przestarzałe, ale Edith po prostu nie miała zacięcia, żeby lecieć i tworzyć imperium fitnessu albo wydawać nowe czasopismo. Co się tyczy wolnego zawodu, przegapiła swoją szansę dziesięć lat temu, po ukończeniu szkoły. A poza tym pragnienie dobrobytu nagle przestało być niemodne. Pokolenie dorosłych z jej dzieciństwa, gustujące w niełuskanym ryżu i spódnicach na gumkę, ustąpiło miejsca aroganckiemu światu postthatcherizmu. Czyż jej marzenia nie współgrały z nim znacznie bardziej?

Niemniej Edith, mimo że ambitna i całkowicie przekonana, iż tylko męczyzna otworzy przed nią złote wrota do samospełnienia, w istocie rzeczy nie była snobką. Nie można tego o niej powiedzieć, w każdym razie w porównaniu z jej matką. Często powtarzała, że woli patrzeć ze środka na zewnątrz, a nie odwrotnie, i bardziej interesują ją możliwości (czyli władza, by użyć mniej eleganckiego określenia) niż tytuły. Chciała być w centrum wydarzeń. Pragnęła zwycięzcy, a nie kolii z brylantów. Nie szukała zamożnego sklepikarza, ale nie szukała także hrabiego. Co może wyjaśnia, dlaczego hrabiego zdobyła.

Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Miała na sobie krótką czarną sukienkę z surowego jedwabiu, którą matka nazwałaby „małą czarną” i która stanowi odwieczny awaryjny strój londyńskiej damy. Oprócz sztucznej francuskiej bransolety nie nosiła żadnych ozdób, a suknia była kosztowna i dobrze skrojona. Edith wyglądała ładnie, szykownie i odrobinę srogo, co bywa intrygujące dla pewnego typu Anglików. Była z siebie zadowolona. Nie grzeszyła próżnością, ale cieszyła się, nie mówiąc już o pewnej uldze, że Stwórca nie pokarał ją brzydkim obliczem. Zadzźwięczał dzwonek do drzwi.

Początkowo rozważała pomysł, by poprosić Charlesa, aby zaczekał pod domem, lecz wtedy mógłby pomyśleć, że ona ukrywa coś kompromitującego,

a nie tylko dość normalnego ojca i matkę snobkę. Postanowiła więc zaprosić go na górę i przedstawić po amerykańsku, po imieniu. Z reguły nie znosiła tego zwyczaju, bo nazwisko, jedyna rzecz zawierająca jakąś informację, pozostawało wówczas zatajone. Ale matka wkroczyła do akcji i natychmiast udaremniła jej plany.

– Charles jaki? – zapytała, gdy Kenneth nalewał im drinki.

– Broughton – odparł z uśmiechem Charles. Edith wręcz zobaczyła, jak wiadomość dociera do jej matki z cichym „ping!”. Jednak pani Lavery nie na darmo przez całe życie podziwiała królową Elżbietę I. Jej uśmiechnięta twarz ani drgnęła.

– A gdzie pan poznał Edith?

– W Sussex, w domu moich rodziców.

– Kiedy byłem z wizytą u Isabel i Davida.

– Ach, to pan zna Eastonów?

Charles przytaknął, za co Edith była mu wdzięczna. Nie potrafił powiedzieć: „Nie, nie znam ich i nie przedstawiono nas sobie prywatnie. Spotkałem państwa córkę, bo kupiła bilet, żeby zwiedzić pałac, w którym mieszkam”. Do tego się to mniej więcej sprowadzało, ale wtedy wieczór zaczęłyby się co najmniej dziwnie. Niemniej Edith nie zamierzała ryzykować kolejnej wpadki i szybko zakończyła pogawędkę. Wsiadając do czekającego pod domem lśniącego porsche, bynajmniej nie była zdenerwowana, czuła nawet pewną ulgę.

– Pomyślałem sobie, że wybierzemy się do Annabel’s.

– Teraz? – Ze zdziwienia zapomniała, iż powinna się pilnować.

– Może być? Nie musimy. – Charles wyglądał na odrobinę dotkniętego, ona zaś uznała, że postępuje małostkowo, niweczając jego próby zrobienia jej przyjemności. Właściwie spodobała się jej myśl, że zaplanował dla niej wieczór.

– Cudownie. – Z ciepłym uśmiechem spojrzała w jego otwartą, sympatyczną, trochę głupią twarz. – Tyle że do Annabel’s zawsze chodziłam później. Nigdy nie jadłam tam kolacji.

– Dostyc lubię ten lokal.

Jechali w milczeniu i wreszcie samochód zatrzymał się przed wejściem do słynnej piwnicy na Berkeley Square. Charles wysiadł i wręczył odźwiernemu klucze. Dotąd Edith bywała w Annabel's w towarzystwie młodzieńców, którzy parkowali auta gdzieś na placu, po czym szli do klubu piechotą. Było coś kojącego w świadomości, że oto jest na randce z kimś, kto nie musi chodzić na skróty. Zeszli po schodach i pchnęli drzwi na dole, po czym Charles, wylewnie powitany słowami: „Dobry wieczór, milordzie”, wpisał się do księgi gości. W barze było niewielu gości, w restauracji również. Pusty parkiet wykładany czarnymi lustrami, które nikogo nie odbijały, robił mroczne i posępne wrażenie. Charles najpierw wyraźnie się zdziwił, a potem speszył.

– Miałaś rację. Jest za wcześnie. Chyba zabawa rozkręca się dopiero około dziesiątej. Chcesz iść gdzie indziej?

– W żadnym razie – odparła z pogodnym uśmiechem, rozsiadając się na wyściełanej ławeczce. – A teraz mi powiedz, co mam jeść.

Nie podjęła jeszcze decyzji, co sądzić o Charlesie, ale jednej rzeczy była pewna: postara się, by wieczór okazał się bardzo udany, choćby nie wiem co. Menu dostarczyło kilku pożądanых okazji do pogawędki. Charles, który znał się na jedzeniu i piciu, z przyjemnością przejął stery, choć właściwie poprosiła go o radę tylko po to, żeby zaprezentować się jako bezradna istotka, układna panienka na wydaniu. Nie daj Boże, żeby zaczął przeproszać, to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła – doświadczenie nauczyło ją przynajmniej tego. Okazało się jednak, że wybrał dobrze i kolacja była świetna.

Trudno nazwać Charlesa Broughtona mężczyzną przystojnym, miał na to za duży nos i za wąskie usta. Ale w świetle świec wyglądał całkiem atrakcyjnie – jak powiedziałyby jej niania, „dystygowanie” – bardzo w typie angielskiego dżentelmena, jakby wybrano go na castingu. Edith z zaskoczeniem stwierdziła, że czuje do niego o wiele większy pociąg fizyczny, niż się spodziewała, i nie może się doczekać, by poprosił ją do tańca.

– Często bywasz w Londynie? – zapytała.

– Dobry Boże, nie – pokręcił głową. – Najrzadziej jak się da.

– Więc zazwyczaj mieszkasz w Sussex?

– Przez większość czasu. Mamy również dom w Norfolk. Niekiedy muszę tam jeździć.

– Dziwne. Uważałam cię za towarzyskiego.

– Mnie? Chyba żartujesz! – Roześmiał się w głos. – Skąd ten pomysł?

– Nie wiem.

Choć za nic by się do tego nie przyznała, czytała o nim w rozmaitych rubrykach towarzyskich. Odkąd wpadli na siebie w Ascot, wszystkie doniesienia wyraźnie składały się na obraz dość rozrywkowego młodzieńca. W jej umyśle utrwaliło się błędne wrażenie, które teraz zostało skorygowane.

Prawdę mówiąc, Charles, jak większość ludzi, chadzał na przyjęcia, kiedy był zaproszony i nie miał nic lepszego do roboty, jednak niezbyt udzielał się towarzysko, w każdym razie nie ostatnio. W swoim mniemaniu był wyłącznie właścicielem ziemskim, który pomaga ojcu zarządzać włościami i dobrami, jakie Bóg uznał za stosowne powierzyć jego opiece. Nigdy nie kwestionował swojej pozycji ani jej nie negował, ale również jej nie wykorzystywał. Gdyby kiedykolwiek zastanawiał się nad kwestią dziedziczenia i rangi, zapewne uznałby, że mu się poszczęściło. Nigdy wszakże nie powiedziałby tego głośno.

Wbrew przeświadczeniu Edith nie zabrał jej do Annabel's w ramach jakiejś strategii uwodzenia. Prawda była taka, że chociaż nie przyznawał się do tego przed sobą, lubił zabierać dziewczęta do miejsc, gdzie był znany. Kolacja zyskiwała przez to dodatkowy smaczek, jakiego nie dawała anonimowość. Teraz on z kolei zaczął ją wypytywać.

– A ty długo mieszkałaś na wsi?

– Właściwie nie. – Już mówiąc te słowa, Edith zdała sobie sprawę, że jej odpowiedź brzmi dziwacznie, ponieważ tak naprawdę nigdy, nawet przez pół godziny nie „mieszkała” na wsi. No chyba żeby uwzględnić szkołę z internatem, co oczywiście się nie liczyło. Niemniej lubiła wieś. Często bywała tam w gościnie. Towarzyszyła znajomym na polowaniach. Jeździła konno. Więc niezupełnie skłamała.

– Firma mojego ojca – uzupełniła. – No wiesz.

Charles pokiwał głową.

– Pewnie musi się często przemieszczać.

– Dość często. – Edith wzruszyła ramionami.

W rzeczywistości Kenneth Lavery przez ostatnie trzydzieści dwa lata przemieszczał się prawie wyłącznie ze stacji metra do swojego biura w City. Raz wyjechał do Nowego Jorku i raz do Rotterdamu, to wszystko. Lecz owo lekkie przesunięcie akcentów nigdy nie uległo sprostowaniu i Charles do końca był przekonany, że ojciec Edith to jakiś genialny międzynarodowy macher, nieustannie latający między Zurychem a Hongkongiem. Kreując to fałszywe wyobrażenie, Edith oceniła Charlesa prawidłowo – biznesmen cierpiący na permanentny jet lag robi mniej drobnomieszczańskie wrażenie niż stacjonarny wół roboczy, który kupuje bilet miesięczny na linię Piccadilly w kierunku północnym. Charlesowi ten obraz wyraźnie się spodobał.

Czas mijał i klub zapełniał się ludźmi.

– Charlie!

Edith uniosła wzrok i ujrzała przed sobą ładną brunetkę w obcisłej, wyszywanej cekinami sukni. Za nią szedł – albo raczej włókł się – wieloryb. Na jego garnitur musiała pójść biała wełna, krawat miał szeroki i nakrapiany. Gdy dotarli do ich stolika, Edith dostrzegła strużki potu ciekące mu zza uszu na gruby czerwony kark.

– Jane. Henry. – Charles wstał i wskazał na Edith. – Znacie Edith Lavery? To Henry i Jane Cumnorowie. – Jane szybko i machinalnie uścisnęła dłoń Edith, po czym odwróciła się do Charlesa, usiadła i nalała sobie wina.

– Umieram z pragnienia. Jak się masz? Co się z tobą stało w Ascot?

– Nic się ze mną nie stało. Byłem tam przez cały czas.

– Chciałam zaprosić cię w czwartek na lunch. No wiesz, z siostrami Weatherby. Szukaliśmy ciebie bez końca, aż wreszcie daliśmy spokój. Camilla była okrutnie rozczarowana. – Zwróciła się do Edith z półuśmiechem, pozornie dzieląc się z nią żartem. Naturalnie w rzeczywistości świadomie ją z niego wykluczała.

– No i niepotrzebnie. Mówiłem jej i Anne, że tego dnia idę na lunch

z rodzicami.

– Nie muszę mówić, że kompletnie o tym zapomniały. No cóż, to już nie ma znaczenia. À propos, powiedz mi, czy w sierpniu wybierasz się do Erica i Caroline? Przysięgali, że tak, ale uznałam, że to niepodobne do ciebie.

– Dlaczego?

Jane wzruszyła ramionami leniwym, rozfalowanym ruchem.

– Nie wiem. Wydawało mi się, że nienawidzisz upału.

– Jeszcze się nie zdecydowałam. A wy?

– Nie wiemy, prawda, kochanie? – Sięgnęła przez stół do ciężko dyszącego męża i uścisnęła jego ciastowatą dłoń. – W Royton już z niczym nie nadążamy. Odkąd Henry zajął się polityką, prawie nie bywamy w domu. Mam koszarne przecucie, że utkniemy tam na całe lato. – Znów uśmiechnęła się szerzej, żeby uwzględnić Edith.

Edith odwzajemniła uśmiech. Przyzwyczała się już do dziwacznej potrzeby klas wyższych, by wciąż demonstrować, że wszyscy znają się nawzajem i wciąż robią to samo z tymi samymi ludźmi. Być może miała przed sobą skrajny przykład mentalności izolacjonistyczno-obronnej, ale patrząc na lorda Cumnora, znanego również jako Henry Zielona Maszyna, nietrudno było dostrzec, że Jane musiała wiele poświęcić, żeby osiągnąć swoją pozycję, i nie mogła z niej zrezygnować ani na chwilę.

– Polityka bardzo pana zajmuje? – zapytała Henry’ego, który dochodził do siebie po wysiłku przejścia na drugą stronę sali.

– Tak – odparł Henry i odwrócił się do pozostałych.

Edith była skłonna trochę się nad nim uzalić, ale momentalnie dostrzegła, że on sam nie widział najmniejszego powodu, aby uzalać się nad sobą. Był całkiem zadowolony z tego, jaki był. I całkiem zadowolony, mogąc okazać, że zna Charlesa, a nie zna Edith. Jednakże Charles nie miał ochoty się przyglądać, jak Cumnorowie robią afronty dziewczynie, z którą przyszedł na kolację, i ostentacyjnie włączył ją do rozmowy.

– Odkąd Henry zasiada w Izbie Lordów, zrobił się okropnie poważny. O co teraz walczysz? O organiczne warzywa dla więźniów?

– Ha, ha – obruszył się Henry.

Jane pośpieszyła mężowi na pomoc.

– Nie bądź wstrętny. Henry zrobił bardzo wiele dla diety narodu, prawda kochanie?

– Choć najwyraźniej sam jej nie stosuje – zakpił Charles.

– Teraz się z tego śmiejesz, ale zobaczysz, jak cię dopadną, kiedy twój ojciec wyzionie ducha. Tylko czekaj – odcięła się Jane.

– Wcale nie. Laburzyści wygrają następne wybory i wszystkich dziedzicznych wyrzucą bez mrugnięcia okiem.

– Nie bądź takim pesymistą. – Jane nie chciała nawet słyszeć o tym, że światu, z którym wiązała takie nadzieje, może grozić zagłada. – A jeśli nawet, to wymyślanie nowej formuły Izby Lordów zajmie im całe lata. Na pewno nikt nie będzie się z tym śpieszyć.

Charles wstał i poprosił Edith do tańca.

Drepcząc po zatłoczonym parkiecie wśród irańskich bankierów i ich kochanek, uniosła ku niemu pytający wzrok.

– Henry jest w porządku – rzekł z uśmiechem.

– To twój przyjaciel?

– Coś w rodzaju kuzyna. Znam go od urodzenia. Boże, ależ on utył, co? Wygląda jak balon.

– Długo są małżeństwem?

Pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że cztery albo pięć lat.

– Mają dzieci?

Skrzywił usta w cierpkim grymasie.

– Dwie dziewczynki. Biedny stary Henry. Setchell każe mu pić porto, jeść ser i Bóg wie co jeszcze.

– Dlaczego?

– Żeby spłodził chłopca, rzecz jasna. Żeby miał cholernego dziedzica.

– Bo w przeciwnym razie co się stanie?

Charles zmarszczył czoło.

– Henry nie ma braci. Tytuł chyba przejdzie na jakiegoś gościa z Afryki Południowej, ale nie jestem pewny, komu przypadnie kasa, temu gościowi czy dziewczynom. No cóż, oboje z Jane są jeszcze młodzi. Przypuszczalnie mogą wciąż próbować.

– To może być kosztowne.

– Z pewnością. Nigdy nie wiadomo, jak długo to ciągnąć. Na przykład tacy Clanwilliamsowie. Odpuścili sobie dopiero po sześciu dziewczynkach, a teraz jest jeszcze gorzej.

– Czemu?

– A jak sądzisz? Nawet dziewczynki trzeba posłać do przyzwoitej szkoły.

Przez jakiś czas tańczyli w milczeniu. Charles niekiedy kłaniał się różnym znajomym. Edith z ulgą zauważyła na parkiecie dwie poznane podczas Sezonu dziewczyny, do których uśmiechnęła się promiennie. Wiedziały, kim jest jej partner, i odmachały do niej. Nie czuła się już taka niewidzialna, a kiedy wrócili do stolika, uświadomiła sobie, że zaczyna się naprawdę dobrze bawić.

Henry i Jane nie ruszyli się z miejsca. Na widok Charlesa Jane poderwała się i chwyciła go za ramię.

– Pora, żebyś zatańczył ze mną. Henry nienawidzi tańczyć. Chodźmy!

I pociągnęła Charlesa z powrotem na parkiet, zostawiając Edith ze swoim prosiakowatym mężem.

Henry uśmiechnął się półgębkiem.

– Ona zawsze to powtarza. Wcale nie nienawidzę tańczyć. Chcesz spróbować?

– Chyba że ty masz wielką ochotę. – Edith pokręciła głową. – Przepraszam, ale jestem wykończona. – Ciarki przeszły ją na myśl, że miałyby się przytulać do tej góry sadła.

Pokiwał filozoficznie głową. Najwyraźniej odmowa nie była dlań niczym nowym.

– Dobrze znasz Charliego?



– Nie. Spotkaliśmy się na wsi, a potem w Ascot, no i tak jakoś wyszło.

– Gdzie na wsi? U kogo byłaś? – Na myśl o giełdzie nazwisk wyraźnie się ożywił.

– U Eastonów. W Sussex. David i Isabel. Znasz ich? – Doskonale wiedziała, że Henry ich nie zna. Nie omyliła się.

– Charliego znam od urodzenia.

– Ja chyba nikogo nie znam od urodzenia – odpowiedziała od niechcienia Edith i roześmiała się. – Z wyjątkiem moich rodziców.

Ale Henry się nie śmiał.

– Och – powiedział.

Spróbowała ponownie.

– Kto to są Eric i Caroline?

– Caroline to jego siostra. Ją też znam od urodzenia. – Pokiwał łagodnie głową, ewidentnie zadowolony z długotrwałości tego związku. – Eric to facet, za którego niedawno wyszła.

– Rozumiem, że jego nie znasz od urodzenia.

– Nigdy go nie widziałem, dopóki się nie pobrali.

– Miły?

– Naprawdę trudno powiedzieć.

Najwyraźniej sądził, że Caroline popełniła jakąś straszliwą nieprzyzwoitość, związując się z nieznanym, jakby dopuściła się ohydneho skrzyżowania ras. Edith odniosła wrażenie, że towarzyskim nietaktem jest nawet rozmowa o intruzie.

– Gdzie leży Royton?

Tym razem na twarzy Henry'ego zamiast niesmaku odmalowało się zaskoczenie. Niewiedza Edith w tej kwestii dowodziła co najmniej pewnej ekscentryczności.

– Norfolk.

– I tam jest pięknie?

Wysiłki, by zabawić Henry'ego były zaiste orką na ugorze.

Wzruszył ramionami i rozejrzał się za butelką, aby napełnić kieliszek.

– Niektórzy tak sądzą.

Edith otworzyła usta, by znów spróbować, po czym je zamknęła. Nie po raz pierwszy uderzyło ją, jak niesłychanie tyranizują nas osoby niewyrobione towarzysko. Jak wiele sił i środków wydajemy, podtrzymując ospałą, żmudną i nudną konwersację tylko po to, by oszczędzić jakiemuś tępakowi poczucia, że jest wyprany z wdzięku i manier. Ironia polega na tym, że tacy ludzie pozostają całkowicie nieświadomi swoich wad. Nawet gdyby Henry był w stanie zauważyć, że rozmowa idzie opornie, to bez wahania winą za to obarczyłby Edith – przecież nie znała nikogo interesującego! Jednak Henry i Jane wrócili do stolika, zanim cisza stała się niezręczna, i resztę czasu zajęły im plotki o kolejnych osobach, całkowicie Edith nieznanym.

– Uroczy wieczór – powiedziała, gdy samochód zatrzymał się pod mieszkaniem jej rodziców. Charles nawet nie próbował go zaparkować; ewidentnie zdawał sobie sprawę, że wieczór nie będzie miał epilogu o charakterze seksualnym.

– Miło mi, że dobrze się bawiłaś. Szkoda, że weszli nam na głowę.

– Nie szkodzi. Podobali mi się – skłamała.

– Naprawdę? – trochę się zaniepokoił. – To się cieszę.

– Henry opowiadał mi o Royton.

Przytaknął, znów był na swoim terenie.

– Tak, na wsi są moimi sąsiadami. Właściwie stąd ich znam.

– Myślałam, że to twoi krewni.

– No, w pewnym sensie. Przez małżeństwo około 1830 roku. Ale znam ich głównie dzięki temu, że niedaleko mieszkają.

– To brzmi uroczo.

– Rzeczywiście. Nie wiem, jak ten poczciwy Henry radzi sobie z zarządzaniem, ale majątek jest śliczny. A poza tym mają kupę pieniędzy, więc to chyba bez znaczenia. – Najwyraźniej Charles uważał, że on sam jako zarządzający Broughton nie ma sobie równych.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Edith uświadomiła sobie, że pragnie, by ją

pocałował. Trochę dlatego, że chciała się upewnić, iż wieczór był udany, ale też po prostu sama miała na to ochotę. Pochylił się ku niej niezdarnie i przycisnął usta do jej ust. Jego wargi były twarde i zaciśnięte. Wyprostował się. Ach tak, pomyślała. Bardziej Philip aniżeli George. No cóż. Jednak powiedziała tylko:

– Dobranoc i jeszcze raz dziękuję. Świetnie się bawiłam.

– Dobrze – powiedział, wysiadł z auta i odprowadził ją do drzwi frontowych po drugiej stronie ulicy, lecz nie próbował jej ponownie pocałować, nie wspominał też, czy znów się spotkają.

Gwoli uczciwości należałoby dodać, że do tej chwili Edith nie bardzo zdawała sobie sprawę, czy oczekuje czegoś więcej; pragnęła po prostu potwierdzenia, że Charles uważa ją za atrakcyjną, lubi jej towarzystwo i chciałby się częściej z nią widywać. Ale teraz, wobec tak bezbarwnego finału, ogarnęło ją przemożne poczucie zawodu, straconej możliwości. Oto pojawiła się ogromna szansa, a ona ją zaprzepaściła i nie bardzo rozumiała dlaczego. Przekradając się na palcach do swojego pokoju, aby nie zbudzić matki, która leżała dwa pokoje dalej ze wzrokiem wlepionym w sufit, miała poczucie, że poniosła klęskę.

Niepotrzebnie się dręczyła. Nie знаła Charlesa i opacznie zinterpretowała jego powściągliwość. Ponieważ powszechnie uważano go za cenny łup, uznała, że on podziela tę opinię o sobie. Myliła się. Zdaniem Charlesa to on, nie Edith, ponosił odpowiedzialność za sukces tego wieczoru. Jako człowiek nieśmiały (naprawdę nieśmiały, nie tylko opryskliwy) nie bardzo umiał to wyrazić, lecz było mu bardzo przyjemnie, że Edith najwyraźniej dobrze się z nim bawiła. W istocie Charles, wkładając klucz do zamka drzwi wejściowych w mieszkaniu rodziców przy Cadogan Square, miał poczucie przyjemnie spędzonego czasu. Edith bardzo mu się spodobała, bardziej niż jakakolwiek inna zapamiętana dziewczyna. Co więcej, przez szacunek należny obłudzie w obłudnym społeczeństwie podziwiał ją za to, że udawała sympatię dla Cumnorów, chociaż przez cały czas ewidentnie – przynajmniej Jane – byli dla niej paskudni.

Londyńskie apartamenty Uckfieldów mieściły się na parterze i pierwszym

piętrze wysokiego edwardiańskiego domu z czerwonej cegły w holenderskim stylu, jakich wiele stoi przy tym ekskluzywnym, choć nieładnym placyku. Było to przyjemne mieszkanie, umeblowane z subtelnym wyczuciem równowagi między wygodą a przepychem. Matka Charlesa podpatrzyła ten styl u Johna Fowlera<sup>[16]</sup> i skutecznie go sobie przyswoiła. Obrazy, wprawdzie reprezentujące drugą ligę artystów, zostały starannie wybrane z kolekcji rodzinnej, by świadczyć o szacownym pochodzeniu, jednocześnie nie przytłaczając wnętrza. Zasłony, ozdoby, nawet stoliki i krzesła podkreślały rangę rodziny, czyniły to wszakże w sposób niezwykle powściągliwy. „Tutaj bywamy – zdawały się mówić sprzęty – ale nie tym jesteśmy”. Żaden członek rodziny, nawet Caroline, która przed ślubem mieszkała tu przez bite cztery lata, nie nazywał tego miejsca „domem”. Dom był w Broughton. „Będę w mieszkaniu w przyszłym tygodniu”, „Jadę do mieszkania”, „Może spotkamy się w mieszkaniu?” – proszę bardzo, ale „Muszę jechać do domu” mogło znaczyć jedynie, że nawet po najdłuższej londyńskiej kolacji któreś z Broughtonów jeszcze tego wieczoru zamierza wracać samochodem do Sussex. Dla takich ludzi, choćby mieli rezydencję na Chester Square i wynajmowali chatkę w Derbyshire, domem zawsze jest miejsce, wokół którego rośnie trawa. A jeśli taki azyl nie istnieje, to i tak z całym przekonaniem podkreślają, że niezbędnym warunkiem dobrego samopoczucia jest dla nich wyrwanie się z miasta, ucieczka od smogu i asfaltu, tym samym dając do zrozumienia, że choć życie mija im w murach i za biurkiem, to w głębi serca pozostali wiejskimi ludźmi. Arystokrata, który lepiej się czuje w Londynie, to rzecz rzadko spotykana – a przynajmniej rzadko spotyka się kogoś, kto się do tego przyznaje.

Charles miał własne mieszkanie, ciąg skromnych pokoiów na trzecim piętrze przy Eaton Place, ale zwykle nie zawracał sobie nim głowy. Na Cadogan Square było ładniej i wygodniej, mógł tam odbierać pocztę i zabierać ją na wieś bez zbędnego zamieszania. Niemniej – być może dlatego, że w końcu dwór Broughton był wytworem gustu wielu pokoleń – bywając w londyńskiej kwaterze matki, zawsze odczuwał presję jej osobowości. Prawdziwą londyńską siedzibą rodu był Broughton House przy St James Square, który jednak spłonął trafiony bombą podczas bitwy o Anglię, dzięki

czemu, inaczej niż wielu innym rodzinom, Broughtonom została oszczędzona bolesna decyzja, czy w imię rozsądku zrezygnować z domu w mieście. Istniało jeszcze wilgotne mieszkanie w Albert Hall Mansions, kupione przez dziadków Charlesa, lecz matka z miejsca je odrzuciła. Sama wybrała obecny apartament i urządziła go od zera, tworząc szczególne miejsce, stosowne tło dla wytwornych przyjęć oraz działalności dobroczynnej, wymagającej jej obecności w stolicy. Późny wieczór zastał Charlesa ze szklaneczką whisky zatopionego w rozmyślaniach o matce. Ładnie oprawiony szkic autorstwa Annigoniego, stojący na małym stoliku w stylu *régence*, przedstawiał siedmioletnią lady Harriet Trevane (jak za młodu nazywała się lady Uckfield) ze wstążką w narysowanych węglem włosach. Już w tym wieku jej spojrzenie – nieruchome, skupione, kocie – dało się natychmiast rozpoznać. Trzeba stawić czoło prawdzie, pomyślał Charles: Edith nie spodobałaby się jego matce. Tyle wiedział. Lady Uckfield może by ją polubiła jako żonę znajomego – oczywiście, gdyby w ogóle ją zauważyła – ale jako dziewczyna Charlesa Edith nie zostałaby zaakceptowana. A już z pewnością – gdyby kiedykolwiek do tego doszło! – nie byłaby zachęcana, by zostać następczynią lady Uckfield, a więc osobą, której matka musiałaby przekazać dom, pozycję, wręcz całe hrabstwo, nad którym trudziła się tak długo i ciężko.

Nie oznaczało to oczywiście, że Charles nie darzył swojej matki sympatią. Przeciwnie, bardzo ją kochał i był przekonany, że tak właśnie być powinno. Potrafił przejrzeć wizerunek wystudiowanej perfekcji, który prezentowała publicznie – i podobało mu się to, co dostrzegał. Lady Uckfield cieszyła się, mogąc stworzyć wrażenie, że wszystko w życiu podano jej na tacy. Nie różniąc się zbyt od reszty ludzkości, wolała jednak wzbudzać zawiść aniżeli litość i przez całe życie starała się postępować wedle zasady *keep on smiling*. Z reguły nie bywało to zbyt dotkliwe, bo własne kłopoty, podobnie jak cudze, zazwyczaj ją nudziły, ale Charles szanował tę filozofię i bardzo za nią matkę lubił. Chociaż być może nie do końca doceniał, w jakim stopniu dochowuje wierności zasadom swojej klasy społecznej, ze zdecydowaniem pokazując światu „jasną twarz”.

Wyższe sfery nie skupiają ludzi narzekających. Z reguły, jako grupa, „nie

lubią się nad tym rozwodzić”. Szybki spacer i jeden głębszy to najczęściej stosowane metody odzyskiwania równowagi, gdy ktoś zada im cios w serce lub w portfel. Tabloidy często rozpisują się o ich chłdzie, jednak tym, co wyróżnia arystokratów, jest nie tyle brak uczuć, ile niechęć do ich wyrażania. Naturalnie nie postrzegają tego jako wady, a publiczne przejawy cudzych uczuć uważają za dziwactwo. Rozpacz klasy robotniczej budzi autentyczne zdumienie – wszystkie te zanoszące się płaczem, nieprzytomne z bólu matki, niemal wnoszone do kościoła, te wdowy po żołnierzach, które łkają nad „jego ostatnim listem”. Na sam dźwięk słowa „psycholog” po wszystkich wysoko urodzonych plecach przechodzi dreszcz wstrętu. Oczywiście nie przychodzi im do głowy, że narodowe i domowe tragedie, ofiary wojenne, przypadkowe zabójstwa, karambole na M3 dają większości żałobnikom jedyną szansę na choćby przejściowy rozgłos. Po raz pierwszy w życiu mogą zaspokoić swoje nader ludzkie pragnienie sławy, publicznej afirmacji swojego nieszczęścia. Klasy wyższe nie pojmują tego pędu, gdyż go nie odczuwają. Są sławne od urodzenia.

Tak naprawdę Charles wiedział dużo tylko o jednej arenie zmagania swojej matki, a mianowicie o jej wojnie z babką, starą wdową Uckfield, która do najłatwiejszych teściowych nie należała. Mała brunetka, którą jej syn, a ojciec Charlesa, wprowadził do domu, nie zrobiła najlepszego wrażenia na tej wysokiej, kościstej, długonosej córce diuka. Stara markiza traktowała swoją synową jak królowa Maria lady Elizabeth Bowes-Lyon, więc ich związek do najcieplejszych nie należał. Nie powstrzymała jej nawet śmierć męża i aż do swojej nieopłakiwanej śmierci próbowała odwoływać zarządzenia, które synowa wydawała gospodyni, bezpośrednio dyrygować ogrodnikami i anulować zamówienia produktów spożywczych, zastępując je innymi, „bardziej odpowiednimi” artykułami.

Te próby jednak okazały się daremne; władza teściowej została złamana wskutek jedynej prawdziwej awantury, na której wspomnienie Charles zawsze się uśmiechał. Niedługo po swojej detronizacji jako kasztelanki na Broughton babka, korzystając z wyjazdu lady Uckfield do Londynu, postanowiła zaingerować w proces rozwieszania obrazów w salonie. Gdy matka Charlesa

po powrocie odkryła, że jej plan legł w gruzach, wpadła w taką wściekłość, iż po raz pierwszy i jedyny za ludzkiej pamięci po prostu, mówiąc potocznie, dostała szału. Nastąpiła pełnowymiarowa pyskówka, która w dziejach wzmiankowanego pomieszczenia z pewnością stanowiła zdarzenie wyjątkowe, przynajmniej od czasów osiemnastowiecznych raptusów i choleryków. Ku nieskończonemu zachwytowi urzeczony słuźby lady Uckfield oznajmiła teściowej, że jest niekulturalną, niewychowaną, wścibską starą suką. „Niewychowaną!?” – wrzasnęła starsza pani, którą spośród wszystkich epitetów ten jeden ugodził do żywego. „Niewychowaną!?” – powtórzyła i wymaszerowała z pałacu, przyrzekając, że jej noga nigdy więcej tu nie postanie. Matka Charlesa wiele razy powtarzała, że głęboko żałuje tego zajścia, i z ogromną ulgą przyjęła fakt, iż stara lady Uckfield, powiedziawszy swoje, w końcu jednak zaczęła wracać do Broughton przy okazji zwyczajowych świąt, niemniej cel bitwy został osiągnięty. Od tej pory domem rządziła młoda markiza – pałac, majątek oraz miasteczko nie miały co do tego żadnych złudzeń.

Z tych oraz innych powodów, prostych i skomplikowanych, Charles głęboko podziwiał swoją matkę i dyscyplinę, jaką kierowała się w życiu. Podziwiał nawet sposób, w jaki znosiła głupotę męża, nigdy o niej nie wspominając ani nie okazując zniecierpliwienia. Wiedział, że on sam, choć bystrzejszy od ojca, również nie jest zbyt inteligentny. Matka wychowywała go, nie uzmysławiając mu zbytnio jego defektów, niemniej był ich doskonale świadomy. Z tego powodu byłby szczęśliwy, mogąc ją uradować wyborem partnerki. Teoretycznie to powinno być proste. Na pewno istniała gdzieś jakaś szlachcianka ze świata, który jego matka znała i szanowała; jakaś elegancka dziewczyna (jego matka nie była zwolenniczką zaniedbanych wiejskich dziedziczek w oberwanych spódnicach i z włosami w strąkach), która umiałaby go rozbawić, przy której czułby się dumny i bezpieczny, która odmieniłaby wszystko swoim przybyciem.

Ale choć próbował co siłą, jakoś nie potrafił jej znaleźć. Owszem, różne młode kobiety bardzo się czasem starały, ale... nigdy nie było to całkiem to, o co chodziło. Możliwe, że Charles sam się do tego przyczynił, gdyż jednego

był głęboko pewien, wiarą prostą i silną jak on sam. Wierzył mianowicie, że jeśli ożeni się z miłości, a partnerka zdoła pobudzić jego umysł (jakkolwiek ograniczony, bardzo cenił pracę swojego umysłu), to czeka go życie dobre i pełne satysfakcji; jeśli jednak popełni błąd i wybierze osobę wprowadzającą „odpowiednią”, lecz niewłaściwą, to nie będzie zmiłowania. Rozwodów (przynajmniej w wypadku głowy rodu Broughtonów) nie uznawał, a zatem ożeniwszy się niefortunnie, pozostałby nieszczęśliwy aż do śmierci. Innymi słowy, Charles, w stopniu większym, niż zdawał sobie z tego sprawę, był facetem prostolinijnym i do szpiku kości moralnym. Tym bardziej zaniepokoiła go więc realna możliwość, że zacznie go pociągać kobieta, która nie będąc groteskowo nieodpowiednią – żadną królową popu ani cyrkówką na dragach – nie zdoła wszakże spełnić nadziei jego matki.

Dlatego też, gdy kilka dni później zadzwonił do Edith, aby umówić się z nią ponownie, w jego sercu gościła melancholia.



## 4

Ku mojemu rozbawieniu fakt, że Edith i Charles pokazują się razem, niebawem zaczął zwracać powszechną uwagę. Zauważyły go rubryki plotkarskie, głodne wszelkich newsów; także w „Tatlerze” i „Harpers”, wśród nudnych artykułów o tym, co ludzie *au courant* jedzą na śniadanie lub noszą w Paryżu, pojawiły się doniesienia o nowej wybrance Charlesa Broughtona. W owym czasie kult celebrytów zdążył rozkręcić się już na dobre, a ponieważ z definicji podaż celebrytów zawsze jest mniejsza niż popyt – działo się tak nawet wtedy, gdy rynek był stosunkowo mniej żarłoczny niż obecnie – żurnaliści, aby zapełnić lukę, zaczęli wyciągać z kątów jakieś modne panienki z przeszłości albo eksprezenterów telewizyjnych. Jak na ironię zwyczajność Edith znakomicie wpisywała się w ogólny klimat; ktoś dostrzegł w niej współczesnego Kopciuszka, pracującą dziewczynę z nienacka przeniesioną do krainy marzeń. Gdy to odkrycie pod tytułem *Rewelacja Lavery* zostało opisane w niedzielnym dodatku jakiejś gazety w otoczeniu kilku bardzo dużych i bardzo barwnych fotografii, lawina ruszyła. Potem już poszło z góry.

Z początku Edith bardzo drażniło, że uchodzi za osobę z awansu społecznego, stopniowo jednak, gdy pierwotny powód zainteresowania utonął w powodzi pytań o modę, wśród ceremonii wręczania nagród i zaproszeń do telewizji śniadaniowych, przebywanie w centrum uwagi bardzo jej się spodobało. Osoba, za którą uganiają się reporterzy, łatwo ulega złudzeniu – ba, wręcz nabiera przekonania – że skoro tylu ludzi interesuje się jej życiem, to owo życie musi być interesujące, toteż Edith, jak każdy, bardzo szybko dała temu wiarę. Naturalnie – co przypuszczalnie było do przewidzenia – niebawem straciła kontakt z rzeczywistością. Była sławna z tego, że jest sławna, i nic więcej. Pamiętam jej narzekania, gdy wraz z innymi celebrytami wręczała nagrodę jakiegoś tabloidu na lunchu dobroczynnym, w którym brałem

udział: ci wszyscy styliści i komentatorzy sportowi są wprost upiorni, po co, u licha, ktoś ich w ogóle zaprosił? Na moją uwagę, że w przeciwieństwie do niej nawet najpodrzedniejszy komentator sportowy zapracował na swoją sławę, Edith uśmiechnęła się, ale widziałem, że ma mi to za złe. Stanowczo za wcześnie uwierzyła w reklamę własnej osoby. To było niebezpieczne.

Wszystkie te sesje zdjęciowe i wzmianki w prasie spowodowały, że zaczęła ubierać się lepiej, a w każdym razie kosztowniej. Nie jestem pewny, jak tego dokonała, gdyż nie sądzę, żeby Charles już w tym momencie ją sponsorował. Zapewne, jak to często bywa, dogadała się z jakimś projektantem, który wypożyczał jej stroje na imprezy, jeśli istniała jakakolwiek szansa, że jej fotografia znajdzie się w gazetach. Forsę mogła też wykładać pani Lavery; jeżeli dysponowała pieniędzmi, z pewnością nie miała nic przeciwko temu.

W tym okresie rzadko widywałem się z Edith. Dzisiaj już nie pamiętam, czy wciąż jeszcze pracowała na Milner Street, ale chyba tak, bo nie należała do osób, które pochopnie z czegoś rezygnują. Jednak niewątpliwie nie miała już problemów, co ze sobą zrobić w porze lunchu. Jednak pewnego marcowego dnia, kiedy spotykała się z Charlesem od wielu miesięcy, zobaczyłem ją w The Australian. Siedziała w kącie i jadła kanapkę z tuńczykiem. Kupiłem sobie drinka i podszedłem do jej stolika.

– Cześć – powiedziałem. – Medytujesz, czy mogę się przyłączyć?

Uniosła wzrok zaskoczona.

– Siadaj. Właśnie potrzebuję kogoś takiego jak ty. – Była poważna i wyraźnie strapiona, zupełnie inna niż ta chłodna, ironiczna blondynka, do jakiej się przyzwyczałem.

– Co się dzieje?

– Przypadkiem nie wybierasz się do Eastonów w ten weekend?

– Nie. A powinienem?

– Strasznie byłoby mi na rękę, gdybyś tam pojechał.

– No, właściwie nie mam nic lepszego do roboty. Mogę zadzwonić i się wprosić. A co?

– W sobotę matka Charlesa wydaje w Broughton przyjęcie i chciałabym,

żeby jacyś moi znajomi też byli obecni. Isabel i David chyba zechcą przyjść?

– Żartujesz???

– Właśnie o to chodzi. Byłoby dobrze, gdybyś trochę ich wyciszył. Charles cię lubi.

– Charles w ogóle mnie nie zna.

– No ale przynajmniej wie, kim jesteś.

Wiedziałem, co ją dręczy. Miała dość bycia niewidzialną. Nie chciała być otoczona ludźmi, którzy odruchowo zakładali, że gdyby warto było ją poznać, to już by ją znali. Chciała mieć przy sobie przyjaciela, którego nie musiałaby Charlesowi przedstawiać.

– Przyjadę, jeśli Isabel mnie przenocuje.

Skinęła głową z wdzięcznością.

– Zaprosiłabym cię do Broughton, gdybym mogła.

– Isabel nigdy by mi tego nie wybaczyła. Zaprosiłaś ich już kiedyś?

– Nie. – Widząc moje zdziwienie, wzruszyła ramionami. – Sama nocowałam tam tylko kilka razy, a wiesz, jacy oni są...

Wiedziałem. Aż nazbyt dobrze pamiętałem błysk w oku Davida na wyścigach w Ascot.

– No więc jak ci idzie? Ciągłe czytanie o tobie w gazetach.

Oblała się rumieńcem.

– Głupio, prawda?

– I widziałem cię w porannym programie „Richard and Judy”.

– Chryste. Nie masz lepszych zajęć?

– Miałem zapalenie migdałków, a poza tym dosyć lubię Judy – odparłem. – Zawsze wygląda na zaaferowaną i szczerą. Uważam, że świetnie wypadłaś.

– Naprawdę? – Zrobiła zdumioną minę. – Moim zdaniem wyszłam na kompletną idiotkę. Zdjęcia to pół biedy, gorzej, że gadam jak kretyńka za każdym razem, gdy otworzę usta. Jestem pewna, że ściągnęli mnie tylko dlatego, że Tara Palmer-Tomkinson się na nich wypięła.

– Naprawdę?

– Nie wiem. Może coś zmyślam.

– Może nie powinnaś nic mówić.

– Charles też tak sądzi, ale to nic nie zmienia. I tak człowieka zacytują. – To oczywiście najprawdziwsza prawda.

– Stanowicie z Charlesem uroczą parę. Twoja matka musi być zachwycona.

– Wychodzi z siebie. – Edith przewróciła oczami. – Boi się, że któregoś dnia znajdzie pod prysznicem jakiegoś dupka, a to wszystko okaże się snem.

– A znajdzie?

Twarz Edith stężała i zamieniła się w maskę bardziej odpowiednią do operowej łoży w belle époque niż do Australian w porze lunchu.

– Nie sądzę.

Uniosłem brwi.

– Należy ci gratulować?

– Jeszcze nie – odrzekła stanowczo. – Ale obiecaj, że przyjdiesz w sobotę. Ósma wieczorem. Smoking.

– Zgoda. Ale sama powiesz o tym Isabel. Chcesz, żebym napisał do lady Uckfield?

– Nie, nie trzeba. Ja to załatwię. Po prostu bądź obecny.

Kiedy wieczorem zadzwoniłem do Isabel, okazało się, że Edith już z nią rozmawiała i wszystko zostało ustalone. Tak więc kilka dni później znalazłem się w salonie Eastonów, gdzie mieliśmy wypić drinka przed kolacją. David zrzedził i warczał, usiłując pokryć dygot podniecenia; oto nareszcie miał wtargnąć do twierdzy, której dotąd nie udało mu się zdobyć. Za to Isabel, która nie przejmowała się aż tak bardzo, nie bała się okazywać uczuć.

– A więc sądzisz, że ta kolacja jest z jakiejś szczególnej okazji? – Zachichotała, kiedy wszedłem.

– Nie wiem – odparłem. – A jak ty sądzisz?

David wetknął mi szklanekę w dłoń. Zawsze podawał ciepłą whisky, co mnie trochę denerwowało; przeczytał gdzieś, że dżentelmeni nie miewają lodu.

– Isabel uważa, że ogłoszą swoje zaręczyny.

Mnie oczywiście również taka myśl przyszła do głowy; tłumaczyłoby to, dlaczego Edith chciała mieć więcej osób po swojej stronie, niemniej wychowanie, jakie odebrałem w dzieciństwie, kazało mi wystrzegać się oczywistości.

– Wtedy chyba byliby zaproszeni jej rodzice?

– Może i są.

To był jakiś pomysł. Obraz Stelli Lavery idącej na górę do sypialni, gdzie znajduje rozpakowane walizki i starannie rozłożoną suknię wieczorową, sprawił, że zrobiło mi się ciepło na sercu. Każdy zasługuje na kilka chwil, kiedy życie wydaje mu się doskonałe.

– No cóż, wkrótce się dowiemy – powiedziałem.

Isabel spojrzała na zegar.

– Nie powinniśmy się zbierać?

– Jeszcze nie. Mamy mnóstwo czasu. – David mógł sobie pozwolić na przeżuwanie zdobyczy, której był już pewny. – Może jeszcze po drinku?

Jednak Isabel zwyciężyła i wyruszyliśmy z naszą pierwszą, lecz zapewne nie ostatnią (jak skrycie myśleliśmy) prywatną wizytą do Broughton Hall.

Dom sprawiał nie mniej odpychające wrażenie niż poprzednim razem, niemniej twierdza została zdobyta, więc nawet ten chłód sprawiał nam satysfakcję. Podeszliśmy do tych samych drzwi co przedtem i pociągnęliśmy za sznur dzwonka.

– Ciekawe, czy to właściwe wejście – powiedziała Isabel, lecz zanim zdążyliśmy porządnie zająć się tą kwestią, drzwi otworzyły się i kamerdyner wprowadził nas do Czerwonego Salonu. Pamiętam, że trochę się zdziwiłem, iż rodzina korzysta z pomieszczeń, które są pokazywane publiczności. Spodziewałem się, że jak zazwyczaj przy takich okazjach, podejmą nas w jakiejś modnej bawialni na pierwszym piętrze, gdzie portrety przodków przemieszane z ludwikami stoją wśród miękkich kanap krytych rypsem w kwiaty. Dowiedziałem się później, że w istocie tak robili, więc fakt, że tym razem drinki podano w Czerwonym Salonie, kolację zaś w Oficjalnej Jadalni,

powinien był z punktu wszystko nam wyjaśnić. W każdym razie, gdy wszedłem i ujrzałem panią Lavery stojącą przy kominku obok przysadzistej postaci lorda Uckfielda, natychmiast wszystkiego się domyśliłem. Edith dopięła swego, a my mieliśmy być świadkami jej triumfu.

Lady Uckfield wyszła nam na spotkanie. Była to drobna, delikatna kobieta, która w młodości musiała być bardzo ładna, na pierwszy rzut oka robiąca wrażenie skromnej, a nawet ciepłej. Notabene było to chyba najbardziej jaskrawe nieporozumienie spośród wszystkich błędnych pierwszych wrażeń w moim życiu. Gdy przemówiła, jej głos zabrzmiał lekko i dźwięcznie, z gardłową wymową przywodzącą na myśl kroniki filmowe z czasów wojny.

– To cudowne, że mogę was tu wszystkich gościć – zawołała, uśmiechając się radośnie. – Wiem, że przyjechał pan z Londynu – dodała, zwracając się do mnie. Chciała pokazać, że odrobiła pracę domową i doskonale wie, kim jesteśmy.

– Jak to miło, że zechciała nas pani zaprosić. – Znam tę grę i wiem, jakie są stosowne reakcje.

– Ależ proszę! Jesteśmy zachwyceni, że was widzimy.

Wypowiedzi lady Uckfield cechowała swego rodzaju nagłą serdeczność; podkreślała każde słowo, jakby opowiadała prywatny dowcip, zrozumiały wyłącznie dla aktualnego rozmówcy. W tej chwili sędzę, że była to najbardziej obyta towarzysko osoba, jaką zdarzyło mi się poznać. Miała zarówno zegarmistrzowskie oko do szczegółu, jak i znajomość świata właściwą wielkim kokotom. Ponadto była absolutnie pewna swego. Pamiętałem, że urodziła się jako najładniejsza córka bogatego księcia – chociaż oczywiście to niczego nie dowodzi – później zaś dowiedziałem się, że podobnie jak my wszyscy przeżyła swoją porcję kłopotów. Możliwe, że to dodało jej sił, możliwe, że w ogóle urodziła się silna – jakkolwiek było, w chwili naszego spotkania uchodziła już za kompletną i niezłomną perfekcjonistkę. Każdy wieczór, w którym zdarzyło mi się uczestniczyć na jej zaproszenie, był wyczelowany jak solniczka Celliniego. Od gatunku kartofli po ułożenie poduszek – niczego nie zostawiała przypadkowi ani cudzym decyzjom.

Oczywiście z chwilą, gdy powiedziała: „To wspaniale, że możemy powitać

przyjaciół naszej kochanej Edith”, stało się jasne, że nie darzy przyszłej synowej sympatią. Zdumiewające – jej syn chciał się ożenić z kimś, kogo nie znała, o kim nawet nie słyszała! Fantastyczne – znajomi tej dziewczyny nie byli dziećmi jej znajomych! *Au fond*<sup>[17]</sup>, jak to się stało, że Edith w ogóle weszła do jej domu? Tego rodzaju myśli, na nieszczęście dla Edith, przywiodły lady Uckfield do wniosku, że Charles został „złapany”, i choć później (dużo później) zmodyfikowała tę opinie, to jednak nigdy jej zasadniczo nie zmieniła. I prawdę mówiąc, wcale nie jestem pewien, czy nie miała racji.

Zawędrowałem z Isabel w okolice kominka.

– Dzień dobry, pani Lavery – powiedziałem i matka Edith odwróciła się ku nam, natychmiast objawiając ową fatalną, ustępliwą łaskawość, która znamionuje każdego parweniusza po osiągnięciu celu. W zetknięciu z ludźmi ongiś równymi sobie nieodmiennie dają do zrozumienia, że drabina na górę została wciągnięta i już nigdy, przenigdy nie zostanie spuszczone. Skwapliwa, snobistyczna pani Lavery zniknęła na zawsze, a na jej miejscu pojawiła się Królowa Śniegu. Było tak, jakbyśmy trafili do *Inwazji porywaczy ciał* i próbowali rozmawiać z udającym człowieka strąkiem<sup>[18]</sup>. Udała, że z trudem przypomina sobie, kim jesteśmy, po czym demonstracyjnie, niemal niechętnie przedstawiła nas lordowi Uckfieldowi.

– Świetnie, świetnie – powiedział, ściskając nam dłonie mocno i całkiem obojętnie. – Dotarliście bez większego kłopotu?

– Jedziemy zaledwie z Ringmer – wyjaśniła Isabel. – Mieszkamy tam z mężem.

– Naprawdę? – zdziwił się lord Uckfield. – Duży ruch na drodze? Ten cały cholerny tłum po prostu musi uciec z miasta, gdy tylko prognoza zapowie choć promyk słońca. Trudno wam było się wyrwać? Isabel nabrała tchu, by po raz drugi wyczerpująco wyjaśnić, że nie przyjechała z Londynu, lecz postanowiłem jej tego oszczędzić.

– Przyjechałem pociągiem – powiedziałem.

– Bardzo rozsądnie.

Obdarzył nas szerokim, jowialnym uśmiechem i odprawił skinieniem głowy.

Markiz Uckfield był człowiekiem nudnym i głupim, ale ogólnie biorąc, nieszkodliwym. Niestety, nie miał bladego pojęcia, jak nudny i głupi jest w istocie, bo zepsuło go życie w otoczeniu wazeliniarzy – tych wszystkich krewnych, pociotków i przypadkowych pieczeniarzy – którzy ludziom takim jak on dają poczucie komfortu. Wygłaszał pospolite banały, które witano niczym salomonowe mądrości, a jego nieśmieszne dowcipy z brodą wzbudzały salwy huraganowego śmiechu. Jeżeli tym, co nas kształtuje, jest doświadczenie życiowe, to czy można się dziwić, że lord Uckfield był tak bardzo nieukształtowany? Chwalono jego mądrość i rozwagę, nawet gdy tego nie słyszał, chociaż z pewnością nie dysponował ani jedną, ani drugą, gdyż jego pochlebcy naprawdę musieli uwierzyć, że posiada te zalety, w przeciwnym razie wyszliby na lizusów – do czego w modnych sferach absolutnie nie wolno dopuścić. Kiedy jakiś znajomy spoza ich kręgu wyrażał zastrzeżenia co do władz umysłowych jego lordowskiej mości, zawsze mogli odpowiedzieć: „Ach, nie mówiłbyś tak, gdybyś go lepiej poznał”, i w ten sposób przyznać sobie dodatkowe punkty – po pierwsze, za bliskie stosunki z wielkim rodem, po drugie zaś, za wielkoduszność.

Lord Uckfield nie był próżny ani nieużyty, tylko zwyczajnie leniwy; cechowało go owo fundamentalne lenistwo, które kładzie się martwym ciężarem na wszystkich stosunkach klas uprzywilejowanych ze światem zewnętrznym. Już dawno temu uznał, że podtrzymywanie stosunków z ludźmi – nawet ze swojej sfery – którzy mu nie schlebiają i nie podtrzymują jego wysokiego mniemania o sobie, wymaga odeń zbyt wiele wysiłku. Decyzja ta miała jednak charakter podświadomy, więc nadal uważał się za człowieka dobrego. Prawdę mówiąc, zawsze był dobry dla Edith. Może nie zasługiwał na uznanie, ale przecież nie był snobem, a poza tym po prostu podobało mu się, że jest taka ładna.

Dostrzegłem, że kamerdyner daje znak lady Uckfield. Skinęła głową, obrzuciła pokój profesjonalnym spojrzeniem i zwróciła się do mnie.

– Za chwilę siądziemy do kolacji – oznajmiła. – Czy zechce pan towarzyszyć lady Tenby? – Wskazała korpulentną panią po sześćdziesiątce, wciśniętą w fotel przy kominku. Bąknąłem, że chętnie to zrobię, i lady



Uckfield ruszyła na dalszy obchód, prawdopodobnie, aby udzielić ostatnich instrukcji.

Podszedłem do tłustej damy, czując, że będę musiał podźwignąć ją na nogi. Uniosła głowę i wyciągnęła do mnie upierścienioną dłoń.

– Pan mnie poprowadzi? – zapytała, a gdy przytaknąłem, zauważyła: – Google świetnie to wszystko organizuje. Powinna zarządzać siecią hoteli. Niech mi pan pomoże wstać.

Nieodmiennie wprawia mnie w konsternację pozorna swoboda przejawiająca się w infantylnej pasji klas wyższych do przezwisk. Wszyscy tu noszą dziecinne ksywki w rodzaju Toffi, Bobo albo Snook, najwyraźniej przekonani, że te zdrobnienia muszą kojarzyć się z radosną młodością, wiecznym dzieciństwem, uroczymi wspomnieniami o niani i piżamkach ogrzewanych przy kominku. W ten sposób potwierdzają swój partykularyzm, gdyż taka wspólna historia stanowi tylko kolejną możliwość podkreślenia, jak intymne jest ich grono – przezwiska, wykluczające późniejszych przybyszów, skutecznie odgradzają ich od świata. W tych kręgach nie używa się prawdziwych imion, bo to niechybny znak, że się kogoś nie zna, co stawia nowo przybyłych w sytuacji bez wyjścia. Jak właściwie ma zachować się człowiek, który poznał już rozmówcę zbyt dobrze, żeby zwracać się do niego per „milordzie”, lecz nie tak blisko, by mówić doń „Serdelku”? Naturalny rozwój przyjaznej poufałości napotykaną w innych klasach społecznych tutaj ulega zahamowaniu i atrofii.

Zapowiedziano kolację; moja towarzyszka podniosła się z wysiłkiem i wsparła o mnie całym ciężarem. Zrozumiałem, że przynajmniej tym razem prowadzenie kobiety pod rękę do jadalni to nie tylko świadome nawiązanie do edwardiańskiej tradycji, lecz zabieg absolutnie niezbędny. Widząc na czele procesji lady Uckfield, wesoło trajkoczącą do Kennetha Lavery’ego, który wciąż robił wrażenie ogłuszonego, wspomniałem pochod naszych czołowych polityków, którzy parami zmierzają na swoje miejsca w Izbie Lordów, aby wysłuchać przemówienia królowej. Ministrowie torysów w podobnie frenetyczny sposób tokują do swoich kolegów socjalistów, którzy też mają zawsze ponure i odęte miny.

W drugiej parze szła Edith pod rękę z lordem Uckfieldem, ubrana w czarną aksamitną suknię z dużym dekoltem i obcisłymi długimi rękawami. Nie miała biżuterii i wyglądała pięknie, trochę *triste*<sup>[19]</sup>, niczym Julia w żałobie. Przymuszczała, że zbyt radosny wygląd będzie w złym guście.

Lady Tenby zauważyła moje spojrzenie.

– Bardzo ładna. Nie ma kwestii. Ale kto to, u licha, jest?

Zerknąłem na nią z uśmiechem.

– To moja dobra przyjaciółka – odparłem.

– Ups – odrzekła; dalej szliśmy w milczeniu.

Dowiedziałem się później, że owdowiała hrabina Tenby samotnie wychowywała cztery córki i jako daleka kuzynka lady Uckfield nie porzuciła nadziei, iż Charles poślubi jedną z nich. Nie była to ambicja wygórowana: panny były miłe, miały ładne buzie i prawdopodobnie każda z nich mogłaby go uszczęśliwić. Ostatecznie tylko najstarsza z dziewcząt dobrze wyszła za mąż (za młodszego syna jakiegoś szlachciury), dwie poślubiły zwykłych karierowiczów, a czwarta, najładniejsza, wyjechała do Kalifornii, gdzie związała się z założycielem dość złowieszczej sekty. Rzecz w tym, iż lady Tenby nie była kobietą wredną ani nierozumną. Poświęciła swoim córkom wiele lat pracy, niewiele na tym skorzystała, a teraz, tego wieczoru, zaproszono ją, by świętowała triumf intruzki! Nieznajomej, która zakradła się do zagrody pod osłoną nocy i porwała najtłustszą owcę! Oczywiście, że zamierzała się uśmiechać, gratulować i całować, jednak jestem pewny, że wróciwszy do domu, oznajmiła, że Google i Tigger zachowywali się wspaniale, po prostu nikt by się nie domyślił, jak się zawiedli, a ostatecznie dziewczyna jest bardzo ładna i wygląda na to, że lubi Charlesa. A Edith już po wsze czasy miała nosić piętno outsiderki, której się udało.

Kolacja, ku memu zaskoczeniu, okazała się przepyszna. Spodziewałem się zwykłego rustykalnego pożywienia serwowanego w domach pokolenia moich rodziców, które kojarzy się bardziej ze szkolną stołówką aniżeli z kuchnią najwyższych sfer, ale wówczas nie zdążyłem jeszcze poznać dbałości lady Uckfield o szczegóły. Po mojej lewej ręce siedziała lady Tenby, z którą przy zupie odbyłem jedną z owych przygnębiających rozmów typu to-pan-jest-

aktorem-w-czym-to-ja-pana-widziałam, lecz gdy uprzątnięto talerze i zwróciłem się do sąsiadki po prawej, odkryłem, że mam przed sobą intrygującą, dość cierpką kobietę mniej więcej w moim wieku, która przedstawiła się jako Caroline, siostra Charlesa.

– Więc jest pan dawnym znajomym Edith? – zapytała.

– Nie wiem, czy dawnym – odparłem. – Znam ją około półtora roku.

– To dłużej niż my – zaśmiała się krótko.

– I polubicie ją? Jak pani sądzi?

– Nie wiem – rzekła Caroline, patrząc przez stół na Edith, pogrążoną w łagodnym flircie z przyszłym teściem. – Ja rzeczywiście chyba mogłabym ją polubić. Ale czy ona polubi Charlesa? Oto jest pytanie.

W samej rzeczy, oto było pytanie. Podążyłem za jej spojrzeniem w stronę Charlesa, który marszcząc swoją przyciężką, pocziwą twarz, głowił się nad jakimś intelektualnym problemem – prawdopodobnie błahym – postawionym przez sąsiadkę przy stole. Ciekaw byłem, czy Edith naprawdę uzmysławia sobie jego tępotę. Oraz, skoro już o tym mowa, to, jak smętnie bywa na wsi.

Caroline czytała mi w myślach.

– Tu bywa okropnie ponuro, wie pan. Edith jest na to przygotowana, jak przypuszczam? Przez całe lato wystawy kwiatów, a w zimie zamarzają rury. Ona poluje?

– Jeździ konno, więc pewnie zacznie.

– To i tak nie ma większego znaczenia. Za chwilę i tego nam zakażą.

– Może jest przeciwniczką polowań. W dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo.

– Och, wątpię, żeby Edith potępiała łowy – odparła ostrożnie Caroline. – Mnie się wydaje dość mięsożerna.

– A pani? Czy pani poluje?

– O Boże, nie! Nienawidzę wsi. Nie chodzę nawet do Hyde Parku, jeśli mogę tego uniknąć.

– A co robi pani mąż? Czy to zbyt prostackie pytanie?

– Owszem. Ale i tak odpowiem. Zajmuje się głównie reklamą, ale organizuje również imprezy dobroczynne.

Często myślę, jakie proste było życie sto lat temu, kiedy wszyscy znajomi mężczyźni byli ziemianami albo służyli w wojsku, w marynarce lub w kościele. Te osobliwe zajęcia, o których człowiek codziennie słyszy i których istnienia nawet nie podejrzewał, wytrącają mnie z równowagi. Headhunting, transakcje terminowe, zarządzanie kredytami, zasoby ludzkie – to wszystko brzmi, jakby ludzie usiłowali ukryć, co naprawdę robią. I zapewne często tak jest.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Wspiera jakieś konkretne cele? – zapytałem w końcu.

– Skąd pan zna Edith? – odparła pytaniem Caroline, podobnie jak ja, niezainteresowana działalnością swojego męża. Opowiedziałem o znajomości z Eastonami.

– Właśnie się zastanawiałam, co oni tu robią. Dziwne, że nie poznaliśmy ich dotąd, skoro mieszkają tak blisko.

Dobrze, pomyślałem, że David siedzi za daleko, aby to usłyszeć, i przeszliśmy na ogólniejsze tematy. Wkrótce stało się jasne, że lady Caroline Chase jest jedną z owych zbuntowanych dziedziczek, które odrzucając styl życia, przekonania, wybór partnera i adresu, wynikające z ich pochodzenia, jednocześnie zachowały swoje snobistyczne uprzedzenia w absolutnie nieskazanym stanie. Była dość sympatyczna, niemniej zachowywała się równie arogancko jak jej matka, z tą tylko różnicą, że nie roztaczała wokół siebie aury moralnej wyższości. Dla lady Uckfield pozycja społeczna była dogmatem wiary, dla jej córki – jedynie faktem.

Posiłek dobiegał końca. Podano deser – jakiś rodzaj szarlotki – a potem sery, lecz gdy już się spodziewałem, że pani domu wyjdzie, zabierając ze sobą damy i porzucając panów na pastwę porto i przyciężkawej dyskusji politycznej, z przyjemnością ujrzałem, że jeden z wielu stojących przede mną kieliszków napełnia się szampanem. A więc wielka chwila nadeszła.

Lord Uckfield wstał.

– Zapewne wszyscy wiemy, dlaczego tu dzisiaj jesteśmy.

Zapewne wiedzieli o tym wszyscy, aczkolwiek ten czy ów zrobił zaskoczoną minę. Zdziwił się nawet Kenneth Lavery siedzący obok lady Uckfield.

– Chcemy powitać w naszej rodzinie osobę niezwykle czarującą.

Spojrzałem na panią Lavery, wręcz skamieniałą z zachwytu po prawicy lorda Uckfielda. Na ten jeden wieczór reguły precedencji wyraźnie zostały zawieszane; nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek później widział ją zajmującą tak korzystne miejsce.

– Wypijmy za Edith i Charlesa!

Wszyscy wstali pośród zgrzytu krzeseł i głośnego sapania lady Tenby.

– Za Edith i Charlesa! – zagrział ogólny toast.

Wypiliśmy i usiedliśmy. Biedny Charles, szkarłatny na twarzy, wstał i wydusił z siebie nienaturalnym basem:

– Właściwie nie mam nic do powiedzenia. Oprócz tego, że uważam się za wielkiego szczęściarza.

– Tak jest! Prawda!

Stół rozbrzmiewał stłumionymi grzecznościami. Patrzyłem na Edith, która wpatrywała się w Charlesa z wyrazem niewinnej, otwartej adoracji, przywodzącej na myśl minę Elizabeth Taylor w filmie *Wielka nagroda*, w chwili, gdy bohaterka dostaje w prezencie konia. Nie wiem, czy czegoś ją nauczyła lekcja, której przed czterema laty udzieliła jej oblubienica byłego narzeczonego; może za pomocą tej miny chciała uśmierzyć wszelką krytykę, a może naprawdę uwielbiała Charlesa, przynajmniej w tej chwili. Zapewne wszystko po trochu. Odwróciłem głowę i zobaczyłem lady Uckfield spoglądającą na mnie badawczo z delikatnym, wspaniale skonstruowanym uśmiechem na ładnej kociej twarzyczce. Widząc moje spojrzenie, leciutko uniosła brwi, po czym wstała, ponownie podrywając zebranych na nogi. Nie jestem pewien, co miało wyrażać jej nieme pytanie.

Caroline prawdopodobnie mówiła w imieniu wszystkich (a z pewnością w moim), gdy mruknęła półgłosem:

– No, dopięła swego. Mam tylko nadzieję, że wie, w co się pakuje.

## 5

Nieczęsto zdarza mi się uczestniczyć w uroczystościach, które choćby z grubsza dałoby się określić jako Wielkie Wydarzenia Towarzyskie – a w każdym razie nie w takich, które budziłyby powszechną ciekawość. Jednak gdy Edith, która zyskała już status pomniejszej bohaterki tabloidów, zdołała wreszcie złowić swoją grubą rybę, żurnaliści, którzy ją lansowali, aż nazbyt skwapliwie rzucili się na zdobycz. Oni uczynili z niej news, a ona ich nie zawiodła. Ku ogromnej ucieście lady Uckfield nastąpiły więc intratne propozycje od redakcji „Hello!” i „OK!”, pragnących uzyskać wyłączność na relację ze ślubu, i chociaż naturalnie oferty zostały odrzucone, to zainteresowanie utrzymywało się na niebywale wysokim poziomie. Mam wrażenie, że pani Lavery z początku nie całkiem pojmowała, dlaczego nie dopuszczono kolorowych czasopism. Podejrzewam, że spodobała się jej wizja Edith i Charlesa w wianuszkach szlachetnie urodzonych krewnych upowszechniona na jaskrawej okładce z czerwonym nagłówkiem, lecz kiedy napomknęła o tym lady Uckfield, ta zmiażdżyła ją, mówiąc do Edith:

– Ależ twoja matka ma perwersyjne poczucie humoru! Przez chwilę naprawdę dałam się nabrać!

Oczywiście pani Lavery zaniósł się perlistym śmiechem – cóż to za pomysł! Lady Uckfield chyba nie potraktowała tego serio! – i nigdy więcej o tym nie wspomniała. Tak czy inaczej, z rozmaitych powodów poczułem się zaciekawiony, jak również mile połączony, gdy Charles, w liściku skreślonym uroczym, okrągłym charakterem pisma, poprosił mnie, bym został jednym z mistrzów ceremonii na uroczystości, która – przynajmniej zdaniem prasy – zanosila się na Ślub Roku.

Aktorowi trudno jest zobowiązać się do czegoś awansem, zwłaszcza gdy chodzi o życie towarzyskie, albowiem niepisana reguła teatru głosi, że jeśli

cokolwiek oprócz pracy ma dla nas znaczenie, to zapewne brakuje nam talentu. Ja również rzuciłbym absolutnie wszystko dla propozycji zagrania głównej roli w *Ben Hurze*, jednak w tej sytuacji stanowczo postanowiłem wziąć udział w Apoteozie Edith.

Tego samego ranka zadzwoniła do mnie Isabel.

– Podobno zostałeś mistrzem ceremonii – powiedziała. – A David nie. – Odparłem, jak należało, że to faktycznie trochę przykre.

– Cóż, przyznaję, że istotnie trochę mu przykro – ciągnęła Isabel. – Strasznie się na mnie dąsa, co bardzo mi przeszkadza, zwłaszcza że nie mogę na to nic poradzić.

Przyznałem, że rzeczywiście nie da się nic na to poradzić, zaznaczyłem jednak, że w końcu jestem jedynym przyjacielem Edith, którego Charles zdążył wcześniej poznać.

– Wiem, mówiłam Davidowi, ale wiesz, jaki on jest.

– A ty?

– To znaczy?

– Masz jakąkolwiek funkcję? Pomyślałem, że Alice mogłaby być druzną albo czymś w tym rodzaju. – Alice była najstarszą córką Eastonów, brzydką i tyczkowatą, ale bardzo sympatyczną.

– Nie. – Głos Isabel ociekał rozczarowaniem. – Edith próbowała mnie wkręcić, ale były całe stada chętnych, więc w końcu zdecydowali się na małe dziewczynki. Właściwie tak jest znacznie milej – mruknęła ponuro. Ale jeszcze nie skończyła. – Myślałam o wieczorze kawalerskim Charlesa.

– Tak? A co?

– Będzie coś urządzał?

– Nie wiem. Chyba tak.

– Ale ciebie nie zaprosił?

– Nie. A powinien?

– No, bo David się zastanawia, czy nie powinniście mu czegoś we dwóch zorganizować... – Urwała.



– Daj spokój! Przecież my właściwie go nie znamy. Co wam strzeliło do głowy?

– Pewnie masz rację. – Ciekawe, pomyślałem, czy David stoi obok niej. – Ale może daj nam znać, jeśli cię zaproszą.

Ledwie maskowany niepokój Davida robił się wręcz kłopotliwy. Uczynił życiową profesję z napomknien i aluzji do znajomości z Charlesem Broughtonem, więc fakt, że został publicznie wykluczony z jego najbliższego kręgu, był dlań hańbą nie do zniesienia.

– Dobrze – odparłem. – Ale z pewnością do tego nie dojdzie.

Niemniej miesiąc później, tydzień przed ślubem, jednak do tego doszło; Charles wybierał się do Paryża z dwunastoosobową grupą panów, którzy mieli zjeść z nim kolację i przenocować w Ritzu. Nie jestem pewny, dlaczego znalazłem się wśród zaproszonych – zapewne ktoś zrezygnował – w każdym razie trzy dni przed imprezą kurier na rowerze doręczył mi bilet na samolot odlatujący z lotniska w City, informując, żebym po prostu zaczekał w mieszkaniu, aż ktoś po mnie pojedzie o wyznaczonej godzinie.

Postanowiłem nie dzwonić do Isabel, tylko od razu porozmawiać z Edith.

– Zaproszono mnie na wieczór kawalerski Charlesa.

– Wiem. To jego pomysł. Będzie świetnie, nie sądzisz? Uwielbiam paryski Ritz.

– Przypuszczalnie David nie jedzie?

– Nie. Imprezę organizują Henry Cumnor i stryj Charlesa, Peter, więc nie dało się zaprosić wszystkich.

– Będę musiał powiedzieć o tym Davidowi.

– Już powiadomiłam Isabel. – Edith urwała. – Prawdę mówiąc, oni zrobili się naprawdę uciążliwi. Lubię Isabel, ale wciąż chcą być moimi „najlepszymi przyjaciółmi”. Czuję się jak bohaterka książki Angeli Brazil. W końcu ja sama nie znam Davida zbyt dobrze, a Charles widział go ledwie dwa razy.

– Moja droga – mądrze pokiwałem głową – to dopiero początek.

W sobotę o trzeciej po południu do drzwi mojego mieszkania w suterenie zadzwonił szofer ubrany w uniform i czapkę z daszkiem; chwycił spakowaną

walizkę i ruszył z nią do samochodu. Była zupełnie nowa – sprawiłem ją sobie na cześć świetnego towarzystwa, w jakim miałem się obracać – więc tym bardziej się rozczłóściłem, gdy szofer zaczepił kantem o schodki, na skutek czego od walizki odpadła rączka. W efekcie, mimo ekstrawaganckiego wydatku, przez całą podróż czułem się jak obdartus. *Sic transit gloria mundi*, albo raczej *sic transit gloria transit*<sup>[20]</sup>.

W samochodzie zastałem Henry’ego Cumnora, którego korpulentne ciało, okryte ogromną płachtą koszuli od Turnbulla i Assera, rozlewało się tłustymi fałdami na tylnym siedzeniu, zostawiając zaledwie wąski pasek wolnego miejsca. Wcisnąłem się obok niego, czując się jak Carrie Fisher obok Jabby Hutta. Znałem Henry’ego przelotnie, gdyż zrzędzeniem losu, choć w innych rocznikach, chodziliśmy do tej samej szkoły, co poniekąd chroniło mnie trochę – ale tylko trochę – przed jego ekskluzywizmem. W każdym razie wiedziałem, czego się spodziewać, bo Edith całkiem zabawnie opowiedziała mi historię „pierwszej randki” z Charlesem.

Przy kierowcy siedział pasażer, który został mi zdawkowo przedstawiony jako Tommy Wainwright i w którym rozpoznałem wschodzącą gwiazdę parlamentu – jeśli w ogóle dzisiaj o jakimś torysie można powiedzieć, że wschodzi. O ile pamiętałem z jego życiorysu zamieszczonego przez jeden z owych kolorowych dodatków, jakie ukochały sobie niedzielne gazety, Wainwright, jako młodszy syn arystokraty z okolic Londynu, stanowił dość zdumiewający dodatek do grona faworytów pani Thatcher, która na ogół nie sprzyjała arystokracji. Był to wysoki, niemal tyczkowaty mężczyzna o sympatycznej, okrągłej twarzy i rzednących włosach, przez co wyglądał jak zadatek na starego ramola, aczkolwiek, jak odkryłem później, wcale taki nie był. Odwrócił się i z uśmiechem podał mi rękę, natychmiast wygrywając z Henrym w konkurencji grzeczności z przewagą co najmniej trzech punktów.

Rozmowa w drodze na lotnisko dotyczyła polityki, a w jej trakcie bardzo rozbawił mnie kontrast między moimi towarzyszami. Tommy podał kilka powodów, dla których, jego zdaniem, konserwatyści „popłynęli”. Mówił rozsądnie i jego tezy zasługiwały na dyskusję, jednak Cumnor odpowiedział mu stekiem idiotyzmów, przestarzałych i aroganckich, zapewne bezrefleksyjnie

przejętych (podobnie zresztą jak garderoba) od jego zmarłego ojca. Poczułem, że powinienem się włączyć, zauważyłem więc, że torysi najwyraźniej nie wykazują zbyt wiele wyobraźni w swoim stosunku do sztuki.

Cumnor obrócił się do mnie całą swoją masą.

– Mój drogi, ile osób uprawia to, co nazywasz „sztuką”? My tu nie mówimy o tysiącach ludzi, lecz o setkach tysięcy, może nawet o milionach. Wiesz, ilu członków ma Związek Robotników Transportu? Prawda jest taka, że ta twoja „sztuka” nie ma najmniejszego znaczenia, czy to ci się podoba czy nie.

I ponownie się rozsiadł, niezwykle zadowolony ze swojego zdania.

– Czerdzieści milionów ludzi co wieczór włącza telewizor, żeby ktoś im powiedział, co myślą – powiedział Tommy. – Czy naprawdę istnieje coś, co miałoby większe znaczenie?

Żadnego z nas ta sprawa szczególnie nie obchodziła, widziałem jednak, że Henry jest zły, iż Tommy stanął po mojej stronie, ewidentnie bowiem podzielał przekonanie mniej inteligentnych członków swojej klasy, że na każdy temat, od porto do eutanazji, istnieje tylko jeden „zdrowy” pogląd i wystarczy go wygłosić, żeby unicestwić wszelki opór – który, jako że zwracają się do podobnie myślących, z reguły nie jest zbyt duży. Odmawiając udziału w tej grze, Tommy Wainwright ryzykował pojawienie się w ospałym mózgu Henry’ego podejrzenia, że odkąd on, Tommy, poważnie zajął się polityką, przestał być „skończonym dżentelmenem”. W tych sferach jest to zwyczajowa reakcja na wszelką oryginalność myśli.

Na lotnisku, po przejściu stosownych procedur, zostaliśmy skierowani do małej salki odlotów, gdzie dołączyliśmy do innych uczestników wyprawy. Dostrzegłem lorda Petera Broughtona, brata przyrodniego lorda Uckfielda, znacznie odeń młodszego, oraz Erica Chase’a, męża Caroline, którego spotkałem przelotnie na przyjęciu zaręczynowym. Chase stanowił dziwny dodatek do klanu Broughtonów, albowiem był niemal modelowym japiszonem. Co w tym wypadku oznaczało, że był to gładki i wiecznie wściekły menadżer, który bez przerwy powtarzał kapitalistyczne komunały i czynił aluzje do swojego członkostwa w klubie Brooks. Jeśli w ogóle czymś się wyróżniał, to przede wszystkim patologicznym chamstwem, dzięki któremu wydawał się

mniej żałosny, ale za to bardziej nieznośny, chociaż, rzecz osobliwa, również bardzo atrakcyjny dla pań. Nie mam pojęcia, dlaczego w kontaktach z płcią przeciwną (w odróżnieniu od własnej) odnosił takie sukcesy. Chyba uchodził za przystojnego na swój gładki, przejezdny sposób, a zadowolenie ze swojego wyglądu zewnętrznego (jak również, przypuszczalnie, oszałamiającego małżeństwa) podkreślał, nieustannie zmieniając garnitury, wszystkie uszyte z ekskluzywnej wełny czesankowej i tweedu. Później się dowiedziałem, że jego ojciec był jakimś kierownikiem w kolejach brytyjskich. Stanowili z Caroline osobliwą parę, gdyż politycznie i filozoficznie dzieliły ich całe mile. W gruncie rzeczy, żeniąc się z nią, Eric wykonał krok na prawo, a ona wychodząc za niego, zrobiła krok w lewo. Jednakże nawet tego o sobie nie wiedzieli, bo rzadko ze sobą rozmawiali, kiedy zostawali sam na sam. Bardzo możliwe, że wiele par małżeńskich dopiero po dziesięciu lub dwudziestu latach odkrywa, jak wiele ich dzieli w życiowo fundamentalnych sprawach.

Charles podszedł do mnie z kieliszkiem szampana i ciepłym uśmiechem na ustach. Być może ze względu na Edith, a może i na mnie samego, wyraźnie nie chciał, bym czuł się wykluczony; ostatecznie wszyscy pozostali (z wyjątkiem Chase'a) kiedyś bawili się ze sobą w pokojach dziecińczych i mogli, jak się obawiał, niegrzecznie potraktować nieznanego sobie aktora. Wzruszyły mnie jego wysiłki, ale niepotrzebnie się martwił. Nie zawsze byłem aktorem. Nie tylko chodziłem do szkoły z Cumnozem, ale wśród pozostałych rozpoznałem towarzysza zabaw z podstawówki, znajomego z londyńskiego Sezonu oraz kolegę z Cambridge. Wiedziałem również, że lord Peter był kiedyś zaręczony z kuzynką mojej szwagierki, więc nie oczekiwałem większych kłopotów. Oto świat, który nadal istnieje w sześćdziesięciomilionowym kraju sto lat po tym, jak socjaliści pierwszy raz objęli władzę.

Chcąc mnie dodatkowo wyróżnić, w małym samolocie wycarterowanym na tę okazję Charles zajął miejsce obok mnie. Nonszalancki kelner przyniósł nam więcej szampana i twarde bliny z odrobiną kawioru, po czym rozsiedliśmy się wygodnie.

– Bardzo to wszystko przyjemne – powiedziałem.

– Cieszę się, że mogłeś przyjechać.

– Ja również.

– To ty nas sobie przedstawiłeś.

Roześmiałem się.

– Dopiero czas pokaże, czy należy mnie za to pochwalić czy zganić.

Charles nie miał nastroju do żartów.

– Och, pochwalić. Z pewnością pochwalić. – Zawahał się. – Wiesz, Edith uważa, że jesteś strasznie inteligentny.

– To mi bardzo pochlebia.

Wpatrzył się w swój kieliszek.

– Oczywiście ona jest taka bystra. Na pewno to widzisz.

Nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek się nad tym dłużej zastanawiał. Oczywiście Edith nie była żadną Gertrude Stein, a jej wyobrażenie o życiu intelektualnym sprowadzało się do lektury ostatniej powieści Johna Mortimera. Niemniej była dość zabawna, a doświadczenie mnie uczy, że ludzie zabawni rzadko bywają głupi.

– Zawsze miło mi ją widzieć, co zapewne na jedno wychodzi.

Uśmiechnął się cierpko.

– No cóż, mam nadzieję, że jej będzie zawsze miło widzieć mnie. – Mruknąłem coś uspokajająco, ale nie potrafił tego tak zostawić. Odetchnął głęboko. – Mam nadzieję, że okażę się jej wart.

Z trudem powstrzymałem się od uśmiechu, słysząc te kwestie w stylu Fredericka Lonsdale'a<sup>[21]</sup>. Jak na początek wieczoru kawalerskiego Charles dawał wyraz uczuciom dość przyziernym, niemniej płynęły one z głębi serca. Będąc typowym przedstawicielem swojej klasy, miał bardzo ograniczony repertuar sposobów wyrażania emocji i chcąc opisać miłość, nienawiść bądź inne uczucie nieujęte w regułach Jockey Clubu, nieodmiennie musiał uciekać się do filmowych klisz. Powiedziałem, że jest jej jak najbardziej godny, że Edith ma wielkie szczęście, że to dla niej zaszczyt i tak dalej, i tak dalej. Zazwyczaj daję sobie radę w takich sprawach, ale tu nie trafiłem, bo Charles przerwał mój pełen otuchy monolog:

– Po prostu mam nadzieję, że okażę się dla niej dostatecznie inteligentny. Nie chcę, żeby się mną znudziła.

Zaśmiał się i uniósł nieco brwi, udając, że żartuje, ale widziałem, że mówi całkiem serio – i wiedziałem, że ma trochę racji. Edith nie była Einsteinem, ale przemknęło mi już przez myśl, że nadejdzie czas, gdy chodzenie na wyścigi z kupą dobrze ubranych ludzi gładzących o niczym przestanie jej wystarczać. Nie miałem jednak nic pokrzepiającego do powiedzenia; przecież nie mogłem go pochwalić za przenikliwość.

– Charles – powiedziałem – jeśli w ogóle coś mnie peszy, to skromność, więc na dzisiaj z nią skończmy, dobrze?

Roześmiał się znowu i chwila prawdy minęła.

Kocham Paryż. Są miasta, w których można się dobrze bawić, wyłącznie korzystając z pomocy ich mieszkańców, oraz inne, gdzie zabawa jest dostępna dla wszystkich. Paryż należy do tych drugich – i bardzo dobrze, zważywszy na dawkę pomocy, jakiej zazwyczaj udzielają przybyszom paryżanie. Mojej matce, słabo władającej językami, bardzo zależało, aby oszczędzić swoim dzieciom cierpień, które sama musiała znosić, z uśmiechem potakując żonom francuskich dyplomatów podczas występów w żywych obrazach międzynarodowej dobrej woli. W związku z tym mieliśmy zepsute niejedne wakacje, wysyłani jako nastolatki do jakichś rodzin we francuskim interiorze, gdzie – upewniała się o tym bezlitośnie – nikt nie mówił ani słowa po angielsku. Dzięki tym iście drakońskim metodom oboje z siostrą mówimy znośnie po francusku, co oczywiście zwiększa naszą przyjemność z odwiedzania pięknej stolicy Francji.

Nigdy dotąd nie mieszkałem w paryskim Ritzu, chociaż raz byłem tam na wspaniałym przyjęciu wydanym z okazji ślubu przedstawicieli dwóch świetnych rodów z Faubourg St Germain. To wielki hotel, w tym sensie, że bardziej niż do naszych ekspresowych czasów należy on do minionej epoki, kiedy to skryte za woalką piękności czekały przed wyruszeniem na Riwierę, aż pokojówki sprawdzą dwadzieścia sztuk ich bagażu. Czerwony, biały i złoty pałac, pełen przepychu, a w dodatku ładny, jest całkiem inny niż jego nowoczesne klony z Park Lane, wystrojone niczym megalon fryzjerski

z Maida Vale. Niezwykłe się cieszyłem, że tu jestem, zwłaszcza że to nie ja płaciłem; mojego entuzjazmu nie zdołały zgasić nawet wzgardliwe spojrzenia, jakimi personel obrzucił moją zniszczoną walizkę.

Zebraliśmy się w barze, wyelegantowani w naszych smokingach, i w lekko rozpacziwym stylu typowym dla Anglików, którzy pragną „dobrze się bawić”, serio wzięliśmy się do szampana. Zapytałem Tommy’ego Wainwrighta, czy wie, jakie są plany na wieczór.

Wzruszył ramionami.

– Wyobrażam sobie, że zjemy tutaj kolację, a potem przeniesiemy się do jakiegoś żenującego lokalu na Lewym Brzegu. Chyba tak się zwykle robi?

– Pewnie tak. Długo znasz Charlesa?

– Byliśmy razem w Eton. Potem jako dwudziestolatek przez jakiś czas chodziłem z Caroline, więc to jakby ponowne spotkanie. A ty?

– Ja prawie go nie znam. Czuję się tutaj trochę jak oszust. Chodzi o to, że poznałem go z Edith, więc chyba w pewnym stopniu ją reprezentuję. Żeby dopilnować, by nikt go nie zniechęcił do całego pomysłu.

– A więc jesteś znajomym Edith – rzekł z uśmiechem Wainwright. – Ciekawe. Ledwie ją znam, ale muszę powiedzieć, że to prawdziwa piękność. Z drugiej strony taka sztuka nie udałaby się żadnej innej.

– Podejrzewam, że ogłoszenie zaręczyn przytarło nosa kilku osobom.

Tommy wybuchnął śmiechem.

– W rzeczy samej. Myślę, że najbardziej rozdrażniło ich to, że nikt jej nie znał. Albo przynajmniej nikt z osób mi znanych. Jakby jakiś outsider wygrał derby. W pewnym momencie zaczęto o niej mówić jak o skrzyżowaniu Elizy Doolittle i Rebeki<sup>[22]</sup>. – Doskonale umiałem to sobie wyobrazić. – Znam ją bardzo słabo, ale jestem pewny, że świetnie sobie poradzi. Naprawdę go wzięło. – Wskazał Charlesa ruchem głowy. – Urocze. Z przyjemnością na to patrzę.

Wieczór był nadzwyczaj ciepły i kierownik restauracji kazał wynieść stoliki z jadalni na mały hotelowy dziedzińczyk. Ciepły kamień, starannie rzeźbiony pod wrażliwym okiem Césara Ritza, oraz chłodny plusk niewielkiej fontanny

w zapadającym zmierzchu pogłębiały mój zrodzony z połączenia piękna i luksusu nastrój błogostanu, któremu bez względu na filozofię życiową nigdy nie należy się opierać – bo Bóg mi świadkiem, że zdarza się bardzo rzadko. Wokół nas siedziały eurowytworne pary i lśniące od klejnotów panie, jedna z pudlem poszczekującym leniwie i bez celu. Z upodobaniem spoglądałem na tych zamożnych ludzi oddających się swoim niekontrowersyjnym uciechom. Niestety, nic nie jest doskonałe, gdyż posadzono mnie obok Erica Chase'a, który z miejsca postanowił zrobić, co się da, żeby zepsuć atmosferę.

– Przynieś nam jeszcze butelkę – warknął opryskliwie na kelnera. – I spróbuj tym razem dopilnować temperatury. – Odwrócił się do mnie: – Spotkaliśmy się u moich teściów, tak? – Przytaknąłem. – Przyszedłeś z tymi okropnymi znajomymi Edith. – Znów przytaknąłem; z pewnością nie zamierzałem psuć sobie wieczoru z powodu Isabel i Davida. Ale Eric, jak każdy cham, nie dał się spacyfikować. – Skąd, u licha, ona ich wytrzasnęła?

– Nie mam pojęcia. Znam ich, bo przyjaźnimy się z Isabel od dziecka.

– Biedaku. Chcesz trochę? – Nie czekając, chlapnął mi wina do kieliszka. – No, obawiam się, że nasza mała Edith będzie się musiała trochę ogarnąć, jeśli chce dopiąć swego.

– O czym ty mówisz?

– Jeśli chce, żeby jej to uszło na sucho. Jako lady Broughton. – Zaczął podśpiewywać. – Czas na zmiany. Czas na zmiany.

– Och, no nie wiem – powiedziałem. – Tobie chyba bez trudu uszło na sucho, kiedy ożeniłeś się z Caroline?

Oczywiście popełniłem swego rodzaju błąd, gdyż Chase uznał mnie za wroga i odwrócił się do swojego drugiego sąsiada przy stole, niemniej byłem zadowolony, że stanąłem w obronie honoru Edith. Jak wielu parweniuszy, którym udało się wspiąć na śliskie zbocze sukcesu, Eric padł ofiarą złudzenia, że jego niegrzeczność przestała być widoczna. Sam będąc chamem, nie potrafił dostrzec cudzej uprzejmości. To była jego zbroja. Nie zmartwiło mnie, że nadepnałem mu na odcisk; zniechęciłem go od pierwszego wejrzenia, a poza tym nie całkiem żartowałem, mówiąc, że jestem tu jako orędownik Edith.

Następny etap wieczoru był tak żenujący, jak tylko można sobie życzyć.



Zostaliśmy zawiezieni do Chez Michou na Montmartrze, gdzie różni paradyści płci męskiej naśladowali gwiazdy piosenki i filmu, odgrywając pantomimę do ich nagrań. To był pomysł lorda Petera, który, jak trochę już podejrzewałem, okazał się sympatycznym pijakiem o reputacji szelmy. Prawdę mówiąc, wszyscy mieliśmy już nieźle w czubie, gdyż piliśmy od chwili przybycia na lotnisko w Londynie. Niewątpliwie dzięki temu spektakl zdołał nas rozbawić, choć niczym mnie nie zaskoczył: imitatorzy Judy Garland, Barbry Streisand, dość urzekająca Marilyn Monroe i całkowicie nieprzekonująca Rita Hayworth, śpiewająca *Long Ago and Far Away* – piosenkę, którą sama Rita też tylko imitowała. Mimo stanu upojenia zacząłem wyraźnie słyszeć syreni śpiew mojego łóżka – zerknąłem nawet na Tommy'ego, który dał mi znak „chodźmy stąd” – gdy na scenę wbiegł konferansjer (a może konferansjerka?) i zawołał:

– A teraz pragnę zapowiedzieć specjalny punkt programu i złożyć najlepsze życzenia i gratulacje! Panie i panowie, panna Edith Lavery!

Niemal mnie poderwało: młody człowiek, który przedtem naśladował Monroe, zamienił się w Edith! Edith przesadnie umalowaną i efekciarską, niemniej niesłychanie wiarygodną, łącznie z suknią, być może jej własną. Spojrzałem na Charlesa. Osłupiał, podobnie jak my wszyscy, z wyjątkiem lorda Petera, który szczerzył zęby niczym klaun. Na scenie chłopak grający Edith zaintonował numer z musicalu *Faceci i laleczki*: „Pytasz, jak ja się czuję, mała ja, z dobrego domu panienska... – po czym kręcąc tyłkiem, zbliżył się do znieruchomiałego Charlesa – ...więc gdybym była piłeczką, chyba z radości bym pękła...”.

W tym mniej więcej momencie zdałem sobie sprawę, że w pewien skomplikowany i bliżej nieokreślony sposób to wszystko jest dla Edith okropnie uwłaczające. Rozległy się chichoty. Blondwłosa istota brykała po scenie, wykrzykując głupie wersy o tym, jakie to szczęście ją spotkało. Charles milczał, a przywołany na scenę gestem dłoni – tę część spektaklu ewidentnie zaaranżowano wcześniej – tylko pokręcił głową i znieruchomiał z kamienną twarzą. Dziewczynochłopak ze zdziwioną miną spojrzał w stronę lorda Petera, który wraz z Erikiem Chase'em zaśmiewał się do rozpuku, jednak występ wyraźnie grzązł w miejscu. W końcu Peter wskoczył na scenę,

przyklęknął na jedno kolano i wręczył wykonawcy tekturowe pudełeczko na biżuterię, ten zaś otworzył je i zaczął obwieszać się znalezionymi w środku błyskotkami. Przypomniały mi się karykatury Gillraya przedstawiające aktorkę Elizabeth Farren, która pod koniec XVIII wieku ośmieliła się poślubić księcia Derby. Na dnie pudełka znajdowała się mała tiara, wysadzana kolorowymi szkiełkami rekwizyt, który „Edith” wsadziła sobie na głowę, kończąc numer.

Niechętnie przyznaję, że Peter Broughton z pewnością nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo obraźliwy będzie dla Charlesa skumulowany efekt tego błazeństwa. Niewątpliwie takie zakończenie wieczoru było ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął. Biedny Peter nie należał do najbystrzejszych i pamiętam, że pomyślałem wtedy, iż musiał w tym maczać palce Eric Chase albo ktoś inny, kto twórczo rozwinął jego pierwotny pomysł, żeby delikatnie sparodiować Edith. Gdyby po prostu zaśpiewano słodką piosenkę miłosną, byłoby to nawet dość zabawne; w tej sytuacji jednak – sędzę, że bez wiedzy Petera – Edith, na oczach swojego narzeczonego, została bezlitośnie wyszydzona jako chciwa karierowiczka i awanturnica. Wzbudziło to głośny aplauz Chase’a i jeszcze kilku innych panów, którzy wprawdzie siedzieli za plecami Charlesa i nie widzieli wyrazu jego twarzy, niemniej pozostaje dla mnie niepojęte, jak mogli sobie wyobrazić, że to widowisko go rozśmieszy. Ale Chase należał do ludzi, którzy nas obrażają, po czym mówią: „No co, na żartach się nie znasz?”. Przypuszczalnie robił to tak często, że naprawdę wierzył, że jego obelgi są dowcipne, a ten, komu to nie odpowiadało, był zapewne po prostu nudnym głupkiem.

Charles wstał.

– Jestem trochę zmęczony. Chyba wrócę do hotelu.

Zaproponowaliśmy z Tommym, że z nim pójdziemy; było po wszystkim. Wyszliśmy, zostawiając pozostałym zadanie dopieszczenia Petera po klęsce jego psikusa.

– Wezwiemy taksówkę? – zapytał Tommy. Było późno i wieczór zrobił się chłodny, ale Charles pokręcił głową.

– Czy możemy trochę się przejść? Chciałbym się przewietrzyć. – Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu, po czym znów się odezwał: – To było dość

nieprzyjemne, prawda?

– No cóż – rzekł Tommy pojednawczo. – Na pewno nie mieli nic złego na myśli. Przypuszczam, że ta dziewczyna, a raczej chłopak trochę nie zrozumiał, co ma robić.

– To wina Petera.

– No...

Charles przystanął i przez chwilę rozglądał się bez słowa.

– Wiecie, co jest w tym naprawdę przygnębiające? – Wiedzieliśmy doskonale, lecz naturalnie żaden z nas się nie odezwał. – Po prostu nagle sobie uświadomiłem, że większość moich znajomych to cholernie, wręcz potwornie głupi ludzie. Na litość boską, to miało być moich dwunastu najlepszych przyjaciół! – Zaśmiał się gorzko. – Zwyczajnie wstyd mi za nich i za siebie.

Skończyło się na tym, że przeszliśmy piechotą przez pół Paryża. Kiedy wreszcie dotarliśmy na Place Vendôme i wtoczyliśmy się do hotelu, reszta towarzystwa już od dawna leżała w łóżkach. Rozeszliśmy się do swoich pokoi z przekonaniem, że biorąc pod uwagę organizację i koszty, wieczór okazał się kompletną klapą. Niemniej wybuch Charlesa mnie przynajmniej nappełnił dziwną i nieokreśloną otuchą. Moja ocena jego rozumu nie uległa zmianie, ale chyba aż do tej chwili nie doceniałem jego fundamentalnej przyzwoitości. W dzisiejszych czasach jest to cecha dość niemodna, jednak odniosłem wrażenie, że szczęście Edith spoczywa w lepszych rękach, niż mi się dotąd wydawało.

## 6

Otworzyła oczy i natychmiast pojęła, że po raz ostatni budzi się jako Edith Lavery. Tamta dziewczyna zaraz zniknie, pomyślała, i bez względu na to, co się wydarzy, nigdy już nie powróci. Spróbowała zadać sobie pytanie, co właściwie czuje. Często zdarza się, że właśnie głośne sformułowanie ostatecznego wyboru uświadamia nam, iż tak naprawdę pragniemy czegoś odwrotnego. Edith była zatem ciekawa, czy dzisiaj, gdy wszystko miało się nieodwołalnie dokonać, brzuch nie podpowie jej, że popełnia straszny błąd. Jednak jej brzuch najwyraźniej nie miał ochoty wystąpić w roli wnętrzości kozy delfickiej i odmówił wyrażenia opinii. Nie czuła ani uniesienia, ani przygnębienia, po prostu musiała jeszcze zrobić całe mnóstwo rzeczy. Rozległo się lekkie pukanie do drzwi i do pokoju weszła jej matka z filiżanką herbaty.

W żadnym razie nie przesadzę, pisząc, że Stella Lavery tego ranka miała wrażenie, że za chwilę pęknie ze szczęścia, że stanie jej serce, wyczerpane gorączkowym pompowaniem spełnionych ambicji. Nie chcę przez to powiedzieć, że bez wahania poświęciłaby córkę dla jakiegoś utytułowanego bubka, gdyby naprawdę go nie lubiła; ale po prostu było fizycznie niemożliwe, aby nie polubiła kogoś z tytułem, chyba że rzuciłby się na nią z nożem. Prawdę mówiąc, nie przypuszczam, by zastanawiała się nad Charlesem jako takim. Wystarczyło, że był miły, dobrze wychowany, niezbyt brzydki. Jak to się mówi, tylko tyle wiedziała i więcej nie musiała wiedzieć. Liczył się przede wszystkim fakt, że pojutrze jej córka będzie już hrabiną Broughton.

Jednakże nie hrabiną „na Broughton”, co było dla Stelli źródłem lekkiego rozdrażnienia, gdyż uważała taki tytuł za bardziej romantyczny. Doprawdy, to nieznośne, że pierwszy z Broughtonów, otrzymując tytuł szlachecki, nie poprosił o to dodatkowe „na”. W końcu zrobili tak markizowie Cholmondeley

i Balfour. To prawda, że istniała miejscowość o nazwie Cholmondeley, a także Balfour w Szkocji, ale przecież chyba było też jakieś Broughton? Z pewnością musiało gdzieś być. Jednak, zgodnie z maksymą, że „nie można mieć wszystkiego”, zdążyła się już pogodzić z tą formą i nawet się do niej przyzwyczaiła, czerpiąc sporo przyjemności z poprawiania znajomych. W końcu wyteśczone „na” na pewno przyjdzie wraz z markizatem, wszystko w swoim czasie.

– Dzień dobry, kochanie.

Wyszeptała te słowa mające, jak sądziła, delikatnie wyrazić ogromną czułość. Była to chwila, gdy – wiedziała o tym – wypadało jej doświadczać pewnej nostalgii i smutku z powodu utraty ukochanej córki. Niemniej, mimo że Edith dostarczyła jej wielu lat prawdziwej, głębokiej radości, pozostawało faktem, że dzisiaj to jej matka cieszyła się jak dziecko. Nie tylko, jak to mówią, zyskiwała syna, ale w swoim mniemaniu osiągała całkowicie nową pozycję na towarzyskim firmamencie. Bramy zardzewiałe niczym odrzwia zamku w Ham, zamknięte na głucho po odejściu ostatniego króla z rodu Stuartów, teraz miały się przed nią otworzyć na oścież. Albo tak się jej wydawało.

Stella Lavery nie była kompletną idiotką. Zdawała sobie sprawę, iż to od niej samej zależy, jak wykorzysta tę szansę. Jeśli zdoła sprawić, że kilka nowo poznanych osób, a zwłaszcza lady Uckfield, ją polubi i zechce się z nią zaprzyjaźnić, to stanie się dla Edith atutem, a nie (jak w sekrecie niechętnie podejrzewała) kulą u nogi. Miała również dość rozumu, by posuwać się powoli. W żadnym razie nie mogła wyjść na drapieżnika czyhającego na łup. Wspólnota interesów powinna się ujawniać stopniowo – jakieś pożyczone książki, polecane sobie nawzajem krawcowe. Tego oszałamiającego ranka jawiły się przed nią olśniewające obrazy, barwne hologramy wytwornych rozrywek; widziała samą siebie, jak spożywa z lady Uckfield lekki lunch przed wizytą u ulubionej wspólnej modystki i wsiada z nią do taksówki, pośpiesznie wciągając rękawiczki.

– Dzień dobry, mamó. – Edith zdążyła się już przyzwyczaić, że jej matka przebywa w urojonym świecie marzeń. Nie żałowała matce radości, jaką ta

czerpała z jej małżeństwa, choć miała nadzieję, że w niczym się nie przyczyniła do tych bezbrzeżnych fantazji; i bez tego czuła się tak, jakby unosiła się na wodzie porwana wartkim nurtem wydarzeń. – Pada?

– Nie, jest śliczna pogoda. Nie ma sensu się śpieszyć. Ledwie minęło wpół do dziewiątej. Fryzjerka przyjdzie o dziesiątej, a u Świętej Małgorzaty mamy być dopiero dwie godziny później. Zrobię śniadanie, a ty się wykąp. Na twoim miejscu włożyłabym tylko bieliznę i szlafrok. Możesz tak chodzić, dopóki wszystko nie będzie gotowe.

– Nie jestem jakoś wściekle głodna.

– Ale musisz coś zjeść. Inaczej cię zemdli.

Edith kiwnęła głową i podniosła się z łóżka, sącząc herbatę. Była to jedna z tych chwil, gdy miała dojmującą świadomość każdego ruchu swojego ciała, nawet mięśni twarzy. Słowa wypływały z innego ośrodka niż mózg, czuła się odurzona, ale przytomna, bynajmniej nie senna. Nie, nie odurzona – olśniona, a nawet zahipnotyzowana. Zadała sobie pytanie: czy zostałam zahipnotyzowana? Czy uległam bezkrytycznej fascynacji tymi wszystkimi wartościami, którymi karmiono mnie, odkąd skończyłam trzy lata? Czy wessały mnie cudze ambicje? Ale potem pomyślała o Charlesie, który był miłym człowiekiem, który ją kochał i którego zdążyła naprawdę już bardzo polubić. Oczywiście pomyślała także o Broughton i o Feltham, drugim majątku rodziny w Norfolk, przede wszystkim zaś pomyślała o mieszkaniu, w którym się teraz znajdowała i o swojej pracy u agenta nieruchomości na Milner Street. Pomyślała o szansach, jakie dawało jej nowe życie, i o minimalnych możliwościach starego i z tą myślą uniosła dumnie głowę i pomaszerowała do łazienki, z której właśnie wychodził jej ojciec. Uśmiechnął się smutno. – Wszystko dobrze, królewno? – zapytał, a ona, jeszcze zanim skończył mówić, zrozumiała, że pewnie będzie musiał przestać ją nazywać „królewna”, że to brzmi drobnomieszczańsko, i z miejsca podjęła postanowienie, że nigdy, przenigdy nie pozwoli na to, żeby przestał tak się do niej zwracać – postanowienie, które zresztą złamała niemal od razu.

– Świetnie. A co z tobą?

– Świetnie.

Ślub miał kosztować Kennetha Lavery'ego mnóstwo pieniędzy, a byłby kosztował jeszcze więcej, gdyby nie lady Uckfield, która wyjednała zgodę na urządzenie przyjęcia w St James's Palace. Mimo to – a może właśnie dlatego – Lavery'owie byli zdecydowani ponieść wszystkie pozostałe wydatki. Zrezygnowali nawet ze współczesnego, wypranego z uroku obyczaju, zgodnie z którym suknie druchen kupowali ich rodzice. W końcu Edith była jedynaczką i państwo Lavery nie życzyli sobie żadnych podejrzeń, że pochodzi z rodziny, która nie może za siebie zapłacić. Pani Lavery, która najwyraźniej uznała, że żyje w fabule powieści Barbary Cartland, wręcz się zastanawiała, czy nie należałoby przeznaczyć dla Edith jakiegoś posagu, jednak gdy jej mąż napomknął o tym lordowi Uckfieldowi, temat nie został podjęty. Być może Uckfieldowie nie chcieli się wplątywać w ewentualne prawne komplikacje. W końcu, jak zauważyła lady Uckfield, zanim światło zgasło, w dzisiejszych czasach nigdy nie ma pewności, że takie rzeczy są raz na zawsze. Jednakże Edith, choć naturalnie wdzięczna rodzicom, dzięki którym wkraczała do Broughton z podniesioną głową, z tym większą mocą poczuła, że do miliona nici trzymających ją na uwięzi niczym Guliwera wśród Liliputów doszła następna nitka.

Leżąc w wannie, usiłowała przywołać ulubione obrazy, wyobrazić sobie, jak przewodzi komitetom dobroczynnym, zbiera fundusze na niepełnosprawnych, dyga przed członkami rodziny królewskiej, a następnie prowadzi ich do swojej łoży na jakiś galowy koncert. Widziała siebie samą, odwiedzającą chorych w pobliskiej wiosce... Tu urwała. Czy naprawdę wciąż odwiedzało się chorych? Zdała sobie sprawę, że podświadomie przywdziewa krynolinę ze swoich marzeń. Pomyślała więc o lady Uckfield i o tym, jaką wzorową synową zamierza być dla niej, aż nadejdzie taki dzień, gdy wszyscy pobłogosławią chwilę, gdy Edith Lavery zjawiła się w ich życiu.

Mniej więcej dwadzieścia po dziesiątej zjawiłem się w kościele, gdzie wręczono mi biały goździk – oczywiście odarty z paprotki, w którą pieczołowicie przybrał go florysta – oraz listę osób zajmujących miejsca w przednich ławkach. Jak się spodziewałem, figurował tam zwykły zestaw znajomych księżnych oraz starych nian; wyznaczono również miejsca dla

personelu i dzierżawców z Broughton oraz dla personelu i dzierżawców z Feltham zaraz z tyłu. Z rodziny królewskiej miała przybyć jedna księżniczka krwi oraz księstwo Kentu w pełnym składzie, jednak już nie księżę Walii (rozczarowanie dla lady Uckfield, tragedia dla pani Lavery), który przebywał gdzieś na morzach południowych z misją dobrej woli za pieniądze podatnika. Nie spodziewano się również królowej, nie wiem dlaczego, bo podobno Jej Królewska Mość i lady Uckfield były w dobrych stosunkach. Nie muszę chyba wspominać, że nie mnie przypadł zaszczyt wskazywania miejsc osobom tak wysoko urodzonym: zadanie to wyznaczono lordowi Peterowi, który powitał mnie skinieniem przy wejściu. Nie widziałem go od chwili wyjścia z Chez Michou, bo gdy większość towarzystwa opuszczała Ritz, ja, nieponaglany pilnymi sprawami w City, leżałem jeszcze w łóżku. Jednak napisałem do niego list z podziękowaniami, w którym naturalnie ani słowem nie wspomniałem o fatalnym wieczorze.

– Dostałem twój list. Niepotrzebnie zadałeś sobie tyle trudu.

Anglicy zawsze mówią, że nie powinniśmy zadawać sobie trudu, żeby im podziękować, niemniej jeśli tego nie zrobimy, potraktują nas z bezwzględnością, jakiej nie przejawia chyba żadna inna rasa na naszym globie. Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

– Boże, ależ miałem potem kaca! – Lord Peter skrzywił się komicznie. – O jedenastej musiałem być na zebraniu. Chyba nie wypadłem najlepiej.

Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie pracuje. Przypuszczałem, że w jakichś finansach, chociaż ostatnio zauważyłem, że poziom umysłowy pracowników City jest odwrotnie proporcjonalny do ich statusu społecznego. Ciekawe, gdzie w takim razie lądują ludzie pokroju Petera Broughtona.

– Bardzo miło to wszystko urządziłeś – powiedziałem.

Pokiwał głową, nieco speszony.

– Obawiam się, że Charles chyba trochę się wkurzył.

Wzruszyłem ramionami.

– Chodzi o to, że ten pomysł wydawał nam się okropnie śmieszny, rozumiesz? Zawieźliśmy im z Henrym fotografie i w ogóle, pożyczylimy



nawet od Edith sukienkę... Ona też uznała, że to bardzo zabawne, rozumiesz? Sama się z tego śmiała, nawet mówiła Charlesowi, żeby się nie wygłupiał... – Urwał nieporadnie.

Zuch z Edith, pomyślałem, że umiała wybrnąć z tej upiornej sytuacji. Gdyby jednak obejrzała występ, byłaby zapewne mniej wyrozumiała. Byłem absolutnie przekonany, że Charles nie wyjawiał jej, co takiego konkretnie uznał za obraźliwe.

– Pewnie chłopak, który to wykonywał, czegoś nie zrozumiał – powiedziałem, pożyczając kwestię od Tommy’ego Wainwrighta.

Lord Peter wściekle pokiwał głową.

– Właśnie, o to chodzi. Moim zdaniem piosenka była źle dobrana, w tym problem. No i ten pomysł Erica ze szkatułką na biżuterię. Teraz widzę, że to nie było zbyt mądre.

Przytaknąłem, nieszczerze zdziwiony współudziałem Erica. Ciekawe – choć przypuszczalnie można się było tego spodziewać – że pierwszym wrogiem Edith w domostwie Broughtonów był ktoś, kto pochodził ze znacznie niższej klasy niż ona, człowiek, dla którego wżenienie się w szlachecki ród stanowiło nieporównanie większy awans społeczny.

– Najlepiej zrobimy, puszczając to w niepamięć – powiedziałem. – Charles z pewnością już to zrobił.

W rzeczywistości byłem całkowicie pewny, że Charles nic podobnego nie zrobił, jednak wiedziałem, że nigdy o tym nie wspomni.

Oczywiście Edith jako panna młoda wyglądała prześlicznie, a liczba koronowanych głów wśród gości Broughtonów przydała uroczystości splendoru, który mnie przynajmniej sprawił mnóstwo uciechy. Nawet kazanie było interesujące. Goście Laverych nieuchronnie byli trochę oszołomieni, jednak Edith udało się ściągnąć kilkoro nowych, zaprzyjaźnionych z mediami znajomych, a jej matka, rozpaczliwie usiłująca zachować pozory, napisała nawet do swojego dalekiego krewnego, baroneta, przedstawiając się i dołączając zaproszenie na ślub. W efekcie ten najzwyczajszy prawnik, zamieszkały w starej plebanii pod Swindon (jego skromna rodzinna posiadłość przepadła dwa pokolenia wcześniej), nagle znalazł się

w pierwszej ławce o kilka stóp od połowy rodziny królewskiej. Właściwie kościół Świętej Małgorzaty wciąż zwyczajowo rezerwuje pierwszą ławkę po prawej stronie dla spikera parlamentu, więc nasz baronet musiał trochę zezować do tyłu, ale wkrótce się do tego przyzwyczaił. W każdym razie oboje z jego brzydką żoną byli zachwyceni, choć ona, o wiele lepiej zorientowana, co jest grane, wyglądała trochę tak, jakby robiła Laverym uprzejmość. Bo też naturalnie było to świętą prawdą.

Wszyscy dostaliśmy specjalne naklejki uprawniające do zaparkowania na zwirowej alei przy Mall, więc dojechać na przyjęcie było łatwiej niż zwykle. Nigdy dotąd nie dotarłem dalej niż do stolików na dolnej galerii pałacu, gdzie w owych czasach odbierało się przepustkę do Ascot, toteż stojąc w długiej kolejce, cierpliwie pełznącej o suchym pysku, byłem ciekaw, co zobaczę w oficjalnych salach. Noga za nogą weszliśmy na górę po wielkich schodach, mijając stosownie rozwiązły portret Karola II, po czym znaleźliśmy się w małym przedpokoju obwieszonym bogatą ciemną tapiserią, gdzie wreszcie podano nam po kieliszku nieuchronnego szampana i wpuszczono do pierwszego z trzech przepastnych, czerwono-biało-złoty apartamentów.

Przyszła moja kolej na składanie życzeń i tu spotkała mnie niespodzianka: osobą, która powitała mnie po imieniu, nie była doskonale mi znana pani Lavery, lecz lady Uckfield, która ku memu zdumieniu podsunęła mi policzek do ucałowania.

– Widziałam, jak trudziłeś się w kościele – rzekła swoim zwykłym, poufałym tonem, jakby dzieliła się sekretem, który mógł pojąć tylko rozmówca. – Co za cudowny dzień.

– Mieliśmy dużo szczęścia z pogodą.

– Sądzę, że w ogóle mieliśmy dużo szczęścia.

I z tymi słowy odprawiła mnie, kierując w stronę swojego męża, który, nie trzeba dodawać, nie miał pojęcia, kim jestem. Uścisnąłem mu dłoń i wmieszałem się w tłum gości. Było jasne, że lady Uckfield stara się być dla mnie miła, ale nie bardzo rozumiałem dlaczego. Prawdopodobnie chciała sobie zapewnić poparcie jedyne znajomego panny młodej, którego Charles naprawdę lubił. Zamierzała w zarodku ukrócić wszelkie próby utworzenia

„konkurencyjnego dworu” – w ten sposób, jeśli ktoś miałby się dostosowywać, to z pewnością Edith, a nie ona. Stwierdzenie, że wszystko to robiła świadomie, wydaje się ryzykowne, niemniej byłem tego prawie pewny. Jestem również pewny, że dopięła swego i wszyscy odegraliśmy wyznaczone role. Od początku pozostawałem pod wielkim wrażeniem kunsztu, z jakim lady Uckfield łączyła w sobie koteczkę z autokratką, lecz w jej przypadku nie sądzę, abym na wiele przydał się Edith.

W kolejce zamieniłem z Edith ledwie kilka słów; właściwie nie liczyłem na to, że uda mi się z nią porozmawiać. Oczywiście Isabel i David też byli obecni, widziałem jednak, że nie po to przybyli do St James’s Palace, żeby tracić czas na rozmowę ze mną, dałem więc spokój i mrużąc powitania oraz kiwając głową, zacząłem się przepychać wśród rozgadanych, całujących się grupki do następnej sali, szkarłatnej i złotej, położonej prostopadle do poprzedniej. Na obitych adamaszkiem ścianach wisiały tu na łańcuchach duże stojące portrety, przedstawiające głównie Stuartów. Przystanąłem przy jednym z nich, który – sądząc po półprzymkniętych powiekach i ponętym dekolcie modelki – uznałem za wizerunek Nell Gwyn<sup>[23]</sup> (która być może nie należała do Stuartów, ale na pewno pod nimi służyła), lecz czytając plakietkę na ramie, ku swemu zdumieniu odkryłem, że ta czarowna piękność to Maria z Modeny, królowa Anglii i Szkocji, żona Jakuba VII i matka Jakuba II.

– No i co na razie sądzisz o całej imprezie? – Drgnąłem; to był głos Edith.

– Nie ma to, jak zacząć od samej góry – odparłem.

– Wydaje mi się jakoś stosowne, że moje wesele odbywa się w pałacu królów, gdzie aranżowane małżeństwa należą do tradycji.

Spojrzałem na bujny biust malowanej królowej.

– Nie sądzę, żeby ten konkretny związek było trudno zaaranżować.

Edith wybuchnęła śmiechem. Przez chwilę byliśmy w sali niemal sami i miałem czas, by zachwycić się jej urodą, która obecnie sięgnęła zenitu. Wybrała suknię z jedwabiu koloru kości słoniowej w stylu lat siedemdziesiątych XIX wieku, z szerokimi falbanami i tiurniurą w małe kwiatuszki tej samej barwy. Jej gęste jasne włosy okrywał koronkowy welon, zapewne należący do którejś matki, przypięty lekką, olśniewającą tiarą –

połyskliwą siatką wysadzaną brylantami, stworzoną dla młodej dziewczyny i całkiem niepodobną do tych ciężkich kawałków metalu, które stare wdowy wkładają do opery i w których zawsze wyglądają jak bohaterki komedii braci Marx. Tiara przypuszczalnie pochodziła ze skarbcza Broughtonów.

– Przyjedziesz nas odwiedzić? – zapytała.

– Jeśli zostanę zaproszony.

Patrzyliśmy na siebie przez moment.

– Jedziemy na tydzień do Rzymu, a potem do Caroline i Erica na Majorkę.

– Zapowiada się bardzo miło.

– Tak, prawda? Nie powinnam o tym wiedzieć, ale wiem. Lubię Rzym, Majorki prawie nie znam. Podobno Caroline co roku wynajmuje tam willę, więc najwyraźniej dobrze się bawią. – Znowu roześmiała się bez radości.

Nie pozostało mi właściwie nic więcej do powiedzenia, gdyż nie miałem ochoty komentować jej melancholijnych wynurzeń. Wyznania na łożu śmierci to ostatnia rzecz, w którą bym wierzył. W tym wypadku sama sobie to łoże posłała i już nawet w nim leżała; pozostało jedynie zamknąć oczy. W każdym razie nie mogę powiedzieć, żebym się o nią szczególnie martwił. Zapewne wiele panien (i panów) młodych przez moment doznaje na weselu uczucia „co ja najlepszego zrobiłem/łam?”.

Pocałowałem ją.

– Powodzenia – powiedziałem. – Zadzwoń, kiedy wrócisz.

– Jeszcze nie wyjeżdżam.

– Nie, ale nie będę już miał okazji, żeby z tobą porozmawiać.

I tak właśnie było. Charles przyszedł ją zabrać, żeby się pochwalić żoną przed kolejnymi nieznanymi krewnymi, a ja znowu zostałem sam. Powędrowałem więc do sali tronowej, która otwierała się na końcu apartamentu – jeszcze więcej złota i czerwieni, tym razem jako tło dla wspaniałego tronu pod haftowanym baldachimem, i jeszcze więcej malowideł na łańcuchach, tym razem dynastii hanowerskiej – i właśnie podziwiałem kunsztownie rzeźbiony kominek, kiedy kiwnął na mnie gruby sześćdziesięcioletni pan o czerwonej twarzy. Przez chwilę wymienialiśmy

uwagi o wiszącym tutaj portrecie Jerzego IV pędzla Lawrence'a – czy to oryginał, czy kopia i tak dalej – gdy wtem pochylił się ku mnie konfidencjonalnie.

– Niech mi pan powie – zapytał schrypniętym szeptem – jest pan znajomym tej małej czy jednym z nas?

Muszę przyznać, że na moment zabrakło mi słów.

– Jedno i drugie, mam nadzieję – rzekła lady Uckfield, zbliżając się do nas szybkim krokiem.

Skinieniem głowy podziękowałem za wyratowanie mnie z opresji, ona zaś przedstawiła mnie tłustemu jegomościowi, który na domiar złego nazywał się William Fartley<sup>[24]</sup>. Z trudem powstrzymałem się od śmiechu. Jegomość oddalił się nieśpiesznie, a lady Uckfield wzięła mnie pod ramię i podeszła ze mną do okna.

– Mam nadzieję, że wkrótce przyjedziesz nas odwiedzić – powiedziała. – Wiem, że Charles bardzo by się ucieszył.

Zapewne chciała mi w ten sposób zakomunikować, że Charles jest gotów się ze mną zaprzyjaźnić, sugerowała także, że rodzina Broughtonów nie widzi nic złego w mojej znajomości z Edith. Podziękowałem jej, mówiąc, że będę zachwycony.

– Pewnie nie polujesz?

– Owszem, jeśli mam być szczery.

To ją zaskoczyło.

– Tak? Myślałam, że wy, ludzie teatru, potępiacie polowania. Że wszyscy jesteście okropnie anty.

Wzruszyłem ramionami.

– Lepiej umrzeć w locie niż w rzeźni, tak sędzę.

– Co za ulga! A już się obawiałam, że będziemy musieli wynaleźć jakichś pisarzy i gawędziarzy, żeby cię zabawić. Wiem, że Edith uważa cię za niezwykle inteligentnego.

– To miłe.

- Ale skoro polujesz, nie będziesz miał nic przeciwko normalnym ludziom.
- Takim jak sir William Fartley. Nie mogę się doczekać.

Skrzywiła się ze śmiechem.

– To stary dureń, ale mieszka tylko trzy mile od nas, więc nic się nie da zrobić.

Zauważyłem w duchu, że to dalej niż Eastonowie i że w podobnej odległości od Broughton zapewne mieszka dwieście albo trzysta osób, które aż piszczą o zaproszenie, lecz nigdy go nie dostaną – ale naturalnie nic nie powiedziałem.

Lady Uckfield poklepała mnie po ręce.

– Poważnie. Musisz przyjechać. Dopilnuję tego.

– Z radością, ale tylko jeśli pani obieca, że nie zaprosi żadnych pisarzy ani gawędziarzy. Nie chciałbym stracić twarzy przy Edith.

Obdarzyła mnie konspiracyjnym uśmieszkiem i odeszła do swoich obowiązków.

Potem wszystko skończyło się dość szybko. Szczęśliwi nowożeńcy wsiedli w lśniące odkryte lando i pojechali się przebrać, a zebrani wylegli na dziedziniec, żeby pomachać im na pożegnanie. Ten dość ckliwy pomysł zrodził się w umyśle ojca Edith, który błędnie uznał, że dzięki temu impreza jeszcze zyska na splendorze. Jakkolwiek było, gdy po wszystkim zawróciliśmy do pałacu, odkryliśmy, że zamknięto nam bramę przed nosem. Stosowne władze zarządziły, że dzień dobiegł końca, więc nie pozostało nam nic innego jak wracać do domu.

Zarówno dla Edith, jak i dla wszystkich wtajemniczonych jednym z najdziwniejszych aspektów jej małżeństwa, zwłaszcza że zawarto je w latach pięćdziesiątych, był fakt, że nie przespała się z Charlesem przed ślubem. Brzmi to niebywale, a przecież tak było. Na początku opierała się jego zalotom, gdyż jej zdaniem stanowczo należał do mężczyzn, którzy rankiem nie szanują łatwych podbojów poprzedniej nocy i muszą spotkać się z dziewczyną co najmniej kilka razy, żeby została uznana za dostatecznie „przywoitą”. Trwało to dwa lub trzy miesiące, kiedy jednak postanowiła, że chyba można już bezpiecznie ustąpić, ku swemu zaskoczeniu odkryła, iż Charles najwyraźniej zaakceptował taki model związku i nie pragnie niczego więcej. Całował ją, a jakże, i przytulał, ale nie wyczuwała w nim owej morderczej potrzeby, jakiej przyzwyczaiła się oczekiwać w takich chwilach. Kiedyś, gdy leżeli na kanapie w mieszkaniu jej rodziców (Kenneth i Stella wyjechali na weekend do Brighton), pozwoliła sobie od niechcenia pogłodzić jego rozporek i choć pod tkaniną wyczuła solidną erekcję, to Charles pod jej dotknięciem wzdrygnął się tak gwałtownie, że nie ponowiła próby. No a potem poprosił ją o rękę i nie miało to już sensu, prawda? W końcu chciała go zdobyć bez względu na to, czy pasują do siebie w łóżku, a co by to było, gdyby okazało się, że jest inaczej? Może by się zraził? Kiedy więc kilka tygodni przed ślubem zaproponował, żeby „gdzieś razem wyskoczyli” na weekend, wyszeptwała, że chyba lepiej poczekać, aby „nic nie zepsuć”, przecież to już tak niedługo. Charles przyjął to bez protestu, bo chociaż jako mężczyzna swoich czasów posiadał już pewne seksualne doświadczenie, w podświadomości hołdował głębokiemu przekonaniu, iż materiał na żonę powinien wkraczać nieskalany do weselnej komnaty. Naturalnie Edith wiedziała, że w tym sensie nie jest bynajmniej nieskalana, postanowiła jednak, że na ewentualne pytania

odpowie: tak, owszem, we wczesnej młodości zdarzył się jej pewien „incydent”, ale wolałaby o tym nie mówić. W rzeczywistości nigdy nie było takiej potrzeby, gdyż Charles najwyraźniej pogodził się z tym, że ich pierwszy raz nastąpi w noc poślubną, i rozsądnie odmówił rywalizacji z przeszłością.

Zarezerwował pokój w hotelu Hyde Park w Knightsbridge. Cały świat wie, że zakład ten obecnie należy do sieci hoteli Mandarin i przynajmniej formalnie stara nazwa nie funkcjonuje, ale klasy wyższe bardzo powoli akceptują zmiany w nazewnictwie. Dla nich wciąż jest to hotel Hyde Park i zapewne pozostanie nim aż do chwili, gdy ich dzieci się zestarzeją. Według planu młoda para miała tu przenocować, a następnego dnia w południe polecieć do Rzymu. Tak więc powóz majestatycznie przemierzył St James i Piccadilly, przejechał obok hotelu Ritz, minął Hyde Park Corner i zakręciwszy przed wejściem do parku na wysokości Bowater House, zatrzymał się przy hotelowych schodach. Mijani po drodze przechodnie, tak tubylcy, jak i turyści, machali do nowożeńców, uśmiechając się z sympatią, prawdopodobnie wywołaną faktem, że publiczna świadomość kojarzy powozy z rodziną królewską niemal na zasadzie odruchu Pawłowa. Edith, nie chcąc zawieść publiczności, z umysłem roziskrzonym wspaniałością swojego nowego statusu niepewnie unosiła dłoń w pozdrowieniu, Charles jednakże nieruchomo gapił się przed siebie z miną, jakby zakwestionowano jego kandydaturę na oficera. Oczywiście Edith rozumiała, dlaczego tak jest. Charles cierpiał na najbardziej chyba nużący rodzaj afektacji angielskich klas wyższych – konieczność stwarzania wrażenia, że nie ma się pojęcia o swoich przywilejach. Owa chłodna niefrasobliwość, w teorii tak atrakcyjna, w praktyce jest jednak potwornie nudna i w przyszłości miała zrujnować niejedną wspólną przyjemność – jak zresztą Edith zaczęła podejrzewać, patrząc na skamieniały profil męża. Na szczęście przejażdżka nie trwała długo, a z pewnością aż nazbyt krótko, jeśli chodzi o Edith. Minął zaledwie kwadrans, odkąd opuścili przyjęcie. W holu hotelowym znaleźli się o wpół do szóstej i Edith nie miała pojęcia, co robić dalej.

Pomyślała, że zaproponuje, by zostali na dole i wypili herbatę, ale zrezygnowała z tego pomysłu, ponieważ świadczył o totalnym braku ochoty



z jej strony, aby zostać z Charlesem sam na sam. Wskazano im apartament dla nowożeńców, o który nie prosili, a który jednak i tak dostali (różnicę w cenie pokrywała dyrekcja) zgodnie z odwieczną zasadą „ci, którzy mają, dostaną jeszcze więcej”. W apartamencie znajdowały się już ich bagaże, mnóstwo kwiatów i niezgłębione zapasy szampana. Potem drzwi się zamknęły i zostali sami. Byli małżeństwem.

Patrzyli na siebie w milczeniu i do Edith dotarła cała realność sytuacji. Przeszył ją dreszcz paniki: a więc tego mężczyznę miała oglądać codziennie aż do końca życia? O czym, u licha, będą rozmawiać?

– Otworzyć? – zapytał Charles, wskazując butelkę.

– Naprawdę już chyba nie mogę. Wręcz wychodzi mi nosem. – Urwała. – Chyba wezmę kąpiel.

Charles położył się na łóżku i patrzył na nią uważnie. Zaczęła się rozbierać jak najswobodniej umiała, jednak w ostatniej chwili puściły jej nerwy. W majtkach i staniku pośpiesznie wyciągnęła z walizki szlafrok i wbiegła do łazienki.

Kiedy wyszła po półgodzinie, Charles nadal leżał na łóżku i czytał gazetę. Tymczasem zdjął marynarkę, kamizelkę i krawat, jak również buty i skarpetki, lecz coś w jego wystudiowanym rozluźnieniu powiedziało Edith, że wreszcie jej godzina wybiła. Podeszła do łóżka i położyła się obok niego w szlafroku narzuconym na gołe ciało, udając, że czyta mu przez ramię.

– Szczęśliwa? – zapytał, nie podnosząc wzroku.

– Mmm – odparła, zastanawiając się, jak długo będzie zwlekał, zanim przejdzie do rzeczy. Teraz, gdy ta chwila wreszcie nadeszła, nagle odkryła, że trochę się niecierpliwi. Czowała potrzebę potwierdzenia, że łączy ją z Charlesem pociąg fizyczny. Ostatecznie ten aspekt ich związku nie miał nic wspólnego z ambicją ani nawet ze wspólnotą zainteresowań. Było to zespolenie seksualne, jedyne – jak postanowiła, przynajmniej w tym momencie – którego miała zaznać przez resztę życia.

Po pewnym czasie, który wydał się jej wiecznością, Charles wreszcie złożył gazetę. Odwrócił się do niej, po czym ze śmiertelną powagą i w absolutnej ciszy (którą zresztą zachował przez cały czas) zaczął ją

całować, niezdarnie rozpinając jej szlafrok. Reagowała jak umiała, próbując nie przejmować inicjatywy. Dotknęła jego penisa i tym razem również wzdrygnął się jak spłoszony żreback, ale przynajmniej się nie cofnął. Leżeli przez pewien czas, pieszcząc się przez ubranie, aż Charles, który najwyraźniej uznał, że przyszła stosowna pora, usiadł na łóżku, po czym zdjął koszulę, spodnie i gatki.

Edith zrzuciła szlafrok i spojrzała na niego. Miał bardzo angielskie ciało o prawie białej, lekko piegowanej skórze, z kępką rudych włosów łonowych i nieowłosioną piersią, ale prezentował się nieźle, szczupły, umięśniony i dobrze zbudowany. Jednak haczykowany nos i kędzierzawa jak u uczniaka czupryna, wieńczące jego obnażony tors, robiły dziwaczne wrażenie, jakby urodził się w dwurzędowym garniturze, a nagość była dla niego czymś nienaturalnie prymitywnym. Prawdę mówiąc, wyglądał nie tyle na gołego, ile na oskórowanego.

Nadal bez słowa odwrócił się ku niej i z tą samą wściekle intensywną miną zaczął ją całować, jednocześnie kładąc prawą dłoń na jej kroczu. Następnie rozpoczął coś w rodzaju masażu na sucho, poruszając ręką, jakby pompował dmuchany materac, tak przynajmniej się jej to skojarzyło. Jęknęła kilka razy, aby go zachęcić. Najwyraźniej to wystarczyło, bo dźwignął się i legł między jej nogami, po czym niezdarnie w nią wszedł, wykonał kilka – góra sześć – pchnięć i wydając stłumiony okrzyk, aby zaznaczyć, że to już (na co odpowiedziała, także pojękując i ciężko dysząc), opadł na nią bezwładnie. Cała akcja, od chwili, gdy odłożył gazetę, trwała mniej więcej osiem minut.

Aha, pomyślała Edith.

– Dziękuję, kochanie.

Charles miał irytujący zwyczaj dziękować za seks, jakby Edith po prostu przyniosła mu filiżankę herbaty. Oczywiście w tym momencie nie wiedziała jeszcze, że on zawsze tak robi.

Pomyślała, czy nie odpowiedzieć: „Ależ to ja dziękuję”, potem jednak uznała, że za bardzo przypominałoby to pożegnanie przy wyjściu z hotelu, więc ostatecznie szepnęła tylko miękko „Kochany” i pocałowała go w szyję. Wprawdzie już się z niej sturlał i było jej trochę zimno tak leżeć, ale wszelkie

poruszenia wydawały się jej trochę niewłaściwe, gdyż ewidentnie była to dla Charlesa „bardzo ważna chwila” i nie zamierzała mu jej psuć. Nie pozwoliła sobie także na recenzję aktu miłosnego – jeśli tak można nazwać to, co właśnie przeżyli. W końcu był to dopiero początek ich związku, a Edith zaczynała podejrzewać, że mimo obycia w stosunkach z kelnerami Charles nie czuje się zbyt pewnie w sferach bardziej intymnych. W końcu, chociaż fizycznie niczego nie doznała, to on przynajmniej robił wrażenie, że doszło do czegoś doniosłego, więc cały epizod można było zaliczyć do udanych. Co pomyślawszy, przyłapała się na tym, że ma jednak nadzieję, iż sprawy z czasem ulegną poprawie.

Kolację zjedli w hotelu, bardziej żeby uniknąć znajomych (wyższe sfery nigdy nie jadają kolacji w hotelach, chyba że w towarzystwie mieszkających tam Amerykanów) oraz gratulacji niż z powodu jakiegoś entuzjazmu dla *cuisine de maison*, i o jedenastej wieczorem wrócili do łóżka. Nastąpiła powtórka z popołudniowych wydarzeń, po czym odwrócili się do siebie plecami i ułożyli do snu. Edith wpatrywała się w sufit, rozmyślając nad tym, jak dziwnie układa się życie. Oto leżała obok nagiego mężczyzny, którego, jeśli się nad tym zastanowić, prawie nie znała, i jak każda młoda małżonka, od Marii Antoniny do pani Wallis Simpson, musiała stawić czoło zasadniczej prawdzie – że bez względu na polityczne, społeczne czy finansowe korzyści ze świetnego małżeństwa przychodzi taki czas, gdy wszyscy wychodzą z pokoju i kobieta zostaje sam na sam z człowiekiem, który ma prawo z nią kopulować. Nie była pewna, czy aż do teraz w pełni rozumiała, z czym to się wiąże.

Ta myśl nie opuszczała jej również po przebudzeniu – pierwszy raz od dość dawna obudziła się z kimś w łóżku – toteż gdy Charles, nieco speszony, dał jej do zrozumienia, że nie jest, jak to określił, „rannym ptaszkiem”, przyjęła jego słowa z pewną ulgą. Odprężenie nastąpiło, gdy zaczęli omawiać ślub, swoje sympatie i antypatie, rozmaite małe dramaty i gafy, oraz dyskutować o tym, kto jest nieszczęśliwy w małżeństwie, a kto bankrutuje. Oczywiście, pomyślała Edith, właśnie o tym będziemy rozmawiać – o wspólnych przeżyciach, a im dłużej będziemy małżeństwem, tym więcej będzie do omówienia. Pocieszała się tymi rozważaniami, kiedy Charles znowu umilkł; nie po raz pierwszy jego

wena się wyczerpała. Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł kelner, pchając wózek ze śniadaniem.

– Dzień dobry, milordzie – powiedział do Charlesa, zbliżając się z tacą do łóżka. – Dzień dobry, milady.

No cóż, pomyślała Edith, mogło być gorzej.

Zważywszy na to, że pierwsze spędzone razem godziny nie były nieodparcie porywające, trochę zaskoczył ją fakt, że wycieczka do Rzymu, może przez kontrast, udała się nadzwyczajnie. Zatrzymali się w hotelu de la Ville tuż nad Schodami Hiszpańskimi, nieco poniżej Villa Medici. Rzym w każdym razie jest bardzo pięknym miastem, a ponadto oczywiście te nieustanne *milady* i *contessy*, gdziekolwiek się ruszyła, były dla niej całkiem nowym doświadczeniem. Bardzo ją to bawiło (choć miała dość rozumu, by tego nie okazywać), ale również stanowiło konkretne przypomnienie, dlaczego w ogóle znalazła się w tej sytuacji. Jedzenie było pyszne, mieli mnóstwo do oglądania, a zatem i do omawiania, więc siedząc w kawiarni pod gwiazdami na Piazza Navona lub przechadzając się wśród fontann Villa d'Este w Tivoli, doszła w końcu do wniosku, że dokonała właściwego wyboru i że istotnie ma przed sobą bogate i pełne satysfakcji życie ze swoich wyobrażeń.

Tymczasem Charles zaczął coraz częściej poruszać temat Broughton i Feltham, co robił czule i szczegółowo, w sposób, który był dla niej całkiem nowy. Być może przedtem sądził, że nie należąc jeszcze do Broughtonów, nie będzie tym zainteresowana. Kochał swoje domy i swoje zajęcia, co pasowało jak ulał do jej przedślubnych fantazji, więc postanowiła również za to go kochać. Odpowiedziała zatem na jego entuzjazm własnym szczerym entuzjazmem, a gdy odkryła, że jego wiedza o rodzinnej historii trochę szwankuje, była wręcz zachwycona. Oto miała zadanie! Wyobraziła sobie, jak z miłością kataloguje meble i obrazy, jak podejmuje sędziwe ciotki i spisuje ich wspomnienia o gorących letnich edwardiańskich popołudniach spędzanych na trawniku w Broughton, jak odnajduje i czyści znalezione na strychu portret jakiegoś zabawnego przodka. Interesowała się zarówno historią, jak i plotkami – czyż istniały lepsze kwalifikacje? Wprawdzie seks nie polepszył się znacząco, a jego format pozostał niezmienny, ale kiedy Charles przestał się tak

napinać, to przynajmniej wszystko trwało trochę dłużej. W sumie, gdy Edith i Charles, rozpoczynając podróż na Majorkę, wsiadali do samolotu do Madrytu, mogli spojrzeć sobie w oczy ze świadomością, że stanowią całkiem niezłą imitację szczęśliwych nowożeńców.

## 8

Gdy niesieni falą kibiców Wolverhampton Wanderers zdołali wreszcie opuścić halę biletową w Palma de Mallorca, czekał już na nich pomarszczony londyński cwaniak z twarzą jak garbowana skóra, ubrany w czerwone nylonowe szorty, który oznajmił, że jest „szoferem” Erica i ma ich zawieźć do jego willi. Charles był trochę zdetonowany, że Eric nie powitał ich osobiście; jak Edith miała się później dowiedzieć, wzorem wielu pozornie wyluzowanych arystokratów tracił pewność siebie, gdy traktowano go normalnie, mimo że wciąż powtarzał, że tylko o to mu chodzi. Ona ze swej strony była po prostu zadowolona, że wyrwała się z lotniska do samochodu, i w końcu jej ulga udzieliła się również Charlesowi, który wybaczył Chase’om, że czekali na nich w domu.

Trwająca dwie i pół godziny droga prowadziła przez wnętrze wyspy, wśród wyschniętych zarośli i nędznych lepianek. Edith, która nigdy przedtem nie była na Majorce, nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać. Jednak wyglądając przez okno, uświadomiła sobie, że wyobraźnia podsuwa jej raczej obrazy Monte Carlo skrzyżowanego z Blackpool, a nie nędzne pyliste poletka równin Salamanki. Ale kiedy zbliżyli się do Calaratjady, wielkie betonowe hotele z jej wizji zaczęły się materializować, a gęstniejący tłum – zasadniczo szacowny, przetykany gdzieniegdzie zalotnymi wakacyjnymi czapczkami – oraz znajome widoki i wonie Wakacji nad Morzem przywróciły jej spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Dużą białą willę, zbudowaną wokół prostokątnego dziedzińca, otaczały ogromne tarasy z widokiem na zatokę. Co więcej, do posesji należała prywatna przystań, przeznaczona bardziej do kąpieli niż do cumowania łodzi, dzięki czemu jej mieszkańcy nie musieli się przepychać między turystami na zatłoczonej piaszczystej plaży miejskiej kilkaset jardów na lewo. Po drugiej

stronie zatoki, skryte za skromną zasłoną drzew, widniały eleganckie domy bogatych Majorkańczyków, dalej rozciągał się wielki błękitny ocean.

Gdy Edith i Charles przystanęli, zachwyceni widokiem, z przystani poniżej zamachała do nich maleńka postać, która szybko wbiegła po schodkach na górę. Po chwili, wycelowani i uściskani przez Caroline, odwrócili się, by teraz z kolei podziwiać willę.

– Bajeczna, prawda? Właścicielem jest jakiś klient Erica, który dał nam bardzo dobrą cenę. Jest o wiele tańsza niż ta, którą mieliśmy w zeszłym roku, i dwa razy większa. Nie muszę wam chyba mówić, że przez całe lato mamy tu istny pensjonat.

Charles ściągnął brwi.

– Myślałem, że przez ten tydzień będziemy sami.

– Wiem. Ja też tak myślałam. Ale potem zadzwonił Peter i powiedział, że może się wyrwać tylko w tym tygodniu. Po czym Jane i Henry zawiadomili, że jednak uda się im przyjechać. A jeszcze później pojawił się kolega Erica z żoną. – Caroline zmarszczyła nos. – Podobno Eric ich zaprosił i całkiem o tym zapomniał. Okropne, co? W każdym razie wszyscy już przyjechali i najwyraźniej nam przebaczyli.

– Chcesz powiedzieć, że są tu właśnie teraz? W tym tygodniu?

– W tej chwili. Już idą z dołu, żeby przebrać się do kolacji. Ktoś wam pokazał, gdzie śpicie? Macie najlepszy pokój, więc nie powinniście marudzić.

Charles odęty rzucił się na łóżko – „strzelił focha”, tak to się według Edith nazywało.

– Rany boskie! Szkoda, że od razu nie postawiliśmy namiotu na Trafalgar Square.

Edith położyła się obok niego.

– Ojej, kochany, nie przejmuj się. Jestem pewna, że i tak każdy tutaj robi, na co ma ochotę. Będziemy mogli się gdzieś urwać całkiem sami.

W rzeczywistości miała lekkie poczucie winy, gdyż wyjaśnień Caroline wysłuchiwała z ulgą, która ją samą zaskoczyła. Nie będą tu tylko we czworo. Erica, jak dotąd, nie zdołała polubić, Caroline trochę ją przerażała, musiała

też przyznać, że rozmowy z Charlesem odrobinę straciły na świeżości. Próbowwała się pocieszać, powtarzała sobie w duchu, że „później, kiedy coś już razem przeżyjemy, na pewno będzie łatwiej”, niemniej z pewnym zniechęceniem zaczynała pojmować, że potrafi przewidzieć opinię męża na każdy właściwie temat. Sama ze sobą zaczęła prowadzić swoistą grę, wtrącając do rozmów różne dziwne uwagi, jak na przykład psychologiczną ocenę Dalajlamy, z nadzieją, że przegra, bo Charles czymś ją zaskoczy. Jednak jak dotąd nie straciła ani jednego punktu. Przed kolacją spotkali się z resztą towarzystwa na górnym tarasie. W okresie zalotów Edith trochę się obawiała Caroline z tego prostego powodu, że ta była znacznie inteligentniejsza niż jej brat, więc Edith niepokoiła się, że zechce go zniechęcić albo przynajmniej ostrzec. Naturalnie nie można było tego całkowicie wykluczyć, jednakże Caroline, choć snobistyczna i egocentryczna, nie była osobą wredną. Teraz, gdy Edith została jej bratową, Caroline postanowiła być z nią w dobrych stosunkach, poza tym gorąco pragnęła, by Charles, którego darzyła wielką, nieco rodzicielską czułością, czuł się u nich dobrze. Edith dostrzegła to, obserwując jej szczere uśmiechy oraz nieco wzruszające starania, które przybrały formę szampana z lodu i przekąsek rozstawionych tu i ówdzie w bawialni wychodzącej na taras. Wszystkie kobiety zamiast sukni wieczorowych miały na sobie kosztowne sukienki koktajlowe, wszyscy mężczyźni byli w koszulach rozpiętych pod szyją. Jednak pary robiły wrażenie dziwnie niedobrych, niczym w nieudanym rozdaniu gry w Piotrusia. Najbardziej wystroїła się Jane Cumnor. Ubrana w suknię z czarnej mory bez ramiączek, nie stanowiła już jednak żadnego zagrożenia dla Edith, która czuła się całkiem dobrze w bawełnianej sukience z odkrytymi ramionami. Od czasu ich ostatniego spotkania Edith zdołała wdrzeć się do świata Jane, a poza tym była od niej ładniejsza, więc z dnia na dzień ich stosunki uległy subtelnej zmianie. Jane, która uświadamiała to sobie równie dobrze jak Edith, podbiegła, by złożyć na twarzy panny młodej lepki od szminki pocałunek, Henry także przyczłapał i przytulił się do niej policzkiem. W jaskrawym letnim stroju przypominał dziewiętnastowieczny namiot plażowy i Edith nagle wyobraziła sobie, że jego koszula się rozpina i wychodzi spod niej bojaźliwy pływak w pasiastym trykocie.



– Witaj w naszej rodzinie – rzekła Caroline, wznosząc toast.

– Tak – dodał Eric, stojący nieco z tyłu przy balustradzie. – Dobra robota, Edith.

Pozostali odnotowali jego ton, postanowili jednak go zignorować i również unieśli kieliszki, dzięki czemu powitanie wyglądało bardziej normalnie. Edith się uśmiechnęła, oboje z Charlesem podziękowali, po czym wszyscy usiedli.

Gawędzili, półleżąc w wiklinowych fotelach, wsparci na poduszkach. Za ich plecami w świetle księżyca migotało morze, w dłoniach trzymali kieliszki szampana, kobiety miały na sobie suknie od wielkich krawców, a w ich uszach lśniły diamenty. Edith, rozluźniona na miękkich kretonach Liberty<sup>[25]</sup>, więcej słuchała, niż mówiła, poddając się ciepłej fali luksusu dla uprzywilejowanych. Przez cały okres dorastania wiedziała jedno – że nie wystarczy nie należeć do tych, którzy nie mają, ale trzeba stanowczo dążyć do tego, żeby mieć. I oto teraz, gdy już niemal pogodziła się z możliwością klęski, jej marzenie się spełniło. Ta grupka lordów i milionerów reprezentowała kręgi, w których odtąd miała się obracać; ta egzotyczna sceneria stanowiła zapowiedź wielu innych podobnych krajobrazów. Niczym kierowca, który jadąc przez pustynię, widzi w oddali wysokie góry, po czym nagle uświadamia sobie, że niepostrzeżenie już do nich dotarł, podobnie Edith ze zdumieniem spoglądała na dystans dzielący jej mieszczańskie życie przy Elm Palm Gardens i Milner Street od tego połączenia amerykańskiej opery mydlanej z powieścią Choderlosa de Laclos.

Pierwszy wieczór minął bez większych emocji. Edith знаła prawie wszystkich obecnych z wyjątkiem bezbarwnej blondynki, która przyjechała z Watsonami, znajomymi Petera i Erica. Z tych dwojga mąż, imieniem Bob, wydał się jej nudny i dość pospolity, lecz żona, Annette, choć również pospolita, była ładna, zabawna i Edith poczuła do niej sympatię. Annette, która na początku lat osiemdziesiątych, jeszcze przed ślubem, pracowała jako modelka i aktorka, znała mnóstwo prześmiesznych filmowych anegdot z planów rzymskich eposów i hiszpańskich westernów i przez całą kolację, którą podano w jadalni usytuowanej w loggii na dziedzińcu, usta się jej nie zamykały. Dzięki temu Edith została oszczędzona Wielka Giełda Znajomych

Nazwisk – jedyna rzecz, której mogła się spodziewać po pozostałych.

Charles wyrażał się o Annette raczej wymijająco.

– No, trzeba przyznać, że ma mnóstwo do powiedzenia – uciał, gasząc światło.

– Mnie się podoba. Jest zabawna.

– Nie mów hop.

Mimo że nie mówił ze złością, z jakiegoś tajemniczego powodu poczuła się skarcona i opadła na poduszki pełna niejasnych obaw, niczym dziecko, które nazajutrz spodziewa się lania. Spokój jej myśli przed snem został zakłócony również z tego powodu, że była to pierwsza noc od ślubu, kiedy się nie kochali.

Obudziła się rano i odkryła, że jest sama. Z rozkosznym, wręcz namacalnym poczuciem dobrostanu zadzwoniła, jak ją pouczono, po śniadanie, a następnie ułożyła się wygodnie, aby oddać się swoim zwykłym rozważaniom o przyszłości. Pokojówka przynosząc tacę, poinformowała, że inni już zjedli i są na pomoście. Edith włożyła więc kostium kąpielowy, chwyciła ręcznik i ruszyła w dół po stromych, wyrąbanych w skale stopniach; dostrzegła Charlesa, Cumnorów i Chase'ów, lecz ani śladu pozostałych gości. Pomachała im ręką na powitanie, a już na deskach rozłożyła ręcznik i poddała się miękkim, ciepłym promieniom południowego słońca.

Charles opadł obok niej, rozsiewając krople morskiej wody.

– Dzień dobry, kochanie – obdarzył ją słonym pocałunkiem. Uśmiechnęła się i oddała pieśczętę.

– Co będziemy dziś robić? Leżeć i chłonać słońce?

Odpowiedziała jej Caroline.

– Pomyśleliśmy, że pojedziemy do Calaratjady na lunch, a potem Frankowie zaprosili nas na podwieczorek. Wszyscy są uwzględnieni.

– Kto to są Frankowie?

– To zupełnie nadzwyczajni ludzie, niesamowicie bogaci. Mają kolekcję rzeźb, której podobno nie można przegapić.

– Dlaczego są bogaci i skąd ich znacie?

– Co do pierwszego, Bóg jeden wie. Mają coś wspólnego z Franco, ale lepiej nie pytać. Co do drugiego, nikt ich nie zna, ale mama jest chrzestną jakiegoś ich bratanka z Rzymu i dała im znać, że tu będziemy.

Edith opadła na plecy i przymknęła oczy. Nie musiała się już obawiać – ta wielka siatka powiązań, ta pajęczyna sięgająca ponad granice państw, przez oceany i pasma górskie, obejmowała również ją; ona, Edith, stała się jej częścią. Wkrótce, czy to w Wiedniu, w Dublinie czy w Rzymie, ludzie będą mówili: „Spotkałem w Londynie Edith Broughton. Mówi, że jesienią wybierają się do Nowego Jorku...”, na co ktoś z Wewnętrznego Kręgu odpowie: „Ach, Edith? Co u niej słyhać?” albo jeszcze lepiej: „Szaleję za Edith Broughton. A ty?”, a wtedy ci wszyscy bywalcy salonów w Wiedniu, Dublinie czy Rzymie, którzy nie znają Edith Broughton, poczują się wykluczeni, ubożsi lub bardziej mieszczańscy, co będzie zgodne z intencją wtrącający nazwisk, zadowolonych, że po raz kolejny zaznaczyli swoją przynależność kastową. Edith zaś w tym wszystkim sumiennie odegra swoją rolę osoby, którą trudno spotkać poza określonym kręgiem. I przez krótką chwilę tego konkretnego ranka, czując na twarzy pieśczętę słońca, słuchając krzyków dzieci na dalekiej plaży, Edith zastanawiała się, jaki właściwie cel ma to nieustanne podnoszenie i opuszczanie szlabanów. Rozległ się potężny łomot, a gdy uniosła powieki, jej oczom ukazał się przerażający widok cielska Henry’ego Cunnora, który układał się obok do opalania. Jeśli to możliwe, bez ubrania robił wrażenie jeszcze większego i przypominał żartobliwą pocztówkę znad morza z podpisem: „Gdzie się podział mój wacek?”.

– A pozostali? Mamy się wszyscy zwalić na głowę tym nieszczęśnikom?

Mówił wprost przed siebie, nie zwracając się do nikogo konkretnego, dzięki czemu nie musiał poruszać żadną częścią ciała z wyjątkiem warg.

– Nie widzę powodu dlaczego by nie. – Caroline wzruszyła ramionami. – Uprzedziłam, że jest nas sporo.

Trwała w osobliwym przekonaniu, typowym dla angielskich klas wyższych, że bez względu na sytuację, bez względu na to, jak bardzo ludzie się starają, aby tak jak teraz przejawić gościnność wobec kompletnie obcych sobie osób, ona, lady Caroline Chase, robi im zaszczyt. Niepodobna, by potrafiła sobie

wyobrazić, że samo jej wejście do czyjegoś domu niekoniecznie musi być dla niego nobilitacją. Przekonana, że sam fakt jej obecności jest dla gospodarzy błogosławieństwem, nie wysilała się dla nikogo spoza swojego środowiska, wskutek czego mimo swojej inteligencji jako gość była okropną nudziarą. Jest to coś, czego ani ona, ani liczni ludzie jej pokroju nawet nie podejrzewają.

– Zapytamy ich, kiedy zejdą na dół – powiedziała.

– Jak długo zamierzają zostać? – zagadnęła Jane, unosząc się na łokciu i sięgając po olejek do opalania.

– Kto? Peter czy tamci?

– Nie, nie kochany Peter. Ten cały „Bob” i jego „Annette”.

Jane celowo umieściła te imiona w cudzysłowie, wyraźnie się od nich dystansując; pragnęła w ten sposób uzmysłwić słuchaczom, że nie uważa wymienionych za zwykłych gości, lecz za osobliwych przedstawicieli obcej kultury. Była to starannie odmierzona obelga.

– Chyba do wtorku albo do środy. – Caroline zerknęła na Erica, który kiwnął głową i zmarszczył nos. Jasno dał do zrozumienia, w czyjej drużynie zamierza grać.

– O rety! – zawołał Henry. – Kto następny w kolejce do słuchania? – Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Edith ogarnęła nieprzeparta chęć, aby podrzeć swoją przepustkę do tego klubu.

– Czyżbyście mówili o Annette? – zapytała tonem przesadnego niedowierzania. – Dziwni jesteście. Ja tam naprawdę ją polubiłam.

– No – rzekł Henry niespeszony – to możesz przy niej siedzieć podczas kolacji. Mam nadzieję, że jesteś przygotowana, żeby *ad nauseam* omawiać jej karierę filmową.

– Dlaczego nie? – zaśmiała się rozpromieniona Edith. – A o czym ty wolałbyś rozmawiać? O wspólnych znajomych ze Shropshire? – I opadła na plecy z zamkniętymi oczami i uśmiechem na ustach, rozkoszując się niezręcznym milczeniem niczym krnąbrna uczennica.

– Właściwie niezbyt często bywam w Shropshire – rzekł w końcu Henry,

odwracając się od niej, rozdęty i zdyszany niczym wieloryb rzucony na plażę z dala od wody.

– Idę się wykąpać – powiedział Charles. W restauracji z widokiem na port i flotyllę jachtów zjedli późny lunch – paellę ze zbyt dużą ilością kalmarów – po czym wyruszyli dwoma samochodami do leżącego za miastem domu Franków. Wzniesiono go nad samym morzem, a od strony lądu otaczał go wysoki mur zwieńczony warstwą tłuczonego szkła, przez co robił wrażenie niezdobytej fortecy. Stalowe skrzydła bramy, niepodobnej do żadnej innej, rozsunęły się automatycznie, gdy się przedstawili, po czym zamknęły się za nimi z łoskotem, niemal uderzając w zderzak drugiego pojazdu.

– No tak – zaśmiała się Annette. – Najwyraźniej nie spodziewali się dwóch samochodów.

Caroline, jadąca pierwszym autem z Edith, Annette i Henrym na pokładzie, nieustraszenie podążała w głąb ogromnego, pustego ogrodu, pełnego rzadko spotykanych drzew i krzewów, między którymi nęcąco błyskały rzeźby Henry’ego Moore’a i Giacomettiego. Przy wielkiej kępie rododendronów droga się rozwidlała: jedna odnoga prowadziła w górę do dziewiętnastowiecznego zamku, wznoszącego się w najwyższym punkcie posiadłości (według Edith tam właśnie zmierzali); druga w sposób dość karkołomny zbiegała w dół do innego domu, równie wielkiego, lecz całkiem nowoczesnego, stojącego nad samą wodą. Był położony tak nisko, że z drogi prawie nie było widać budynku, tylko tarasy sterczące na tle fal.

– Teraz dokąd? – zapytała Edith.

– Na dół. Pani Frank lubi bliskość morza.

– A co się dzieje na górze?

Caroline zrobiła stosownie niewyraźną minę.

– Chyba czasem mieszkają tam jej wnuki.

– Rany Julek! – zdumiała się Annette, a Edith z ciekawością odnotowała, że nikt inny nie uznał za właściwe skomentować fenomenalnego, wręcz orgiastycznego luksusu, który ich otaczał. Zaczynała pojmować, że w tym świecie pod żadnym pozorem nie wolno dać się oszołomić jakimkolwiek

pokazem bogactwa, choćby najbardziej bajecznego. Jest to wręcz kwestia honoru. Spostrzeżenie, że bogactwo w dowolnej skali nie jest rzeczą zwykłą, ba, wręcz prozaiczną, grozi posądzeniem o „mieszczństwo” – a przynależność do klasy średniej jest czymś, czemu większość ludzi z tej sfery przez całe życie nie wiadomo dlaczego stara się zaprzeczyć. Naturalnie istnieją wyjątki od reguły. Można wykrzyknąć: „Jakie to urocze!”, aby okazać uprzejmość, nie można wszakże w żaden sposób zdradzić swojego podziwu, a najlepiej jest powiedzieć: „Moja droga, ależ to imponujące!”, przy czym ton ma świadczyć o tym, że dekoracja, jadłospis lub jakiś przedmiot jest przesadny i graniczy z wulgarnością. Mistrzynią miażdżenia ludzi za pomocą entuzjastycznych uśmiechów była z pewnością lady Uckfield. Jednakże nowicjuszom trudno opanować tę umiejętność i Edith słusznie wolała nie próbować.

Gości powitał lokaj w białym fraku, który powiódł ich przez lśniące marmurem sale na taras, gdzie zastali panią Frank, spoczywającą na leżaku w jaskrawym sarongu. Była to krzepka, osmalona słońcem kobieta z masywnymi bransoletami na żyłastych, nieco męskich rękach. Gestem dłoni przywołała ich do siebie.

Caroline objęła dowodzenie.

– Jak się pani miewa? – zapytała leniwie. – Jestem Caroline Chase.

Przedstawiła gospodyni swoich towarzyszy, celowo na sekundę zawieszając głos przed trojgiem nie-Broughtonów, Bobem, Annette i dziewczyną Petera, tym samym wskazując pani Frank, że nie należą oni do ścisłego kółka i nie trzeba się nimi przejmować. Pani Frank natychmiast zrozumiała sygnał i jej uśmiech, gdy witała outsiderów, był już znacznie chłodniejszy.

– A to pewnie panna młoda – powiedziała, wstając, po czym wzięła Edith pod ramię, by wrócić do domu. Edith poczuła silną woń jej piżmowych perfum i dostrzegła fałdy pomarszczonej skóry, ściągniętej wokół wąskich, powleczonego szkarłatem warg. – Jak się pani podoba Majorka?

– Jesteśmy tu dopiero od wczoraj. Na razie wydaje mi się śliczna. – Spojrzała w szkliste, znudzone oczy gospodyni, odwzajemniając jej szeroki uśmiech.

– Koniecznie musimy jakoś panią zabawić. Proszę powiedzieć, jak tam kochana Googie?

– Świetnie. Pojechali z Tiggerem do Szkocji.

Wymawiając te idiotyczne przezwiska, Edith zdała sobie sprawę, że używa ich po raz pierwszy. Przed ślubem w duchu poprzysięgła sobie, że będzie zwracać się do teściów per Harriet i John, lecz już teraz milcząca presja poufałości, przynależności do klubu, narzucona przez panią Frank, zmusiła ją do złamania obietnicy. Prawda była taka, że bez względu na deklaracje, które składała znajomym, bardzo nie chciała zostać „obcą” synową. Nie chciała, by w salonach współczuto lady Uckfield, że Charles nie ożenił się lepiej. Chciała, by teściowej gratulowano jej, Edith, wdzięku, gustu, blasku, zdolności towarzyskich. W ten sposób dostała pierwszą, choć bynajmniej nie ostatnią lekcję, dlaczego w Anglii nigdy nie doszło do rewolucji i czemu tak wiele obiecujących karier, od wdowy po Edwardzie IV do Ramsaya MacDonalda<sup>[26]</sup>, uległo swoistej kastracji. Jesteśmy krajem, gdzie kłopotliwych outsiderów obezwładnia się, czyniąc z nich gorliwych neofitów; wystarczy dopuścić takiego do środka, a błyskawicznie stanie się *plus catholique que le Pape*<sup>[27]</sup>. Po tej nauczce niechęć Edith do nauczycieli bynajmniej się nie zmniejszyła, jednak dała jej upojną chwilę świadomości, że teraz ona również jest jedną z nich. Przeniknęło ją poczucie mocy. Odwróciła się i obdarzyła Charlesa uśmiechem.

Wizyta przewidywała oglądanie rzeźb, więc zebrani ruszyli na zewnątrz. Tuż za drzwiami wejściowymi natknęli się na młodą żyłastą kobietę, jakby pomniejszoną, łasicowatą wersję pani Frank, która najwyraźniej właśnie skończyła grać w tenisa, bo trzymała przed sobą dużą rakietę, zakrywając nią twarz jak tarczą albo wachlarzem. Dziewczyna, którą gospodyni przedstawiła jako swoją bratanicę Tinę, w przeciwieństwie do ciotki była potwornie nieśmiała. Na wyraźne polecenie dołączyła do grupy, ale prawie wcale się nie odzywała, a na pytania zadawane wprost tylko żałośnie mamrotała coś pod nosem.

Kiedy mijali basen, wycięty w małym klifie nad samym morzem, Edith usłyszała, jak Annette pyta o stojące wokół niego urny z terakoty, z których lała

się lekko parująca woda.

– To rzymskie naczynia – szepnęła Tina niemal niedosłyszalnie. – Stryj kazał je wydobyć z wraku na mieliźnie niedaleko stąd.

– I teraz są podłączone do instalacji?

– Przepraszam, co to znaczy „do instalacji”?

Charles z irytacją wszedł Annette w słowo.

– Chodzi o to, czy teraz służą do napełniania basenu.

– Tak. Wodą morską.

– Wodą morską? Podgrzaną morską wodą?

Tina przytaknęła.

– Tak jest zdrowiej, nie? Mamy drugi basen z czystą wodą, ale myślę, że tak lepiej, nie?

Annette zamilkła na dłuższy czas. Wyraźnie zaczęła się zgadzać z resztą – to nie był jej poziom. Całą grupką przystanęli na tonącym w krzewach bugenwilli tarasie, gdzie na marmurowym postumencie pysznił się męski tors dłuta Rodina, mruzczyli i podziwiali. Pani Frank, najwyraźniej dotknięta faktem, że nie zaproszono jej na ślub Charlesa, zaczęła zagadywać Caroline o jakichś wspólnych znajomych, kończąc wiele z tych pytań przypuszczeniem, że „pewnie byli na przyjęciu”. Caroline raz po raz musiała przyznawać, że owszem, byli. Wspinali się na kolejne tarasy pod lazurowym śródziemnomorskim niebem, a nazwiska sypały się jak z rękawa. Co słychać u Esterhazyh? Polignaców? Devonshire’ów? Metternichów? Frescobaldich? Nazwiska wyjęte z podręczników historii, które Edith знаła z lekcji o hiszpańskim Filipie II, o *risorgimento*, o rewolucji francuskiej, o kongresie wiedeńskim – tutaj słyszała wszystkie poza kontekstem, odarte z jakiegokolwiek znaczenia. Odgrywały po prostu rolę atutów, cennych atutów na towarzyskiej giełdzie. Stawka, w rzeczy samej, była wysoka i Edith z pewnym rozbawieniem odnotowała, że Jane Cumnor i Eric spasowali i przyłączyli się do Tiny, bez wątpienia pragnąc uniknąć poczucia wykluczenia, na które z taką przyjemnością narażali innych. Natomiast Caroline i Charles zupełnie się nie przejęli. Frankowie mogli mieć miliony,



ale to oni, Broughtonowie, przebijali każde nazwisko, i to z nadwyżką. I tak mijало to popołudnie – na litanii księżnych i wyliczankach hrabin, intonowanych na tle dzieł sztuki w świątyni pieniądza. Do nowoczesnego pałacu nad morzem wrócili po godzinie i trzech kwadransach.

Na tarasie czekali już na nich trzech lokaje w białych liberiach, aby podać herbatę „w stylu angielskim”, to znaczy tak, jak sobie ten styl wyobraża amerykański hotel. Pani Frank wskazała im krzesła. Bob, Annette i dziewczyna Petera, całkowicie zdruzgotani, potajemnie marzyli już tylko o tym, by wrócić do willi i przerobić całe to przeżycie w zabawną historyjkę. Idący na końcu grupy Eric był cały czerwony z wysiłku, a także ogromnie rozdrażniony faktem, że towarzyska ignorancja uniemożliwia mu udział w rozmowie, której ośrodek przez całe popołudnie stanowiła głównie jego żona. Opadł ciężko na szezlong obok Edith i chwycił podsuwaną mu filiżankę.

Pani Frank znów zwróciła swoją uwagę na młodą mężatkę.

– Proszę mi powiedzieć, czy Hilary Weston była na ślubie? Ktoś mi mówił, że utknęła w Kanadzie.

Eric spojrzał na nią i parsknął.

– Chyba nie ma sensu pytać o to Edith, staruszko. Musi pani poczekać, aż się trochę lepiej podszkoli.

Edith zignorowała go. Miłosierny przypadek zrządził, że na przyjęciu ślubnym dość długo rozmawiała z panią Weston. W duchu dziękując swojej świętej patronce, odpowiedziała pogodnie nad głową Erica:

– Ależ owszem, była, jak najbardziej. To Galen utknął na Florydzie i nie dał rady wrócić. Przypuszczalnie ten ktoś właśnie ten fakt miał na myśli.

Pani Frank kiwnęła głową, zerkając badawczo na Erica.

– Ona tak dużo robi! Przy niej czuję się jak leniwiec. – I zajęła się kolejnym gościem. Edith zdała egzamin.

Eric opadł na poduszki i spojrzał na nią.

– Dobra robota. W dziesiątkę.

Odwzajemniła jego spojrzenie; nie zamierzała oddać ani cała zdobytego terenu.

– Znasz Hilary?

– Mniej więcej tak samo jak ty – odrzekł Eric i wstał, by dołączyć do Caroline po drugiej stronie tarasu.

Edith poczuła się dziwnie orzeźwiona tą wymianą zdań. Ponad wszelką wątpliwość ustaliła, że Eric jest jej wrogiem w obrębie rodzinnego kręgu, nie musiała więc już udawać, a co najlepsze, wygrała pierwszą rundę.

Kiedy Charles pod wieczór przyszedł się przebrać do kolacji, zastał ją śpiewającą pod prysznicem.

– Wyglądasz na szczęśliwą. – Uśmiechnął się. – Dobrze się dzisiaj bawiłaś? Ale kolekcja! Ale dom! – W prywatnym gronie, wśród dorosłych osób świadomych swoich czynów nawet w najwyższych sferach podziw nie jest jeszcze czymś zakazanym. Charles najwyraźniej już zbyt długo powstrzymywał się od zdumienia.

– No! I tak, jestem szczęśliwa.

Zakręciła kran i pocałowała go, naga i mokra. Kilka następnych minut, a w istocie cały wieczór, należały do najprzyjemniejszych, jakie dotąd z Charlesem przeżyła, więc tej nocy wchodziła do łóżka zadowolona, z poczuciem zwycięstwa i dobrostanu.

Charles odwrócił się do niej.

– Jak rozumiem, panie Frank chcą nas przed wyjazdem zaprosić na kolację.

Skrzywiła się lekko.

– Ojej. Czy na pewno musimy?

– Daj spokój, kochanie – rzekł Charles. – To miło z ich strony, nie są takie złe.

– Starsza pani nie jest zła, ale ta bratanica to koszmar.

Roześmiał się.

– Wydawała mi się dość słodka. Musimy być życzliwi.

Edith uniosła się na łokciach i przyjrzała mu się.

– Powiedz mi, dlaczego taką Annette, która jest rozmowna i zabawna, wszyscy traktujecie chłodno i marszczycie nos za jej plecami, ale gotowi

jesteście usprawiedliwiać Tinę Frank, najnudniejszą i najbanalniejszą dziewczynę, jaką spotkałam w życiu, i udajecie, że jest „słodka”?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Owszem, Charles, wiesz doskonale. – Czuła się dziwnie pewna siebie, niemal radosna. Po raz pierwszy od ślubu zaczęło do niej docierać, że naprawdę jest lady Broughton. Doskonale sobie poradziła i zgodnie z odwieczną tradycją „miała prawo do własnego zdania”. Mówiła więc dalej, uśmiechnięta, lecz surowa. – Wiesz doskonale – powtórzyła – i ja ci powiem, dlaczego tak jest. Annette nie zna ludzi, których znamy my i Tina Frank, a poza tym Tina ma sto milionów. Kochanie, czy to cię czasem nie dziwi? Chociaż odrobinę?

Edith trochę zanadto się rozbrykała. Uśmiechnęła się do męża pytająco i lekko potrząsnęła głową, wyobrażając sobie, jak uroczo wygląda z lokami opadającymi na kark.

Charles zmierzył ją wzrokiem.

– Kto to są ci ludzie, których znasz ty i Tina Frank? – odrzekł kwaśno i zgasił światło.

CZĘŚĆ DRUGA

*Forte – piano* [\[28\]](#)

Choć po powrocie z podróży poślubnej Edith od czasu do czasu bywała z mężem w Londynie, przez kilka miesięcy prawie jej nie widywałem. Gniazdko teściowej na Cadogan Square najwyraźniej jej się nie podobało, kiedy więc chcieli z Charlesem pójść do teatru lub na przyjęcie, na ogół korzystali z jego kawalerki przy Eaton Place. Parę razy natknąłem się na nich na jakichś przyjęciach; któregoś dnia w październiku zostałem nawet zaproszony na drinka do ich maleńkiego saloniku na piętrze, ale nie miałem okazji z nimi naprawdę porozmawiać. W każdym razie Edith wyglądała na szczęśliwą i zaczęła już nabierać owej szczególnej patyny nietykalności, *luxe*, która odróżnia klasy uprzywilejowane od nas, zwykłych śmiertelników. Z rozbawieniem zaobserwowałem również początki *hauteur* – wyniosłości, pod którą powoli zacierały się atrybuty wesołej dziewczyny z Fulham. Przed Bożym Narodzeniem zupełnie znikli mi z oczu – odniosłem nawet wrażenie, że powoli dryfuję poza ich krąg – gdy dostałem liścik z wizytówką, nie od Edith wszakże, lecz od Charlesa, który zapraszał mnie na całodzienne polowanie w styczniu. Wypadało ono w piątek; ja miałem przyjechać na kolację w czwartek i przenocować, a z faktu, że nic więcej nie napisano, wywnioskowałem, iż zapewne tuż po polowaniu powinienem zniknąć, by zrobić miejsce dla gości przybywających w sobotę. Zaproszenie zostało wysłane dość późno, co oznaczało, że zajmuję miejsce kogoś, kto się wycofał, nie umniejszało to jednak jego atrakcyjności, zwłaszcza że wiedziałem, że akurat w tym terminie będę wolny. Podpisałem wprawdzie umowę na rolę złoczyńcy tygodnia w jednym z owych niekończących się seriali, w których występuje para młodych detektywów, lecz zdjęcia zaczynały się dopiero pięć dni później. Odpisałem więc Charlesowi, że przyjadę z przyjemnością, i niemal odwrotną pocztą dostałem wskazówki dojazdu autem oraz koleją

wraz z rozkładem jazdy pociągów. Ostatecznie wybrałem samochód i dotarłem do Broughton tuż po wpół do szóstej.

Lubię polować. Wiem, że trudno to zrozumieć moim miłym przyjaciółom z londyńskich teatrów – bo wieśniacka społeczność przeciwnie, pojmuje to z łatwością – nie zamierzam wszakże wdawać się tu w obronę myślistwa, gdyż nie spotkałem jeszcze nikogo, kto na skutek rozmowy zmieniłby zdanie. Nie wydaje mi się zbyt logiczne, że ludzie, którzy wesoło konsumują mięso z przemysłowego chowu, równocześnie potrafią głośno krytykować uświadomionych ekologicznie leśników, jednakże jestem gotów przyznać, że nie wszystkie ludzkie uczucia – jeśli w ogóle jakieś – muszą być logicznie uzasadnione. Tak czy inaczej, w tamtym okresie moje sportowe zacięcie sprowadzało się do wiejskich polowań, więc z prawdziwą przyjemnością wyruszyłem, by wziąć udział w spodziewanym, prawdziwie edwardiańskim *Grand Battu*<sup>[29]</sup>.

Drogę znałem dość dobrze, bo często jeździłem na weekendy do Eastonów, niemniej wyjazd z Londynu na południe bywa koszmarny, więc zazwyczaj zostawiam sobie trochę czasu na korki. Tym razem jednak nie wziąłem pod uwagę, że jadę w czwartek, a nie w piątek, toteż podróż przebiegła dość gładko. Przy wejściu kamerdyner o nieprawdopodobnym imieniu Jagon powiadomił mnie, że lady Uckfield i lady Broughton przebywają obecnie w żółtym salonie, gdzie dobiega końca zebranie jakiegoś komitetu.

Nie miałem najmniejszej ochoty się przyłączać – wystarczą mi te zebrania, w których sam muszę brać udział – postanowiłem więc zaczekać w Sali Marmurowej, w zdumiewająco wygodnym fotelu z pracowni Williama Kenta. Nie czekałem zbyt długo; niebawem drzwi otworzyły się, wypuszczając kilkoro uczestników narady, uniżenie żegnających się z Edith, która odprowadzała ich do wyjścia. Jednak na mój widok natychmiast porzuciła gości.

– Dzień dobry! – zawołała. – Nie wiedziałam, że już tu jesteś.

– Przyjechałem trochę za wcześnie, więc pomyślałem, że posiedzę tutaj, żeby ci nie psuć uciechy.

Zgarbiła się, wzdychając zabawnie.

– Też mi uciecha! – powiedziała. – Chodź i napij się przeparzonej herbaty.

I nie zważając na skinienia i uśmiechy wychodzących, zaprowadziła mnie z powrotem do salonu. Nikt nie zaprotestował przeciwko takiemu traktowaniu. Nic podobnego. Zlekceważyła ich, by mnie powitać, lecz ten afront miał jedynie taki skutek, że przemykając się w kierunku schodów, objęli uśmiechami także i mnie, przypuszczalnie uznając, że ja również zostałem naznaczony złotą różdżką.

Pozostali członkowie komitetu stanowili zwykłą zbieraninę prowincjonalnych intelektualistów, pań radnych z mocną trwałą ondulacją oraz do obłędu znudzonych farmerów. Ci również szykowali się już do odejścia, zbierając swoje rzeczy z roztargnieniem zdradzającym chęć „złapania” kogoś, zanim wyjdą. Naturalnie większość z nich wzięła sobie na cel lady Uckfield, siedzącą w ładnym fotelu przy kominku w kręgu wielbicieli, jednak niektórzy, zniechęceni konkurencją, zadowalali się pięcioma minutami z Edith.

Zbliżyłem się do gospodyni, która podniosła się z miejsca, by mnie ucałować, tym samym dając sygnał, że audiencja dobiegła końca.

– Do widzenia, lady Uckfield – powiedział czarnoskóry radny w luźnym malarskim kitlu – i bardzo dziękuję.

– Nie, to ja dziękuję – odparła lady Uckfield ze swoją zwykłą intymną prostotą. – Podobno robicie w Cramney wspaniałe rzeczy. Aż iskrzy. Nie mogę się doczekać, żeby was zobaczyć.

Rozpromieniony rozmówca z miejsca odrzucił swoje socjalistyczne przekonania.

– Będziemy zachwyceni, mogąc tam panią widzieć. – I odszedł, rozpluwając się w uśmiechach.

– Gdzie jest Cramney? – zapytałem.

– Jakieś upiorne miasteczko w hrabstwie Kent – wzruszyła ramionami lady Uckfield. – Chcesz herbaty?

Kiedy wreszcie dotarłem do swojego pokoju, moje walizki były już rozpakowane i frakowa koszula, muszka, skarpetki i szarfa czekały na mnie, rozłożone na łóżku, nigdzie natomiast nie dostrzegłem czystych gacek.

Przeszukałem wszystkie szuflady i właśnie zaglądałem pod łóżko, gdy za moimi plecami rozległ się głos.

– Czegoż tak szukasz?

Odwróciłem się i ujrzałem Tommy’ego Wainwrighta, stojącego w drzwiach łączących mój pokój (znany również jako Pokój Ogrodowy) z sąsiednim, nieco większym Pokojem Różanego Aksamitu, w którym sam był zakwaterowany. Prawdę mówiąc, mimo imponujących nazw pokoje były niewielkie, gdyż w czasach, gdy próbowano powiększyć dom o kilkanaście gorszych sypialni, tak by zbytnio nie popsuć fasady, architekt upchnął je w bocznym skrzydle na czymś w rodzaju antresoli. W rezultacie, pomimo pachnących nazw, wszystkie miały okna od północy, niespełna osiem stóp wysokości oraz widok na dziedziniec stajni.

Przez jakiś czas szukaliśmy mojej zaginionej bielizny, po czym daliśmy spokój, porzucając ją własnemu losowi. Przypuszczalnie w jakiejś szufladzie w Pokoju Ogrodowym w Broughton Hall po dziś dzień tkwi para starych majtek. Tommy poszedł do swojego pokoju i wrócił, niosąc małą butelkę szkockiej oraz dwa kubki do płukania zębów.

– Sprzęt niezbędny w hotelach i rezydencjach wiejskich – oznajmił, nalewając nam obu po sporej porcji.

– Skąpią wody? – zapytałem.

Fantastyczne niewygody oraz ordynarna nędza, na którą angielscy arystokraci gotowi są narażać zaproszonych przyjaciół (a także ludzi całkowicie obcych), wprawiają mnie w osłupienie od czasów młodości. Przydzielano mi już łazienki, gdzie z kranu ledwie ciurkał strumyczek brązowej wody, sypialnie, w których nie dawało się zamknąć drzwi, sypiałem pod kocykami jak bibułka na poduszkach jak kamienie. Tłukłem się godzinami przez pół kraju, żeby zjeść z jakimś wielkopańskim krewnym mojego ojca lunch, na który dawano mi jedną kiełbasę, dwa ziemniaczki i dwadzieścia osiem groszków. Któregoś razu, nocując w pewnym domu w Hampshire, zmarłem tak bardzo, że w końcu rzuciłem wszystkie swoje ubrania na stertę, dołożyłem dwa wytarte ręczniki, po czym wczółgałem się pod to do łóżka, kładąc na wierzch strzępek łysego tureckiego dywanu, który stanowił jedyne



okrycie wielkiej gołej podłogi. Gospodyni, która przysłała rano mnie obudzić, nie wyraziła najmniejszego zainteresowania moim szmacianym sarkofagiem – prawdę mówiąc, w ogóle jej nie obeszło, jak spędziłem noc. Gdy myślę o epoce edwardiańskiej i jej upojeniu luksusem, wydaje mi się co najmniej dziwne, że potomkowie tamtych ludzi są w takim stopniu niewrażliwi na komfort. Ostatnio wprawdzie zauważyłem, że wygody, tak pożądane przez nowobogackich, zaczynają powoli przenikać również do domów *anciens riches*, ale, mój Boże, jak to długo trwa!

W odpowiedzi na moje pytanie Tommy potrząsnął głową przecząco.

– Nie, nie. Skądże. Nic podobnego. Lord Uckfield wręcz leje ludziom alkohol do gardła. Po prostu nie chce mi się szukać drinka, kiedy się przebieram do obiadu. To zbyt skomplikowane.

Usiedliśmy, żeby poplotkować chwilę, więc zapytałem Tommy'ego, czy często widuje Broughtonów.

– Właściwie nie. – Pokręcił głową. – Zazwyczaj przebywają tutaj, na wsi. Muszę powiedzieć, że trochę się dziwię, iż Edith zadowolona się rozpieszczaniem tubylców i rozdawaniem nagród w miejscowych konkursach rolniczych, niemniej stwierdzam, że prawie nie bywają w Londynie.

Ja również sądziłem, że Edith zapewne nie jest zadowolona – zwłaszcza że nowożeńcy wciąż mieszkali w pałacu z rodzicami Charlesa. Zaraz po ślubie mówiło się o remoncie jednego z wiejskich domów na terenie posiadłości, zapytałem więc Tommy'ego, czy coś mu o tym wiadomo.

– Nie jestem pewny, czy wciąż mają taki zamiar – powiedział. – Mam wrażenie, że się zniechęcili.

– Naprawdę?

– Wiem. Dziwne, prawda? Ona chce tu zostać, a teściowie są zachwyceni, więc pewnie szybko skończą remontować Brook Farm i komuś ją wynajmą.

– A więc zajmują apartament w pałacu?

– Niezupełnie. Edith ma salonik na górze, no i naturalnie Charles ma swój gabinet, ale na tym koniec. Trochę jak w tych amerykańskich operach mydlanych, gdzie bohaterowie z majątkiem wartym sto milionów dolarów

mieszkają na kupie w jednym domu z wielkimi schodami.

Pokręciłem głową.

– Przypuszczalnie Charlesowi ten układ się podoba, ale dla młodej żony to musi być dość uciążliwe.

Charles, podobnie jak całe jego plemię, nie pozostawał nieczuły na fakt, że w każdych okolicznościach jest traktowany „wyjątkowo” – w istocie Edith zdążyła już zauważyć, że bardzo się złościł, gdy mu się tego odmawiało – potrafiłem zatem zrozumieć, iż spędziwszy życie na udawaniu, nie dostrzega, jak fantastycznie barokowe jest jego otoczenie, bardzo niechętnie zgodziłby się z niego zrezygnować.

Angielskie klasy wyższe cechuje głęboka, podświadoma potrzeba, by za pomocą artefaktów podkreślać, jak bardzo różnią się od reszty społeczeństwa. Nie ma dla nich rzeczy bardziej przygnębiającej (i mniej przekonującej) od sytuacji, gdy roszczenia do rangi, kondycji, pochodzenia i genealogii są pozbawione należytej oprawy, rekwizytów i towarzystwa. Nawet kawalerkę w Putney muszą wyposażyć w akwarelę babci w krynolinie i parę przyzwoitych antyków, nie mówiąc już o pamiątkach z uprzywilejowanego dzieciństwa. Inaczej sobie tego nie wyobrażają. Przedmioty stanowią swego rodzaju znaki, dzięki którym gość natychmiast się orientuje, w którym miejscu drabiny klasowej pragnie być postrzegany właściciel. Jednak najważniejszym i najbardziej absolutnym wyznacznikiem czyjejs pozycji społecznej jest to, czy jego rodzinie udało się zachować dwór i majątek albo przynajmniej znaczną jego część. Oto prawdziwy papierek lakmusowy. Czasem słyszy się, jak jakiś arystokrata z wyższością tłumaczy przybyszowi z Ameryki, że w Anglii nie liczą się pieniądze, że człowiek może nie mieć grosza przy duszy, byleby „należał do towarzystwa”, i że ziemia „w obecnych czasach to raczej obciążenie”, lecz w głębi duszy mówiący wcale w to nie wierzy. Wie doskonale, że przedstawiciele rodu, który utracił wszystko oprócz herbu – te wszystkie księżne w domkach opodal Cheyne Walk, ci wicehrabiowie w mieszkankach na Ebury Street, choćby obwieszonych portretami przodków i widokami starego dworu („teraz jest tam chyba szkoła rolnicza”) – są przez swoich traktowani jako beznadziejnie *déclassés*. Nie trzeba wspominać, że

owa potrzeba materialnego potwierdzenia rangi jest otoczona milczeniem jak, nie przymierzając, masońskie obrzędy.

Naturalnie Broughtonowie zajmowali w tej hierarchii niezwykle wysoką pozycję. Należeli do tych nielicznych rodów, którym w latach dziewięćdziesiątych udało się zachować wpływy i majątek; było wiadomo, że wkrótce nastanie dzień, gdy Charles wkroczy do Broughton Hall jako jego właściciel. Niemniej, słuchając Tommy'ego, nabrałem podejrzeń, że Charles po prostu się obawia, że ci wszyscy ludzie, którzy z przejęciem ściskają mu dłoń w Sali Marmurowej, błędnie uznają go za zwykłego człowieka, widząc go w perkalowej bawialni wiejskiego domu. Pod tym względem jednak się myliłem.

– Nie – pokręcił głową Tommy. – On nie miałby nic przeciwko temu. Już dawno się przyzwyczaił do tego pomysłu. – Zamyślił się, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. – No cóż. Idę się przebrać.

Przed kolacją zebraliśmy się w małym rodzinnym saloniku, który stanowił część ładnego apartamentu od strony ogrodu i był o wiele mniej przytłaczający niż przylegający doń Czerwony Salon, gdzie odbyło się przyjęcie zaręczynowe. Oprócz Tommy'ego rozpoznałem jeszcze kilka twarzy – Petera Broughtona, który gdzieś zgubił swoją nudną blondynkę, oraz Caroline Chase, gawędzącą w kącie z najstarszą córką lady Tenby, Daphne, zamężną z tępym drugim synem jakiegoś hrabiego ze środkowej Anglii. Oboje unieśli wzrok, ostrożnie uśmiechając się do mnie przez pokój. Z drżeniem serca rozejrzałem się za Erikiem i w końcu dostrzegłem go z jakimś nieszczęsnym starszym panem, którego raczył wściekłą perorą na temat obecnej sytuacji w City, pochłaniając jedną whisky po drugiej. Rozmówca wpatrywał się w czerwoną twarz Erica z fascynacją zająca oślepionego reflektorami samochodu.

– Czego chciałbyś się napić? – Lady Uckfield stanęła u mojego boku, wysyłając Jagona po szklanekę szkockiej z lodem. Podążyła za moim spojrzeniem. – Dobry Boże! Eric wyraźnie konwersuje do upadłego.

– Kim jest szczęśliwy słuchacz jego zwierzeń? – zapytałem z uśmiechem.

– Biedny Henri de Montalambert.

Nie wiem już skąd, ale wiedziałem, że duc de Montalambert jest

skoligacony z Broughtonami. Jego książęcy tytuł, jako nadany przez Ludwika XVIII dopiero w 1820 roku, wedle francuskich standardów nie uchodził za zbyt elegancki (Francuzi tytułów mają znacznie więcej niż my, mogą więc sobie pozwolić na ich stopniowanie), lecz wspaniałe małżeństwo w dziewięćdziesiątych latach XIX wieku z dziedziczką króla stali z Cincinnati wyniosło jego ród do rangi dynastii de Trémouille i Uzè. Ton gospodyni wskazywałby, że jest on starym przyjacielem rodziny, jednak lady Uckfield zawsze skrywała swoje prawdziwe uczucia nawet przed samą sobą, toteż nie byłam w stanie ocenić rzeczywistego stopnia tej zażyłości.

– Robi wrażenie ogłuszonego – mruknąłem.

Skinęła głową, tłumiąc chichot.

– Nie mam pojęcia, co on z tego rozumie. Prawie nie mówi po angielsku. Nieważne. Eric i tak niczego nie zauważy. – Przyjęła mój śmiech jako należny trybut, po czym mnie za niego skarciła. – No, no, przez ciebie robię się złośliwa.

– Jak długo monsieur de Montalambert tu zostanie?

– Całe trzy dni – odparła z grymasem lady Uckfield. – Nie wiem, co robić. Ja jestem wciąż na etapie *où est la plume de ma tante*<sup>[30]</sup>, a Tiggera stać tylko na *encore*. Henri ożenił się z naszą kuzynką trzydzieści lat temu, lecz wątpię, czy od tamtej pory zamieniliśmy choćby tyle słów.

– A więc istnieje jakaś anglojęzyczna księżna de Montalambert?

– Istniała. Ale ponieważ nie żyje i była głucha jak pień, to teraz już nie może nam pomóc. Ty, jak sądzę, nie mówisz po francusku?

– Odrobinę – przyznałem, czując ssanie w żołądku. Oczyma duszy ujrzałem pośpiesznie przesuwane wizytówki przy nakryciach i czekające mnie niemrawe rozmowy bez końca.

Dostrzegła moją minę.

– Głowa do góry, posadzimy między wami Edith. – Obrzuciła mnie swoim ptasim, kokieteryjnym spojrzeniem. – Jak znajdujesz naszą młodą małżonkę?

– Świetnie wygląda – powiedziałem. – Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałem jej równie ładnej.

– Owszem, wygląda bardzo dobrze. – Lady Uckfield zawahała się na ułamek sekundy. – Mam tylko nadzieję, że się u nas dobrze bawi. Ma niezwykle powodzenie, wiesz? Kłopot w tym, że wszyscy ją uwielbiają, więc trudno uniknąć wciągania jej w nasze żałosne, nudne obowiązki. Obawiam się, że dość samolubnie zwałam na nią wiele naszych spraw.

– Znając Edith, mam pewność, że bardzo się cieszy. To wielki krok naprzód w stosunku do odbierania telefonów na Milner Street.

– No cóż, jeśli faktycznie tak jest...

– Najwyraźniej odpuściła sobie Londyn, więc chyba postępujecie właściwie.

– Tak – rzekła dziarsko. – Najważniejsze, że są szczęśliwi, prawda?

Oddaliła się, by powitać nowych gości, a mnie przyszło do głowy, że chyba przegapiłem jakiś zawijas w meandrach cudownie uporządkowanego mózgu lady Uckfield.

Kolacja, co było do przewidzenia, szła jak po grudzie. Po prawej miałem Daphne Bolingbroke, przyjemnie chłodną córkę lady Tenby, więc w czasie pierwszego dania jeszcze nieźle sobie radziłem, jednak słysząc zza pleców odgłosy dzielnych zmagania Edith z monsieur de Montalambertem, z trudem koncentrowałem się na własnej konwersacji. Problem polegał na tym, że Edith mówiła po francusku mniej więcej tak samo jak jej sąsiad po angielsku – okropnie, lecz nie tak źle, by wykluczyć wszelkie próby. Byłoby prościej, gdyby żadne z nich nie znało ani słowa w języku rozmówcy; niestety, mówili akurat tyle, żeby wprowadzić kompletne zamieszanie. Edith plotła bez końca, że niektóre dzielnice Paryża są *bon*, Londyn zaś *épouvantable*<sup>[31]</sup>, podczas gdy monsieur de Montalambert na przemian albo nic nie rozumiał, albo, co gorsza, nagle pojmował, co znaczy jakaś uwaga Edith i zalewał ją potokiem francuskich wyrazów, z których rozróżniała tylko nieliczne.

Podano kolejne danie, więc odwróciłem się, by oszczędzić Edith dalszych udręka, jednak de Montalambert nie zastosował się do angielskiej reguły i nie chciał zrezygnować z rozmówczyni. Przeciwnie, korzystając z lekkiej poprawy komunikacji, jaka nastąpiła dzięki mojej skromnej francuszczyźnie, jął namiętnie demaskować niegodziwość swojego rządu, powołując się,

w sposób dla mnie całkiem niezrozumiały, na księcia Devizes, ministra króla Ludwika XVIII.

– O czym mowa? – zapytała Edith cicho, nie zakłócając ewidentnie niepowstrzymanej fali galijskiej wymowy.

– Bóg jeden wie. Chyba o okresie restauracji we Francji.

– Rany.

Prawdę mówiąc, oboje byliśmy już kompletnie wyczerpani i marzyliśmy o chwili wytchnienia, jednak księżę wciąż stanowczo ignorował siedzącą po jego lewicy lady Uckfield; nie muszę dodawać, że ta była zachwycona tym pogwałceniem konwencji.

Księżę urwał i uśmiechnął się. Wyczułem zmianę tematu. Przewrotnie, gdy odkrył, że mówię po francusku lepiej niż Edith, uznał, że przyszła pora, żeby zademonstrować swoje opanowanie angielskiego.

– Pan lubi seks? – zapytał przyjaźnie. – Pan myśli, że ma dużo strzałów?

Akurat w tej chwili Edith postanowiła się napić wody i oczywiście wszystko poszło jej nosem. Chwyciła serwetkę i bez powodzenia próbowała upozorować atak kaszlu, czułem również, że Daphne po mojej prawej stronie dygocze od tłumionego śmiechu. Stół zaczęła ogarniać rozpaczliwa sztubacka histeria.

– Wydaje mi się – rzekła lady Uckfield, wyczuwając tchnienie niepokojów społecznych – że Henri pyta, czy dobrze znasz Sussex. – Mówiła tonem stanowczym, niczym nauczycielka do garstki rozbrykanych uczniów, lecz jej słowa nieuchronnie zapoczątkowały kolejny napad śmiechawki. Edith, czerwona na twarzy, niemal płakała, usiłując zapanować nad rozradowaniem.

W tym momencie Charles spojrział na nas z drugiego końca stołu. Naturalnie wszystko przegapił.

– Kochanie – powiedział – nie wiesz, co zrobiłem z drugim pokrowcem na strzelbę? Richard chciałby jutro go pożyczyć, a ja nie mam pojęcia, gdzie on jest.

Te słowa osiągnęły to, czego nie udało się dokonać jego matce, opadając na wzbierającą wesołość niczym ciężki koc przeciwpożarowy i skutecznie ją

tlamsząc. Zapadło bezbarwne milczenie, po czym Edith odpowiedziała:

– Pożyczyłeś go Billy’emu Westbrookowi.

I odwracając się plecami do uciążliwego sąsiada, popatrzyła mi w oczy. W tamtej chwili, słysząc jej cierpliwą odpowiedź i wyczuwając znużenie, chyba zacząłem zdawać sobie sprawę, że pakt, który zawarła, nie należy do najłatwiejszych.

Mimo że następnego ranka wstałem wcześniej, w jadalni zastałem już większość gości, którzy pałaszowali znakomite śniadanie w stylu fin de siècle, rozstawione w srebrnych podgrzewaczach na kredensie. Nałożyłem sobie kilka bogatych w cholesterol potraw i z talerzem w ręku przysiadłem na pustym krześle obok Tommy’ego.

– Losujemy numery czy po prostu mówią nam, gdzie stanąć? – zapytałem.

– Losujemy. Charles przygotował strasznie kosztowne srebrne naczynie z ponumerowanymi zwitkami papieru. Zrobimy to, kiedy zbierzemy się w holu. Grunt, żeby nie wylosować miejsca obok Erica.

Przypuszczalnie była to dobra rada z bardzo wielu powodów, ale z miny Tommy’ego wywnioskowałem, że chodzi o zwykły instynkt samozachowawczy. Ostatecznie wyładowałem nie najgorzej, gdyż od Chase’a oddzielał mnie nieszczęsny monsieur de Montalambert – który, jak dostrzegłem, wyraźnie sposepniał po losowaniu; może po prostu obawiał się kolejnego wykładu o przewagach funta nad euro? – a z prawej strony miałem Petera Broughtona. W sumie było nas ośmiu strzelających, z czego czterech miało własnych ładowaczy, więc wraz z żonami, psami i tak dalej stanowiliśmy całkiem sporą grupkę. Wsiadając do czekającego na podjeździe land rovera, zauważyłem, że nie ma z nami Edith. Jej nieobecność wyjaśniła się po trzeciej nagonce, gdy pojawiła się z termosami pysznego bulionu zaprawionego wódką (oraz, dla bardziej cnotliwych, bez wódki).

– Mogę stanąć przy tobie czy to cię będzie rozpraszać? – zapytała.

– Ależ proszę cię bardzo. Nie da się mnie rozproszyć. Sam czy w towarzystwie, i tak nie trafiam do celu. Tylko czy Charles nie będzie miał nic przeciwko temu?

– Nie. O wiele lepiej czuje się z George’em. Mówi, że ja za dużo gadam.

Nagonka szła z wysokiego lasu spory kawałek od domu i polujący ustawili się w półkole na jego skraju. Pierwotnie wylosowałem numer dwa, więc teraz, podczas czwartej tury, miałem zająć ósmą, skrajną pozycję. Przechłapaliśmy z Edith przez pole do tyczki z odpowiednim numerem i zaczęło się czekanie.

– Naprawdę cię to bawi? – zapytała, opierając się o płot z dyli na granicy drzew.

– No jasne. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj.

– Myślałam, że zgodziłeś się przyjechać, żeby mnie obejrzyć w całym moim splendorze.

– Faktycznie, to możliwe. Ale tak się składa, że naprawdę lubię polować. To bardzo miło z twojej i Charlesa strony, żeście mnie zaprosili.

– Och, to nie był mój pomysł. – Urwała. – Oczywiście, jestem zachwycona, że przyjechałeś, ale to Googie zaproponowała, żeby cię zaprosić.

Idiotyczne przezwiska teściów już dawno przestały jej przeszkadzać i używała ich całkiem odruchowo.

– Więc to bardzo miło z jej strony.

– Googie rzadko bywa miła bez powodu.

– Nie wyobrażam sobie, jaki mogła mieć powód w tym wypadku.

Rozległ się gwizdek, więc załadowałem broń, po czym intensywnie wpatrzyłem się w czubki drzew. Paradoksalnie, Edith poczuła się swobodniej, kiedy odwróciłem się do niej plecami.

– Ona się mną martwi. Sądzi, że się nudzę, a ty możesz mnie podnieść na duchu. Wyobraża sobie, że masz na mnie dobry wpływ.

– Coś podobnego.

– Uważa, że dzięki tobie przypomnę sobie, jakie miałam szczęście.

– A nie miałaś?

Edith zmarszczyła nos i przeciągnęła się przy płocie.

– Ojej – powiedziałem. – Tylko nie mów, że już zdążyłaś się znudzić.



– Tak.

Westchnąłem lekko. Nie będę udawał, że mnie to zdziwiło; Edith ponieważ odkrywała, że dobre serce jest warte więcej niż rodowy herb, a prosta wiara liczy się bardziej niż normańska krew. Chyba przypuszczałem, że tak będzie, ale nawet wzięwszy pod uwagę wczorajszy wieczór, naprawdę było na to stanowczo za wcześnie. Podobnie jak większość jej znajomych, miałem nadzieję, że zanim dokona wiekopomnego odkrycia, że można naraz spać tylko w jednym łóżku i spożywać naraz tylko jeden posiłek, to pojawią się dzieci, dzięki którym jej nowe życie nabierze autentycznego, niepodrabianego blasku. W końcu, cokolwiek by sądzić o Charlesie, dysponował on naprawdę dobrym sercem oraz, przypuszczalnie, dość prostą wiarą. Poczułem, że wzbiera we mnie potrzeba reprimendy.

– Co właściwie cię tak nudzi? Charles? Całe to życie? Po prostu wieś? Co takiego?

Nie odpowiadała, a moją uwagę tymczasem przykuł wysoko lecący ptak. Uniosłem broń i wypaliłem z obu luf. Cietrzew odleciał wesoło.

– Muszę jednak przyznać – ciągnąłem nieco bardziej pojednawczo – że to chyba trudne, zaczynać pożycie małżeńskie pod jednym dachem z teściami, choćby ten dach był nie wiem jak pojemny.

– Nie o to chodzi. Zresztą proponowali nam Brook Farm.

– Więc czemuście się nie zgodzili?

Edith wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Robi wrażenie... klitki.

Oczywiście nagle stało się dla mnie zupełnie jasne, na czym polega prawdziwy problem – po prostu nudziła się jak mops. We wspaniałych wnętrzach Broughton Hall jeszcze jakoś mogła to wytrzymać; otoczona ludźmi, zawsze miała z kim porozmawiać, upajając się zawiścią w cudzych oczach, ale we dwoje z Charlesem na jakiejś farmie... Wykluczone.

– Skoro tak się nudzisz, to czemu częściej nie bywasz w Londynie? Teraz już w ogóle cię nie widzimy.

Wlepiała wzrok w swoje zielone kalosze.

– Nie wiem. Mieszkanie jest małe i Charles go nienawidzi. I zawsze jest z tym cholernie dużo zachodu.

– Nie możesz się wymknąć sama?

Spojrzała na mnie zdumiona.

– No nie, raczej nie. Chyba nie powinnam, jak sądzisz?

Przyjrzałem się jej uważnie.

– Nie – odparłem.

A więc to tak. Za ledwie osiem miesięcy po ślubie była już śmiertelnie zmęczona swoim mężem. Co więcej, bała się zacząć życie w Londynie, bo nie miała najmniejszych wątpliwości, że przepadłaby natychmiast i bez reszty. Miała przynajmniej tyle godności, że pragnęła dotrzymać faustowskiego paktu, który dobrowolnie podpisała.

Uśmiechnąłem się.

– Cóż, jak to się mówi niegrzecznym dzieciom, pewnie byś nie wytrzymała. – Przytaknęła ponuro. – Z kim się tutaj widzisz? Mogę się założyć, że raczej nie z Isabel.

Skrzywiła się.

– Przykro mi, ale rzeczywiście, spotykam ich niechętnie. Wciąż dają mi do zrozumienia, że jakoś zawiodłam Davida. Na przykład nieustannie przymawiają się o zaproszenie na polowanie. Po prostu nie miałam odwagi się przyznać, że u nas będziecie.

– Charles nie chce go zapraszać?

– Nie, nie o to chodzi. To znaczy Charles by go zaprosił, gdybym sobie życzyła, ale wiesz, to jednak całkiem inne towarzystwo, bez względu na to, co oni o tym sądzą. A David potrafi być trochę... – zawahała się – siermiężny.

Biedny David! Do czego to doszło! Te wszystkie lata w Ascot, drinki u Brooksa, dni na wyścigach! Po czym okazuje się, że Edith się go wstydzi! Świat jest okrutny. Naturalnie rozumiałem, co ona ma na myśli, ale nie czułem się współwinny.

– W końcu będziesz musiała im powiedzieć, że tu byłem. Nie życzę sobie, by Isabel dowiedziała się skądinąd i uznała, że spiskujemy przeciwko niej. –

Edith pokiwała głową. – Co to za „inne towarzystwo”? Fajni ludzie?

Westchnęła, machinalnie zeskrobując z kurtki Barbour zaschnięte błoto.

– Super. Wiem już prawie wszystko o zarządzaniu majątkiem. Potrafię przez sen wymienić części konia. A jeśli istnieje coś, czego nie dowiedziałam się o dobroczynności, to zapewniam cię, że nie warto się tego uczyć.

– No ale przecież na pewno sporo podróżujesz. To cię nie ciekawi?

– Och, ogromnie! Wiedziałaś, że naczynia z wodą, które we Włoszech stawiają obok talerza, służą do mycia owoców, nie do płukania palców? Że w Ameryce za nic nie wolno rozmawiać o areałach? Że w Hiszpanii tylko największy prostak jada nożem jajko, bez względu na to, jak jest przyrządzone? – Urwała zdyszana.

– O jajku nie wiedziałem – przyznałem, mierząc do kolejnego ptaka, który przelatywał mi nad głową. – Chyba jest ktoś, kogo lubisz.

– Chyba.

– A rodzina? Widzą, jak strasznie się nudzisz?

– Google, owszem. Kochany Tigger oczywiście nie, on jest zbyt tępy, by cokolwiek zauważyć, póki sam nie oberwie w łeb. Caroline, przypuszczalnie.

– A Charles?

Edith wpatrzyła się w wierzchołki drzew.

– Rzecz w tym, że on jest całkowicie tym wszystkim pochłonięty. I sądzi, że ja też dam się pochłonać, muszę tylko się wciągnąć. Uważa, że potrzebuję „czasu na przystosowanie”.

– Moim zdaniem to brzmi rozsądnie. – Naturalnie już w chwili, gdy wypowiadałem te słowa, wiedziałem, że sprawiam jej zawód, stając po stronie Charlesa. Ale za nic nie potrafiłem wymyślić, co innego miałbym zrobić. Sprawa była jasna: Edith w poszukiwaniu awansu społecznego wyszła za człowieka, który – nie ze swojej winy – był znacznie mniej lotny niż ona. Taki układ zawarła. Żadne dąsy i pouczenia nie mogły zamienić Charlesa w mężczyznę dowcipnego i dynamicznego. Z drugiej strony miałem wątpliwości, czy Edith jest gotowa wrócić na poziom, z którego awansowała tak niedawno, i znów dołączyć do zwykłych śmiertelników. Po prostu padła

ofiara powszechnego w naszym stuleciu pragnienia, aby zjeść ciastko, a równocześnie zachować swoje pół pensa.

– Ale na pewno masz mnóstwo do roboty. Snułaś przecież wielkie plany, żeby przeszukać strych i od nowa napisać przewodnik.

– Tak naprawdę na strychu nie ma nic z wyjątkiem sterty wiktoriańskich mebli. Google odzyskała wszystkie lepsze sprzęty już wiele lat temu. A na moją sugestię, żeby w przewodniku było więcej materiału o rodzinie, nasz bibliotekarz tylko się zirytował. – Ziewnęła. – Tak czy inaczej, Charles i Tigger kompletnie nie są zainteresowani. Ich zdaniem to pospolite, wiedzieć za dużo. Więc w końcu się zniechęciłam.

– No to będziesz musiała zająć się czym innym. Nie wierzę, że nie dostajesz propozycji od miejscowych organizacji dobroczynnych. – Zdawałem sobie sprawę, że przemawiam jak niemiecka guwernantka, ale prawdę mówiąc, tak się właśnie czułem, patrząc na rozkapryszoną piękność stojącą pod płótem z odętą miną.

Westchnęła ze znużeniem.

– Chcesz powiedzieć, jak sądzę, że powinnam jakoś to przetrzymać?

– No, a jakie masz inne wyjście?

Spojrzała mi w oczy, lecz w tej chwili rozległ się gwizdek obwieszczający koniec polowania. Wróciliśmy do terenówek, gdzie trafiliśmy w sam środek awantury; M. de Montalambert oskarżył Erica Chase'a, że ten strzelił mu przed samym nosem. Eric, rzecz jasna, straszliwie się wściekł, jego oponent, tłumiąc furję, mamrotał pod nosem niezwykle obrazowe francuskie określenia, których nigdy dotąd nie słyszałem, aż w końcu zostałem powołany jako niezależny świadek. Niestety, z przykrością okazało się, że zajęty rozmową z Edith w ogóle nie zauważyłem całego zajścia.

Caroline uważnie wysłuchiwała moich protestów i z aprobatą pokiwała głową.

– Bardzo słusznie – rzekła beznamiętnie. – Na twoim miejscu trzymałabym się od tego jak najdalej.

Nie byłem pewny, o czym konkretnie mówi.

Siedziałem już w samochodzie – była to owa niezręczna chwila, gdy jedna grupa gości odjeżdża, zanim przybędzie kolejny kontyngent – kiedy zobaczyłem Charlesa, który przebiegł zwirowy placyk przed domem i zatrzymał się obok mnie. Odkręciłem okno, zastanawiając się, co takiego przeoczyłem, bo pożegnania, napiwki i autografy miałem już za sobą.

– Zapomniałem cię zapytać – wydyszał Charles – ale zwróciła się do nas jakaś wytwórnia filmowa. Ojciec nie bardzo wie, co zrobić. To twoja branża. Jak sądzisz, powinniśmy się zgodzić?

– Chcą w Broughton kręcić film?

– Owszem. Nie wiem, czy to będzie prawdziwy film, czy jeden z tych seriali dla telewizji. Co to za ludzie? Czy to jest bezpieczne?

Wypowiadając się jako aktor, bezwzględnie i w żadnych okolicznościach nie dopuściłbym ekipy filmowej do swojego domu na odległość mili, niemniej muszę stwierdzić, że w wypadku produkcji, która kwalifikuje się jako „historyczna”, filmowcy zazwyczaj zachowują się bardziej odpowiedzialnie. Oczywiście, jak niemal wszystko w życiu, odpowiedź na pytanie, czy warto się w coś wdawać, zależy od tego, co nam z tego przyjdzie. Doradziłem więc Charlesowi jak potrafiłem i podałem mu nazwę agencji, która miała pewną wprawę w takich negocjacjach, usilnie sugerując, żeby zastosował się do jej zaleceń.

Podziękował i uśmiechnął się.

– Ustalając warunki kontraktu – powiedział – musimy zażądać, żebyś też wystąpił w tym filmie.

## 10

To dziwne, ale w przeciwieństwie do większości moich filmowych znajomych Charles dotrzymał słowa. Film, o którym mowa, był jednym z owych telewizyjnych obrazów, do których angażuje się wszystkich modnych aktorów cierpiących akurat na brak pieniędzy, po czym wyświetla przez wiele godzin przez trzy soboty z rzędu. Miała to być historia sióstr Gunning, nikomu nieznanym irlandzkim piękności, które w roku 1750 przybyły do Londynu i wzięły go szturmem, jedna bowiem poślubiła księcia Coventry, druga zaś – diuka Hamilton. Tak się złożyło, że małżeństwo Hamiltonów nie było udane, lecz dzięki przedwczesnej śmierci diuka sytuacja diuszesy rychło uległa poprawie – wdowa wykazała się pewnym polotem i niebawem wyszła za swojego długoletniego adoratora, pułkownika Johna Campbella, dziedzica szkockiego księstwa Argyll.

Była to oczywiście osnowa, na jakiej chętnie tka się pseudohistoryczne miniseriale. Broughton mogło w nim zagrać zarówno pałac Hamilton (zburzony w latach dwudziestych), jak i zamek Inverary (który wprawdzie wciąż istniał, lecz nie był brany pod uwagę bądź ze względu na odległość, bądź dlatego, że obecny książę Argyll nie był tym pomysłem zachwycony), a niektóre tutejsze wnętrza mogły z powodzeniem udawać dawny splendor georgiańskiego Londynu.

Reżyserem całości był Anglik nazwiskiem Christopher Twist, który pod koniec lat sześćdziesiątych odniósł pewien sukces, robiąc kilka modnych wówczas, zwariowanych kawałków, i dzięki swojej reputacji nadal jakoś utrzymywał się na powierzchni. Znałem kierowniczkę obsady, która w przeszłości traktowała mnie życzliwie, uznałem więc, że propozycja całkiem przyzwoitej roli Waltera Creeveya (plotkarza z epoki, domniemanego powiernika obu sióstr, chociaż nie wydaje mi się, by istniało wiele

konkretnych dowodów na tę przyjaźń) to jej robota. Jednak ledwie zdążyłem usiąść, sprawa się wydała.

– Podobno jest pan bliskim przyjacielem hrabiego Broughton – powiedział Twist.

Jestem zdania, że nawet krótkotrwałym mieszkańcom Hollywood należy wybaczyć popadanie w amerykański styl bycia; inaczej niż wiele innych ludów naszego globu, Los Angelinos nie cenią żadnego kodeksu manier poza swoim własnym. Niemniej trochę się zirytowałem, nie tyle dlatego, że Twist przekręcił tytuł Charlesa i popełnił niezręczność, przytaczając go w całości, ile z powodu nader natrętnej frazy „bliski przyjaciel”. Wiem z doświadczenia, że jeśli ktoś nazywa się „bliskim przyjacielem” jakiegoś celebryty, to zazwyczaj zna go co najwyżej przelotnie. Podobnie fraza „źródła zbliżone do pary królewskiej” zwykle stanowi synonim plotek rozpowszechnianych w najbardziej zewnętrznych kręgach królewskich pieczeniarzy.

– Owszem, znam go trochę – odparłem krótko.

Twist bynajmniej się nie zraził.

– No więc on bardzo wysoko pana ceni – kontynuował, wypowiadając się w owej dziwnej śródatlantyckiej manierze, przywodzącej na myśl telewizyjny talk-show, gdzie każda uwaga, choćby najbardziej trywialna, ma na celu: a) podkreślić życzliwość mówiącego, b) bezwzględnie uciąć wszelkie rozsądne rozważania na jakikolwiek temat.

– Tak – dodał, prostując nogi i ukazując kowbojskie buty w okropne indiańskie wzory. – No to proszę mi coś opowiedzieć o sobie.

Komuś, kto nie jest aktorem, trudno wyobrazić sobie otchłań przygnębienia, w jaką wtrąca człowieka takie pytanie: oto trzeba wyciągnąć wszystkie szczegóły swojej kariery i zaprezentować je niczym tandetną zawartość wytartej walizki komiwojażera. Pominę zatem ten przykry epizod, powiem jedynie, że dostałem tę rolę. Bynajmniej nie dzięki „temu czemuś o sobie”, ale dlatego że Twist nie chciał się narazić lady Uckfield, która, jak się później dowiedziałem, podobno bardzo się przy mnie upierała.

Kiedy tylko dostałem od agenta potwierdzenie, że istotnie, zostałem zatrudniony na pełne dwa miesiące zdjęć – z czego półtora miesiąca

w Broughton lub okolicach – natychmiast zadzwoniłem do Edith.

– Ależ to absolutnie podniecające! Naturalnie będziesz mieszkał u nas.

Oczywiście zawsze miło, kiedy nas zapraszają, jednak postanowiłem już, że nie zatrzymam się w pałacu Broughton. Przewidywałem, że moja znajomość z właścicielami i bez tego stanie się źródłem pewnych napięć; gdybym u nich zamieszkał, niebawem zostałbym już całkiem wykluczony z ekipy pracującej nad filmem.

– Jesteś bardzo miła, ale nie sądzę, żebyście wytrzymali ze mną przez półtora miesiąca.

– Nie mów głupstw. Oczywiście, że wytrzymamy.

– Nie jestem aż tak nierozważny, żeby wystawiać was na próbę.

Edith nabrała już w takich rozmowach dostatecznie dużo wprawy, aby zrozumieć, że właśnie spotkała się z odmową, więc nie nalegała dalej. Wyjaśniłem, że wraz z resztą ekipy zakwaterowano mnie w hotelu przerobionym z wiejskiego domu leżącego tuż pod Uckfield, więc naturalnie będziemy się często widywać. Muszę przyznać, że mała degustacja podczas polowania bardzo pobudziła mój apetyt i – rzecz dość paskudna z mojej strony – ogromnie pragnąłem obejrzeć Edith i Charlesa w domowych pieleszach. Być może w głębi mojej duszy tliła się iskierka *Schadenfreude*, upiornej satysfakcji z niedoli przyjaciół, chociaż mam nadzieję, że tak nie było. Jednakże byłem przy tym, gdy Edith wstąpiła do krainy marzeń, a obawiam się, że czyjeś rozczarowanie darami losu zawsze sprawia nam pewną przyjemność. To nagroda pocieszenia dla nieudaczników.

Przez kilka kolejnych tygodni regularnie chodziłem na przymiarki kostiumów i peruk w pracowniach Bermansa i Wig Creations, czasem natykając się na innych członków obsady. Miałem świadomość, że nasz produkt pod względem artystycznym jest od początku skazany na klęskę, bo role sióstr Gunning powierzono dwóm amerykańskim blondynkom z Hollywood, będącym, jak to się mówi, „w przerwie” między odcinkami jakiegoś serialu policyjnego. Nie chcę tu wyjść na snoba – istnieje wiele ról, które niewątpliwie powinny być grane przez amerykańskie blondynki. Zamierzam jedynie powiedzieć, że obsadzając Louanne Peters i Jane Darnell



w rolach rokokowych dam, producenci dali dowód, że są gotowi poświęcić wszystko na ołtarzu oglądalności i niniejszym rezygnują z nadania jakiegokolwiek wiarygodności swojej wizji osiemnastowiecznego Londynu. Trudno mieć o to do nich pretensje – ja przynajmniej bym ich nie miał, gdyby choć raz się do tego przyznali. Tymczasem jednak musieliśmy przesiadywać w knajpach na planie, w nieskończoność wysłuchując skarg, jak to trudno zdobyć świeczniki albo czepki z epoki, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, że główne bohaterki nie są i nigdy nie będą w najmniejszym stopniu prawdopodobne. Aktorzy naśmiewają się z takich sytuacji, traktując je na zasadzie „bierz forszę i w nogi”, niemniej było to okropnie deprymujące.

W każdym razie ucieszyłem się na wieść, że panią Gunning, matkę obu sióstr, grać będzie aktorka nazwiskiem Bella Stevens, z którą zaraz po ukończeniu szkoły aktorskiej występowałem w teatrze objazdowym, zakwaterowany w tym samym domku w Northampton; pomyślałem, że miło będzie odnowić dawną przyjaźń, mimo że żadne z nas nie próbowało jej podtrzymać.

Życie teatralne ma tę dziwną i dość wyjątkową cechę, że podczas wspólnej pracy wytwarza się między ludźmi głęboka więź, po czym wszyscy wracają do domu i dosłownie nigdy nie podnoszą słuchawki, żeby nawiązać ponowny kontakt. Ciągające się tygodniami łzawe poufałości, nie mówiąc już o związkach seksualnych, zrywane są z dnia na dzień, bez oglądania się za siebie. Naturalnie z samego charakteru naszej pracy nieuchronnie wynika pewna intymność relacji, których nie da się później w całości podtrzymywać, choćby ze względu na ogrom zajęć. Jednak dziwnie się czuję ze świadomością, że po ulicach Londynu chodzi spora liczba ludzi, którzy wiedzą o mnie znacznie więcej niż najbliższa rodzina.

Ale i odwrotnie – nie ma chyba większej przyjemności niż odnowienie starej przyjaźni po kilku latach przerwy, jako że nie wymaga ona wówczas żadnych wstępów. Zażyłość już istnieje i można ją podjąć w każdej chwili niczym robótkę odłożoną na bok dziesięć lat temu. Tak właśnie stało się z Bellą i ze mną. Szalenie silna osobowość i mroczna, niemal sataniczna uroda – coś jakby połączenie Joan Crawford z commedia dell'arte – szły u niej

w parze z dobrym sercem, frywolnym, lecz dowcipnym językiem oraz talentem do gotowania, liczyłem więc, że będziemy mieli o czym rozmawiać. Z pewnością mieliśmy co wspominać, gdyż teatr repertuarowy, gdzie oboje zaczynaliśmy karierę – ona jako odtwórczyni głównych ról, ja jako pomocnik inspicjenta – nawet jak na owe czasy był domeną chaosu pod sympatycznym kierownictwem cynicznego alkoholika, który przesypiał większość prób i niemal wszystkie przedstawienia, co skutkowało mnóstwem przerażających i jednocześnie prześmiesznych incydentów.

Telefon zadzwonił, gdy wciąż dochodziłem do siebie po wstrząsie, jaki wywarł na mnie widok hotelowego pokoju utrzymanego w obowiązkowej, brązowo-pomarańczowej kolorystyce; to Bella chciała umówić się ze mną za godzinę. Zastałem ją w barze, siedzącą przy stoliku z kolegą, który przedstawił się jako Simon Russell i był mi trochę znany ze słyszenia. Tutaj załapał się na niezłą rolę (jeśli tak można nazwać jakąkolwiek rolę w tym gnioście) pułkownika Johna Campbella, wiernego kochanka naszej głównej heroiny, a także, przez ostatnie pięć minut filmu, księcia Argyll.

Uroda fizyczna to temat, który ludzie często obchodzą bokiem i niemal zawsze usiłują zbagatelizować, jakby pragnęli tym samym zademonstrować swój pion moralny; pozostaje jednak faktem, że jest ona chwałą i ozdobą ludzkiej egzystencji. Oczywiście istnieje wiele atrakcyjnych osób, które nie są piękne, zdarzają się również straszliwie nudne piękności; ponadto w wypadku ludzi młodych uroda bywa bardzo niebezpieczna, gdyż dzięki niej życie wydaje się zwodniczo proste. Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę, niemniej wiem również, że spośród czterech darów, którymi dobre wróżki mogą nas obdarzyć w kołysce – a są to rozum, pochodzenie, uroda i pieniądze – tylko uroda potrafi spowodować, że wszystkie zamknięte drzwi otwierają się przed nami za jednym dotknięciem. Czy chodzi o rozmowę kwalifikacyjną, czy o miejsce przy stole, o korzystny awans czy o podwózkę na szosie, każdy, bez względu na płeć i upodobania seksualne, woli mieć do czynienia z ładną buzią.

Nikt nie jest tego bardziej świadomy niż same piękności. Szanują moc, którą posiadają, traktując ją zarazem jako oczywistość. Wbrew moralistom

głędzącym o przemijalności urody jest to bowiem moc, której nigdy całkiem się nie traci. Zazwyczaj nawet w zmarszczonej twarzy dziewięćdziesięciolatka, zgarbionego i wspartego na lasce, wciąż da się dostrzec styl i pewność siebie, dzięki którym przyciągał wszystkie spojrzenia na przedwojennych balach. A nie ulegało wątpliwości, że Simon Russell był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałem. Trudno nawet go nazwać przystojnym, gdyż słowo to sugeruje piękno ograniczone do aspektu męskiego, jakąś surową, acz pociągającą niedoskonałość. W twarzy Russella niczego takiego nie dostrzegłem. Była po prostu idealna. Miał jasne, gęste włosy, puklami opadające na kształtne czoło, i duże, zdumiewająco niebieskie oczy, rzeźbiony i klasyczny nos (nigdy nie lubiłem swojego nosa, więc jestem na tym punkcie dość wrażliwy) oraz wyraziste, nieco dziewczęce usta, które ukazywały równe, białe, odrobinę zbyt ostre zęby. I bynajmniej na tym doskonałość się nie kończyła, gdyż w wypadku Simona nie było mowy o wątej sylwetce, zwykle kojarzonej z aktorskim typem wiotkiego blond arystokraty – Russell miał ciało atlety, szczupłe, muskularne i zgrabne. Krótko mówiąc, stanowił wspaniały okaz, jakby bogowie, znudzeni nieustannym psuciem swojego dzieła, tym razem wypuścili produkt bez skazy. Jeżeli w ogóle miał jakieś wady – a doprawdy trudno było się ich doszukać – to chyba odrobinę za krótkie nogi w stosunku do wzrostu. Później dowiedziałem się zresztą, że ten maleńki detal, istny pyłek na firmamencie, stanowił dla niego codzienne źródło udręki, co dowodzi jedynie, jak paranoidalny i niewdzięczny bywa rodzaj ludzki.

Za nic nie chcieliśmy spotkać reżysera ani dłużej siedzieć w hotelowej jadalni, więc jakiś czas później przenieśliśmy się do dziwacznej restauracji w samym Uckfield, o wystroju nawiązującym, ni mniej, ni więcej, do motywów Dzikiego Zachodu, gdzie wygodnie rozlokowani w przytulnym boksie spędziliśmy miły wieczór, niezwykle krzepiący jako początek wspólnej pracy. Simon, który towarzysko okazał się bardzo miły – śliczne istoty mają to do siebie, że przebywać z nimi jest lekko i przyjemnie – dużo mówił o swojej żonie i trójce dzieci, dwóch dziewczynkach i chłopcu (wówczas i później poznaliśmy o nich całe mnóstwo szczegółów), o sobie zaś i swoich triumfach opowiadał w sposób swobodny i nieskrępowany, jak to potrafią tylko ludzie

egocentryczni do szpiku kości. Jednak przy tym wszystkim był zabawny, miły i czarujący; dobrze też uzupełniał frenetyczną elokwencję Belli. Poza tym ewidentnie był niewiarygodnym flirciarzem. Każda wymiana zdań z innym śmiertelnikiem, od kelnerki po zapytanego o drogę przechodnia, była okraszona jego promiennym uśmiechem; każdy człowiek – nieważne, księżę czy żebrak – musiał zostać wprzęgnięty do jego rydwanu. Świetnie się bawiłem, oglądając go przy tej robocie.

– Nie sądzę, żebym wytrzymała półtora miesiąca w pokoju, który mi dali – oznajmiła Bella. – Na początku pomyślałam, że to jakaś pomyłka. Ma wielkość szuflady, a łazienka mieści się w szafie. – Machnęła ręką, zamawiając kolejną butelkę.

Truizmem jest stwierdzenie, że zbiorowy rzeczownik określający aktorów to „narzekacze”. Największą uciechą ludziom teatru sprawia wspólne biadolenie na warunki, w których przyszło im pracować, spać i zmieniać kostiumy. Jest taki stary dowcip o aktorze, który po pięciu latach bezrobocia, będąc niemal na krawędzi samobójstwa, dostaje główną rolę w filmie z Julią Roberts, po czym zapytany, czy to prawda, odpowiada: „Tak. A najlepsze w tym wszystkim jest to, że jutro mam wolne”. Niemniej nawet ja, który niewiele dbam o takie rzeczy, poczułem lekkie przygnębienie, mając przed sobą perspektywę sześciu tygodni w pomieszczeniu oklejonym brązowo-pomarańczową tapetą. Wtedy właśnie któreś z nas wpadło na pomysł, żebyśmy we troje wynajęli jakiś domek. Oczywiście wspólne mieszkanie zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem, więc uznaliśmy, że będziemy przedłużać wynajem z tygodnia na tydzień, niemniej mogliśmy w ten sposób sporo zaoszczędzić i w ogóle poprawić swoją sytuację.

– Trochę się dowiadywałam – zauważyła Bella. – Jedyne problemy, że niemal wszystko w tej okolicy należy do majątku Broughton, a właściciele podobno nie bardzo chcą wynajmować na krótkie terminy. Jest absolutne embargo na wynajem wakacyjny.

– A faceci od filmu nie mogliby użyć swoich wpływów? – Na twarz Simona wypłynął łagodny uśmiech człowieka, któremu zawsze udaje się przewyciężyć niewygodne status quo. – Chyba rodzina nieźle na nas zarabia.

Może jest ktoś, kto ma z nimi dobre stosunki. Przynajmniej na tym etapie.

Postanowiłem się wtrącić; nazajutrz zaczynaliśmy zdjęcia i z pewnością mój związek z Broughtonami i tak wyszedłby na jaw.

– Ja ich trochę znam – oznajmiłem. – Nie wiem, czy mają coś do wynajęcia, lecz oczywiście zapytam.

Bellę ucieszył taki obrót spraw, ale szczególnie się nie zdziwiła. Z dawnych czasów wiedziała, że prowadzę podwójne życie, lecz nie będąc z natury snobką, nie czuła potrzeby zajmowania w tej sprawie stanowiska. Jednak oślepiający błysk w oku Simona, który spojrzał na mnie ze zniewalającym uśmiechem, powiedział mi, że znacząco zyskałem w jego ocenie.

Resztką pozorów prysła następnego ranka, gdy zjawiłem się na planie sceny balu, w tym samym Czerwonym Salonie, gdzie Charles i Edith urządzili przyjęcie zaręczynowe. Zebrali się tutaj chyba wszyscy odtwórcy głównych ról w swoich umownych kostiumach, kiedy do sali wkroczyła lady Uckfield.

– Ach, markizo! – zawołał Twist z ukłonem, który, jak sądzę, uważał za dworski, po czym z pompą godną dyrektora manufaktury w Midlands zaczął przedstawiać jej członków obsady. Najmniejsze drgnienie nie zmąciło spokojnego oblicza uśmiechniętej gospodyni, która wszakże na mój widok porzuciła pozostałych, ucałowała mnie w oba policzki i podprowadziła do okna. W jednej sekundzie stałem się dla całej ekipy człowiekiem napiętnowanym i minęło dobrych kilka tygodni, zanim odzyskałem minimalną wiarygodność jako aktor.

– Edith mówi, że nie chcesz u nas zamieszkać.

– To ogromnie miło z waszej strony, ale szczerze mówiąc, nie bardzo. Mógłbym przez pomyłkę zapomnieć, do której drużyny należę.

Roześmiała się i obrzuciła wzrokiem pokój.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – powiedziała. – Więc gdzie się ulokujesz? Chyba nie zamierzasz serio utkwąć w miejscowym pubie?

Wspomniałem smętne broszurki na hotelowej toalecie, zachwalające „splendor dworu Notley Park”.

– Raczej nie.

– Dzięki Bogu.

– Prawdę mówiąc, zastanawialiśmy się we troje, czy nie dałoby się czegoś wynająć na terenie majątku. Jak pani sądzi? Nie musi być luksusowo. Wystarczą nam oddzielne pokoje i gorąca woda.

– Których troje?

Skinieniem głowy wskazałem na Bellę, zasznurowaną w bordowy aksamit i pogrążoną w rozmowie z Simonem. Miał na sobie kostium z błękitnego jedwabiu ozdobiony koronką przy szyi i rękawach; jego peruka, inaczej niż peruki statystów, nie sprawiała wrażenia, jakby zdjęto ją z topielca w Tamizie, lecz okalała mu twarz gęstwą loków tylko trochę bujniejszych i jaśniejszych niż jego prawdziwe włosy. Zauważył nasze spojrzenia i odpowiedział uśmiechem.

Lady Uckfield ostrożnie się odwzajemniła.

– Rany boskie, ależ on piękny.

– To nasz wątek miłosny.

– Wierzę ci na słowo. – Odwróciła się ku mnie. – Jestem pewna, że uda mi się coś załatwić. Jeśli naprawdę nie przeszkadza wam brak mebli, to prawdopodobnie będziecie mogli zamieszkać w Brook Farm. Poproszę Charlesa, żeby się tym zajął. Wpadnij do nas dzisiaj na kolację i przyprowadź tych dwoje. Celem weryfikacji – dodała rzeczowo na odchodnym. – Około ósmej, nie obowiązują stroje wieczorowe.

– Jesteś pewny, że to w porządku? – zapytała Bella po raz dwunasty, gdy samochód z chrzęstem zatrzymał się przed wejściem.

– Jestem pewny.

Wygramoliła się z auta.

– Boże, nie zabrałam nic oprócz drelichów i swetrów.

W rzeczywistości w czarnym kostiumiku i wielkich kolczykach wyglądała dość zalotnie, niczym francuska piosenkarka w jakimś politycznie wywrotowym *boîte*<sup>[32]</sup>.

Simon, podchodząc do wielkich półkolistych schodów, zachowywał się znacznie spokojniej. Był jednym z tych aktorów – nie ma ich zbyt wielu, lecz

z pewnością nie występują pojedynczo – którzy tak często grają arystokratów w telewizji, że w końcu nabierają przekonania, iż naprawdę nimi są. Nosił już chyba każdy mundur, zwyciężał niemal w każdym starciu, polował z chartami i tańczył do upadłego w jednym serialowym tasiemcu po drugim, teraz więc w jakiś sposób uwierzył, iż zalicza się do ludzi, którzy buty zamawiają u Lobba, a kapelusze u Locka i że dawno byłby już członkiem klubu White'a, gdyby tylko wiedziano tam o jego istnieniu – jednym słowem: że naprawdę należy do *gratin*<sup>[33]</sup>. Rozparty na kanapach w salonach Fulham, lubił wyrażać się lekceważąco o młodszych członkach rodziny królewskiej, robiąc minę człowieka, który coś wie, ale nie powie. Prawdę mówiąc, nie różnił się aż tak bardzo od mieszkającego po sąsiedzku Davida Eastona. Po prostu rzadziej bywał na wsi, toteż jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że trudniej jest grać taką komedię poza miastem.

Ani David, ani Simon nie pojmowali jednej podstawowej rzeczy – fakt, że wszyscy się znają, ma w tym środowisku kluczowe znaczenie. Jeśli ktoś nie jest czymś znajomym z młodości albo przynajmniej znajomym znajomego, to nigdy nie zostanie zaakceptowany jako „swój”. Żaden członek socjety po prostu nie da wiary, że mógłby nie zetknąć się, przynajmniej pośrednio, z kimś, kto miałby prawo należeć do jego kręgu. Wszystko, na co mogą liczyć ci rozliczni kierowcy wyścigowi, którzy szczerzą zęby w nieszczerych uśmiechach, ci aktorzy ze slumsów Londynu, którzy pokraśniali z zadowolenia uczestniczą w ślubach rodziny królewskiej, to posada nieoficjalnego dworskiego błazna, osobnika, z którym w każdej chwili można się pożegnać. Simon do tego stopnia nie miał pojęcia o wielkim świecie, że przez cały wieczór przejawiał wielkopańską butę, jakby pragnął zademonstrować zebranym, iż zwykł jadać kolacje w pałacach arystokracji w całym kraju. Nie muszę chyba dodawać, że ani to nikogo nie zwiódło, ani nie zainteresowało.

Kiedy Jago wprowadził nas do rodzinnego salonu, zastaliśmy tam całą czwórkę domowników pogrążonych w cichej lekturze. Odniosłem wrażenie, choć nie byłem tego pewny, że atmosfera jest dość ciężka. Lady Uckfield wstała, by nas powitać, a słysząc egzaltowany ton Belli, natychmiast podprowadziła ją do swojego męża – dostrzegła od razu, że Bella mu się

spodoba – podczas gdy Simon natychmiast dopadł Charlesa, by poruszyć z nim kwestię Brook Farm. Charles początkowo niemal się wzdrygnął pod tym dzikim naporem, jednak zaraz się opanował; prawdę mówiąc, po chwili kiwał już głową z przyjaznym uśmiechem, przypuszczalnie więc wszystko było na dobrej drodze. Edith skinęła mi na powitanie, nie odłożyła jednak książki i nie wstała, mimo że Simon, wyraźnie zaciekawiony, rzucał jej z ukosa znaczące spojrzenia. Wygłosił jeszcze kilka daremnych uwag, lecz widząc jej obojętność, zrezygnował i ponownie zaczął olśniewać jej męża.

Lady Uckfield przyniosła mi whisky z wodą sodową, mój wieczorny drink. Zrobiła to niepytana, co mi bardzo pochlebiło.

– Charles sądzi, że jeśli mówicie serio, to Brook Farm będzie dla was w sam raz – powiedziała, podążając za moim wzrokiem. – Obiecał polecić panu Robertsowi, żeby zajrzał tam rano. I tak dom musi być gotowy najpóźniej w przyszłym miesiącu, więc przyśpieszenie robót dobrze mu zrobi. Możecie się wprowadzić choćby pojutrze, jeśli wam nie przeszkadzają prace budowlane. Mam nadzieję, że dzięki temu będziemy was często widywać.

– Nawet nazbyt często, jak sądzę – mruknąłem, po czym zawahałem się. – Ale czy nie szykowaliście Brook Farm dla Charlesa i Edith?

Lady Uckfield przytaknęła.

– Owszem, ale zmienili zdanie. – Zerknęła na mnie. – Dla nas z Tiggerem jest tam zbyt ślicznie – rzekła stanowczo.

Pokiwałem głową.

– Ślicznie – powtórzyłem.

Biedny Charles przy kolacji usychał z nudów. Bella z powodzeniem zabawiała lorda Uckfielda, hałaśliwie opowiadając mu wysoce niestosowne anegdoty, które zachwyciły go do tego stopnia, że nie dopuszczał nikogo innego do rozmowy. Simon, nieco bardziej obyczajnie, częstował tym samym lady Uckfield na drugim końcu stołu. Edith ewidentnie nie miała mężowi wiele do powiedzenia, choć prawdę mówiąc, nie miała wiele do powiedzenia nikomu z nas. Dostrzegłem jednak, że spod oka obserwuje Simona, który rozsiewał przed jej teściową cały swój blask, dowcip i wdzięk. Naturalnie w osobie lady Uckfield napotkał godnego przeciwnika – nigdy nie dałaby się



złapać w tak wątlą sieć – ale jedno muszę mu przyznać: tym razem jasno zdawał sobie sprawę, że jest zdeklasowany, czego rzadko bywał świadomy w czasie, kiedy go znałem.

– Twój przyjaciel aktor najwyraźniej jest bardzo pewny siebie – powiedziała Edith.

– Czemu jesteś dzisiaj taka zrzędliva? Co się z tobą dzieje?

– Nic. Wcale nie jestem zrzędliva. Chociaż czuję się trochę dotknięta, że nam odmówiłeś i wolisz tych dwoje. Naprawdę sądzisz, że będzie ci przyjemnie z nimi mieszkać? – Mówiła półgłosem, ledwie ją słyszałem, jakby celowo chciała mnie zaintrygować.

– Nie rozumiem dlaczego nie.

Znów obrzuciła Simona ostrym spojrzeniem.

– Trzeba przyznać, że bardzo przypadł Googie do gustu. Przy herbacie oznajmiła, że wynajęła Brook Farm najprzystojniejszemu mężczyźnie, jakiego widziała w życiu. Byłam bardzo zaskoczona.

– Naprawdę? – zapytałem.

Popatrzyliśmy, jak Russell ze śmiechem flirtuje z naszą gospodynią. Jego bujna czupryna lśniła w blasku świec, nieustannie zarzucał głową, niczym nerwowy ogier; oczy, ciemniejsze niż za dnia, promieniały jak szlifowane szafiry. Wróciłem wzrokiem do Edith. Oczywiście ona również była piękna, zdecydowanie najpiękniejsza przy stole, ale tego wieczoru zdałem sobie sprawę, że całe jej ożywienie zniknęło. Przypomniałem sobie, jak z błyskiem w oku zwracała się do lorda Uckfielda, gdy ogłaszano jej zaręczyny, dzisiaj jej delikatny, sekretny uśmiech zamienił się w wyniosły grymas, z którym stanowczo nie było jej do twarzy.

– Chyba faktycznie jest przystojny – rzekła pobłaźliwie. – Ale aktorzy to straszne baby, gdy chodzi o wygląd. Nie można poważnie traktować mężczyzny, który martwi się o maskarę i tusz.

Odwróciłem się do niej.

– A ktoś ci każe traktować go poważnie?

Edith zajęła się swoim talerzem.

Hrabina Broughton leżała w wannie z ponurą miną, obracając się od czasu do czasu, żeby strumyczek ciepłej wody ciekący z kranu, wprawnie przekręcanego palcami stóp, równomiernie opływał jej ciało. Wkrótce Mary przyniesie śniadanie, myślała, i zdziwi się, zastając ją w łazience. Będzie to wyłom w rutynie, która w czasie ośmiu miesięcy zdążyła się już ustalić w jej nieciekawym życiu. Nawet Charles wyglądał na zaskoczonego, gdy zaspana wyszła z łóżka i puściła wodę do wanny.

– Będziesz się teraz kąpać? – zapytał, patrząc na nią wzrokiem zdziwionego pieska. Jak zwykle lękał się każdej zmiany, ale nie ośmielił się zakwestionować jej decyzji.

– Tak. A nie wolno?

– Skądże. Skądże. – Charles nie był wojownikiem. – Po prostu zawsze kąpiesz się po śniadaniu.

– Wiem. A dzisiaj wykąpię się przed śniadaniem. W porządku?

– Tak. Tak. Oczywiście. – Musiał mówić głośniej, bo weszła już do łazienki i zaczęła szczotkować zęby. – Wybieram się z Robertsem do Brook Farm. Chcesz z nami jechać?

– Nie bardzo.

– Chcemy sprawdzić, co jeszcze trzeba zrobić. Pewnie niewiele, jeśli zamierzają tam mieszkać tylko kilka tygodni. Moim zdaniem to w ogóle dziwny pomysł. Nie byłoby im wygodniej w hotelu?

– No, oni najwyraźniej sądzą inaczej.

– Tak. Tak. Chyba tak. No dobrze. Jak ci się podoba pozostałych dwoje?

– Prawie z nimi nie rozmawiałam. Twój rodzice nie dali mi na to większych szans.

Charles się roześmiał.

– Muszę przyznać, że ta Bella nieźle zabawiała staruszka przez cały wieczór. Wyobrażam sobie, jak ojciec niby to przypadkiem zagląda do Brook Farm, żeby zapytać, czy nie potrzeba jej pół szklanki cukru. A ten Russell wygląda mi na czarusia.

– Google wyraźnie jest pod wrażeniem.

Ale Charles powiedział już wszystko, co chciał powiedzieć, i porzucając żonę oraz jej nowe obyczaje, udał się do garderoby.

Bez względu na to, jak to brzmiało, nie miał absolutnie nic przeciwko wynajęciu Brook Farm. Wręcz przeciwnie – dzięki temu zyskał pretekst, aby podgonić remont, a skoro Edith zniechęciła się do pomysłu, by tam zamieszkać, chciał jak najprędzej oddać dom w dzierżawę i mieć sprawę z głowy. Puste, ładne pokoje, których urządzenie tak szczegółowo omawiali tuż po ślubie, były dla niego wyrzutem sumienia, zdumiewającym dowodem na to, że... No właśnie na co? Że czegoś nie zrozumiał? Ale co takiego miał rozumieć? Najpierw doskonale bawili się w dom, a on posłusznie (choć było mu wszystko jedno) wybierał próbki tapet i kawałki obić; robili zawołane aluzje, że jedna sypialnia „może się kiedyś przydać”, i planowali przy niej większą łazienkę, niż nakazywał rozsądek. Po czym z dnia na dzień wszystko to jakoś... Charles zdawał sobie sprawę z niezadowolenia żony. Zbyt przejmował się jej nastrojami, by zignorować oznaki frustracji, ale nie mógł pojąć, skąd się wzięła. Co się zmieniło? Nie miał absolutnie żadnego pomysłu na to, jak ratować sytuację. Proponował, żeby spędzali więcej czasu w Londynie, ale nie, to jej nie odpowiadało. Próbował ją namówić, by udzielała się w pałacowym sklepiku i punkcie dla odwiedzających, ale nie, nie chciała wchodzić w paradę jego matce. Pewne nadzieje wiązał z przeprowadzką do Brook Farm, gdzie Edith mogłaby zorganizować sobie życie towarzyskie niezależnie od jego rodziców, lecz ona pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, oznajmiła, że jednak nie zamierza się wyprowadzać z pałacu. To już zupełnie zbiło go z tropu.

– I tak po prostu do końca życia mielibyśmy siedzieć i gapić się na siebie? Jakoś tego nie widzę, a ty? – powiedziała lekko.

Te słowa poruszyły w duszy Charlesa nutę smętną i ponurą, gdyż tak właśnie wyobrażał sobie ich przyszłe życie. Że siedzą we dwoje przy kuchennym stole albo w małej bibliotece przed telewizorem, trzymając tace na kolanach, i omawiają codzienne problemy...

Prawdziwa trudność polegała na tym, że Charles (co przyznawał bez bólu, przynajmniej sam przed sobą) naprawdę nie rozumiał, co się dzieje. Nie pojmował, co złego jest w widywaniu tych samych ludzi, prowadzeniu tych samych rozmów i robieniu tych samych rzeczy miesiąc w miesiąc i rok w rok. Ramy rocznego cyklu zawsze wyznaczały dlań te same wydarzenia: strzelanie do końca stycznia, polowanie do końca maja, trochę czasu w Londynie, potem jakaś podróż zagraniczna i wreszcie wyjazd na ryby do Szkocji. Komu to przeszkadzało? No, ewidentnie przeszkadzało Edith, ale za Boga nie wiedział dlaczego. Co miał zrobić, żeby wreszcie zadowolić żonę, którą kochał, lecz która zmywała mu głowę z byle powodu? To było dla niego naprawdę zagadkowe. No cóż, westchnął, uznając, że dzisiaj zapewne nie rozwiąże tej zagadki. Nałożył tweedową marynarkę i zszedł do jadalni, żeby zjeść z ojcem śniadanie.

Edith, milcząc, leżała w ciepłej wodzie i słuchała stukotu obcasów męża na lśniącym drewnie wielkich schodów. Wiedziała, że Charles się martwi, ale miała dziwne i nieokreślone uczucie, że zasłużył sobie na odrobinę zmartwienia. Tego ranka dręczył ją większy niepokój niż zwykle, nie bardzo wiedziała dlaczego. Było tak, jakby do wspaniałej konstrukcji jej życia cichaczem wkradła się zgnilizna, której słabiutki, drażniący odór wyczuwały tylko najwrażliwsze nozdrza.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła Mary, niosąc tacę ze śniadaniem.

- Milady?
- Tu jestem, Mary. Po prostu gdzieś to postaw.
- Milady, dobrze się pani czuje?

Głos Mary, która dyskretnie zatrzymała się za otwartymi drzwiami łazienki, był zabarwiony obawą, przypuszczalnie na skutek minimalnego odstępstwa od rutyny.

– Wszystko w porządku, Mary. Dziękuję. Po prostu postaw tacę. Zaraz wychodzę.

– Bardzo dobrze, proszę pani.

Słyszała, jak pokojówka krząta się po pokoju, aż wreszcie drzwi się zatrasnęły i z korytarza dobiegł odgłos oddalających się kroków.

Jakie zwyczajne wydawało się jej życie! Dzisiaj zdawało się tonąć w szarej pospolitości, przesycającej atmosferę dusznych, wypełnionych perkalem pomieszczeń i unoszącej się niczym para ponad wodami kąpieli. A przecież jeszcze niedawno te wszystkie szczegóły – te wszystkie „milady”, kroki dźwięczące na lśniących posadzkach, męskie śniadania na dole, tace połyskujące wytworną porcelaną na koronkowych serwetkach – jakże były jej miłe, jak cudownie łaskotały zmysły! Jaką przyjemność w pierwszych dniach pobytu w Broughton sprawiały jej monogramy na pościeli, kryte adamaszkiem berzery w pokoju, figurynki z Derby na biurku, telefon z przyciskami „stajnie” i „kuchnia”, lokaj Robert, który zarumieniony z przejęcia zabierał jej opróżnione walizki, łabędzie na stawie, nawet drzewa w parku!

Była księżniczką w krainie baśni. Błyskawicznie opanowała sztukę łaskawości, ostentacyjnej obojętności na otoczenie, efektowny luz, który tak ludzi peszył. Cieszyło ją skrępowanie Eastonów w chwili iluzorycznego triumfu, gdy (wreszcie!) znaleźli się przy stole Broughtonów, gdzie nikt ich nie znał, choć wszyscy pozostali znali się wzajemnie. Całkiem świadomie, bywając w miasteczku, zaczęła naśladować sztuczki zmarłej księżnej Walii, ową ciepłą, przyjazną manierę, będącą połączeniem spełnionego celebryctwa i wystudiowanej prostoty, która podbija wszystkie serca. Odwiedzając nowe place zabaw czy rozdając nagrody na wystawach kwiatów, rozpływała się w pochwałach i zachwytach, co przysparzało jej przyjaciół i rozbrajało krytyków. Jakaż to była frajda, przyłapać nieśmiałe spojrzenia dzieci i ujarzmić je nagłym ujmującym uśmiechem, po czym skierować jego blask na ich matki! Ale, z drugiej strony, jakaż to była łatwizna...

Z cichym jękiem wynurzyła się z wody, zakręciła kran, wyciągnęła korek z wanny, przeniosła się do sypialni i zaczęła jeść śniadanie. Mary posłała łóżko i rozpałała w kominku – *dernier cri*<sup>[34]</sup> luksusu, zwłaszcza we wrześniu

– a tacę, jak zwykle ślicznie udekorowaną, postawiła na stoliku pośrodku pokoju. Ułożone wśród uroczych talerzyków w kwiatki spoczywały adresowane do Edith listy, apele, podziękowania, zaproszenia na nudne wiejskie przyjęcia (na które pewnie się wybiorą) i wesołe imprezy w Londynie (na które pewnie nie pójdą). Przerzucała je od niechcienia, skubiąc kawałek tosta, średnio wypieczonego, z odciętą skórką. Mary przygotowała jej ubranie: tweedową spódnicę, płócienną koszulę, sweter z wzorem w króliki. Nałożyła to wszystko – plus perły i niezbyt praktyczne buty – i poczuła się jak ubrana w kostium do roli, którą musiała nieustannie grać. Pomyślała o czekającym ją dniu: załatwić kilka drobiazgów, spożyć lunch („spożyć” – nawet myślała w odpowiednim języku!) z bibliotekarzem, panem Cookiem, pójść do miasteczka na zebranie komitetu w sprawie letniej wystawy, wypić herbatę z kuzynką Google. Co za przygnębiająca perspektywa!

Chociaż Edith doszła już do wniosku, iż w jej wypadku powrót do życia w Londynie nie byłby rozsądny, to na razie nie wyartykułowała jeszcze w pełni swoich zastrzeżeń. Mruczała, że to „zły pomysł”, ale nie podawała konkretów. Tłumaczyła się z tych uczuć, powtarzając w duchu, iż Charles wśród jej przyjaciół czułby się obco, ale w końcu jego znajomi w Londynie niezbyt różnili się od tych, z którymi przestawał w Sussex. I chociaż jej stwierdzenie, że on nienawidzi Londynu, w związku z czym Londyn również dla niej „jest sprawą zamkniętą”, było (przynajmniej na tym etapie) mniej więcej zgodne z prawdą, to miała świadomość, że w istocie chodzi jej o Londyn z Charlesem. Albowiem narastało w niej wrażenie – potencjalnie zabójcze – że byłoby zabawniej, a tym samym bardziej niebezpiecznie, wypuścić się do stolicy w pojedynkę. Na razie tylko czasami, i to bardzo cichutkim głósikiem, przyznawała się sama przed sobą, że dojrzała do wzięcia sobie kochanka.

Edith czerpała pewną dumę z faktu, że niemal z miejsca stała się Wielką Damą, która realizuje zasady nowego życia, jakby się do niego urodziła. Oczywiście zdążyła już całkiem zapomnieć o tym, że bynajmniej się do niego nie urodziła. W pełni dała się omamić mętnym rojeniom matki i w tej chwili była już całkiem przekonana, że jest potomkinią szlacheckiego rodu, która

dzięki małżeństwu po prostu wspięła się o szczebel wyżej. Była to, rzecz jasna, kompletna nieprawda, która wszakże miała tę cudowną zaletę, że Edith uważała się za zwolnioną z obowiązku wdzięczności wobec Charlesa, do jakiej przedtem trochę się poczuwała.

Jednakże główną i niezbywalną częścią świeżo uzyskanej pozycji była związana z nią nowa moralność. Edith, z dumą zrzuciwszy jarzmo mieszczańskiej pedanterii, bez najmniejszego oporu przyswoiła sobie twarde i trzeźwe zasady stanowiące niejako podszewkę wielkiego świata, za którym tak gorliwie się opowiedziała. Wkrótce dołączyła do grona owych nieskazitelnych pań, które przy lunchu wygłaszają zdania typu: „I po co mu było całe to zamieszanie? Przecież starsi chłopcy na pewno są jego” albo „Głupio postąpiła, za rok czy dwa by mu przeszło”, lub wreszcie „Och, jej to wcale nie przeszkadza. Jej kochanek właśnie przeniósł się tutaj z Paryża”, i gryząc listek *radicchio*, zniżają konspiracyjnie głos z niejasną nadzieją, że ktoś je podsłucha. W sposób znamieny dla klasy społecznej Charlesa nabrała nawet udawanego wstrętu do rozgłosu oraz realnego wstrętu do skandali, chociaż trzeba przyznać, iż akurat w tej sztabowej postawie tliło się autentyczne uczucie. Edith naprawdę nie była admiratorką skandali, a zwłaszcza nie była admiratorką osób, którym udało się „dopiąć swego”, a które potem „wszystko spaprały”. Ona dopięła swego i miała szczerzy zamiar umrzeć w siodle.

A przecież..., a przecież... Mimo wszystkich tych myśli, które bezładnie przepływały jej przez głowę, odgryzła jeszcze kawałek tosta i postanowiła jednak pojechać z Charlesem obejrzeć Brook Farm.

Nie musiała mi mówić o tej wizytacji, bo stałem przy oknie od strony ogrodu i doskonale widziałem ich wyjście. Było to drugiego dnia naszych zdjęć w pałacu i całe rano kręciliśmy drobne scenki – na przykład, gdy ktoś wchodzi do pomieszczenia bądź z niego wychodzi, albo idzie dokądś korytarzem – które, aczkolwiek niezbyt wymagające, są bardzo pomocne, jeśli chodzi o ogranie kostiumu lub nawiązanie dobrych stosunków z kamerzystą. Obok mnie na parapecie siedziała Bella, zasznurowana w nowy brązowy

kostium podróży i pracowicie produkująca chudego skręta, jedyny wyraźny ślad jej cygańskiego życia w latach sześćdziesiątych. Był z nami również Simon, tym razem „w cywilu”. Miał akurat dzień wolny od zdjęć, ale po prostu należał do tych aktorów, którzy nie mogą przebywać z dala od planu i którzy, zamiast pójść na spacer, wolą cały dzień spędzić w charakterystycznej, czekając na minutową poprawkę ujęcia.

– Dokąd oni idą? – zapytała Bella, patrząc na Charlesa i Edith maszerujących przez park.

– Charles obiecał, że sprawdzi, czy w domu na farmie nie trzeba jeszcze czegoś zrobić.

– Kiedy będzie można się wprowadzić, jak sądzisz?

Wzruszyłem ramionami.

– Wydaje mi się, że od razu. Jeśli nie przeszkadzają nam polowe warunki.

– Słowo daję, wolę spędzić noc na szczycie góry, niż znowu spać w tym hotelu – zaśmiała się sardonicznie Bella, pstrykając zapalniczką i unosząc płomień do swojego ewidentnie niepalnego papierosa.

Simon znów obrzucił wzrokiem oddalające się przez park postacie.

– Czy nie powinienem się z nimi przejść? Może go uprzedzę, żeby niepotrzebnie nie zawracał sobie głowy poprawkami? W końcu chcielibyśmy się wprowadzić jeszcze dzisiaj, gdyby się dało. – Skinął nam głową i oddalił się korytarzem.

W milczeniu odprowadziliśmy go wzrokiem. Bella odezwała się pierwsza.

– Oto wyrusza. Na podbój kolejnych serc.

– Nie lubisz go?

Pochyliła głowę i w skupieniu zaciągnęła się swoim obskurnym petem.

– Czemu miałabym go nie lubić? Po prostu cały ten wdzięk jest trochę nużący.

– Nie przypuszczam, żeby Charles szczególnie zwracał na to uwagę – powiedziałem.

– Możliwe. Ale ona to co innego. Sądząc po wczorajszym wieczorze, wcale



nie jestem pewna, czy jej się to spodoba. Mam nadzieję, że on nic nie spieprzy, zanim zdążymy się wprowadzić.

Nie spieprzył. A przynajmniej nie w takim stopniu, żeby uniemożliwić nam przenosiny. Ogłoszono przerwę na lunch i właśnie zasiedliśmy przy chwiejnym stoliku, rozstawionym na zwirowym podjeździe, gdzie czekał na nas kateringowy posiłek o smaku tektury, gdy Simon powrócił.

– Idziemy! – zawołał, zbliżając się tanecznym krokiem i triumfalnie wymachując pięściami.

– Kiedy?

– Dzisiaj.

– A hotel?

– Załatwione. Pozwoliłem sobie zwolnić nasze pokoje i obiecałem, że niebawem wrócimy się spakować i zapłacimy rachunek. Doskonale zarabiają przy okazji filmu, więc nawet za bardzo nie narzekali. – Po prostu promieniał.

– W dodatku Edith i Charles zaprosili nas dzisiaj na kolację, więc nie musimy się martwić zakupami.

– Jakie to szlachetne ze strony Edith i Charlesa. – Bella z konspiracyjnym półuśmieszkiem smakowała nieznanym imiona. Ewidentnie Simon miał jej dostarczyć jeszcze wiele uciechy.

Naturalnie nie miałem szczególnej ochoty wracać do pałacu Broughton i przez drugi wieczór z rzędu prowadzić salonowe rozmowy z „Tiggerem” i „Googie”. Później przyznaliśmy z Bellą, że oboje w duchu pragnęliśmy jakoś się wymówić – Simon przypuszczalnie zrobiłby to bez najmniejszych skrupułów – jednak niezależnie od siebie oboje doszliśmy do wniosku, że odwdzięczanie się w ten sposób za uprzejmość, która przecież radykalnie poprawiała nasze warunki bytowe, jest zwykłym chamstwem. A zatem, nieco po ósmej, nasz samochód znów podjechał z chrzęstem pod frontowe drzwi.

Simon był jak odmieniony. Widząc jego błazeństwa poprzedniego wieczoru (z których, rzecz jasna, nie zdawał sobie sprawy), nawet najmniej spostrzegawcza osoba domyśliłaby się, że czuje się niezręcznie. Rzucił

nazwiskami, nie bacząc na tytuł i rangę, rozprawiał o wydarzeniach bez znaczenia albo o takich, o których nie miał pojęcia. W końcu jego nietakty obudziły wręcz pewne współczucie i gospodyni zaczęła traktować go życzliwiej. Wielu aktorów, a prawdę mówiąc, również wiele osób spoza branży wpada w tę pułapkę – czują przymus demonstrowania, że mają prawo egzystować w świecie, który uważają za własny, lecz do którego niezmiernie rzadko, jeśli w ogóle, zyskują realny wstęp. Teraz wszakże Simon jakby odzyskał wolność. Bił od niego blask właściwy wszystkim niepewnym swego egocentrykom, którzy nagle odkrywają, że niepotrzebnie się obawiali, są bowiem po prostu lubiani. Trudno było nie dostrzec ironii w oku Belli, gdy szliśmy na górę do rodzinnego salonu: Simon z lubością przesuwiał dłoń po lśniącej poręczy i zagadywał do kamerdynera niczym stary przyjaciel domu. Po czym powitał lorda i lady Uckfield (zwłaszcza!), jakby od zawsze się z nimi kumplował.

Oczywiście zasada, że świat przyjmuje nas takimi, jakimi się prezentujemy, stanowi jeden z podstawowych pewników życia. Niedoświadczona pani domu, która trzęsie się nad listą gości, rozmyślając bez końca, czy wolno jej zaprosić tego lub owego lorda czy celebrytę, dopiero po wielu latach pojmuje, że nikt nigdy nie kwestionował jej prawa, by wysłać zaproszenie. Jeśli ktoś chciał przyjść, to przychodził, a jeśli nie, to nie. Podobnie było i teraz: lord Uckfield nie zastanawiał się nawet przez chwilę, czy Simon Russell jest mu równy pod względem pozycji, wystarczyło, że najwyraźniej za takiego się uważał. A ponieważ rola Simona w życiu lorda Uckfielda sprowadzała się do wspólnego ucztowania i opowiadania anegdot, to z pewnością – myślał lord – jego obecna pogoda i rozluźnienie muszą być w pełni uzasadnione. Tak rozkwita niejedna kariera towarzyska, zwłaszcza w Londynie; Simon niczym się nie wyróżniał spośród tych wszystkich protegowanych przez różne księżne marszandów sztuki i miłośników opery, których uśmiechnięte twarze widuje się w czasopiśmie, upchnięte wśród podobizn celebrytów i żon spadkobierców wielkich fortun. Rzecz jasna, podobnie jak Simon, osoby takie na ogół nie zdają sobie sprawy, że mimo pozornej akceptacji, którą zapewnia im wdzięk i swoboda obojętności, w żadnym razie nie należą do świata swoich protektorów i nie są przez nich traktowani poważnie. Niejeden faworyt

wielkiego rodu po latach wiernej służby na salonach przybywał na publiczną uroczystość, ślub lub, co gorsza, pogrzeb, aby nagle odkryć, że wyznaczono mu miejsce z tyłu, między miejscowym pośłem a centralnym kaloryferem, podczas gdy nikomu nieznani i nielubiani arystokraci siedzą na samym przedzie. To bardzo smutne, ale takie jest życie. Albo przynajmniej takie są wartości w tym życiu. Lady Uckfield wiedziała o tym aż za dobrze, ale niestety, Simon Russell był tego całkiem nieświadomy.

Jednak tego wieczoru bardziej aniżeli reakcja lady Uckfield – która, jak dało się przewidzieć, sprowadzała się do ostrożnego rozbawienia – zainteresowała mnie reakcja Edith. Gdzieś zniknęły wczorajsze dąsy i ostentacyjna wrogość; zastąpiło je manieryczne milczenie. Ubrana w kremowy jedwabny top i czarną spódnicę, z jednym sznurem pereł na szyi i drugim zamotanym wokół nadgarstka, wyglądała znacznie piękniej niż wczoraj. Z braku lepszego określenia powiem jedynie, że tak seksownej nie widziałem jej od dnia ślubu. Nie porzuciła chłodnej wyniosłości – wierzę, że teraz już naprawdę mimowolnej – ale na nasz widok uniosła wzrok i obrzuciła nas z kanapy baczym spojrzaniem, które, jak wiem z doświadczenia, w przypadku kobiety oznacza zazwyczaj, że żarty się skończyły.

Patrząc wstecz, muszę stwierdzić, że plan Edith, żeby pozostać na wsi i w ten sposób uniknąć kłopotów, stanowił marny pomysł. Była jak znudzona kolonialna żona na odludnej placówce w górach Indii, gdzie brak przyjaciół i towarzystwa jedynie podkreśla rzekome zalety każdego przybysza, który zabrnął w głąb głuszy. Wcale nie jestem pewien, czy istotnie jej cnota byłaby bardziej zagrożona, gdyby z Charlesem rzucili się w wir londyńskich przyjęć, bali i innych śmieciowych imprez, na których tak niecierpliwie ich wyczekiwano. Podejrzewam, że wręcz przeciwnie. Życie towarzyskie ma tę zaletę, że znacznie osłabia wrażenie tępoty u naszego partnera. Bywa, że pary małżeńskie, które nie rozmawiają ze sobą z braku czasu, nigdy nie odkrywają, jak niewiele mają ze sobą wspólnego; i odwrotnie, częste przebywanie razem na ogół kończy się rozwodem, podobnie jak emerytura w klasach średnich. Jednego jestem pewny: w Londynie Edith nigdy nie poleciałaby na Simona Russella. Rzeczywiście, wspominałem już, że odznaczał się zdumiewającą

urodą, jednak, ujmując rzecz metaforycznie, w jego przypadku zwiastun był lepszy od samego filmu. Umiał gadać i naprawdę biegle flirtował, wręcz przyjemnie było oglądać go w akcji, lecz w gruncie rzeczy, kiedy przychodziło co do czego i nie mógł się już wykręcić sianem, to brakowało mu ciężaru gatunkowego. Nie chodzi o to, że go nie lubiłem, wręcz przeciwnie, miałem dla niego wiele sympatii. Umiał rozprawiać o hipotekach, Europie i Madonnie nie gorzej niż inni – chociaż z drugiej strony Charles chyba też to potrafił. Lecz Simon był zupełnie pozbawiony owego *feu sacré*, świętego, charyzmatycznego płomienia, który sprawia, że miłość przesłania nam cały świat. Albo przynajmniej ja go nie dostrzegłem.

– Panie Russell, proszę, niech mi pan powie, co pan najbardziej lubi grać?

To pytała lady Uckfield. Zawsze skrupulatnie pilnowała, aby do ludzi obcych, zwłaszcza młodszych od siebie, zwracać się per „pan” i „pani” lub właściwie ich tytułować. Powód był w zasadzie jeden – w istocie ta reguła rządziła całym jej słownictwem – pragnęła mianowicie umocnić swój obraz w roli cudownego reliktu epoki księcia Edwarda. Lubiła uważać, że jej zachowanie i maniery pozwalają docenić, jak robiono różne rzeczy w czasach, kiedy naprawdę robiono je porządnie; w jaki sposób załatwiały swoje sprawy lady Desborough, hrabina Dudley, markiza Salisbury oraz inne, dziś zapomniane piękności fin de siècle’u, które uczyniły ze swojego życia sztukę, przepadłą wraz z nimi. Lady Uckfield mówiła o „przekąskach” i „leguminach”, podkreślała zalety swojej irlandzkiej szynki („sucha, pyszna i absolutnie w Anglii niedostępna”), francuskich wiśni („wręcz się nimi zajadam”) i żółtego amerykańskiego papieru („odkryłam, że kiedy go zabraknie, to w ogóle nie mogę pisać”). Cały dowcip polegał na tym, że goście, jak w baśni o nowych szatach króla, poddawali się temu szantażowi i przyznawali, że istotnie dostrzegają wysoką jakość wszystkiego, co się im podsuwa, tym samym umacniając uprzedzenia, w imię których zdecydowali się na kłamstwo. W rzeczy samej potrawy w Broughton zawsze były pyszne i świetnie dobrane, więc postępowałem równie tchórzliwie jak reszta, udając, że wyczuwam wszystkie odcienie smaku szparagów czy jakiegoś innego dania dnia. Poza tym, im bliżej poznawałem lady Uckfield, tym bardziej podziwiałem totalność

wykreowanego przez nią wizerunku. Nigdy nie robiła sobie wolnego – nieustająco grała ultraczarującą i ultrawybredną markizę długiego edwardiańskiego lata. Jestem pewny, że idąc na poważną, zagrażającą życiu operację, z niepokojem dopytywałaby się o markę skalpela.

Edith nigdy nie pojęła, jaką moc ma ta metoda. Uważała teściową za grymaśnicę, a jej kaprysy za dopust boży. Ale gdyby Edith miała dyscyplinę wewnętrzną lady Uckfield, to uniknęłaby wielu kłopotów. Matka Charlesa nie wiedziała bowiem, co to znaczy się nudzić – a raczej co to znaczy przyznać przed samą sobą, że się nudzi. Nawet przez ćwierć sekundy nie zaprzętała sobie głowy faktem, że poślubiła człowieka, który nie dysponował nawet ćwiercią jej rozumu. Dokonała wyboru i zamierzała odnieść sukces na obranej drodze, nie przejawiając litości ani skruchy – a taka niezłomność moralna w naszym niechlujnym stuleciu zasługuje co najmniej na respekt, jeśli nie wręcz na hołd. No i w końcu, zapożyczając zdanie od Trollope’a, w ostatecznym rachunku „jej ścieżki wiodły przez przyjemne miejsca”<sup>[35]</sup>.

Oczywiście lady Uckfield zwracała się do Simona per „panie Russell” także dlatego, że pragnęła, aby przestał mówić do niej „Google”.

– No, ja w ogóle lubię mieć pracę – oznajmił w odpowiedzi na jej pytanie.  
– Nie sądzę, żeby było w tym coś więcej.

– Nie chce pan zostać wielkim gwiazdorem filmowym?

Pytanie aktora o coś takiego jest bardzo nie fair. Wszyscy chcą zostać wielkimi gwiazdami, jednak istnieje milczące porozumienie, żeby się do tego nie przyznawać. Toteż Simon uciekł się do oklepanej reakcji:

– Chyba po prostu chcę dobrze wykonywać swój zawód.

Widać było, że czuje się trochę nieswojo, chociaż uczciwie mówiąc, jego stwierdzenie, wbrew pozorom, zawierało sporo prawdy. Z pewnością pragnął być podziwiany za dobre wykonywanie zawodu, chociaż to nie całkiem to samo. Ale co miał odpowiedzieć? Naturalnie, że chciał zostać gwiazdorem filmowym, jak słusznie podejrzewała lady Uckfield. Był tego w pełni świadomy, niemniej wiedział również, że nie wolno mu tego ujawnić.

– I zamierza pan być aktorem do końca życia?

W tym momencie lady Uckfield bezwiednie objawiła swoje uprzedzenia i dokładnie wskazała Simonowi jego miejsce. Aktorzy często słyszą to pytanie, chociaż za Boga nie potrafię sobie wyobrazić, by zapytano kogoś: „Czy zamierza pan być lekarzem do końca życia? Czy zamierza pan być księgowym do końca życia?”. Powód jest prosty: mimo wszelkich starań ludzie pewnego pokroju zwyczajnie nie są w stanie uznać, że aktorstwo jest „prawdziwym” zajęciem. Przy czym czynię tu rozróżnienie między przedstawicielami klasy średniej, którzy nie wiadomo czemu czują się osobiście urażeni, że ktoś wybrał zawód aktora, zupełnie jakby chciał się utrzymywać z nierządu, a arystokratami, nieposiadającymi się z zachwytem, że ktoś taki będzie się dobrze bawił. Jednak ani jedni, ani drudzy nie mogą pojąć, że naprawdę można wytrwać w tym zawodzie – choćby dlatego, że aktorów „arystokratycznych” jest wprawdzie coraz więcej, ale szczyty osiągają tylko nieliczni. Możliwe, że w grę wchodzi uprzedzenia albo brak temperamentu, czasem po prostu droga okazuje się zbyt ciernista dla kogoś, kto ma jeszcze inne dochody, niemniej efekt jest taki, że niemal każdy arystokrata ma znajomego, którego młodsza latorośl, jak to mówią, „poszła na scenę”, lecz prawie nikt nie zna osoby, która odniosła sukces. To z pewnością nie jest zbyt zachęcające.

– A ty zamierzasz być markizą do końca życia? – odezwała się z kanapy Edith, nie unosząc głowy.

Lady Uckfield zmierzyła synową przeciągłym spojrzeniem. Doskonale rozumiała, jakie znaczenie ma fakt, że Edith właśnie wzięła stronę Simona. Mimo to roześmiała się i zręcznie odwróciła sytuację.

– Moja droga, kto to może wiedzieć w obecnych czasach?

Śmiech stał się ogólny i choć nie zdołałem się oprzeć pokusie, żeby zerknąć na Bellę, to zaraz oboje posłusznie podjęliśmy obowiązki gości.

Simon, zachwycony, że znalazł tak piękną orędowniczkę, przysiadł się do Edith na kanapę i ze swoistym wdziękiem zaczął ją raczyć Opowieściami Tysiąca i Jednego Planu Zdjęciowego. Po kilku chwilach błyszczał już niczym choinka na Regent Street. Obserwowałem Edith, która śmiała się, żywo reagowała, odrzucała włosy do tyłu, znów się śmiała, gdy wtem

uświadomiłem sobie, że Charles, który w roztargnieniu rozmawiał z matką w głębi pokoju, również na nią patrzy. Obaj zdaliśmy sobie sprawę, że tak ożywionej nie widzieliśmy jej od wielu miesięcy, a ja zrozumiałem, że teraz nade wszystko muszę unikać jego wzroku, w przeciwnym razie stanę się współwinny jako świadek wydarzeń, które ostatecznie bardzo go unieszczęśliwią. Zerknął na mnie, odwróciłem zatem głowę i dołączyłem do Belli, która (nie muszę chyba dodawać) akurat opowiadała zafascynowanemu Tiggerowi pikantną historyjkę, jak to spędziła noc zamknięta w czyimś garażu.

Był to miły i bezstresowy wieczór. Jak zwykle podano znakomitą kolację, zauważyłem również, iż służba zaczęła się do mnie zwracać trochę przypochlebnie, co jest jej główną strategią w wypadku „regularnych” gości. Nabierając pewności, że znów nas zobaczy, służący, który chce zrobić karierę w zawodzie, chętnie zrezygnuje z satysfakcji (bez wątpienia ogromnej, lecz z konieczności chwilowej), jaką daje mu protekcyjny stosunek do gości. Zamiast czynić im afronty poniekąd w imieniu swoich państwa, zaczyna przejawiać coś w rodzaju kumpłowskiej uniżoności, która gwarantuje duże napiwki oraz daje nadzieję na dobrą opinię i referencje. Ta poufałość zazwyczaj przyjmowana jest w dobrej wierze. Wielu moich znajomych czuje się mile połączonych, gdy personel w jakimś pałacu ich rozpieszcza, chociaż powinni mieć więcej rozumu. Sądzą, że ta komitywa zapewnia im przewagę nad resztą gości, a przy okazji mogą zademonstrować swoją zażyłość ze starożytnym rodem. Niemniej są to bardzo miłe chwile, a relacje, odpowiednio kształtowane, wkrótce zamieniają się w nieco lepsze stosunki wzajemnej adoracji.

Tak czy inaczej, mimo że czułem do siebie pewien niesmak – przecież znałem źródło tych przejawów szacunku – to wracałem do samochodu z pewnym ciepłem w sercu. W drodze do domu z ulgą gawędziłem z Bellą; oboje byliśmy zadowoleni, że wieczór, który przebiegł nadspodziewanie przyjemnie, mamy już za sobą. Gdy dotarliśmy do Brook Farm, Simon poszedł przodem, by zapalić światło, a my przystanęliśmy przed wejściem.

– A więc jednak kolejny podbój – powiedziała Bella.

Pokiwałem głową.

– Właściwie dziękować Bogu – odparłem. – Po wczorajszym wieczorze sądziłem, że będę musiał lać oliwę na wzburzone wody.

– Och, nie taka będzie twoja rola, jak sądzę. – Na ustach Belli wykwił półuśmieszek.

Karcąco pogroziłem jej palcem.

– Wszędzie wietrzyć skandal. Radzimy sobie bardzo dobrze i mamy tu ciepłą posadkę. Nie ma potrzeby wybiegać zbyt daleko w przyszłość.

– Możliwe – roześmiała się Bella. – Ale czy zwróciłeś uwagę na jedno? – Uniosłem pytająco brwi. – Odkąd stamtąd wyszliśmy, nie odezwał się ani słowem.

Miała rację. Chyba nawet to odnotowałem, ale wyparłem ze świadomości. Jeżeli bowiem mężczyzna tak głodny aprobaty, tak pożądamy wysokiego statusu, tak pragnący obnosić się z sukcesem jak Simon Russell przez cały wieczór pławi się w intymnym ciepłe rozsiewanym przez młodą i piękną hrabinę, po czym nie ma ochoty się tym przechwalać, to na ogół dlatego, że historia dopiero się zaczyna.

I tak się okazało.



Muszę dla porządku zaznaczyć, że w tym okresie w ogóle nie zwracałem większej uwagi na otoczenie, bo jakiś czas przed rozpoczęciem zdjęć w Broughton poznałem dziewczynę, którą zamierzałem poślubić. Nie odgrywa ona większej roli w historii Edith, więc będę się streszczał.

Nasze spotkanie nie miało w sobie nic niezwykłego. Znajomy mojego stryja, który, jak się okazało, był także przyjacielem jej matki, urządził przyjęcie koktajlowe na Eaton Terrace. Żadne z nas nie miało szczególnej ochoty tam się wybrać, zjawiliśmy się jednak oboje (ona ze wzmiankowaną matką), zaraz potem ktoś mnie jej przedstawił, ja zaś mniej więcej natychmiast uznałem, że mam przed sobą swoją przyszłą żonę. Nazywała się Adela FitzGerald, była wysoka, ładna i rzeczowa, a ponadto – jak lubiła mi przypominać od czasu do czasu – jej ojciec był jednym z pierwszych baronetów w Irlandii. Mniejsza z tym – w każdym razie dotarło do mnie, że istnieje całkiem spora możliwość, iż będę z nią szczęśliwy do końca życia. W rezultacie spędziłem następnych kilka miesięcy, usiłując przekonać ją do tej prawdy, która mnie wydawała się całkiem oczywista, jej wszakże, co przyznaję uczciwie, bezpośrednio się nie narzucała. W jaki sposób podejmujemy decyzje w tych sprawach, pozostaje dla mnie tajemnicą i teraz, gdy jestem szczęśliwie żonaty, wiem o tym równie mało jak wtedy, gdy uganiałem się za kobietą, którą ledwie znałem.

Przez wiele lat bez skutku próbowałem znaleźć właściwą partnerkę, toteż moja nagła decyzja sprawiała wrażenie irracjonalnej. Byłem jednak absolutnie przekonany, że postępuję słusznie, i od tamtej pory ani razu nie miałem powodu tego żałować. Przez pewien czas ukrywałem Adelę przed światem. Znajomi ludzi w moim wieku (dobiegałem czterdziestki) bardzo się podniecają, gdy widują nas trochę częściej w czyimś towarzystwie; jednak dobre intencje przyjaciół zwarzyły w zarodku niejeden romans, postanowiłem

więc, iż nie puszczę pary z ust, dopóki się nie upewnię, że „coś z tego będzie”. W końcu jednak dopiąłem swego i przedstawiłem ją swojemu otoczeniu, ku wielkiej radości obu moich środowisk. Przyjaciele z wyższych sfer i członkowie rodziny odetchnęli z ulgą, widząc, że wybrałem osobę ze „starego” świata, a koledzy z teatru – z reguły bardziej wielkoduszni i swobodni – po prostu ucieszyli się, że kogoś znalazłem.

Zdjęcia już prawie dobiegały końca, gdy zaproponowałem Adeli, żeby przyjechała na weekend do Sussex. W piątek mogła popatrzeć, jak kręcimy, a potem zostać jeszcze dwa dni na farmie. Ku zachwytowi i rozbawieniu Belli wszystko zaplanowałem bardzo poprawnie, gdyż zamierzałem oddać Adeli swoją sypialnię, a sam przenocować na kanapie. Tak więc pod wieczór ustalonego dnia pod nasz wiejski dom zajechał poobijany zielony mini morris, po czym razem z pozostałą dwójką zjedliśmy wesołą i pyszną kolację (dzieło Belli) i umówiliśmy się, że następnego dnia rano Adela wybierze się na małe zakupy, a następnie wpadnie do nas na plan.

Nie zdążyła jeszcze wrócić, kiedy nazajutrz wytropiła mnie Edith. Kręciliśmy akurat scenę w rozarium, na końcu krótkiej alejki prostopadłej do skrzydła pałacu. Było to ujęcie, które pierwotnie przewidziano na pierwszy tydzień zdjęć, i bez końca odkładano, nie pamiętam już z jakich powodów, więc tymczasem zrobiła się połowa października, jednak los wyraźnie sprzyjał nieźle już przestraszonym producentom. Dzień wstał jasny i upalny, jak pod koniec czerwca, do tego stopnia, że poczułem niemal irytację, iż tak rażąca nieprzezorność została nagrodzona. Miałem wtargnąć na plan (w roli Creeveya) dopiero pod sam koniec długiej sceny miłosnej między Elizabeth Gunning (granej przez Louanne, bardziej zawziętą z dwóch Amerykanek) i Campbellem (granym przez Simona). Tymczasem więc, pogrążony w lekturze, czekałem z boku na wezwanie (a także, przyznaję, rozkoszowałem się cudowną scenerią), gdy w polu widzenia pojawiła się Edith.

– Co ja słyszę? Ależ ty jesteś tajemniczy! – Przytaknąłem. – To poważna sprawa?

Odparłem, że skoro już ustaliła, że jestem tajemniczy, to sprawa musi być poważna, inaczej by się o niej nie dowiedziała.

- To aktorka? – zapytała.
- W żadnym razie.
- Nie rozumiem, dlaczego tak się oburzasz. Czemu by nie?
- Bo nie. Pracuje w domu aukcyjnym Christie's.

Edith skrzywiła się.

– Mam nadzieję, że nie jest siostrzenicą jakiegoś hrabiego, jedną z tych, które siedzą wyniośle w recepcji i nigdy nie mają pojęcia, o co się je pyta.

- Ależ owszem. Tyle że nie jest siostrzenicą hrabiego, a córką baroneta.
- Jak ona się nazywa?
- Adela FitzGerald.

– Cóż, trochę mnie rozczarowałaś – westchnęła, opadając na trawę obok mego składanego krzeselka. Wokół stało mnóstwo rozłożonych krzesel, więc nie czułem się szczególnie winny.

- Nie rozumiem dlaczego.
- Żeby mój przyjaciel artysta zniżył się do tego, żeby zrobić tak niesłychanie odpowiednią partię!

– Nie jestem pewny, czy mam ochotę wysłuchiwać takich rzeczy akurat od ciebie. Chodzi chyba o to, co rozumiemy przez „odpowiedniość” danej partii: czy to jest główny motyw zaślubin czy jedynie okoliczność towarzysząca.

Edith zaczerwieniła się lekko i umilkła. Pierwszy asystent uciszył nas gestem i kamery zaczęły kręcić zbliżenie Simona i Louanne.

Louanne była koszmarna. Wszyscy jakoś pogodziliśmy się z Jane Darnell, grającą lady Coventry; jako aktorka niewiele umiała, ale nie była złośliwa, a swoje możliwości w roli osiemnastowiecznej irlandzkiej piękności oceniała niewiele wyżej niż my. W gruncie rzeczy interesowały ją wyłącznie mosiężne końskie ozdoby, które kolekcjonowała w swoim domu przy Laurel Canyon. Ale Louanne Peters – o, to było zupełnie coś innego. Nie dość, że we własnym mniemaniu dysponowała wręcz niesłychanym talentem, to jeszcze cechował ją graniczący z psychozą egocentryzm. Potrafiła całymi godzinami rozprawiać o swoich sukcesach i swoim wyglądzie, o swoich kochankach i swoich zarobkach, nie zwracając na nieszczęsnego rozmówcę najmniejszej uwagi.

Początkowo sądziliśmy, że to jakiś skomplikowany żart, a Louanne tylko czeka, żeby ktoś jej przerwał, wołając ze śmiechem: „Dosyć! Dosyć! Daj spokój!”. Ale nic z tych rzeczy, w dodatku Simon jej nie znosił, co bynajmniej nie wpływało korzystnie na ich sceny miłosne, i bez tego raczej pozbawione wyrazu.

Ujęcie dobiegło końca, Louanne oraz Simon zostali zwolnieni, gdy na końcu alejki pojawiła się Adela. W sztruksowych bryczesach i grubym swetrze, z długimi włosami związanymi jedwabną chustką stanowiła wręcz antytezę syntetycznych wdzięków Louanne; przez chwilę nawet starannie umalowana twarz Edith wyglądała przy niej niekorzystnie. Adela była, no nie wiem... taka zdrowa! No ale naturalnie ja byłem w niej zakochany.

Edith wstała, by się przywitać.

– Adelo, jak miło w końcu cię poznać. Jestem Edith Broughton.

– Ależ cała przyjemność po mojej stronie!

Powitanie dziewcząt cechowała pewna rezerwa. Miała ona dwojakie przyczyny, niemające wszakże nic wspólnego z rywalizacją miłosną, gdyż Edith nigdy, ani wtedy, ani później, w najmniejszym stopniu nie interesowała się mną w taki sposób. Nie, z jej strony była to złość, że oto traci powiernika, który dobrze jej służył i który jako człowiek żonaty przestanie być użyteczny. Ci z nas, którzy późno wchodzą w związek małżeński, często doświadczają podobnych sytuacji, nawet jeśli nasi dotychczasowi przyjaciele próbują jakoś powściągnąć swoje roszczenia. Szczęśliwi małżonkowie doprowadzają nas do szaleństwa, utrzymując, że małżeństwo to jedyny stan, w którym warto żyć; z drugiej strony nasi mniej fortunni znajomi wychodzą ze skóry, aby powstrzymać nas przed pójściem do ołtarza. Ta druga strategia, niby to żartobliwa, stanowi również oręż ludzi, którzy chcą publicznie obrazić swojego partnera lub partnerkę. „Żenisz się? A po cholere?” – takie uwagi często padają na proszonych przyjęciach, podczas gdy współmałżonek na drugim końcu stołu z kwaśną miną zagryza wargi. Z niepokojem stwierdziłem, że Edith, z pewnością bezwiednie, niebezpiecznie zbliża się do tego stanowiska.

Powściągliwość Adeli miała bardziej subtelny charakter. Oczywiście

dokładnie wiedziała, kim jest Edith, i zanim mnie poznała, skłaniała się do odmiennej niż moja opinii o nowej lady Broughton – uważała mianowicie, że Charles, którego kilka razy spotkała w towarzystwie, został zwyczajnie „złapany”. Ale mimo że zdołałem ją powstrzymać przed rozwijaniem tego osądu, w tonie Edith wyczuła, całkiem trafnie, leciutką nutę łaskawości wielkiej arystokratki, witającej przyjaciółczkę „tego miłego znajomego aktora”. Co za licho ją podkusiło? Bardzo trudno dokładnie zmierzyć takie sprawy, prawdą jest jednak, że Edith już nieźle sobie przyswoiła wielkopańskie maniery; w każdym razie Adela, którą uprosiłem, by nie robiła Edith afrontu, nie zamierzała dać się traktować protekcyjnie – prędzej by ją diabli wzięli.

Co gorsza, Charles wybrał akurat ten moment, aby sprawdzić, co się dzieje. Naturalnie rozpoznał Adele, która, jak sędzę trochę z zemsty (choć z pewnością by temu zaprzeczyła), bezzwłocznie wszczęła z nim rozmowę o ludziach, których oboje dobrze znali, a których Edith znać nie mogła; krótko mówiąc, uciekła się do znieawidzonej gry w nazwiska. Nie wiem, może powinienem był się oburzyć w imieniu jednej albo drugiej, sędzę jednak, że te sprawy zawsze najlepiej rozwiązują się same, bez ingerencji osób trzecich, poza tym Adela miała trochę racji. Ale chyba już wtedy przestałem się łudzić, że dziewczyny kiedykolwiek się zaprzyjaźnią. Adela zanadto przypominała osobę, jaką Edith pragnęła się stać (zwłaszcza gdy szło o jej przeszłość), Adela zaś, choć na ogół nie była snobką, nie miała nic przeciwko temu, żeby czasem wskazać osobom pokroju Edith, gdzie jest ich miejsce, w stylu, który nazywałem „namiestnikowskim”. Ogólnie rzecz biorąc, widać było, że mogę się spodziewać co najwyżej czegoś w rodzaju wzajemnej tolerancji.

Tego ranka jednak Charles uratował sytuację, proponując, że pokaże Adeli stajnie. Edith odprowadziła ich wzrokiem.

- To ona powinna była zostać żoną Charlesa.
- No ale będzie moją żoną.
- Nie, chodzi mi o to, że właśnie z taką dziewczyną Charles byłby szczęśliwy. Rozdającą nagrody działaczką społeczną. Nie widzisz tego?
- Gdyby Charles chciał się ożenić z taką dziewczyną, toby się ożenił. Bóg

świadkiem, że wybór miał ogromny.

– To nie jest zbyt pochlebne dla twojej wybranki.

– Mówisz o rzeczach, które najbardziej rzucają się o oczy, czyli, jak słusznie spostrzegłaś, o cechach związanych z jej klasą i jej epoką. Ale Adela posiada również zalety mniej oczywiste, o których nic nie wiesz, które jednak sprawiły, że postanowiła poślubić zubożałego aktora z mieszkaniem w suterenie, a nie jakiegoś hrabiego z pieniędzmi.

– Cóż, będziemy musieli przy niej uważać na formy.

O, na to już nie mogłem pozwolić.

– Nie rób z nas przeciwnych drużyn, moja droga. Ostrzegam cię, że gram z nią, a nie z tobą.

– Au...

– A poza tym, czy ktoś twierdzi, że Charles powinien był ożenić się z kimś innym niż ty?

Edith nie odpowiedziała, tylko opadła na wznak na trawę i wpatrzyła się w niebo.

– Wyglądacie na bardzo przejętych – rzekł Simon, zbliżając się do nas. Zdjął już swój haftowany surdut i w białej płócienniej koszuli z powiewającymi rękawami prezentował się jeszcze bardziej romantycznie niż zazwyczaj. Rzucił się na trawę obok Edith, radośnie lekceważąc swój kostium. Wyobraziłem sobie, jak jego garderobiany cmoka przez zęby w tle, ale Simon zdążył już wejść w rolę lorda Byrona przy lady Caroline Lamb (czyli Edith) i nie zamierzał dać się zbić z tropu takim drobiazgom jak poplamiona trawą koszula.

– Gdzie Adela? Zdaje mi się, że ją tu widziałem?

– Poszła z Charlesem do stajni – odparłem.

– Nadrobić zaległości – dodała cierpko Edith.

– Rany – roześmiał się Simon. – Będziemy musieli być grzeczni przy tej dwójce.

– Tylko ty nie zaczynaj – powiedziała Edith. – Właśnie zostałam skarcona.

Simon spojrzał na mnie z żartobliwą skruchą, jednak prawdę mówiąc, ciekawszy wydał mi się fakt, że czuł się dostatecznie pewny siebie, by w ogóle pozwolić sobie na taki dowcip. Chyba miałem mu trochę za złe, że zrównał Adelę z Charlesem, zaliczając oboje do „nudnego jaśniepaństwa”, wówczas jednak dostrzegłem, że Edith z uśmiechem coś do niego szepcze, i natychmiast pojąłem, jaki to z niego zręczny flirtiarz. Kierując swoją uwagę również do mnie, w pewien sposób rozbrajał coś, co przecież zakrawało na świadomą znowę, dzielony z Edith żart wykluczający Charlesa. Zrozumiałem, że jeśli idzie o jego plany, my z Adelą w ogóle się nie liczymy.

Okazało się, że Edith, powodowana tyleż duchem zemsty, co gościnności, wbrew woli Charlesa zaprosiła na weekend Boba i Annette, tych samych, którzy gościli w willi Chase’ów podczas majorkańskiej podróży poślubnej. Po części miała ochotę zobaczyć się z Annette (która oczywiście prowadziła ożywioną korespondencję ze swoją nową, olśniewającą kumpelą), a po części chciała zrobić na złość Charlesowi, Googie, a przede wszystkim Ericowi, który również przyjechał z Caroline do Broughton. Uznała, że Eric się wścieknie, słysząc, jak ona przedstawia teściom tę parę jako „znajomych Erica”, rzekomo typowych dla jego środowiska. I miała rację: Eric się wściekł.

Bella wyfrunęła na kilka dni do Londynu, więc o ósmej dołączyliśmy do menażerii w rodzinnym salonie tylko we troje z Adelą i Simonem. Goście dobrani byli tak przypadkowo, że wieczór zapowiadał się kuriozalnie – i faktycznie, Adela z początku coś źle zrozumiała i przez godzinę rozmawiała z Erikiem, jakby pracował przy filmie i nie miał z Broughtonami nic wspólnego. Im bardziej sypał nazwiskami, tym bardziej umacniała się w swoim mniemaniu, aż wreszcie Eric, czerwony z irytacji, musiał głośno oznajmić: „mój teść, Tigger”. Lecz nawet wtedy Adela spojrzała na mnie, szukając potwierdzenia. Lady Uckfield, z drugiej strony, świadomie skalkulowała swoje zachowanie, aby sprawić Edith jak największy zawód. Przez cały weekend niezwykle cackała się z Bobem i Annette, jednocześnie jednak dyskretnie, aczkolwiek kordialnie, dawała do zrozumienia, jaką ulgą jest dla niej towarzystwo Adeli, w której znalazła bratnią duszę, co

przypuszczalnie miało być dla mnie komplementem. W pewien sposób Googie czuła się spokojniejsza, widząc, że aktor, którego dopuściła do swojego kręgu, okazał się mimo wszystko człowiekiem z tej samej sfery. Uważała, że jej znajomi powinni poślubiać osoby, o których coś słyszała, a tak się składało, że nieźle znała jedną z ciotek Adeli i debiutowała równocześnie z jej matką, a zatem w jej osobliwie uporządkowanym świątku wszystko układało się jak należy. Związek Charlesa z Edith tego poczucia bezpieczeństwa nie mógł jej oczywiście zapewnić; w istocie lady Uckfield zajęła się moją wybranką tak skwapliwie, że trudno było nie dostrzec w tym nuty mściwości wobec synowej. Nie muszę wspominać, że Adela, tylko połowicznie świadoma gier toczących się wokół niej, w blasku uwagi Googie po prostu kwitła.

Znalazłem Edith pod oknem, ponuro wpatrzoną w niedobre towarzystwo.

– A nie mówiłam? Jest doskonała.

– Wiem.

Przeniosła spojrzenie z uroczej sceny na kanapie w przeciwny kąt pokoju, gdzie Caroline w skupieniu słuchała Simona, który jak zwykle tokował bez opamiętania. Charles błąkał się smutno między grupkami gości, proponując dolewkę alkoholu.

– Biedny Charles. Komu przypadł przy kolacji? – Moje pytanie zabrzmiało bardziej impertynencko, niż zamierzałem, ale chlapanąłem bez zastanowienia. Edith w każdym razie nie udzieliła mi należytej reprymendy, lecz tylko wzruszyła ramionami.

– Kto to wie? I tak czeka nas upiorny wieczór. – Zerknąłem na nią pytająco.  
– Bob i Annette Watsonowie zaprosili nas do restauracji.

– To bardzo miło z ich strony. Przecież wcale nie musieli tego robić.

Edith nie podzielała mojego poglądu.

– Na domiar złego zarezerwowali stół w Fairburn Hall. Googie zaśmiewa się do łez. Naturalnie jest zachwycona. Wręcz umiera z ciekawości, żeby zobaczyć, co zrobiono z pałacem po wyprowadzce de Marneyów, ale nigdy nie miała odwagi się do tego przyznać.

Niewdzięczność, z jaką Edith potraktowała zaproszenie Watsonów,



bynajmniej mnie nie zdziwiła. Rzecz jasna dla ludzi pokroju Broughtonów cały plan musiał wyglądać dość koszmarnie. Nadmierna szczodrość to chyba najżałośniejszy błąd, jaki może w Anglii popełnić karierowicz pnący się po szczeblach drabiny społecznej. To właściwie dziwne, bo cóż jest bardziej czarującego? A jednak dla wtajemniczonych te wszystkie uprzejme gesty stanowią tak wyraźny sygnał obcości, że dobroczyńca równie dobrze mógłby nosić naszywkę na rękawie. Propozycja, by kogoś „gdzieś zaprosić” podczas pobytu na wsi, stanowi gafę wręcz fatalną. Angielskie klasy wyższe z reguły wieczorem nie opuszczają swoich domostw, chyba że udają się do domostwa sąsiadów. Czasem dadzą się skusić na operę wystawioną w wiejskim dworze albo na sztukę teatralną połączoną z piknikiem, ale w restauracjach jadają tylko w Londynie i wyłącznie w ciągu tygodnia. Nigdy też nie bywają w „wiejskich hotelach”, o ile nie są nimi zainteresowani osobiście. Jeszcze od biedy udadzą się na pielgrzymkę do miejsca, „gdzie spędzałem wakacje, dopóki mieszkała tam ciocia Ursula”, ale nigdy, pod karą śmierci, nie zarezerwują tam pokoju na weekend ani stolika na kolację. To właściwie straszliwie smutne, że wytworny styl, jaki te zakłady zapowiadają w swoich broszurach reklamowych, z natury rzeczy nigdy nie znajduje odzwierciedlenia w zestawie gości.

Krótko mówiąc, Watsonowie, którzy nade wszystko pragnęli przypochlebić się lady Uckfield i stać się „bywalcami” w Broughton, zdołali znaleźć jeden, jedyny sposób, by na zawsze ośmieszyć się w jej oczach, dostarczając ponadto świeżego źródła zabawnych anegdot, i za ten przywilej, co więcej, gotowi byli zapłacić sporo pieniędzy.

Fairburn Hall, duże i brzydkie dworzyszczce po drugiej stronie Uckfield, od kilkuset lat należało do starożytnego, choć niezbyt wybitnego rodu de Marneyów. Jeden z nich – o dziwo, dzięki przyjaznym stosunkom z Lloydem George’em – w końcu zdołał się dorobić tytułu baroneta i w owym szczególnie nieszczęśliwym dla architektury okresie, jakim była druga połowa XIX wieku, obudował prześliczny dwór w stylu królowej Anny ohydną neogotycką skorupą upstrzoną reliefami przedstawiającymi dziejowe triumfy swojej rodziny. Nie były one zbyt liczne – przeważały mgliste, niczym nie

udokumentowane scenki w rodzaju „Gerald de Marney wita królową Eleonorę w Fairburn” albo „Philip de Marney zdobywa sztandar pod Edgehill”, będące dla Broughtonów i ich kręgu nieustającym źródłem ogromnej uciechy. Nie muszę dodawać, że obie rodziny serdecznie się nienawidziły. De Marneyowie, nader niedorzecznie, wciąż próbowali traktować sąsiadów z wielkopańską wyższością, powołując się na formalnie bardziej starożytne pochodzenie; z drugiej strony Broughtonowie, czy to się de Marneyom podobało czy nie, już od przeszło trzech stuleci przewyższali ich bogactwem i wspaniałością. Kilka lat temu zatem aktualny baronet, sir Robert de Marney, zrezygnował z nierównej walki, oddał Fairburn w długookresową dzierżawę dużej grupie Leisure Hotels i wyprowadził się z rodziną do odległego o cztery mile wdowiego dworku<sup>[36]</sup>.

– Jak sądzicie, czy powinniśmy zasłonić twarze? – szepnęła lady Uckfield, wysiadając z samochodu. – To zawsze był najpaskudniejszy dom na świecie – dodała, zwracając się do mnie. – Moja teściowa przysięgała, że wskutek pomyłki wzniesiono go na planie więzienia w Lewes, które budowano w tym samym czasie.

Wejście prowadziło przez rozległą niby-oranżerię z kamienną posadzką i dziwnymi pseudoherbowymi kratami w oknach, które nadawały jej wygląd jakiegoś okazałego banku. Dalej rozciągał się hol wejściowy, pełen grubych kwadratowych filarów, który na skutek decyzji, by podczas przebudowy nie podnosić stropu do pierwotnej wysokości, był przepastny i niski jak pragermańska krypta, a normalny człowiek doprawdy czuł się w nim jak kariatyda. Na ścianach widniały jaskrawe herby de Marneyów, a nad kominkiem, gdzie płonęły ogromne kłody drewna, pyszniło się w złotej ramie zawile drzewo genealogiczne rodu. Lady Uckfield przyjrzała mu się bacznie.

– Jedna gałąź jest niewłaściwa – westchnęła z zadowoleniem.

Nadęty osobnik, który zbliżył się do nas wielce zadowolony z siebie, przedstawił się jako maître d’hôtel i mylnie uznając, że nerwowe pytanie Boba Watsona o rezerwację odzwierciedla onieśmielenie całej grupy, z ogromną wyższością powiódł nas do tak zwanej bawialni. Szybko został wyprowadzony z błędu.

– Co za ohydny kolor – oznajmiła lady Uckfield, ignorując podane krzesło i sadowiając się na kanapie. – Wielka szkoda, bo to jedyny pokój, który miał choć trochę wdzięku. Za dawnych czasów mieścił się tu pokój muzyczny, chociaż im wszystkim słoń nadepnął na ucho! – Roześmiała się przyjaźnie, podczas gdy skruszony maître, usiłując nadrobić straty, giął się w ukłonach, proponując aperitif.

– Chyba lady Uckfield napiłaby się szampana – oznajmił Bob donośnie, po czym kilka lakierowanych głów w kącie odwróciło się w naszą stronę. On również chciał odnieść jakąś korzyść z faktu, że przyprowadził tak wytwornych gości do tego lokalu – eleganckiego, jak sądził – i nie mogę powiedzieć, żebym miał mu to za złe; Bóg wie, że w końcu drogo za to zapłacił. W każdym razie zupełnie zmiądzzył szefa sali, który już dostatecznie zorientował się w sytuacji, by zdać sobie sprawę, jak wielkie *faux pas* popełnił na początku. Mimo to poczuliśmy się nieswojo, a Charles wymienił z Caroline szybkie spojrzenie pełne irytacji. W tym momencie powinienem był stanąć w obronie Boba i jego szczodrości, niestety, uznałem, że nie mam najmniejszych szans na sukces, i tchórzliwie skryłem się za wielkim, oprawnym w skórę jadłospisem, jakie tymczasem nam przyniesiono.

Pojawił się szampan, podany w powodzi sreber, kryształów i haftowanych serwet. Wtedy jednak Eric zrobił coś zdumiewającego: sięgnął po butelkę, wyrwał ją ze srebrzystego lodowego gniazda i zwrócił się do kelnera, całkiem ignorując Boba:

– Nie ma rocznika dziewięćdziesiątego drugiego?

Kelner pokręcił głową, bezradnie mamrocząc jakieś przeprosiny. Wcześniej, ze względu na bojaźliwość Boba, uznał nas za bezwartościowych; teraz, dzięki obecności lady Uckfield, staliśmy się najwspanialszymi ludźmi na świecie.

W obliczu takiej unizoności Eric wyraźnie się rozpromienił.

– To nie powinien był pan mówić, że to rocznik dziewięćdziesiąty drugi, prawda? – Odłożył butelkę z powrotem i rozparł się w fotelu, czekając, aż napełnią mu kieliszek. Za jego plecami Edith pochwyciła mój wzrok i przewróciła oczami.

Bob miotał się bezsilnie. Brał wprawdzie pod uwagę, że rachunek może wynieść około siedmiuset funtów, ale narastająca atmosfera tłumionych chichotów i tajemnych uśmieszków dowodziła, iż jego szlachetna ofiarność w jakiś tajemniczy sposób bardziej go ośmiesza, niż wyróżnia. Naturalnie najbardziej irytował go fakt, że żona już wcześniej usiłowała mu wyperswadować całe zamierzenie, proponując, by zamiast tego zaprosił Broughtonów i Uckfieldów na kolację do Ivy w Londynie (oczywiście takie zaproszenie przyjęliby bez oporów).

Charles postanowił przyjść mu z pomocą.

– Pyszny – oznajmił, sącząc trunek i wymownie spoglądając na pozostałych.

– Absolutnie cudowny – zgodziła się Adela, a ja potakująco kiwnąłem głową; szampan rzeczywiście był całkiem niezły, chociaż trochę zbyt zimny.

Niestety, było już za późno; tego niebezpiecznego wieczoru Simon wyraźnie postanowił pójść na całość i raz na zawsze skończyć z opinią, że obecne towarzystwo w jakimkolwiek sensie go onieśmiela.

– Czy to byłby wielki kłopot, gdybym poprosił o whisky? – zapytał.

– Świetny pomysł – rzekł Eric. – Dla mnie też.

Było to rozmyślne okrucieństwo, albowiem Bob już wcześniej polecił otworzyć trzy butelki szampana, których teraz w żaden sposób reszta z nas nie zdołałaby wypić. Wszystko mu się waliło; zlekceważono jego wino, obrażono go i upokorzono, a w dodatku musiał robić dobrą minę do złej gry, udając, że wszystko idzie jak po maśle.

– Oczywiście – powiedział Bob z szerokim uśmiechem. – A ty, Edith?

Edith opadła na kryty rypsem fotel i szeroko otworzyła swoje przejrzyste oczy. Widziałem, jak omiata wzrokiem Charlesa, który wpatrywał się w nią błagalnie, milcząco prosząc, żeby była grzeczna. Biedak. Robił, co mógł, by uratować wieczór, chociaż zebrani byli znajomymi jego żony. Za jego plecami Simon szczerzył się do niej promiennie.

– Nie miałabym nic przeciwko małej wódce – odparła. Simon niemal puścił do niej oko i oboje powściągnęli uśmiechy, zanim stały się całkiem niestosowne.

– Znakomicie – rzekł Bob bezbarwnym głosem. Rozejrzał się, wężąc kolejną trudność, lecz Caroline rozmyślnym gestem sięgnęła przez Erica po butelkę i naląła sobie duży kieliszek szampana. Linie frontu zostały ustalone.

Jedzenie, jak można się spodziewać, było marne i pretensjonalne. Niemal na każdym stole płonęły małe ogniska; nędzne porcje ułożone w pozbawione smaku piramidki przesuwają się przed nami pod baczny, grymaśny okiem podejrzanie francuskich kelnerów. Szef sali nie potrafił ani przez chwilę zostawić nas w spokoju i wciąż podbiegał, domagając się recenzji bieżącego dania, aż Simon w końcu zaproponował, żeby po prostu z nami usiadł i oszczędził sobie kłopotu. Oczywiście wszyscy wybuchnęli śmiechem, a szef zmył się jak niepyszny. Ale sama kolacja nie była taka zła, a to dzięki Simonowi. Z pewnością był w świetnej formie i sypał dowcipami jak rzadko, śmiał się z opowieści Annette, lecz się z nią nie licytował i, koniec końców, we dwójkę zdołali wspinać nas rozruszać. Nawet lady Uckfield poddała się ogólnej wesołości i chichotała w najlepsze, skubiąc niedobre i kosztowne potrawy.

Charles, z drugiej strony, przez cały czas przeżywał piekło. Brakowało mu dowcipu, więc nie był w stanie pojąć puent większości anegdot, nie mówiąc już o tym, żeby sam coś opowiedział. Otaczali go ludzie z niższych sfer, wśród których – rzecz niezwykła, bo rzadko narażał się na takie ryzyko – stanowił mniejszość. W odróżnieniu od ojca nie umiał flirtować, w przeciwieństwie do matki nie odznaczał się poczuciem humoru, a Caroline, która raz czy drugi ratowała go z opresji, sama była w ponurym nastroju. W końcu Adela zlitowała się nad nim i podjęła rozmowę o ulepszeniu terenów łowieckich w Feltham, gdzie po długiej przerwie przed trzema laty wznowiono polowania. Temat uruchomił w nim pokłady wymowy, jednak i ta próba się nie powiodła, bo gdy Simon, który właśnie opowiadał kolejną anegdotę, jak to inspicjent podczas spektaklu napełnił wannę na scenie wrzątkiem zamiast zimną wodą, tuż przed puentą zawiesił głos, w ciszy rozbrzmiały donośne słowa Charlesa:

– Najważniejsze to zostawić porządny pas jarmużu, a farmerzy oczywiście się przed tym bronią...

– No, Charles jest najwyraźniej zafascynowany tematem – roześmiał się Simon.

Sądzę, że nieszkodliwie sobie zażartował i z pewnością przeszlibyśmy nad tym do porządku, gdyby w tym momencie nie wtrąciła się Edith.

– Ojej, Charles, na litość boską, zostaw już to cholerne strzelanie. Mógłbyś się wreszcie zamknąć.

Wyobrażała sobie zapewne, że to również będzie swego rodzaju dowcip i że wszyscy się roześmieją, jednak wyszło fatalnie. Jej ton był tak ostry i niechętny, że zebrani – zwłaszcza w obecności rodziców Charlesa – aż wzdrygnęli się z zażenowania. Dostrzegłem, że Annette zerka na Boba, Adela zaś trąciła mnie stopą.

Charles podniósł głowę, bardziej dotknięty niż zły, niczym szczeniak, który dostał lanie za siuski innego psa.

– Czy ja was aby nie nudzę?

Zapadło króciutkie milczenie, po czym Eric, siląc się na niewczesny dowcip albo, co bardziej prawdopodobne, po prostu chcąc zrobić Charlesowi przykrość, oznajmił:

– Owszem. Lepiej się czegoś napij. – I dołał Charlesowi wina do kieliszka. Jednak Charles pokręcił głową.

– Nie wiem dlaczego, ale czuję się okropnie zmęczony – oznajmił, patrząc na Boba przepraszająco. – Wybacz, odpuszczę sobie kawę i wrócę do domu, dobrze?

Bob, który na długo przed sięgnięciem po kartę kredytową zdążył zrozumieć, że wieczór zrobił straszliwą klapę, radośnie pokręcił głową.

– Oczywiście! No co ty! Idź, damy sobie radę.

Charles uśmiechnął się blado i wstał.

– No, to chyba już sobie pójdę, jeśli pozwolicie. Wystarczy wam samochodów? W porządku, kochanie?

Dla wszystkich było całkowicie jasne, że Edith powinna w tym momencie się zerwać, oznajmić, że też jest zmęczona, i razem z mężem opuścić lokal. I normalnie tak właśnie by zrobiła, ale tego wieczoru wstąpił w nią diabeł.

A może zwykła chuć. W każdym razie nie poruszyła się i nie odezwała; milczenie przerwał dopiero głos Simona:

– Nie martw się o Edith. Odwiozę ją do domu.

Charles spojrział na niego i przez sekundę, jak to mówią Amerykanie, obaj panowie „mierzyli się wzrokiem”. Mogło by się wydawać, że to Charles, bogaty, utytułowany i na swój przedwojenny sposób naprawdę niebrzydki, ma w ręku wszystkie atuty – i na dłuższą metę faktycznie tak było. Lecz tego wieczoru Simon Russell, aktywny, zwycięski i niebywale przystojny, promieniał, wręcz jaśniał charyzmatyczną pewnością siebie. Każdy widział, jak Charles przy nim blednie; mnie przynajmniej przeszło ukłucie litości dla tego mężczyzny, który rzekomo miał wszystko. Patrząc wstecz, oczywiście rozumiem, że Simona przepełniało zadufanie samca, który kocha i jest kochany, Charlesa natomiast – obawa, że jego życie legnie w gruzach, ale nawet bez tej świadomości muszę powiedzieć, że Russell we wciętej marynarce z niebieskiego aksamitu, ze światłem w oczach i we włosach wyglądał jak ucieleśnienie jakiejś przemożnej siły z mitologicznego obrazu. Mówię to, bo może nie powinniśmy oceniać Edith zbyt surowo, lecz okazać jej pewną wyrozumiałość. Przez chwilę chłoniliśmy ten żywy obraz, aż wreszcie rozległ się głos lady Uckfield.

– To bardzo ładnie z pana strony, panie Russell. Jest pan pewny? – zapytała, ostatecznie egzekwując zmianę nastroju, po czym wstała, zmuszając do powstania resztę gości. – Czy mam zabrać panie? Czy też wyjdziemy wszyscy razem?

Nawet w tej wyjątkowej chwili, usiłując za wszelką cenę trzymać formę, nie potrafiła się powstrzymać przed podkreśleniem, że uważa lokal za miejsce zdumiewające, w którym nie stosują się zwykłe reguły egzystencji. Już wcześniej mówiłem, że darzyłem lady Uckfield wielkim podziwem, a ta chwila umocniła mnie w tym mniemaniu. Patrzyła, jak jej syn wychodzi na durnia, była świadkiem, jak został odprawiony przez własną żonę, miała pełną świadomość, czym grozi propozycja Simona, a przecież za żadne skarby nie ujawniłaby, co czuje. Prędzej dałaby uciąć sobie język, niż przyznałaby, że jej zdaniem to zły pomysł, aby Edith sam na sam z Simonem wracała do domu po

ciemku. Mimo że chętnie zapłaciłaby sto tysięcy funtów, aby Russell raz na zawsze zniknął jej z oczu. Gdyby Edith panowała nad sobą choć w połowie tak jak jej teściowa, to nie byłoby mowy o żadnym skandalu, ani wtedy, ani później.

Po powrocie do ohydnej „bawialni” lady Uckfield przywołała mnie gestem. Jeśli nawet odczuwała niepokój, to nie zdradziła się najmniejszym drgnieniem.

– Pozwól, proszę, że pogratuluję ci wyboru.

– Cieszę się, że podziela pani moją radość.

– Tak, jako przyjaciółka się cieszę, chociaż jako pani domu jestem po prostu wściekła. – Uśmiechnąłem się, bo mówiła prawdę. Wybaczła mi niedogodność, jaką stanowiła dla niej moja rezygnacja ze stanu kawalerskiego, ale tylko dlatego, że wybrałem „właściwie”. – Kiedy zamierzacie się pobrać?  
– Wyjaśniłem, że choć mam wszelkie powody sądzić, że zostanę przyjęty, to nie wszystko jest jeszcze ustalone i przypuszczalnie potrwa to pięć, sześć miesięcy. – A dzieci? Myśleliście o tym? Jestem już stara, więc wolno mi pytać o takie sprawy.

Wzruszyłem ramionami.

– Właściwie nie wiem. Oboje chcemy mieć dzieci, ale mam wrażenie, że wybór terminu to raczej decyzja żony, prawda? W końcu moja rola jest dość łatwa.

– W rzeczy samej – roześmiała się lady Uckfield. – Ale nie zwlekajcie z tym zbyt długo. Mam nadzieję, że Edith i Charles nie będą się ociągać. – Z tymi słowy spojrzała mi w oczy, gdyż oczywiście oboje wiedzieliśmy, że jest już za późno. Gdyby Edith w tej chwili czuwała nad złocistą główką w pokoju dzieciennym albo przynajmniej była w zaawansowanej ciąży, koszmar, który nam groził, nie wydarzyłby się.

– W zupełności się z panią zgadzam – odparłem.



## 13

Gdy Simon oświadczył, że odwiezie Edith do domu, pomyślałem, że może będzie musiał jeszcze kogoś zabrać, co skutecznie pokrzyżuje jego plany. Jednak wychodząc z Adelą na zewnątrz, natychmiast dostrzegłem, że nic z tego, bo całe tylne siedzenie jego auta było zajęte przez dwa krzesła i komplet narzędzi ogrodniczych. Stojąca obok mnie lady Uckfield najwyraźniej także to zauważyła; niewątpliwie najchętniej wsiadłaby do odrapanej cortiny razem z synową, ale oczywiście nie było to możliwe. Zaproponowałem, że podwieziemy ją wraz z mężem mini morrisem Adeli, zerknęła więc na Erica, który właśnie zajechał swoim infantylnym range roverem, i pośpiesznie przyjęła moje zaproszenie. Lord Uckfield usiadł z przodu obok Adeli, ja wcisnąłem się na tylne siedzenie przy Googie z boską obojętnością ignorującą niecierpliwe machanie zięcia, i odjechaliśmy, porzucając Boba i Annette na łasce spąsowiałego Erica i jego samochodowych talentów.

– Mam nadzieję, że go nie zatrzymają – powiedział lord Uckfield.

Lady Uckfield leciutko odeła wargi.

– No cóż – mruknęła.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, przypuszczalnie rozmyślając o Edith i Simonie, których nigdzie nie było widać.

– Zdumiewające są takie miejsca, prawda? – odezwała się znów lady Uckfield. – Ciekawe, kto tam w ogóle bywa?

– Czy nie te, jak im tam, „japiszony”? – rzekł lord Uckfield, wyraźnie w cudzysłowie, zadowolony, że jest na bieżąco z żargonem.

– No, niemożliwe, żeby tylko japiszony. Chyba nie ma ich aż tak wielu. Może Amerykanie? To właściwie bardzo smutne.

– Och, nie wiem – wtrąciła Adela. – Wolę, żeby był tam hotel aniżeli urząd gminy albo żeby go całkiem rozebrali.

– Pewnie tak. – Lady Uckfield z powątpiewaniem pokiwała głową. W gruncie rzeczy najbardziej chciała, by w takich domach nadal mieszkali tacy sami zamożni, dobrze wychowani ludzie, jacy zajmowali je sto lat temu. Nawet jeśli ich nie lubiła, jak de Marneyów. Z jej punktu widzenia wiek dwudziesty nie przyniósł żadnych korzystnych zmian. Jej wspomnienia przyćmił upływ czasu i podobnie jak starcy, którzy pamiętają z dzieciństwa wyłącznie słoneczne dni, nie dostrzegała żadnych złych ani okrutnych stron w Anglii swojej młodości. Zaciekała mnie ta perspektywa – takie głosy pod koniec dwudziestego stulecia należały już do odosobnionych, możliwe jednak, że jej wizja przeszłości nie była ani tak dziwaczna, ani tak nieprecyzyjna, jak chciałby sądzić Jeremy Paxman<sup>[37]</sup>. W każdym razie lady Uckfield absolutnie wierzyła ocenom ludzi ze swojej sfery, co po roku 1914 było rzeczą prawie niespotykaną, chociaż bez wątpienia przedtem taka wiara musiała być dość powszechna. Członek społeczeństwa epoki edwardiańskiej musiał żyć w niezwykłym filozoficznym komforcie – oczywiście, jeśli był arystokratą.

Simon ostentacyjnie się guzdrał, szukając kluczyków do auta, kiedy więc wreszcie włączył silnik, pozostałe samochody Broughtonów zdążyły już odjechać. Odwrócił się, by spojrzeć na Edith. Siedziała oparta o okno, ciasno owinięta płaszczem. Byli jak dwoje graczy z równą kartą, którzy celowo znaleźli się sam na sam. Piszę „celowo”, gdyż zarówno w niegrzecznym zachowaniu Edith, jak i w bezczelnej propozycji Simona było coś, co dla obojga stanowiło sygnał, że zabawa dopiero się zaczyna. Patrząc na łobuzerski uśmiech Simona, na ukośną zmarszczkę w kąciku jego ust, gdzie pojawiły się już początki zarostu, Edith poczuła, że jej ciało przeszywa dreszcz seksualnego podniecenia. Zaskoczył ją ten nagły przypływ żądz. Już przedtem pociągali ją różni mężczyźni, pamiętała, że przyjemnie było kochać się z George'em, w pewnym okresie – wprawdzie głównie przed ślubem – delectowała się nawet myślą o seksie z Charlesem, niemniej teraz gwałtownie zdała sobie sprawę, że to jest coś całkiem innego. Patrząc w ciemnoniebieskie oczy

Simona, uświadomiła sobie, że po prostu i bezwzględnie pragnie być z nim naga, czuć jego twarde, gołe ciało przy sobie i w sobie. Zrobiło się jej gorąco i trochę nieswojo. W brzuchu poczuła trzepot, ogarnęło ją przerażające i zachwycające uniesienie. Opuściły ją resztki zasad.

– Czy nie powinniśmy już jechać? – zapytała.

Simon przyglądał się jej uważnie. Z lekkim rozdrażnieniem odgarnęła jasne włosy, odsłaniając szaroniebieskie oczy. Umilkła, lecz nie domknęła ust, które pozostały wilgotne i rozchylone, ukazując białe lśniące w półmroku zęby. On również był podniecony, ale trochę inaczej niż ona. W swoim czasie kochał się z wieloma ładnymi kobietami, więc ekscytowała go nie tyle myśl o spodziewanych rozkoszach, ile niewzruszona pewność, że jest dla niej atrakcyjny.

Miał dojmującą świadomość własnej urody. Co więcej, umiał ją szanować i cieszyć się nią, gdyż całkiem słusznie wyczuwał, iż na tym polega istota jego władzy. To ona stanowiła o jego kokieteryjnym wdzięku. Po prostu wiedział, że jest ponętny, toteż z każdego, przyjaciela czy wroga, kobiety czy mężczyzny, musiał wycisnąć jakąś reakcję na swój powab. Dopiero otoczony ciepłym blaskiem cudzego podziwu rozluźniał się i czuł naprawdę szczęśliwy. Im większe było zagrożenie, tym bardziej musiał być pożądany, i to pożądany fizycznie. Życie upływało mu na rzucaniu płomiennych spojrzeń i tajemniczych uśmiezków, mrugnięć i puszczenia oka do obcych ludzi, a wszystko to wyłącznie po to, by utwierdzić się w mniemaniu, że on tu rządzi. Nie muszę dodawać, że zostawiał za sobą zastępy ofiar, które – zwodzone całymi tygodniami bądź miesiącami przez wyraźne sygnały zainteresowania z jego strony – po schwytaniu odkrywały, że ich miłość jest mu potrzebna jak zeszłoroczny śnieg.

Mimo że nieustannie szukał potwierdzenia, to jednak nie wysilał się szczególnie. Oczekiwał po prostu, że wyglądem pokona wszystkie przeszkody, nawet jeśli czasem miał niejasne wrażenie, że ktoś o stabilnej osobowości tak się nie zachowuje. Ten brak wiary w inne zalety oznaczał między innymi, że próżność przeplatała się u niego ze swoistym poczuciem niższości. W gruncie rzeczy nie szanował swojego intelektu i mimo pozornej brawury miał

świadomość, że w towarzystwie bywa toporny i niezręczny. Nie ulega wątpliwości, że drobnomieszczańskie tęsknoty w połączeniu z przymusem budzenia żądz musiały go w końcu przywieść do kogoś takiego jak Edith. Cała ironia sytuacji polegała na tym, że ona pragnęła przy jego pomocy wyzwolić się od życia w Broughton, podczas gdy on chciał dzięki niej uzyskać do niego wstęp. Jednakże na tym etapie wydarzeń ta prawda pozostawała przed nimi ukryta. Krótko mówiąc, byli sobą urzeczeni.

Żądza, ów stan znany pod nazwą „zakochania”, to swego rodzaju szaleństwo. Zniekształca rzeczywistość do tego stopnia, że właściwie zakochani, jako współcierpiący, powinni podchodzić ze zrozumieniem do każdej innej formy obłędu. A przecież większość z nas wie, że to konkretne szaleństwo, aczkolwiek mordercze, rzadko bywa długotrwałe, rzadko też, wbrew komunałom rozpowszechnianym na ten temat, przeradza się w uczucie „głębsze i bardziej znaczące”. Oczywiście istnieją wyjątki – w tym sensie niektóre pary „kochają się” wiecznie. Z reguły wszakże, jeśli ludzie do siebie pasują, zakochanie ustępuje cieplej, przyjaznej współzależności wzbogaconej pociągami fizycznym. Gorzej, jeśli byli niedobrani, bo wówczas szal miłosny zamienia się w nudę, a czasem nawet – jeśli mieli pecha i tymczasem zdążyli się pobrać – w tępą nienawiść. A przecież, paradoksalnie, choć szalejemy i cierpimy, gdy namiętność płonie, to tylko nieliczni witają jej koniec z zadowoleniem. Jakże często, spotkawszy po latach obiekt pożądania, który przez całe lata rozpalał w nas płomień, którego głos w słuchawce wywoływał motyli trzepot w naszym brzuchu, a gest przyprawiał o seksualne drżenie, na próżno szukamy w sobie śladu pociągu do znajomej twarzy? Iluż to z nas kocha bez wzajemności, roniąc gorzkie i daremne łzy, a jednak czuje prawdziwe rozczarowanie, gdy obiekt adoracji traci nad nami wszelką władzę? Jakże często zaciekle bronimy się przed wyzwalającą wiedzą, że w gruncie rzeczy ten ktoś nas drażni, i uważamy samą myśl o tym za haniebną zdradę naszych marzeń? Nie da się ukryć – choć szal miłosny dla większości z nas wiąże się z cierpieniem, to jest to stan ducha, którego rodzaj ludzki pragnie ponad wszystko.

Mimo chwilowego zadurzenia Edith w gruncie rzeczy nie postrzegала

Simona jako elementu swojego przyszłego życia. Ale celowo wyparła z pamięci rozdrażnienie, jakie z początku budziła w niej jego zalotna gadatliwość. Teraz uwielbiała słuchać o jego udrękach, nadziejach i marzeniach choćby dlatego, że lubiła patrzeć na jego usta w ruchu. Lubiła grzać się w ciepłe jego fizycznej urody, lubiła jego bliskość, dotknięcie jego dłoni na ramieniu, muśnięcie ręki na rękawie. Dalej nie wybiegała myślą, przynajmniej do tej chwili. Miała pecha, gdyż Simon pojawił się w jej życiu akurat w chwili rozpaczliwego *ennui*<sup>[38]</sup>. Przed ślubem siedziała w biurze agenta nieruchomości i ziewając z nudów przy telefonie, snuła marzenia o nowym, urozmaiconym życiu. Nie przewidywała wówczas, że po kilku miesiącach to nowe życie również stanie się dla niej monotonne; a nudziła się tym bardziej, że kiedyś sądziła, iż realizacja towarzyskich ambicji zapewni jej wyłącznie ekscytację.

Edith uważała swoją nudę za gorszą niż w rzeczywistości, dopuściła bowiem, by jej śladowe uczucie do Charlesa zostało powoli, lecz nieubłagane wyparte przez obsesyjną myśl, że nie jest on dla niej interesujący. W głębokich zakątkach umysłu wiedziała, że nie musiało do tego dojść; gdyby wzorem swojej teściowej od początku stawiała czoło męzowskim ograniczeniom i próbowała sobie z nimi poradzić, to może zwyczajnie zdołałaby go polubić. Gdyby nie oczekiwała od niego rozrywki, to może znalazłaby coś, co rzeczywiście mógł jej dać – lojalność, bezpieczeństwo, a nawet swoją dość przyziemną miłość. Niestety, podobnie jak nie przyznawała się przed sobą, że z premedytacją wyszła za niekochanego mężczyznę, mając na względzie wyłącznie jego pozycję towarzyską, tak teraz nie potrafiła wziąć odpowiedzialności za życie z człowiekiem głępszym i nudniejszym od siebie. Jej zdaniem wszystko to była wina Charlesa – że jej życie jest tak jednostajne, że brakuje im barwnych wypraw do Londynu, że chwile spędzone z mężem są dla niej bardziej nieznośne niż samotność. Co więcej, jak wiele znanych „publicznych” osób zdecydowała się na dość niebezpieczną rolę, grając na użytek zachwyconej gawiedzi szczęśliwą, czarującą żonę, co jawnie kontrastowało z zimnym bezruchem jej domowego życia. Była tak popularna wśród mieszkańców miasteczka, członków komitetów dobroczynnych, pracowników majątku, że sama niemal uwierzyła,

iż naprawdę jest ową zadowoloną, elegancką kobietą, której odbicie dostrzegają w ich oczach (i w lokalnej prasie). Jeśli więc Charles nie reagował na nią tak jak pochlebcy z prowincji, to po prostu musiał sam być temu winien.

Rzecz nie w tym, że jakoś szczególnie gustowała w niebezpieczeństwie. Przyjęła propozycję Simona na złość teściowej, ale miała też inne powody. Była zdumiona siłą pożądania, które ogarnęło ją, kiedy po raz pierwszy znaleźli się sami w ciemnościach, lecz jeszcze bardziej zaskoczyła ją niezwykła euforia, oszałamiający smak otwierających się niezbadanych możliwości. A tego właśnie – pojęła w błysku olśnienia – najbardziej brakowało jej w małżeństwie. Jej egzystencja od wielu miesięcy wydawała się domknięta, pozbawiona swobody i otwartości, jakby wszystkie decyzje zostały już podjęte i pozostało tylko z nimi żyć. A teraz, proszę, oto siedziała w aucie Simona, wpatrzona w jego uda, ciasno opięte sztruksowymi spodniami, z rozkosznym uczuciem, że czeka ją jeszcze wiele zaskakujących wyborów, zanim umrze.

W Broughton Uckfieldowie zaprosili nas do pałacu na drinka. Przypuszczalnie woleliby, abyśmy po prostu wrócili do siebie, niemniej przyjęliśmy zaproszenie – trochę przez grzeczność, a trochę dla paskudnej uciechy, którą w nas wszystkich budziła perspektywa, że wieczór bynajmniej jeszcze się nie skończył. Byliśmy ciekawi (przynajmniej ja), czy Charles naprawdę poszedł spać, a także kiedy Edith i Simon dotrą do domu i jak zachowa się lady Uckfield – krótko mówiąc, nie mogłem się doczekać dalszego rozwoju sytuacji.

Charles był w salonie. Siedział w fotelu, trzymając w ręce niemal nietkniętą szklankę whisky; zapewne po prostu bezmyślnie gapił się przed siebie, dopóki nie usłyszał naszych kroków. W każdym razie z kobiecym magazynem w rękę, który pośpiesznie chwycił na nasz widok, wyglądał na wyraźnie zaskoczonego. Nalał ojcu i mnie szklaneczkę szkockiej i przyniósł Adeli szklankę wody (wieczorem zazwyczaj pija ten bezbarwny napój), jednak ledwie zdążyliśmy usiąść, gdy na schodach rozległo się charakterystyczne pokrzykiwanie Erica.

Przynajmniej range rover już wrócił.

– A gdzie Edith? – zapytał raźnie Eric tuż po wejściu, ucieszony, że jej nie ma, bo w ten sposób zyskiwał nad nią przewagę.

– Mam nadzieję, że nie zepsuł im się samochód – rzekła stanowczo Adela.

– Ojej. Czy to możliwe? – podjęła natychmiast lady Uckfield.

Ponaglony karcącym spojrzeniem Adeli, przytaknąłem.

– Samochód Simona to straszny rupieć. Miejmy nadzieję, że nic się nie stało.

Lady Uckfield zorientowała się już, że rzucono jej koło ratunkowe, które mogła wykorzystać w potrzebie. Nie sędzę, aby była nam za to wdzięczna – żeby poczuć wdzięczność, musiałaby najpierw przyznać przed sobą, że dzieje się coś złego. Niemniej z wyraźną serdecznością przysiadła się do Adeli na kanapę i zaczęła ją wypytywać o ciotkę.

Eric spróbował ponownie.

– Chyba jego silnik strasznie długo nie chciał zapalić – powiedział. – Zdążyliśmy się załadować i wyjechać za bramę, zanim usłyszałem, że rusza.

Ale inicjatywa już mu się wymknęła. Im bardziej spóźniała się zbłąkana para, tym skwapliwiej rodzina zasłaniała się obawą, że doszło do awarii albo wypadku. Inne powody spóźnienia zostały w ten sposób bezboleśnie usunięte w cień.

Gdy rozmowa stała się ogólna, a zebrani rozsiedli się na rozstawionych w pokoju kanapach i fotelach, Charles podszedł do mnie i poprosił na chwilę do gabinetu. Zapomniałem już, jakiego użył pretekstu – żeby mi pokazać książkę albo obraz – ale obaj wiedzieliśmy, że pragnie pomówić ze mną na osobności. Kiwnąłem głową i ruszyłem za nim z niemiłą świadomością, że Chase za moimi plecami uśmiecha się z powątpiewaniem. Wcale się nie paliłem do tej rozmowy; zaczynałem mieć coraz silniejsze wrażenie, że grozi nam chaos, za który czułem się niejasno odpowiedzialny. W końcu to ja przedstawiłem im Simona. Jestem pewien, że gdyby nie moja rola w filmie, to Simon nigdy nie zdołałby przeniknąć do zaczarowanego kręgu Broughtonów.

Gabinet Charlesa, ozdobiony jedną z owych wywieszek „Prywatne”, które

lekceważymy z taką przyjemnością, mieścił się w małym narożnym pokoju, w pewnym oddaleniu od salonu i jadalni używanych na co dzień. Był to właściwie aneks przylegający do biblioteki na pierwszym piętrze, miał takie same urodziwe gzymsy i ościeżnice, a także dwa wysokie okna, z których za dnia zapewne rozciągał się wspaniały widok na park. Od głównej sali bibliotecznej oddzielały go podwójne drzwi, które jednak otwierano bardzo rzadko (jeśli w ogóle), gdyż biblioteka była dostępna dla zwiedzających. Ściany od podłóg po sufit pokrywał szkarłatny adamaszek, subtelnie kontrastujący z różowawym marmurem kominka; pod ścianami stały wysokie przeszklone szafy na książki, najwyraźniej zrobione na zamówienie. Za złoconą ramą wiszącego nad kominkiem portretu przodkini w balowej sukni tłoczyły się zatknięte byle jak zaproszenia, zdjęcia, kartki, widokówki. Również na półce kominka było ich pełno – zwykły papierowy zamęt, który w domach arystokracji ma zademonstrować, że bez względu na elegancję otoczenia ich mieszkańcy czują się swobodnie.

– Bardzo tu ładnie – powiedziałem. – Salonik Edith jest obok?

Charles pokręcił głową.

– Na gorze – bąknął. – Niedaleko naszej sypialni.

Wpatrywał się we mnie z niemą rozpaczą, lecz na razie nie potrafiłem spojrzeć mu w oczy, postanowiłem więc zerknąć na grzbiety książek na półkach. W oko wpadł mi tom Trollope'a *Can You Forgive Her?*, przyprawiając mnie o nielojalny wewnętrzny śmieszek, zaraz jednak dostrzegłem *He Knew He Was Right*<sup>[39]</sup> tegoż autora, co mnie trochę otrzeźwiło. Nie wiem, czy wówczas miałem jakieś dokładniejsze pojęcie o tym, jak dotkliwie Charles przeżywa zazdrość; prawdę mówiąc, w ogóle nie miałem pojęcia o głębi jego uczuć. Brak inteligencji w takich sprawach o niczym nie świadczy. Ludzie głupi mogą być bardzo skomplikowani emocjonalnie, podobnie jak ludzie bystrzy bywają niezdolni do poważniejszych przeżyć.

– Co o tym sądzisz? – W pierwszej chwili pomyślałem, że Charles pyta mnie o zdanie na temat jakiejś książki, ale wyraz jego twarzy uświadomił mi, że jest inaczej. Na wszelki wypadek jednak odpowiedziałem pytaniem:



– O co ci chodzi?

– Co oni robią?

Zachowywał się szorstko i sztywno, zrozumiałem więc, że prawdopodobnie oczekuje tak zwanej męskiej rozmowy. Wzdrygnąłem się na samą myśl. Oprócz innych względów w kwestii małżeńskiej harmonii jestem gorącym wyznawcą zasady „im mniej słów, tym lepiej” – nawiasem mówiąc, zawarcie małżeństwa bynajmniej nie skłoniło mnie do zmiany zdania.

– Och, Charles, daj spokój – odparłem ciepło, aby zasugerować, że moim zdaniem w żadnym razie nie mogą „robić” nic złego. Nie wydaje mi się, żebym obierając taką taktykę, dopuszczał się wielkiej nieuczciwości. Raczej nie. Być może to naiwność z mojej strony – teraz, patrząc wstecz, widzę wyraźnie, że Edith i Simon co najmniej od drugiego wejrzenia mieli się ku sobie – niemniej aż do tamtego wieczoru fakt, że łączy ich wzajemny pociąg, właściwie nie docierał do mojej świadomości.

– Sam daj spokój – rzucił Charles tonem ostrzejszym niż zazwyczaj.

– Posłuchaj! – Staralem się mówić pojednawczo. – Jeśli mnie pytasz, czy coś wiem, to oświadczam, że nic nie wiem. Jeśli mnie pytasz, co o tym myślę, to nic nie myślę. W każdym razie niewiele. Myślę, że wpadli sobie w oko, i tyle. Czy to takie straszne? A ty ani razu po ślubie nie miałeś ochoty z nikim poflirtować?

– Nie – odparł Charles, opadając na krzesło Chippendale’a i wspierając łokcie na ślicznym podwójnym biurku zasłanym papierami. Chwycił się za głowę, wbijając palce we włosy, jakby pozował do pomnika nieszczęścia. Byłem w kropce; z jednej strony myliłem się, sądząc, że wystarczy kilka słów otuchy, by go uspokoić, z drugiej strony nie chciałem przenosić rozmowy na nowy poziom intymności, co Charles, którego przecież wówczas nawet dobrze nie znałem, mógłby uznać za impertynencję. Było mi go żal, szukałem więc sposobu, by zredukować jego niepokój.

Moje rzeczowe refleksje przerwało dobiegające znad biurka westchnienie.

– No bo widzisz, ona mnie nie kocha.

Mówił do sterty papierów na biurku, przypuszczalnie jednak ta uwaga

skierowana była do mnie. Spróbowałem oszacować, jaka reakcja będzie właściwa.

Zadanie w dwójnasób utrudniał mi fakt, że obcesowe stwierdzenie Charlesa było w istocie prawdziwe. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że Edith wtedy go nie kochała. Nie pożądała go (czego, rzecz jasna, mogłem się jedynie domyślać), nie lubiła jego towarzystwa, nie podzielała jego zainteresowań, nie podobali się jej jego znajomi. Nie sądzę, żeby czuła do niego aktywną niechęć, ani wtedy, ani później, ale przecież nie mogłem mu tego powiedzieć, za bardzo cierpiał. Milczałem więc, co przypuszczalnie Charles słusznie uznał za potwierdzenie swoich słów. Podniósł wzrok. Nie potrafię wyrazić, jak wzruszył mnie straszliwy ból, który ujrzałem na jego prostym, ziemiańskim obliczu. Zaczerwienione oczy zamieniły się w szparki, po dużym kościstym nosie ściekały łzy. Włosy, zazwyczaj ulizane niczym w reklamie pomady z lat trzydziestych, sterczały teraz potargane i rozczochrane w małych idiotycznych kosmykach. Piękności nawet z rozpaczą jest do twarzy – w swoim czasie na pogrzebach widywałem wiele godnego wdzięku – ale wiem z doświadczenia, że twarzowa rozpacz zawsze jest trochę podejrzana. Prawdziwe nieszczęście jest brzydkie, raniące i zostawia blizny na duszy. Czerwienię się na myśl, że zdziwiło mnie wówczas, iż Charles – miły, dobroduszny Charles, ze swoimi polowaniami, żywopłotami i psami – posiada serce, które można złamać. Niemniej najwyraźniej miał serce i właśnie byłem świadkiem tego, jak pęka.

Jednak zanim zdołałem się odezwać, w korytarzu na zewnątrz rozległ się głos.

– Charles?

Była to lady Uckfield. Mimo wielkiego emocjonalnego napięcia nawet w tej chwili nie potrafiła popełnić nietaktu, jakim byłoby pukanie do drzwi (czynność z udziałem kamerdynerów w białych rękawiczkach, która zajmuje poczesne miejsce wśród nieścistości w serialach historycznych), lecz ostentacyjnie szarpnęła za klamkę, niemal jakby pragnęła włamać się do Arki Przymierza. Tak czy inaczej, dała nam dość czasu, abyśmy (w razie konieczności) ubrali się bądź przynajmniej otarli łzy, po czym rozwarła drzwi i weszła do środka.

– Ach, Charles. – Uśmiechnęła się beztrąsko do syna, świadomie ignorując jego zdruzgotaną twarz. – Edith wróciła. Utknęli przy wyjeździe z miasta. Co za pech. – Skinęła mi głową. – Twój znajomy pojechał prosto na farmę.

Charles, nieco ogłuszony, podziękował jej skinieniem głowy i skierował się do salonu. Ruszyłem w ślad za nim, lecz lady Uckfield powstrzymała mnie, delikatnie kładąc mi dłoń na ramieniu.

– My też powinniśmy już iść – powiedziałem. – Gdzie jest Bob? Muszę mu podziękować za kolację.

– Poszedł spać – odparła. – Twoja miła Adela już mu podziękowała w imieniu was obojga.

Umilkliśmy. Stała przy kominku, leniwie przekładając kwadratowe kartoniki domagające się obecności jej syna na rozmaitych uroczystościach. Paliło się jedno światło, lampa ze szkła i mosiądzu na biurku w najdalszym kącie pokoju, która rzucała na lady Uckfield długie cienie i w półmroku rysowała okrutne bruzdy na jej twarzy. Wytworny woal jej manier uniósł się na chwilę, ukazując moim oczom zmęczoną, zatroskaną kobietę w średnim wieku.

– No to mamy niezły pasztet – oznajmiła, nie odrywając wzroku od zaproszenia, na którym dostrzegłem zrobionego ptaszka i skrót „Akcept.”, niedbale nagryzmołony ręką Edith.

– Och, no nie wiem – odparłem. Znalazłem się w bardzo niezręcznej sytuacji; w końcu gościłem w tym domu jako przyjaciel Edith. Wypadało mi zachować wobec niej lojalność, choć naprawdę moim zdaniem postąpiła głupio. Inaczej mówiąc, nie byłem „po jej stronie”; po prostu sądziłem, że nie powinienem w ogóle zajmować stanowiska.

– No ale za to ja wiem – syknęła jadowicie i urwała. Spojrzałem na nią. – Jest gorzej, niż myślisz. Eric przypadkiem poszedł wziąć coś z samochodu, akurat kiedy przyjechali. Widział, jak się całują.

Na chwilę, jak by to określił znajomy rodowity londyńczyk, zatkało mnie. Myślałem, że poruszamy się wśród drobnych niestosowności, skutków znudzenia Edith. Spodziewałem się wymówek, pouczeń, że Edith „ma się wziąć w garść”. Oczywiście od razu pojąłem, że kiedy Edith z Simonem podjechali pod dom, Eric wcale nie poszedł do samochodu „przypadkiem”;

przeciwnie, z rozmysłem czaił się przy wejściu, aby nie przegapić daru niebios, jakim była dlań szansa przygwoźdzenia Edith. Na tym etapie zdążył już ją ostatecznie znienawidzić, tylko ja nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jej nie znosi. W każdym razie, bez względu na jego prawdziwe pobudki, z pewnością nie kłamał – widział to, co widział.

W imię starej znajomości podjąłem jeszcze jedną próbę, by wydobyć Edith z pułapki, w którą wpadła na własne życzenie.

– Och, na pewno zwyczajnie całowała go na dobranoc.

– Całowała go namiętnie. On grzebał jej pod bluzką, a ona miała rękę spuszczoną i niewidoczną poniżej deski rozdzielczej – oznajmiła lady Uckfield beznamiętym tonem policjanta składającego zeznania w sądzie okręgowym.

Patrzyłem na nią, nie mogąc wykrztusić słowa. W pierwszym odruchu chciałem ją przeprosić za to, że w ogóle tu jestem, i zmykać gdzie pieprz rośnie. Z pewnością nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

– Najgorsze jest to – ciągnęła lady Uckfield – że zobaczył ich właśnie Eric. On zupełnie nie potrafi dochować tajemnicy, a poza tym podejrzewam, że nie darzy Edith zbyt wielką sympatią. Opowiedział już wszystko Caroline, która powtórzyła to mnie. Będzie próbowała go uciszyć, ale zapewne nic nie wskóra.

W tym wszystkim najciekawsze było dla mnie zachowanie lady Uckfield. Przyzwyczaiałem się już do jej półszeptanej, intymnej manieri, gdy omawiała nagłówki w gazetach lub wskazywała gościom miejsce przy stole. Ale teraz, gdy powierzała mi prawdziwy sekret, cała jej dziewczęca żarliwość zniknęła. Mówiła sucho i rzeczowo; z powodzeniem mogłaby komenderować oddziałem rekrutów.

– Naturalnie – dokończyła – wolno nam mieć nadzieję, że sprawy nie posunęły się dalej, ale nie jestem pewna, czy to w tej chwili w ogóle ma znaczenie.

– Powie pani Charlesowi?

Spojrzała na mnie dotknięta.

– Oczywiście, że nie! Masz mnie za idiotkę? – Znów się rozluźniła. Wstrząs

związany z myślą, że ktoś mógłby ją uznać za prymitywną, już minął. Odłożyła trzymane w ręku zaproszenie i podeszła do okna. – Ale on i tak się dowie.

– W jaki sposób? – zapytałem, chcąc zasugerować, że ja w każdym razie nie puszcze pary z ust.

– Pewnie sama Edith mu powie. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – A jak nie, to powie mu ktoś inny.

Nie dało się do tego dodać nic pożytecznego; niewątpliwie miała rację. Pograżona w otchłani znudzenia Edith akurat w pełni dojrzała do tego, by ulec fatalnej pokusie „postawienia sprawy na ostrzu noża” – postępku, na który pozwala sobie dzisiaj wiele par małżeńskich, notabene dokładnie odwrotnie niż ich pradziadkowie, którzy nie szczędzili kosztów i energii, aby nóż odsunąć jak najdalej od siebie. Czuję, że moje milczenie jest niezręczne, lecz doprawdy nie bardzo rozumiałem, po co lady Uckfield mówi mi to wszystko. Mimo swojej pseudointymności zazwyczaj nigdy nie poruszała spraw prywatnych, nie mówiąc już o wydarzeniach potencjalnie skandalicznych. Zapewne wyczytała te wątpliwości z mojego zachowania, bo odpowiedziała, zanim zdążyłem zadać pytanie.

– Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Oczywiście.

– Chcę, żebyś powiedział temu chłopcu, Simonowi, żeby dał jej spokój.

– No... – Biada śmiałkowi, który bez zastrzeżeń przyjmuje tego typu zlecenie. Cokolwiek sądziłem o charakterze i moralności Simona, z pewnością nie mogłem wobec niego występować w roli mądrego wuja.

Lady Uckfield, widząc moje wahanie, natarła z pełną mocą. Z jej ust popłynął potok wymowy już bardziej normalnej, lekkiej i gładkiej.

– Ona się nudzi. Nic ponadto. Nudzi się i powinna częściej jeździć do Londynu. Powinna częściej się widywać z przyjaciółmi. Albo mieć dziecko. Albo znaleźć pracę. Tego jej potrzeba. A co do tego chłopca... – Wzruszyła ramionami. – Owszem, jest przystojny, jest uroczy, a przede wszystkim jest tutaj, na miejscu. Tak się czasem dzieje, kiedy wchodzimy w nowe życie. To nic nie znaczy. Całe utrapienie w tym, że Eric ich widział. Z pewnością o tym

rozpowie, więc naszym zadaniem jest zagwarantować, by nikt więcej nie potwierdził jego plotek.

Na chwilę popatrzyłem na sprawę z jej perspektywy. To wszystko było głupie i bez sensu, obrzydliwe tylko o tyle, że mogło zranić Charlesa, rzecz jasna, gdyby wiadomość do niego dotarła. Owszem, szkoda, że Eric ich widział. Wielka szkoda. Czarujący, spokojny głos lady Uckfield oddalił groźbę anarchii i burzy, która przez chwilę zbierała się nad naszymi głowami, i pozwolił nam bezpiecznie dobić do brzegu.

– Zrobię, co się da – obiecałem.

– Z pewnością; tak czy inaczej, zdjęcia do filmu już dobiegają końca. – Opamiętała się i dodała pośpiesznie: – Bardzo nam przykro, że cię tracimy, niemniej, mimo wszystko...

Kiwnąłem głową. Podeszła do drzwi; jej praca była skończona. Zrobiła wszystko, by ograniczyć szkody, i z konieczności musiała mi zaufać. Lecz byłem jej sojusznikiem już przedtem. Mogło być gorzej.

– Lady Uckfield – powiedziałem. Przystanęła i odwróciła się ku mnie z dłonią na lśniącej kłamce. – Niech pani nie będzie dla Edith zbyt surowa.

– Oczywiście, że nie – zaśmiała się. – Nie do wiary, ale ja też byłam kiedyś młoda.

Odeszła, a ja pojąłem ponad wszelką wątpliwość, że zaciekle nienawidzi synowej, tak jak zniechęcałaby każdą kobietę, która doprowadziła jej syna do łez.

## 14

– Co się z wami działo, do diabła? – zapytała Adela, kiedy tylko ruszyliśmy spod domu.

– O czym ty mówisz?

– No, najpierw wy dwaj się zmywacie, a pozostali siedzą ponurzy jak potępięcy. Potem Eric gdzieś znika. Później przez chwilę jest spokój, ale zaraz zaczyna się francuska farsa, ktoś ciągle wbiega i wybiega ze zbolaną miną. A ja przez cały czas konwersuję z lordem Uckfieldem, który usiłuje mi wyjaśnić, na czym polega hodowla pstrągów. Gdzieś ty się podziewał? Już myślałam, że będę musiała ich prosić o nocleg.

Oczywiście wszystko jej wyjaśniłem. Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Adela odezwała się pierwsza.

– Co ty w ogóle możesz Simonowi powiedzieć? Ręce precz od tej damy! Przecież on da ci w nos!

– Nie sądzę. To chyba nie ten typ.

– A więc?

Właściwie nie wiedziałem, jak zareagować; sam nie bardzo sobie wyobrażałem, jak rozegrać tę nader krępującą sytuację. Jakim prawem miałbym zabierać głos na ten temat?

Adela dostarczyła mi motywu.

– Chyba po prostu musisz się postarać dla biednej Edith. Byłoby szkoda, gdyby wszystko spieprzyła po tym całym wysiłku, który zainwestowała. I to dla takiego zera.

Po powrocie na farmę zastaliśmy Simona przy kuchennym stole nad kieliszkiem wina. Jego mina, jak również fakt, że nie poszedł jeszcze spać, wskazywały, że najwyraźniej pragnie sobie ulżyć i zrzucić ciężar z serca,

choć pewnie jeszcze się nie domyślał, że wiemy, o jaki ciężar chodzi. To był niepokojący objaw. Zdążyliśmy już z Bellą odkryć, że pomimo czułych wzmianek o dzieciach i ich matce, z utęsknieniem czekających nań w domu, Simon bardzo lubi opowiadać o swoich podbojach. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że rozgłos daje mu chyba większą przyjemność niż sam czyn – bardzo niebezpieczna cecha u żonatego kochanka zamężnych kobiet.

Pożegnałem Adelę, która udała się wprost do łóżka, a sam z ociąganiem przyjąłem proponowany kieliszek. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, aż wreszcie Simon nie zdołał dłużej powściągać niecierpliwości.

– Miły wieczór? – zapytał.

– Taki sobie – bąknąłem bez przekonania. – Moim zdaniem kolacja była dość marna. Biedny Bob. Wyraźnie pobladł, kiedy dostał rachunek.

Znów zapadła cisza. Przypuszczalnie żaden z nas nie wiedział, jak poruszyć temat, który najbardziej nas obchodził.

Tym razem ja postanowiłem zagaić.

– Nie wszedłeś do pałacu.

Simon pokręcił głową.

– Po naszym powrocie doszło do niezręcznej sceny z tym okropnym szwagrem. Uznałem, że będzie lepiej, jeśli się zmyję.

A więc o to chodziło. Nic dziwnego, że Simon chciał sobie pogadać. Eric zaznaczył swoją obecność, a szanse, że zachowa rzecz w tajemnicy, spadły niemal do zera. Ponadto zrobił awanturę, a doświadczenie uczy, że zwykle awanturę robi ten, kto ma ochotę ją zrobić.

– Coś o tym słyszałem – mruknąłem.

Simon spojrzał na mnie.

– Tak? A od kogo? Od Edith?

Pokręciłem głową.

– Od matki Charlesa.

No, to był pewien cios – i nic dziwnego – dostrzegłem jednak, że w ślad za nagłym rumieńcem zażenowania na wargach Simona wykwitła chytry



uśmieszek, oznaka zachwyty, niewróżąca nic dobrego. Oto awansował do roli głównego bohatera sytuacji, którą – jak się zaraz zorientowałem – traktował jak swego rodzaju romantyczny dramat. Z przygnębieniem zdałem sobie sprawę, że Simon, któremu jako aktorowi wszelkie kryzysy sprawiały przewrotną przyjemność, za chwilę spróbuje wycisnąć z tej szansy, ile się tylko da.

– Charles wie?

– Kiedy wyjeżdżałem, nic nie wiedział. A powinien coś wiedzieć? Jest coś, o czym musi wiedzieć?

Jednak Simon nie dał się tak łatwo nabrać. Roześmiał się cicho i wzruszył ramionami, nalewając sobie kolejny kieliszek. Przybrałem swoją najlepszą ojcowską minę.

– Simon, proszę, nie rób afery – powiedziałem.

Ale on wciąż tylko się uśmiechał i mrugał do mnie porozumiewawczo, arogancki i pewny siebie. Jego maniera mężczyzny, któremu się nie odmawia i który w związku z tym sądzi, że zasady moralne zostały stworzone dla bardziej pospolitych śmiertelników, naprawdę doprowadzała mnie do szału. Postanowiłem się odwołać do lepszej strony jego natury – nie było innej drogi.

– Edith jest moją starą znajomą.

– Wiem.

– I nie chcę patrzeć na jej cierpienie.

– Teraz też cierpi.

Była w tym pewna doza prawdy, choć mniejsza, niż oboje z Edith podejrzewali.

– Ale nawet w połowie nie tak, jak będzie cierpiała, kiedy rozpętasz jakiś idiotyczny skandalik tylko dlatego, że ty się nudzisz, a ona jest pod ręką.

Ponownie się uśmiechnął i wzruszył ramionami. Oczywiście byłem na straconej pozycji, gdyż mało co mogło sprawić Simonowi większą przyjemność niż moje błaganie, by przestał oślepiac bezbronną ofiarę reflektorem swojego fatalnego wdzięku. Oto zniżałem się do tego, aby prosić

wielkiego pana, by miał litość nad biedną dojarką. Simon był wniebowzięty.

Spróbowałem więc innej taktyki, trochę niegodnej.

– A co z twoją żoną?

– Co z nią?

– Nie będzie jej przykro?

Ku swej ucieście w końcu wprowadziłem go w zakłopotanie – a przynajmniej w rozdrażnienie.

– A kto jej powie? Chyba nie ty?

Na swój sposób była to absolutna prawda; zastanawiałem się nawet, czy aby nie przesadziłem, gdy wtępiłem kciukiem w szybę za moimi plecami. Odwróciłem się i ze zdumieniem rozpoznałem Edith w luźno zawiązanej chustce od Hermesa, niczym Cathy Earnshaw stojącą w ciemnościach i błagającą, by ją wpuszczono do środka. Simon wszakże jako Heathcliff nie stanął na wysokości zadania i to w końcu ja poderwałem się, żeby otworzyć kuchenne drzwi.

– Co ty tu, u diabła, robisz? – zapytałem, ona jednak spokojnie przepchnęła się obok mnie i podeszła do piecyka, by ogrzać dłonie.

– Tylko ty nie zacznij mnie rugać. Zapewniam cię, że na jeden wieczór mam już tego całkiem dosyć.

– Charles wie?

– Oczywiście. Eric od razu mu powiedział.

– Ale czy wie, że tu jesteś? I dlaczego tu jesteś, na litość boską? Tylko pogarszasz sprawę!

Przez cały ten czas Simon nie ruszał się i nie odzywał. Ale teraz nieśpiesznie wstał z krzesła, odstawił kieliszek, zbliżył się do Edith, po czym powoli – podejrzewam, że ze względu na moją obecność – wziął ją w ramiona i pochyliwszy głowę, zaczął ją przeciągle całować z wilgotnym, głodnym rozmysłem współczesnych gwiazd hollywoodzkich, filmowanych w zbliżeniu. Wyglądało to niemal tak, jakby pożerał jej język. Przez chwilę patrzyłem na ich rozkołysane jasnowłose głowy, niemal widząc, jak w tle, niczym duchy w namiocie Ryszarda III, przesuwały się postacie Charlesa i jego matki,

a także nieszczęsnej pani Lavery – której marzenia na moich oczach właśnie obracały się w popiół – za nimi zaś mającą zamglone sylwetki Cumnorów, starej lady Tenby z córkami, wszystkich tych ludzi urzeczonych i sekretnie (lub całkiem jawnie) zachwyconych katastrofą, jaką zamierzała ściągnąć na siebie ta para głupców.

– I co? – zapytała rozbudzona Adela, której obiecałem zdać raport przed snem. Obróciła się ku mnie na łóżku i zamrugła, by lepiej się skupić.

– Beznadzieja – odparłem.

– Nie chce słuchać?

– Niestety, wręcz rozkoszuje się sytuacją. W każdym razie i tak niewiele zdążyłem mu powiedzieć. Właśnie zaczynałem, gdy pojawiła się Edith. Oboje są teraz na dole.

Adela zamilkła na sekundę.

– Och – powiedziała. A potem: – Więc istotnie beznadzieja. Biedny Charles. – Opadła na poduszkę i naciągnęła sobie kołdrę na głowę.

Jakiś czas później oświadczyłem się i zostałem przyjęty. Przyznaję, że był to dla mnie dość nerwowy okres; byłem lustrowany przez nieskończone szeregi pełnych dezaprobaty krewnych mojej wybranki, którym zazwyczaj cierpła skóra na myśl, że ich ukochana Adela będzie w przyszłości zależna od czyjejś kariery scenicznej. „No cóż, mogę tylko powiedzieć: powodzenia z tym artystycznym temperamentem” – brzmiała ocena pewnej szczególnie niemiłej ciotki. Po kilku miesiącach tym podobnych uciech nie mogłem się już doczekać końca, postanowiliśmy zatem, że pobierzemy się w kwietniu.

Ponieważ miesiąc ten słynie ze zmiennej pogody, zostało uzgodnione, że ceremonia odbędzie się w Londynie. „Wesele na wsi oznacza taplanie się w błocie” – powiedziała Adela. Aczkolwiek na mniejszą skalę niż w wypadku Broughtonów, nasz ślub przypuszczalnie również liczył się jako „wydarzenie towarzyskie”. Dla każdego, kto kiedykolwiek był jednym z aktorów w naprawdę dużym obrzędzie – a szczególnie w londyńskim ślubie z całym towarzyszącym mu zamętem – będzie więc jasne, że przez jakiś czas po prostu nie miałem wolnej chwili, by martwić się o Edith i jej *ménage*<sup>[40]</sup>. Ale

zaprosiłem Uckfieldów oraz Broughtonów i ku ogromnej radości mojej teściowej wszyscy czworo zapowiedzieli swój udział. Była to uspokajająca wiadomość w przedślubnym chaosie, oznaczała bowiem – tak przynajmniej sądziłem – że kłopoty minęły i głupi wybryk jesiennej nocy uległ zapomnieniu. Ale wówczas, jakieś dwa tygodnie przed uroczystością, zadzwoniła do mnie Edith.

– Zaprosiłeś Simona? – zapytała.

Natychmiast uznałem, że obawia się niezręcznej sytuacji, więc pośpieszyłem ją uspokoić.

– Nie, nie zaprosiłem. Jesteś bezpieczna. – Roześmiałem się zyczliwie, chcąc jak najszybciej wspólnie obrócić w żart wspomnienie całego ohydneho incydentu.

– A mógłbyś?

Uśmiech spełził mi z twarzy, nadzieja na szczęśliwe zakończenie prysła jak sen.

– Nie, nie mógłbym – odparłem krótko.

– Dlaczego nie?

– Bardzo dobrze wiesz dlaczego nie.

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.

– Mogę cię prosić o przysługę? – powiedziała w końcu. Milczałem, z obawą czekając, co usłyszę. Ale nic nie zostało mi oszczędzone.

– Czy mógłbyś nam udostępnić swoje mieszkanie, kiedy was nie będzie?

– Nie.

– Nie. – Głos Edith zabrzmiał zimno i stanowczo. – No cóż, wybaczone, że zwracałam ci głowę.

To zawsze się zdarza, kiedy człowiek ma jakieś ważne wydarzenie na głowie. Wigilia kluczowego dla nas egzaminu to moment, który nieodmiennie wybierają rodzice naszych przyjaciół, żeby umrzeć albo iść do więzienia.

– Edith, moja droga – powiedziałem. – Nie możesz u mnie spotykać się z Simonem, to chyba oczywiste. Jak mógłbym zrobić Charlesowi coś takiego?

Albo nieszczęsnej żonie Simona, skoro już o to chodzi? Kochana, proszę, nie szalej. Błagam cię.

Ale nie dała się przebłagać. Wygłosiła kilka zdawkowych formułek, po czym w słuchawce zapadła cisza.

Adela, gdy jej to opowiedziałem, nie była zdziwiona.

– On sądzi, że ona go wkręci w środowisko. Że dzięki niej otworzą się przed nim różne drzwi. To przecież Jaś Karierowicz.

– Nie jestem pewien, czy te sprawy w ogóle go interesują.

– Interesują, a jakże. Taki typ jak on zawsze chce siedzieć u szczytu stołu. Sam zobaczysz.

– Cóż, nie wiem, czy biedna Edith zdoła mu wiele ułatwić.

Adela uśmiechnęła się, dość lodowato moim zdaniem.

– Nie zdoła. Będzie miała szczęście, jeśli dostanie stolik w klubie St James, kiedy to się skończy. Głupia gęś.

I to właśnie Adela zwróciła moją uwagę, trącając mnie w łokieć, gdy po ceremonii przyjmowaliśmy życzenia od kolejnych gości.

– Markiz i markiza Uckfield oraz hrabia Broughton! – obwieścił lokaj spiżowym tonem, miłośnie obracając tytuły na języku niczym jakieś łakocie. Zjawili się we troje.

– A gdzie Edith? – zapytałem.

Charles lekko wzruszył ramionami, dałem więc spokój. Prawdę mówiąc, trochę się wzruszyłem, że Uckfieldowie w ogóle uznali za stosowne przyjść. Z reguły tacy ludzie są pełni przyjaznych uczuć, kiedy sami dyktują warunki, ale w rewanżu nieszczęśliwie się wysilają. W każdym razie nie sądzę, by lord Uckfield do końca zdawał sobie sprawę, dlaczego nagle kazano mu się wystroić i zrezygnować z całkiem fajnego popołudnia, które najchętniej spędziłby, oglądając w telewizji wyścigi konne. Jednak lady Uckfield chyba tymczasem zdążyła mnie polubić, a poza tym traktowała mnie – jedyne go dawnego przyjaciela Edith, który zdołał przeniknąć do jej nowego życia – jako swego rodzaju przyczółek. Wszyscy troje złożyli nam życzenia i przeszli do sali recepcyjnej, a my wróciliśmy do ciągnącej się bez końca kolejki starych

piastunek i krewnych z prowincji.

Trudno jest z kimś porządnie porozmawiać na własnym weselu, zwłaszcza kiedy jest to wytworne przyjęcie, gdzie goście jak ognia unikają czynności rozsądnych, lecz rzekomo drobnomieszczańskich, takich jak spożywanie żywności w pozycji siedzącej. Państwo młodzi, przekazywani z rąk do rąk niczym tace z zakąskami, z każdym muszą zamienić choćby kilka słów, by choć w ten sposób uzasadnić czyjaś całonocną podróż ze Szkocji, przylot z Paryża lub rejs z Nowego Jorku. Niemniej jednak Charles zdołał na chwilę mnie zawłaszczyć.

– Umówimy się na lunch po waszym powrocie? – zapytał.

Skinąłem głową z uśmiechem, lecz wykręciłem się od rozmowy; początek jednego małżeństwa to marny moment na roztrząsanie zakończenia drugiego. Muszę jednak przyznać, że pochlebiło mi, iż Charles najwyraźniej uważał mnie za przyjaciela – pochlebiło, ale także potwierdziło słusność mojego stanowiska, skoro bowiem w tej sprawie w ogóle musiałem wziąć czyjaś stronę, to z pewnością była to strona Charlesa. Oczywiście doskonale wiedziałem, że nie zaliczam się do jego starych kumpli, miałem jednak tę przewagę, że w przeciwieństwie do większości z nich mogłem rozmawiać o jego żonie na podstawie realnej z nią znajomości, a nie zasłyszanych po ślubie pogłosek.

Po cudownych dwóch tygodniach spędzonych z Adelą w Wenecji, a po powrocie zastaliśmy w mieszkaniu sterty świeżych prezentów od Petera Jonesa i General Trading Company<sup>[41]</sup>, oraz list od Charlesa, który proponował mi lunch w następny czwartek, na co wyraziłem zgodę. Charles, jak można się było spodziewać, należał do klubu White'a, a zatem umówionego dnia o pierwszej po południu posłusznie stawiłem się na miejscu pod znajomym portalem, pięknie zaprojektowanym przez braci Adamów<sup>[42]</sup>.

Spośród trzech eleganckich klubów, których czarujące osiemnastowieczne fasady górują nad placem St James, klub White'a uważany jest za najwytworniejszy. Jeszcze dzisiaj, mimo odmłodzenia składu członkowskiego, może on poszczycić się stosunkowo niewielką liczbą arystów z City, być

może dlatego, że zarząd ma jeszcze dostatecznie dużo *gratin*, by się postawić. Być może również służy temu atmosfera, zbyt rozrzedzona dla zwykłych śmiertelników, w każdym razie większość z nich po kilku wizytach decyduje się na coś mniej wyrafinowanego. Co powiedziawszy, muszę stwierdzić, że zawsze White'a lubiłem. W żadnym razie nie chciałem do niego należeć – równie dobrze mógłbym sponsorować drużynę polo – jednakże angielskie klasy wyższe (uczciwie oddaję im sprawiedliwość, choć znam ich wady jak mało kto) mają tę zaletę, że w nieoficjalnych, przyjemnych okolicznościach stanowią nader miłe i rozluźnione grono. Znają się od kołyski, więc czują się ze sobą swobodnie, a wiedząc, że nikt w pobliżu ich nie skrytykuje, mogą do woli rozkoszować się bliskością swojej rozszerzonej rodziny. W najlepszej formie, we własnym towarzystwie, w bezpiecznej kryjówce są to ludzie uprzejmi i nieustraszeni zarazem, co stanowi połączenie zaiste urocze.

Podaliśmy swoje nazwisko w mahoniowej recepcji przy wejściu, gdzie dowiedziałem się, że „jego lordowska mość” jeszcze nie przybył, po czym wskazano mi kanapę w holu. Nie tutaj było miejsce na beztrudne skinienia głowy, dające obcym dostęp do wewnętrznego sanktuarium! Lecz nie zdążyłem nawet przejrzeć najnowszych doniesień dalekopisu (teraz już zniknął, niestety), gdy poczułem klepięcie w ramię.

– Wybacz, mój drogi – powiedział Charles. – Utknąłem po drodze.

Przeszliśmy do małego baru pod schodami, gdzie Charles zamówił dla nas obu wytrawną sherry. Z zadowoleniem stwierdziłem, że wygląda prawie tak jak dawniej, elegancko ubrany i schludny, z blond włosami ułożonymi w lekkie fale, w krawacie z jakimś symbolem wojskowym lub akademickim.

– No więc co u ciebie? – zapytał. – Przypuszczalnie jesteś zajęty?

Tak się złożyło, że akurat zajęty nie byłem, lecz miałem nadzieję na jakąś rolę albo dwie, więc na tym etapie nie dręczyła mnie jeszcze ostra desperacja, o której mówi się, że jest chorobą zawodową członków związku aktorów. Bąknąłem coś o Adeli, o mieszkaniu, o Wenecji i tak dalej, ale, rzecz jasna, widziałem, że Charles pali się, by pogadać o czymś innym.

– A jak twoje sprawy? – zapytałem więc.

Jakby w odpowiedzi odstawił drinka.

– Chodźmy coś zjeść – mruknął i ruszył po schodach na górę.

Jadalnia White'a mieści się we wspaniałej sali, odzwierciedlającej nasze najsmielsze wyobrażenia o takich wnętrzach. Wysokie, sięgające złoczonego sufitu okna wychodzą na plac St James, na krytych adamaszkim ścianach wiszą portrety chyba wszystkich dotychczasowych członków klubu. Całość emanuje typową dla arystokracji solidnością, na której Charles słusznie, aczkolwiek podświadomie, zbudował tyleż swoją osobowość, co styl życia.

Złożyliśmy zamówienie przy wejściu, po czym znaleźliśmy dwuosobowy stolik pod ścianą naprzeciwko okna.

– Chyba Edith mnie rzuciła – oznajmił Charles zniechęcony i tak obcesowo, iż początkowo sądziłem, że się przesłyszałem.

– Jak to „chyba”? – Nie bardzo pojmowałem, jak można mieć wątpliwości w takiej sprawie.

Odchrząknął.

– No, może lepiej będzie powiedzieć, że ona myśli, że mnie rzuciła.

Uniósł brwi. Przypuszczalnie czuł, że może podołać tej rozmowie, tylko jeśli zdystansuje się od tematu i będzie udawał, że wymienia plotki o kimś obcym.

– Zadzwoiła dziś rano. Wynajęli mieszkanie na Ebury Street. Podobno mają pomysł, żeby razem zamieszkać.

Stosowna fraza, jak sądzę, brzmi „świat zakołysał się w posadach”. Moją pierwszą reakcją, dość niegodną, było niedowierzanie – czyżby Edith zrobiła takie głupstwo dobrowolnie, nie pod presją skandalu?

– Co powiedziała?

– Tylko tyle, że się kochają. I że przedtem była bardzo nieszczęśliwa. I że to niczyja wina, ple, ple, ple. No wiesz. Do przewidzenia.

W tym momencie podano moją pastę z krewetek, a zaraz po niej awokado dla Charlesa. Skorzystałem z chwili milczenia, usiłując zebrać myśli, ale za żadne skarby nie potrafiłem wykombinować nic sensownego.

– Kto jeszcze o tym wie? – zapytałem niezbyt mądrze.

– Mówisz jak moja matka.



Wzmianka o lady Uckfield sprawiła, że gorąco zapragnąłem, aby przybyła, przejęła stery i wyprowadziła wszystkich z tej upiornej sytuacji. Nawet w burzliwej młodości nie przyszłoby jej do głowy mieszkanie na Ebury Street wynajęte do spółki z żonatym aktorem.

– A ona wie?

– Nie zna szczegółów. Edith zadzwoniła kilka dni temu. Wtedy przysłałem ci ten liścik. Od tamtej pory z nikim się nie kontaktowałem. Nie wiem, co miałbym zyskać, stawiając czoło burzy, jeśli burza jako taka nie nastąpi.

Okiem duszy widziałem już wielkie nagłówki w tych samych gazetach, które zaledwie przed dwoma laty przedstawiały Edith jako wymarzoną narzeczoną i zamieszczały cukierkowo lepkie relacje z jej ślubu. Aż nazbyt dobrze znam moralizujący ton, który z radością przyjmują zblazowani i zalkoholizowani dziennikarze, postanawiając obnażyć ciemne sprawy wielkiego świata. Edith kiedyś z ochotą oddała się im w niewolę i zgodziła się zostać zabawką felietonistów, a oni teraz, jak wiedziałem aż nazbyt dobrze, tym chętniej rozszarpią ją na strzępy.

– A da się uniknąć burzy? – zapytałem.

– Nie wiem. Dlatego potrzebna mi twoja pomoc.

Naturalnie na te słowa opuściła mnie odwaga. To działo się zbyt blisko. Nagle z całej siły zapragnąłem znaleźć się z powrotem poza kręgiem tej rodziny i jej problemów. Jakże dziecinni są Amerykanie, dezawuuując zwykłą znajomość w zestawieniu z prawdziwą wierną przyjaźnią. To właśnie znajomości – te rozkoszne kolacyjki, przyjemne weekendy, ploteczki wymieniane w malowniczej scenerii, pozbawione autentycznej intymności i odpowiedzialności – stanowią o największym wdzięku stosunków towarzyskich. Jestem z natury obserwatorem. Czuję się nieswojo, gdy muszę grać rolę uczestnika.

– A więc przyjąłbyś ją z powrotem?

Charles wyglądał na zdumionego tym pytaniem.

– Co ty mówisz? Przecież to moja żona!

Trudno wyjaśnić, dlaczego jego deklaracja tak mnie poruszyła. Być może

wyda się dziwne, że piszę w takim tonie w naszych tandetnych czasach, ale w owej chwili uświadomiłem sobie, że mam przed sobą człowieka naprawdę dobrego, człowieka, na którego słowie można polegać, człowieka o moralności wykraczającej poza doraźną modę. Cóż takiego znalazła Edith w ramionach swojego kochasia, co było warte więcej niż ta niezłomna, ślepa lojalność?

Charles robił wrażenie zmieszanego własnym wybuchem szlachetności.

– Chcę, żebyś po prostu z nią porozmawiał.

– No chyba nie oczekujesz, że ją porwę i przywiozę z powrotem. – Odstawiłem kieliszek. – I co właściwie miałbym jej powiedzieć? Uważam, że kompletnie zwariowała. – Charles uśmiechnął się smutno. – Po prostu nie wyobrażam sobie, że przekona ją cokolwiek, co powiem. W końcu nie posłuchała ani ciebie, ani własnej matki.

Biedna pani Lavery! Kiedy otrzyma tę wiadomość, pozostanie jej już tylko harakiri.

– Wiem, ale... – Charles urwał. – Jak by to powiedzieć... ty znasz świat, w którym obraca się ten cały Simon. Nie chciałbym być, no, niegrzeczny, ale czy Edith będzie się w tym świecie dobrze czuła? Czy ona w ogóle się nad tym zastanawia?

Otóż to pytanie było dość skomplikowane – w każdym razie bardziej skomplikowane, niż się Charlesowi wydawało. Nigdy nie wiadomo, komu spodoba się świat teatru. Adela czuła się w nim jak ryba w wodzie i bez najmniejszych trudności godziła bywanie w nim ze swoim drugim, bardziej tradycyjnym kręgiem towarzyskim. Polubiła panującą tam mentalność obłąkanej twierdzy, życie z dnia na dzień, skrajności typu wszystko albo nic. Inni, na przykład moja teściowa, mieli odmienne zdanie: uważali ludzi teatru za kupę wypacykowanych, plugawych prymitywów, okropnych osobników, którzy bez przerwy włączają do cudzych łóżek i chleją na umór w restauracjach – i ten obraz też poniekąd był prawdziwy. Charles należał do tej drugiej szkoły. Bawiły go kontakty z aktorami na gruncie towarzyskim, ale nieprzypadkowo jedyny aktor, którego lepiej znał, czyli ja, wychował się w dość tradycyjnym środowisku. Wpadając do nas na drinka, z prawdziwą uciechą rozpoznawał

wśród gości celebrytów z telewizyjnych seriali, ale nie przyszłoby mu do głowy, aby się z nimi zaprzyjaźniać. Właściwie przez cały czas to właśnie stanowiło dla Charlesa największy problem; zwyczajnie nie mógł pojąć, jak Edith, znając od podszewki jego świat – a cokolwiek by mówić, był to świat wytworny i osadzony w pięknych dekoracjach – mogła świadomie z niego zrezygnować dla środowiska, które uważał za mniej więcej równie atrakcyjne jak koczowisko bezdomnych.

Oczywiście nawet ludzie początkowo olśnieni blaskiem scenicznego świata muszą się liczyć z tym, że w końcu z niego wyrosną. Życie w teatrze to wybór jaskrawych barw w miejsce stonowanych odcieni, co wyraźnie widać zwłaszcza w drobnych dramatach codzienności, toteż w pewnym momencie wszystkie te infantylne szlochy w garderobach, zmowy przeciwko dyrektorom, telefoniczne zwierzenia o północy zaczynają nas zwyczajnie nużyć. Czasem aktorzy, usiłujący złagodzić rosnące poczucie pustki, oddają się jakiejś „sprawie”, przekuwając w czyn swoją chroniczną potrzebę zmagania i walk. Nic łatwiejszego, niż zebrać tłum wściekłych aktorów, radośnie pomstujących na cokolwiek. Ale nie wszyscy gustują w „walce o sprawę”, a już z pewnością nie lubią tego osoby pragmatyczne. Poza tym zawsze istnieje ryzyko – którego nie potrafią uniknąć nawet największe nazwiska – że zaczniemy popierać tak wiele szlachetnych celów, iż rozmienimy się na drobne. Ogólnie rzecz biorąc, najlepszą odtrutką na nudę teatralnych plotek jest po prostu wielki sukces. Sława bowiem daje pieniądze i status, które same w sobie są bardzo przyjemne, a w dodatku mimochodem poszerzają nasze horyzonty.

Co przywiodło mnie z powrotem do pytania o to, jak Edith adaptuje się do nowej egzystencji. Zaryzykowałem szczerą odpowiedź.

– Myślę, że wszystko zależy od tego, jak będzie się wiodło Simonowi.

Charles pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

– No jasne, że chciałaby żyć z kimś takim jak Jude Law. Chodzi o to, jak ten facet sobie radzi. Nigdy przedtem o nim nie słyszałem. Edith jest przyzwyczajona do życia na wysokiej stopie, przecież wiesz?

Wiedziałem.

– Trudno powiedzieć – rzekłem po zastanowieniu. – Simon dostaje coraz

lepsze propozycje. Może nawet trafi mu się główna rola w serialu, wtedy naprawdę wyjdzie na swoje.

– A jeśli nie?

Uwaga niewątpliwie była słuszna. Osoby z zewnątrz często mówią, iż jakiś aktor „odniósł sukces”, co z grubsza oznacza tylko tyle, że o nim słyszeli lub że „nie odniósł sukcesu”, co obejmuje sześćdziesiąt procent aktorów, którzy nigdy nie będą przyzwoicie zarabiać. Jednak nie trzeba być matematykiem, by pojąć, że między tymi dwiema grupami mieści się spora kategoria ludzi, którzy nieźle sobie radzą, rozsądnie zarabiają i są znani w branży. Każdy z nich może w każdej chwili dostać angaż w nowej produkcji telewizyjnej, po czym, jak lubią pisać gazety, „jego los z dnia na dzień się odmieni”. To jest pułapka tego zawodu. Łatwo jest z czegoś zrezygnować, jeśli się nam nie wiedzie, lecz nie sposób odejść, gdy sukces jest tuż-tuż. I tak z pewnością było w wypadku Simona Russella.

Przyniesiono główne danie, więc zyskałem trochę na czasie.

– Słuchaj, Charles, problem w tym, że nie bardzo wiem, jakiego argumentu miałbym użyć, żeby to odniosło skutek. Mówiłem już: sądzę, że zupełnie zwariowała, ale to przecież dorosła kobieta. W głowie mi się nie mieści, jak mogła porzucić to wszystko, co ty jej oferowałeś, żeby zamieszkać z aktorem o średnim talencie i jeszcze bardziej średnich dochodach. Ale ona sama na pewno wie o tym doskonale, więc nie potrafię dodać nic, co mogłoby pomóc.

– Pewnie go kocha. To musi być seks.

Ostatnie słowo zabrzmiało jak wystrzał z karabinu i dwaj mężczyźni przy sąsiednim stoliku obrzucili nas ciekawym spojrzeniem.

– Możliwe, że chodzi o seks – zgodziłem się. – Ale wcale nie jestem pewien, czy go kocha.

Charles zmarszczył brwi z dezaprobatą.

– Nie bardzo za tobą nadążam – oznajmił i skupił się na swoich kotletach jagnięcych, które zaczął drapieżnie oskrobywać z kości, najwyraźniej nie chcąc, by zmarnował się choćby najmniejszy skrawek substancji jadalnej.

Było jasne, że Charles za nic nie przyzna, iż jego żona rozróżnia te dwa

zjawiska – że zaspokaja ciało, nie angażując serca. Bardzo go za to polubiłem.

Nie mówiliśmy już zbyt wiele. Pamiętam jedynie, że zanim wyszedłem na Piccadilly i podążyłem przez arkadę Ritza do stacji metra Green Park, zgodziłem się zadzwonić do Edith i „przemówić jej do rozsądku”.

Tak się złożyło, że Edith też miała ochotę się ze mną spotkać, „pod warunkiem że nie będziesz mi prawil kazań”. Właściwie nie powinienem się dziwić – Freud ma specjalne określenie na „przymus ujawniania”, który rozmiękcza nas wszystkich. Edith po prostu nie mogła się doczekać, żeby omówić całe zdarzenie z kimś, kto znał wszystkich jego uczestników, a zważywszy na to, iż jednocześnie oczekiwała współczucia, prawdopodobnie byłem jedyną osobą w tej kategorii. Umówiliśmy się w niedrogiej i sympatycznej knajpce przy Milner Street – niestety, tymczasem padła ofiarą deweloperów i od dawna nie istnieje – gdzie niekiedy bywaliśmy za czasów pracy Edith w agencji nieruchomości. Kiedy przyszedłem, siedziała w kącie w ciasno zawiązanej chustce, zsuniętej nisko na czoło. Wszystko to wyglądało niezwykle tajemniczo.

– Pewnie Charles cię namówił? – zagaiła. Przytaknąłem, bo faktycznie tak było. – Co u niego słyhać?

– A jak sądzisz?

– Biedaczek.

– To prawda.

Zmarszczyła gniewnie nos.

– Tylko nie próbuj mi wmówić, że jestem potworem.

– Ale naprawdę jesteś potworem. – Tę wymianę zdań przerwało nadejście kelnerki, niewykluczone, że w samą porę. Oczywiście natychmiast dostrzegłem, że Edith cała ta awantura ogromnie bawi. – Jak tam Simon? – zapytałem.

– Och, znakomicie. Właśnie je lunch ze swoją nową agentką. Która podobno sądzi, że jest naturalnym następcą Simona MacCorkingdale’a.

– To dobrze?

– Bardzo dobrze – rzekła krótko, karcąc mnie spojrzeniem. – W każdym razie lepiej niż jego poprzedni agent, który zawsze powtarzał, że Simon ma szczęście, iż w ogóle dostaje jakieś role.

– Pracuje teraz?

– Będzie grał w sztuce w Bromley. We wznowieniu *Rebeki*. Mają nadzieję wejść z tym na West End.

– Edith, prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż wznowienie *Rebeki* w Bromley wejdzie na sceny w Londynie.

– No tak mu powiedzieli.

– Są dwa powody, dla których mówią takie rzeczy. Po pierwsze, chcą nas zwabić, żebyśmy w ogóle zagrali w czymś takim, po drugie, nie chcą, żebyśmy wyszli na ostatnie łajzy, kiedy znajomi nas zapytają, co ostatnio robimy. Pamiętaj, ja obracam się w tym świecie.

Nieznacznie pokiwała głową.

– Pewnie dlatego Charles wybrał ciebie, żeby ze mną porozmawiać. Masz zedrzeć pozłotkę i pokazać mi zgniliznę pod spodem. Na razie jeszcze nikt mi nie przypomniał o wspaniałościach Broughton, tymczasem sobie odpuścili, chociaż przypuszczalnie i to mnie czeka, kiedy Googie dorwie się do głosu. – Wzdrygnęła się z udawaną zgrozą.

Poczułem się dotknięty.

– Nie bardzo rozumiem, czemu miałbym ci nie przypominać o wspaniałościach Broughton – sarknąłem.

Wzruszyła ramionami. Nagle jej niefrasobliwość zaczęła mnie drażnić. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedziałem, ile trudu kosztowało ją upolowanie Charlesa, i za cholerę nie miałem zamiaru się przyglądać, jak udaje zblazowaną arystokratkę, która postanowiła zakończyć aranżowane małżeństwo.

– Przestań się wygłupiać – powiedziałem, gestem powstrzymując kelnerkę, która zbliżała się do nas, niosąc pierwsze danie. – Uwielbiałaś to. Uwielbiałaś każdą chwilę. Wszystkie te służalcze sprzedawczynie

i przypochlebne fryzjerki. Całe to „tak, milady, nie, milady”. Zobaczysz, jeszcze za tym zatęsknisz.

Stanowczo pokręciła głową.

– Nic podobnego. Ja się taka nie urodziłam, sam wiesz o tym najlepiej.

– I właśnie dlatego, że się taka nie urodziłaś, zatęsknisz za tym boleśnie. – Westchnąłem. – Obawiam się, że czeka cię okropne rozczarowanie.

– Jakoś nie słyszę w twoim głosie obawy – odpowiedziała. – Mówisz, jakbyś był tym zachwycony. – Upiła łyk wody Perrier, czekając, aż postawią przed nami talerze. – A jeśli Simon zostanie gwiazdą? Co wtedy? Chyba ludzie wolą spotykać się z gwiazdorem filmowym niż z jakimś nudnym starym lordem.

Dopiero wówczas dotarło do mnie, że Edith, najwyraźniej upojona swoim wyobrażeniem o miłości, popełniła dwa zasadnicze błędy w ocenie. Po pierwsze, porównując względne zalety arystokracji i gwiazdorstwa, założyła, że korzyści, które jako partnerka mogłaby z nich czerpać, są w jakiś sposób równoważne. Nic nie jest dalsze od prawdy. Koniec końców żona hrabiego staje się prawdziwą hrabiną. Ludzie pragną ją poznać nie tylko dlatego, że widzą w tym sposób, by dotrzeć do jej męża. Co więcej, jeśli rodzina, w którą wchodzi, zachowała (jak Broughtonowie) jakiś majątek, to żona właściciela ziemskiego dostaje we władanie własne minikrólestwo, gdzie może sprawować królewskie rządy. Tymczasem żona gwiazdora filmowego jest... jego żoną. Niczym więcej. Jeśli ktoś o nią zabiega, to tylko po to, by wkraść się w łaski jej męża. Nie ma domeny, którą mogłaby objąć w posiadanie. Jego królestwem jest scena i studio, gdzie dla niej nie ma miejsca, a kiedy w końcu decyduje się je odwiedzić, to tylko pęta się wszystkim pod nogami jako niefachowiec wśród zawodowców. Żarty, które jej mąż wymienia z kolegami, są dla niej nieczytelne, więc czuje się wykluczona; nawet jego agent postrzega ją tylko jako narzędzie ułatwiające mu kontrolę nad klientem. Opinie, które wygłasza na przyjęciach, irytują innych zawodowców. No i w końcu – i to jest chyba najgorsze – żona arystokraty po rozwodzie może wyjść w świat i szukać nowego męża z herbem wprawdzie pogiętym, ale prawomocnym, podczas gdy rozwiedziona żona gwiazdora wraca literalnie do punktu wyjścia – o czym



przekonało się już wiele hollywoodzkich ekszów.

Druga pomyłka Edith była znacznie prostsza. Jej porównanie opierało się na fałszywych przesłankach. Charles był lordem. Simon nie był gwiazdorem. I nie zanosilo się, moim zdaniem, żeby nim został.

Poczułem, że robię się zjadliwy.

– Powiedz, właściwie dlaczego tak dobrze oceniasz perspektywy Simona?

– Strasznie jesteś dzisiaj kwaśny. Tak czy inaczej – spojrzała na mnie z błagalną miną, więc trochę zmiękłem – ja go po prostu kocham. Nie wiem, czy jest tego wart, może i nie, ale tak czuję, i tyle. Nie chciałbyś chyba, żebym się wyparła pierwszego prawdziwego uczucia?

Miałem wielką ochotę wrzasnąć „tak” prosto w jej głupie ucho, ale widziałem, że to nie jest właściwa chwila. Biedna Edith. Zapewne nie kłamała, twierdząc, że namiętność do Simona to pierwsza prawdziwa emocja, jaką dane jej było przeżyć. Dlatego właśnie tak niewiele rozumiała z tego, co się z nią działo. Nie była w stanie przewidzieć, że po roku seks, choćby najrozkoszniejszy, nie będzie już dłużej jej zaślepiać, przesłaniając warunki życia z Simonem. Poza tym znałem potęgę ambicji drzemiącej za niewzruszoną fasadą Edith. Współczesna psychologia wciąż podkreśla, czym grozi stłumienie naturalnej seksualności, sądzę jednak, że równie niebezpieczne jest spuszczenie seksualności ze smyczy kosztem naszych życiowych interesów. Edith, *au fond*<sup>[43]</sup>, była ambitnym dzieckiem bardzo ambitnej matki. Znamienne, że całkiem odruchowo tłumaczyła ucieczkę od męża rojeniami o przyszłej sławie i bogactwie Simona. Oczyma duszy zapewne widziała już, jak wkracza na premierę odziana w futro z białych lisów (albo jego równie luksusowy odpowiednik, lepiej widziany w naszej ekologicznie wrażliwej epoce), rozdając całusy zachwyconym tłumom, po czym odjeżdża limuzyną pod eskortą motocykli.

– Edith, kochanie – spróbowałem łagodniejszego tonu. – Nie przyszedłem ci prawić kazań o moralności. Chcę się jedynie upewnić, że pojmujesz, jak znikome jest prawdopodobieństwo, iż Simon choćby w przybliżeniu potrafi zapewnić ci rodzaj życia, którego zdążyłaś zasmakować po ślubie.

– No cóż, i chwała Bogu – odparła Edith.

Na tym stanęło. Do końca lunchu wymienialiśmy plotki; wchodząc do świątka teatru, oczywiście napotkała na swojej drodze różnych moich znajomych, więc zyskaliśmy nowy poligon do złośliwości. Wychodziliśmy już, gdy spytała o Adelę. Odparłem, że wszystko u niej w porządku.

– Pewnie szalenie mnie potępia?

– No, trudno, żeby cię szalenie pochwałała. Mało kto to robi.

– To ona powinna była wyjść za Charlesa. Trwałaby przy nim na dobre i na złe.

– I z tego powodu mam źle o niej myśleć?

Uśmiechnęła się i zmierzwiła mi włosy.

– Zarabiasz na życie w chaosie, ale wżeniłeś się w system. Ja zostałam w systemie uwięziona. Czy naprawdę masz mi za złe, że pragnę odrobiny chaosu?

Rozstaliśmy się w dość przyjaznym nastroju. Zadzwoiłem do Charlesa, który podziękował mi ze smutkiem; odniosłem wrażenie, jakby pogodził się z losem. Tydzień później jednak sprawa trafiła na łamy gazet i wszelkie szanse załatwienia jej po cichu przepadły. Jedliśmy śniadanie, gdy Adela podała mi gazetę otwartą na rubryce Nigela Dempstera<sup>[44]</sup>. Moim oczom ukazał się starannie wybrany przez redakcję wizerunek roześmianej, biuściastej Edith, zdjęcie Charlesa z ponurą miną oraz okropna „łotrzykowska” fotografia Simona, przypuszczalnie wzięta z jakiegoś telewizyjnego serialu. Sądząc po ilustracjach i wymownym nagłówku „Hrabina i komediant”, było oczywiste, że autor już wybrał, po czyjej stronie się opowie. Muszę jednak uczciwie przyznać, że przynajmniej tym razem pragmatyzm i przyzwoitość ewidentnie grały w jednej drużynie; jakoś nie potrafiłem sobie wyobrazić, by Edith znalazła wielu zwolenników.

Sam artykuł stanowił w miarę dokładną relację ze spotkania naszej pary w Broughton, przytaczał również wypowiedź żony Simona, której powściągliwość przynosiła jej zaszczyt.

– Coś podobnego! – Adela zawsze bezlitośnie oceniała tego typu wykroczenia. – Co za głupota!

Nie wiem, dlaczego tak się oburzała na ludzi kierujących się uczuciem, a nie rozumem. Przecież zdecydowała się wyjść za mnie, co zdaniem wielu osób – choćby jej matki – stanowiło wybór tak lekkomyślny, że wręcz graniczący z szaleństwem.

– Czemu się złościł? – zapytałem. – Mnie się wydaje, że to raczej smutne.

– Smutne dla Charlesa oraz dla tej nieszczęsnej kobiety i jej dzieci. Nie dla tamtych. To są zwykli szkodnicy.

Z chwilą, gdy Dempster zerwał tamę, na Edith wylała się istna powódź złości. Jak było do przewidzenia, ci sami dziennikarze, którzy zabiegali o jej względy, gdy brała ślub kilka miesięcy temu, teraz straszliwie ją zmasakrowali. Moment dziejowy również jej nie sprzyjał. Rząd Johna Majora okazał się wielkim rozczarowaniem, nowi laburzyści raz po raz odstawiali taniec siedmiu zasłon na oczach coraz to bardziej zdumionego elektoratu i opowieść o zepsuciu w wyższych sferach doskonale wpasowywała się w nastroje społeczne. Z prawej strony ostro krytykowała Edith komentatorka „The Independent” Lynda Lee-Potter, z lewej jadowicie szydziło z niej „Private Eye”. Edith, zwykła dziewczyna, która własnym wysiłkiem dobiła się awansu, została w tych opowieściach zastąpiona przez Edith karierowiczkę, jakiej świat nie widział, oportunistkę, której chciwość i zachłanność rzekomo uosabiały społeczeństwo bez serca stworzone przez panią Thatcher. Wkrótce stało się jasne, że podobnie jak w wypadku afery Hamiltona czy rozwodu Spencerów<sup>[45]</sup>, rzeczywiste osoby i zdarzenia nie mają już żadnego znaczenia, a liczy się tylko to, co, zdaniem gazet, reprezentują.

Oczywiście Uckfieldowie przeżywali koszmar. Bez reszty należeli do starej szkoły, wedle której nazwisko szanującej się kobiety pojawia się w prasie tylko w trzech sytuacjach – przy okazji jej narodzin, ślubu i pogrzebu – toteż czytając piętnujące synową nagłówki rubryk towarzyskich, czuli się tak, jakby ktoś rozebrał ich do naga i publicznie wychłostał na miejskim placu. A skoro dla nich sytuacja była upiorna, to co tu mówić o Charlesie! Nieco wbrew logice prasa brukowa, która już się rozgrzewała w oczekiwaniu na pączkującą blairokrację, uznała, że Charles, choć bezwartościowy arystokrata, w tej konkretnej sprawie nie ponosi żadnej winy (zresztą nie dało się tej historii

opowiedzieć inaczej), niemniej cierpiał on potępieńcze męki, widząc, jak tabloidy i kolorowe czasopisma ślinią się nad cudzołóstwem jego żony. Im częściej w Broughton dzwonił telefon, domagając się relacji „drugiej strony”, tym bardziej Charles czuł się osaczony i zgwałcony. Prawda jest taka, że wstręt do rozgłosu nie był w jego wypadku czężą afektacją. Nagle znalazł się w samym środku skandalu, był karany, choć nie zrobił nic złego. Tak przynajmniej oceniał ten ohydny epizod i nie sądzę, że był to osąd niesprawiedliwy.

Cyrk trwał już od dobrych kilku tygodni, gdy zbiegiem okoliczności w imieniu swoim i Adeli przyjąłem zaproszenie na kolację w domu znajomej aktorki, która niedawno grała rolę matki Simona w sensacyjnym filmie telewizyjnym. Pomyślałem, iż jest bardzo prawdopodobne, że kochankowie też będą tam obecni.

Adela przyjęła tę wiadomość bardzo spokojnie.

– Nie bój się, nie wyjdę z pokoju, trzaskając drzwiami, ani nie zrobię jej afrontu.

– Ja się nie boję. Ja tylko ci mówię, że oni też pewnie są zaproszeni, i sądzę, że lepiej byśmy publicznie nie zajmowali stanowiska.

– W żadnym razie – przytaknęła z miażdżącą pogardą. – Jednakże – dodała, niezwykle uważnie przeglądając się w lustrze i solennie biorąc się za szminkowanie ust – nie zamierzam jej całować ani życzyć wszystkiego najlepszego.

Okazało się, że miałem rację: Edith oraz Simon figurowali wśród gości tego wieczoru. Edith wyznała mi później, że właściwie nie miała ochoty iść, bo od chwili, gdy wybuchł skandal, wychodzili gdzieś prawie codziennie. Ale Simon się uparł, wiedziony złudzeniem, dość powszechnym wśród rozczarowanych aktorów, że lepiej, kiedy nas widzą niż przeciwnie. Oczywiście prawda jest taka, że jest lepiej, kiedy dają nam pracę, a to, czy nas widują na przyjęciach, ma drugorzędne znaczenie. Niemniej Simon jako posiadacz kochanki, o której rozpisywały się gazety, przypuszczalnie chciał z tego odnieść jakąś korzyść. Szczerze mówiąc, patrząc z obecnej perspektywy, podejrzewam, że bardzo ubolewał nad tym, iż nie dało się wszystkiego tak ułożyć, by Edith nie

porzuciła Charlesa. Skoro jednak już doszło do zerwania, zapewne chciał jak najlepiej wykorzystać powstały rozgłos.

Simon Russell należał do tych aktorów, którzy na wczesnym etapie kariery zapowiadają się na gwiazdy, ale nigdy jakoś nie spełniają pokładanych w nich nadziei. Kiedyś, na samym początku, zagrał główną rolę w serialu z popularną wówczas aktorką, ale serial padł. Potem trafiła mu się świetna rola w sequele hollywoodzkiego przeboju, jednak film w kinach zrobił klapę. Stopniowo przestał skupiać na sobie uwagę; reflektor popularności przesunął się na młodszych, świeższych, jaśniejszych blondynów, których liczba wydawała się nieskończona. Simon był dobry, a w każdym razie niezły, no i wciąż świetnie wyglądał, zwłaszcza w oku wprawnie prowadzonej kamery, więc nadal miał przed sobą przyszłość, ale – i to jest clou tej historii – nie było już czasu do stracenia. I wtem, nieoczekiwanie, jego prywatne życie znalazło się na łamach prasy. Dzięki Edith stał się tematem dnia.

Co się tyczy żony i dzieci, to sądzę, że myliłbym się, twierdząc, iż Simon się nimi nie przejmował. Przejmował się tak, jak umiał. Żona Deirdre starała się robić dla niego, co tylko mogła, poza tym naprawdę kochał swoje córki, lecz przypuszczalnie w ciągu kilku ostatnich lat okropnie się znużył monotonią i powtarzalnością tego życia. Wszystko zawsze wyglądało tak samo. Poza tym, kiedy widziałem ich razem (co zdarzyło mi się kilkakrotnie na początku zdjęć w Broughton), nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Deirdre nie dostrzega w nim żadnego romantyzmu i coraz częściej traktuje go jak krnąbrnego przerośniętego chłopczyka. Pragnął uwielbienia, a zamiast tego dostał osobę, która kazała mu zjadać warzywa do końca. Oczywiście wcale nie było pewne, na co może liczyć u Edith. Czy rzeczywiście była skłonna bezwzględnie go adorować? I jak długo?

– Kochanie, proszę cię... musimy tam iść...?

Simon, zapewne całkiem odruchowo, nabrał zwyczaju zwracania się do Edith przymilnym tonem, przypominającym skrzyżowanie brzmienia głosu bawidamka z komiwojazerem.

– Nie chcę być upierdliwy, ale musisz przywyknąć do myśli, że ja pracuję

na utrzymanie. Nie obijam się jak Charles na swoich włościach, wydając rozkazy poddanym. Muszę wychodzić do ludzi. Muszę im przypominać, że istnieję.

Siedziała przy małej toaletce w ich obskurnej sypialni i marszcząc czoło, w skupieniu przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. To faktycznie było trochę upierdliwe. Edith nienawidziła tego czarnego piaru. Za każdym razem, gdy jakaś „przyjaciółka” dzwoniła z wiadomością, że kolejny żurnalista jej przyłożył („pomyślałam, że ci powiem, kochanie, żebyś później nie była zaskoczona” – triumfalnie obwieszczał lepki głosik), serce w niej zamierało. Na swój sposób pragnęła sławy, ale takiej, która podwyższa status i dodaje splendoru, a nie tego upiornego prania brudów. Przyłapała się na tym, że szkoda jej nawet teściów; zapewne Charles lub służba starannie selekcjonowali gazety, które dawali do przejrzenia starszym państwu. Biedny Charles... jakże nieborak sobie z tym wszystkim radzi? I te okropne imprezy, na które Simon wciąż chciał ją zabierać. Czy naprawdę koniecznie trzeba bez przerwy zabiegać o względy tych dziwacznych przybyszów z innej planety? Za długo należała do Broughtonów, aby teraz zrezygnować (w każdym razie niełatwo jej to przychodziło) z wyobrażenia, że środowisko Simona w gruncie rzeczy jest jak dowcip – przydatny, by ożywić przyjęcie, ale niezbyt odpowiedni na co dzień.

– Po co? – zapytała.

Patrzył, jak starannie i kunsztownie maluje twarz. Wiedział, co ona myśli, ale niezbyt go to obchodziło. Jeśli nie chciała przez cały czas obcować z jego kolegami, jeśli pragnęła wrócić do swojego świata – no cóż, proszę bardzo, droga wolna. Prawdę mówiąc, zaczynał się odrobinę niecierpliwić, bo najchętniej dogadałby się z innymi osobami z jej kręgu. Wprawdzie przedstawiła go jakimś damulkom z Fulham, ale bynajmniej nie o to mu chodziło, gdy liczył na jej koneksje. Ona marzyła, że prowadzi go przez kordon dziennikarzy do garderoby w Universal Studios; on widział siebie w tweedach, ze strzelbą na ramieniu, w roli pożądanego gościa również w innych pałacach, gdzie mógłby flirtować z innymi wielkimi damami i szukać przyjaciół wśród innych znamienitych rodów, a związek z Edith miał mu to

ułatwić. Nie docierało do niego – być może dlatego, że do niej również to jeszcze nie dotarło – że wielki świat za chwilę zatrzaśnie drzwi przed małą Edith, która niebawem zostanie skazana na towarzystwo rozwódek i ekszów młodszych synów arystokracji, dorabiających do alimentów sprzedawaniem brzydkiej biżuterii bądź prowadzeniem plotkarskich rubryk w pisemkach, rozdawanych na rogach ulic.

Odłożyła tusz do rzęs.

– Ta kobieta, do której idziemy, kto to właściwie jest?

– Fiona Grey.

– Nigdy o niej nie słyszałam. Znam ją?

– Nie sądzę, ale na pewno wiesz, o kogo chodzi. To dziewczyna z tego filmu o naciągaczu. Tym, który wypadł z pociągu. W zeszłym tygodniu pokazywali go w telewizji. Michael Redgrave grał policjanta.

– O nim też nie słyszałam. – Simon aż się wzdrygnął. – Musi mieć z tysiąc lat.

– Mniej więcej siedemdziesiąt.

W rzeczywistości Simonowi bardzo pochlebiało, że został zaproszony do panny Grey. To była druga strona jego schizofrenicznej ambicji. Owszem, częścią duszy pragnął, by Edith wprowadziła go w świat „jaśniepaństwa”, jednak resztą swojego jestestwa marzył o czymś wręcz przeciwnym – chciał być traktowany poważnie przez aktorów, których inni aktorzy traktują poważnie. A Fiona Grey, która w młodości grała Julię u boku Gielguda oraz lady Teazle<sup>[46]</sup> u boku Oliviera, była właśnie taką aktorką. Jeszcze dzisiaj każdy z jej rzadkich występów w telewizji – w jakimś serialu według scenariusza Petera Halla lub Melvyna Bragga – stanowił swego rodzaju wydarzenie, a gwiazdy angielskiego teatru i filmu w swoich autobiografiach nieodmiennie wspominały ją z czułością.

Aktorski lud często podkreśla, że w jego świecie nie ma żadnych klas, ale tak naprawdę obowiązuje w tej branży niezwykle sztywna hierarchia. To system bezklasowy jedynie w takim sensie, że działają tu całkiem inne zasady niż w świecie zewnętrznym. Rzeczywiście, urodzenie nic tu nie znaczy, ale za

to sukces jest wszystkim. I to nie sukces w ogóle, lecz odpowiedni rodzaj sukcesu. Simon Russell nawet w chwilach sławy (nader skromnej) miał dojmującą świadomość, że nigdy nawet nie zbliżył się do roli, którą jego koledzy uznaliby za „prestizową”. Ta wiedza sprawiała mu sekretny ból.

Kiedy jakiś aktor podczas wywiadu w telewizji, twierdzi, że wszystko mu jedno, co piszą krytycy, byle tylko podobał się publiczności, to kłamie. Niewielu aktorów liczy się z opinią widowni, zwłaszcza w zestawieniu z werdyktami krytyków i kolegów – głównie interesuje ich prestiż i szacunek poza proscenium, a jeśli towarzyszy temu uwielbienie widzów, sława i pieniądze, tym lepiej. Jednak trzon branży stanowi wąska elita, której autorytet w kwestii „poprawności” rzemiosła jest niepodważalny, i Simon od wieków marzył, by się do niej zaliczać. Status, jakim cieszą się gwiazdy i reżyserzy, dramatopisarze i scenografowie wchodzący w jej skład, pozostaje zasadniczo niezmienny i niezależny od burzliwych kaprysów popularności. Nazwiska tych osób różnie się kojarzą, ich ton, strój i (niewątpliwie) sposób udzielania wywiadów często znamionuje niechęć do wszelkich laurów, niemniej pozostaje faktem, że tworzą oni grono równie ekskluzywne jak *noblesse d'épée*<sup>[47]</sup> w Wersalu. Simon gorąco pragnął również zaliczać się do tej złotej grupki, zawsze mieć dobre recenzje w „Time Out” i nigdy nie zniknąć z listy nominacji do nagród BAFTA.

Jego marzenia były nierealne. Tego konkretnego wieczoru na przykład zaproszono go jedynie ze względu na artykuły w prasie, mimo bowiem wzniosłych deklaracji i szczytnych zasad nasi ludzie sceny mają ze swymi braćmi w Hollywood jedną cechę wspólną, którą jest żądza obracania się w wielkim świecie. Godząc się na lunch z jakimś laburzystą, dokładają starań, by należał on do pierwszej ligi; demonstrując w jakiejś sprawie, pragną być widziani u boku Iana McKellena czy Anity Roddick<sup>[48]</sup>, a nie jakiegoś nieznanego entuzjasty z przedmieścia. Jeśli więc panna Grey interesowała się Simonem, to dlatego, że był newsem, a nie dla jego talentu.

Przyjęcie odbywało się w prywatnym domu w Hampstead, do którego, przynajmniej w odczuciu Edith, jechało się godzinami i który nie wyglądał,



jakby był tego wart, w każdym razie nie od strony ulicy. Jednak wewnątrz nie było już ani śladu po robotniczym mieszkaniu, jakie budowano dla pracowników fizycznych w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku; pierwotne wnętrze zniknęło pod rozległymi drewnianymi posadzkami, lśniącego niczym woda w blasku sprytnie ukrytego oświetlenia.

Tuż za holem rozciągał się duży salon, gdzie dyskutowały z ożywieniem grupki gości, lecz największy zgiełk, jak zwykle bywa, dobiegał z mieszczącej się w suterenie kuchni.

Staliśmy właśnie z Adelą przy kuchence, otoczeni miskami roślin strączkowych i makaronu kraszonego dziwnymi stworzeniami z głębin, kiedy pojawili się Edith i Simon. Adela, nie przerywając rozmowy z bezrobotnym projektantem kostiumów, który dręczył nas od pewnego czasu, znacząco szturchnęła mnie pod żebra.

Gospodyni pocałowała Simona w policzek, nie odrywając wzroku od Edith.

– Najpierw koniecznie musicie się napić, a potem pozwólcie, że was przedstawię. Znacie Davida Samsona? – Tu wskazała słynnego aktora komediowego, który od przybycia naszej pary nie odstępował jej ani na krok. Edith z uśmiechem podała mu dłoń, a Samson natychmiast poderwał ją do góry i przywarł do niej spierzchniętymi wargami.

– Lady Broughton – soczyście i poufale obrócił jej tytuł na języku. Mówił głośno i stojące w pobliżu osoby zaczęły ciekawie zerkać w ich stronę, stopniowo kojarząc Edith i Simona z tym, co przeczytali w prasie. Rozległ się cichy szmer rozpoznania.

Edith chłodno przyjęła hołd.

– Proszę mi mówić Edith – mruknęła.

Ale Samson bynajmniej nie dał się zniechęcić. Wetknął sobie jej rękę pod pachę i z półobrotem pociągnął za sobą.

– Znacie państwo hrabinę Broughton? – zwrócił się donośnie do pobliskiej grupki ciekawskich.

Nie muszę mówić, że Edith znalazła się w piekle.

Chciałem od razu rzucić się jej na ratunek, lecz Adela mnie powstrzymała.

Zastanawiam się, czy nie czuła złośliwej satysfakcji na widok Edith wystawionej na pokaz niczym niewolnica w rzymskim marszu triumfalnym; z drugiej strony sama wchodząc niedawno na ten teren, zrobiła to bez szwanku dla swojej pozycji, trudno więc mieć jej za złe mały dreszczyk zwycięstwa. Za to Simon promieniał. Są ludzie, którzy wzdrygają się na samą myśl, że mogliby się znaleźć na pierwszych stronach gazet; i odwrotnie, są tacy, którzy żyć bez tego nie mogą. Simon niewątpliwie zaliczał się do tych ostatnich i krążąc po pokoju pod ostrzałem ciekawych spojrzeń, po prostu był w swoim żywiole.

Zostawiłem Adelę w towarzystwie posępnego szefa castingu, którego urabiała w moim imieniu, i odciągnąłem Simona na bok.

– Jak leci? – zagadnąłem.

– Świetnie – odrzekł Simon. – Znakomicie.

– No i co teraz będzie?

– Z czym?

– No, z rozwodem i ślubem? Jakies oświadczenia dla prasy?

Simon uniósł brwi i ręce.

– Hola, hola! – zawołał. – Mówisz jak moja matka.

Łatwo zapomnieć, że nawet człowiek pokroju Simona ma jakąś matkę – poczciwą wdowę po urzędniku państwowym, która siedzi w mieszkanku w Leatherhead i zachodzi w głowę, co się, u licha, dzieje z jej synem. Trochę mnie to rozzłościło.

– Chyba rozumiesz, że nieźle wdepnąłeś? Chyba widzisz, że sprawiasz przykrość wielu ludziom?

Pogłodził mnie po policzku.

– Ojoj – westchnął.

Adela, która naturalnie bardzo przyjemnie spędziła wieczór – czego nie można powiedzieć o Edith, oprowadzanej po pomieszczeniach niczym święta krowa – widziała, jak Edith usilnie stara się nawiązać rozmowę z ludźmi, którzy wydawali się całkiem zwyczajni, dokładnie tacy, jakich unikała jak ognia, mając lat dwadzieścia, Ironia sytuacji polegała na tym, że chociaż Edith nienawidziła giełdy nazwisk w swoim świecie, równocześnie zdążyła już

przywyknąć do jego przytulnej i ekskluzywnej ciasnoty. A teraz nagle znów znalazła się na otwartej przestrzeni, gdzie najwyraźniej nikt nie znał nikogo z jej znajomych. Wpadła w panikę. O czym miała rozmawiać z tymi ludźmi, skoro nic jej z nimi nie łączyło – ani znajomości, ani zainteresowania? Podczas pobytu w Broughton całkiem zapomniała, jak to się robi.

– Cóż, mam nadzieję, że miała z tego jakąś przyjemność – rzekła Adela, otulając się płaszczem przed długą drogą na południe Londynu.

– Czyżby?

– Och, daj spokój! Co ona najlepszego zrobiła? Żeby odejść w taki sposób! I w dodatku nie urodziła dziecka! Przecież oni zatrasną za nią drzwi na zawsze. Skończona idiotka!

Mimo że wiedziałem, iż dosadne uwagi mojej żony szczęśliwie koegzystują z jej ogromną, autentyczną dobrocią, to wciąż jeszcze potrafiła mnie zgorszyć.

– Ale to chyba lepiej, że nie ma dzieci.

– Lepiej dla kogo? Może dla Charlesa i Googie, ale z całą pewnością nie dla niej. Urodzić dziedzica to jedyne wyjście dla pierwszej żony. Przypomnij sobie triumfalny powrót Consuelo Vanderbilt<sup>[49]</sup> do znienawidzonego zamku Blenheim jako matki malutkiego księcia. Nasza mała Edith nie może liczyć na nic takiego. – Adela westchnęła ze znużeniem. – A jeszcze ten Simon!

– Wydawało mi się, że trochę go lubisz.

– Na swój głupiutki blond sposób jest nawet sympatyczny, ale naprawdę trudno w nim widzieć wehikuł życiowego szczęścia. Co jej strzeliło do głowy?

Przez głowę Edith, w tym momencie pośpiesznie wracającej do tak zwanej cywilizacji, również przemykały podobne myśli. Głęboko w trzewiach gniotło ją tępe poczucie zawodu. Oto właśnie wzięła udział w kolejnym „eventie show-biznesu”! Fraza ta rozbrzmiewała echem w jej duszy, przywołując na myśl dawne naiwne wyobrażenia: wyraziste aktorki w haute couture, wymalowane piękności w cekinach, żydowskich pisarzy z zapalem perorujących po kątach, piosenkarzy ratujących z opresji pijanego pianistę

i unoszący się nad wszystkim nieustanny, przenikliwy, dźwięczny jak kryształ śmiech... Po namyśle uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy cała ta scena niemal w całości pochodzi z filmu *Wszystko o Ewie* i nie ma nic wspólnego z tą czeredą mieszkańców przedmieść, fanatyków zdrowej żywności i urlopów w Grecji, którą właśnie opuścili.

Drażniła ją fascynacja jej osobą w roli wysłanniczki innego świata, którego ewidentnie ci ludzie nie darzyli szczególną estymą. Edith bynajmniej nie była obojętna na powab teatru, zaczynała jednak pojmować, że taki powab sam w sobie nie jest wśród modnych aktorów w szczególnej cenie. Co gorsza, czuła, że wkracza na obcy teren nie jako gwiazda (na co osobiście trochę liczyła), lecz jako dziwadło.

– Co to za upiorna banda! Kim w ogóle są ci ludzie?

Simon zazwyczaj nie odpowiadał na takie pytania, całkiem słusznie uważając je w dużej mierze za retoryczne. Oboje wiedzieli, że Edith chodzi tylko o to, by zaznaczyć, iż uważa jego znajomych za „pospolitych”, chociaż nigdy nie wyraziła tego wprost. Simon na ogół nie reagował na jej zaczepki, trochę dlatego, że zupełnie go nie obchodziło, czy jego koledzy są pospolici czy nie (uważał to za nieistotne), a trochę dlatego, że w głębi serca podejrzewał, że wedle jej standardów on sam również jest dość pospolity.

– Ja tam dobrze się bawiłem.

– Bo nie musiałeś przez cały wieczór znosić jakiegoś okropnego faceta z głosem jak sałatka owocowa, który obślinia ci rękę. Czy wszystkie twoje przyjęcia będą tak wyglądały?

– A czy wszystkie twoje przyjęcia będą się składać z sześciu sloanies i jakiegoś gościa, który stracił pieniądze w krachu Lloyda? Bo jeśli tak, to wolę sałatkę owocową. Za każdym razem.

Do domu wrócili w milczeniu.

## 16

Tak się złożyło, że załatwiając któregoś ranka sprawy na Fulham Road, na prośbę Adeli wpadłem do sklepu Colefax & Fowler<sup>[50]</sup>, żeby zapytać o złoty galon zamówiony kilka tygodni wcześniej. Normalnie bym odmówił, bo w owym czasie (inaczej niż dzisiaj) obsługa zachowywała się tak, jakby robiła doktorat z chamstwa, ale Adela się uparła. Ostatecznie ekspedientka, na którą trafiłem, okazała się całkiem miła i chyba nawet naprawdę było jej przykro, że zamówiony towar jeszcze nie przyszedł, czego Adela zresztą się spodziewała.

Tak czy inaczej, właśnie kończyłem służyć sztampowych przeprosin i równie sztampowych zapewnień, że „w przyszłym tygodniu już na pewno będzie”, gdy zerkając w stronę ulicy, dostrzegłem pod oknem matkę Edith, machinalnie oglądającą próbki na stojaku. Ostatnim razem widziałem ją prawie dwa lata temu, w czasie uroczystości ślubnych, więc trochę mnie wzruszyła jej zagubiona, złamana figurka; dotąd pamiętałem zwycięską postać, drżącą pod wpływem spełnionych ambicji w Czerwonym Salonie w Broughton. Gapiała się przed siebie szklistym, niewidzącym wzrokiem, machinalnie przerzucając wielkie płachty wzornika, które ze świstem przelatywały obok jej twarzy. Zapewne wciąż rozpamiętywała ruinę swoich marzeń i ten zapętlony film odtwarzał się jak przekleństwo w jej mózgu.

– Pani Lavery? Dzień dobry.

Odwróciła się ku mnie, zdjęła moje nazwisko z jakiejś odległej mentalnej półki i skinęła mi głową.

– Dzień dobry – odparła tonem głuchym i lodowatym.

Dowiedziałem się później, że miała mi za złe, iż to ja wprowadziłem Simona do Broughtonów. Pewnie było w tym trochę racji. W dzisiejszych czasach ludzie zazwyczaj kwitują takie zarzuty wzruszeniem ramion i nie

poczuwają się do winy, mówiąc: „Pewnie i tak by do tego doszło”. Nie przekonują mnie te argumenty. Nasze życie na ogół nie przebiega według jakiegoś nieuniknionego wzoru, ustalonego przy narodzinach, lecz stanowi wypadkową ciągu przypadkowych zdarzeń. Gdyby Edith nie poznała Simona – lub gdyby poznała go później, na przykład po urodzeniu dziecka – prawdopodobnie nie doszłoby do niczego. Ale go poznała. I doszło. I, w końcowym rozrachunku, ja ich sobie przedstawiłem.

– Widuje się pani z Edith? – zapytałem.

Wrażenie, że duch jej córki i jej historia są obecne w tym pomieszczeniu niczym duch Banka, wytrącało nas oboje z równowagi. Uznałem, że będzie łatwiej unormować sytuację, mówiąc o niej wprost.

– Niezbyt często – pokręciła głową. – Ale ona... – zawahała się – ...oni przychodzą dzisiaj do nas na kolację. Więc przypuszczalnie dowiem się, co słyhać.

Kiwnąłem głową.

– Proszę ją ode mnie pozdrowić.

Ale nie była jeszcze gotowa mnie zwolnić.

– Jak rozumiem, ty go znasz? Tego nowego faceta?

– Simona? Tak, znam go. Niezbyt dobrze, ale graliśmy razem w filmie. W Broughton. Tam się poznali.

– Tak. – Wlepiła wzrok w podłogę. – Czy on jest miły?

Trochę mnie to rozczuliło. Pani Lavery próbowała się zmusić, żeby być dobrą matką i przy ocenie nowego amanta córki skupiać się na wartościach uniwersalnych, chociaż oboje doskonale wiedzieliśmy, że nawet gdyby Simon był najmiłszym człowiekiem w Europie, to i tak nigdy nie zrekompensowały jej tego wszystkiego, co utraciła razem z Charlesem.

– Bardzo miły – odparłem. – Na swój sposób.

– Pewnie nie widzisz się z Charlesem? Odkąd zaczęła się ta... sprawa?

– Wręcz przeciwnie. Niedawno jedliśmy razem lunch.

Pani Lavery zdumiała się niepomierne. Prawdopodobnie w jej romantycznej wyobraźni świat zięcia był otoczony nieprzebytą barierą,

o wiele wyższą niż w rzeczywistości. Poza tym moja wypowiedź świadczyła o tym, że nie zachęcałem Edith do popełnienia głupstwa. W każdym razie pani Lavery wyraźnie zmięкла. Naturalnie zdążyła już sobie wmówić, że jej sympatia do Charlesa jest całkowicie autentyczna i wynika wyłącznie z jego zalet jako człowieka. Wcale tak nie było, ale nie sądzę, by z tego powodu mniej to wszystko przeżywała.

– Jak on się czuje? Z radością bym się z nim spotkała, ale... – Urwała żałośnie.

– Oj, doprawdy! Jestem pewny, że z przyjemnością się z wami spotka – skłamałem. – Wciąż jest bardzo załamany.

– No pewnie. – Westchnęła ciężko i beznadziejnie. – Lepiej już pójdę. Mają przyjść o ósmej, a ja jeszcze nic nie zrobiłam.

I zgarbiona wyszła ze sklepu, z wysiłkiem ciągnąc ciężkie drzwi. Kiedy poprzednio ją widziałem, przypominała bohaterkę jakiejś zwiewnej komedii Noëla Cowarda. Teraz wyglądała jak Matka Courage.

Simon skręcił w prawo z King's Road i skierował samochód ku Elm Park Gardens. Był dziwnie spięty. Na każdym świetle poprawiał krawat, a gdy znaleźli się bliżej celu, zaczął nerwowo skubać paznokcie. Edith poczuła, że sztywnieje z irytacji. Nie umiała ocenić, czy Simon czuje się nieswojo, bo uważa jej rodziców za ważniejszych, niż byli naprawdę, czy też po prostu boi się u nich pojawić jako burzyciel małżeńskiego szczęścia. Jakkolwiek było, chciała po prostu, by się wyluzował, bo wieczór i bez tego zapowiadał się dość niewyraźnie.

– Co się z tobą dzieje?

Simon tylko się uśmiechnął i pokręcił głową. Sam nie bardzo wiedział, dlaczego ma taką treść, chociaż istotnie uważał państwa Laverych za wytworniejszych niż w rzeczywistości. Miał bardzo słabe pojęcie o niuansach londyńskiej socjety, a o jej wewnętrznych kręgach nie wiedział zgoła nic, więc nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia Edith była outsiderką w chwili ślubu. A ponieważ wciąż uważał swoją nową kochankę za osobę niebywale elegancką, to wyobrażał sobie, że jej środowisko musi być równie wspaniałe.

Jednakże nie z tego powodu czuł się nieswojo. Prawdopodobnie źródło jego niepokoju było bardziej przyziemne – chodziło o swego rodzaju formalizację związku z Edith. Oto miał zostać przedstawiony jej rodzicom, przypieczętować coś, co pierwotnie zanosilo się na zwykły flirt. W gruncie rzeczy nawet teraz nie chciał przyjąć do wiadomości, że zmierza prosto do „rozvodu”, „podziału majątku”, „utrzymania” oraz „opieki nad dziećmi”, a także wielu innych, wielce przygnębiających zjawisk, które nagle zamajaczyły mu przed nosem. Podejrzewał, że pan Lavery będzie go pytał o „zamiary”, a przecież tak naprawdę on, Simon, nie miał żadnych zamiarów, w każdym razie niczego konkretnego. Ale potem spojrzął na Edith i po zastanowieniu musiał przyznać, że rzeczywiście wygląda ślicznie, a profil ma o wiele ładniejszy niż Deirdre, która z boku zawsze robiła trochę przygłupie wrażenie, więc uznał, że w końcu trafił nie najgorzej. I pocieszywszy się w ten sposób, uspokojony wysiadł z samochodu.

Pani Lavery opowiedziała mężowi o spotkaniu u Colefaksa. W kółko powtarzała sobie w duchu wszystkie wątki tej rozmowy, próbując wysnuć z nich pajęczą nić nadziei. Szykując w kuchni posiłek dla kochanka córki, krzyknęła przez drzwi do salonu:

– Co on twoim zdaniem mógł mieć na myśli, kiedy powiedział, że Charles jest „załamany”?

Kenneth Lavery był niemal równie strapiony obrotem spraw jak jego żona, jednak ze znacznie szlachetniejszych pobudek. Nie mógł znieść, że jego ukochana „Księżniczka” stała się bohaterką skandalu. Nie mógł znieść widoku rozpaczony żony. Nie był też całkiem nieświadomy faktu, że jego córka zaprzepaściła pozycję ogromnej rangi, dzięki której mogła dokonać wielkich rzeczy, na rzecz miejsca na obrzeżach przyzwoitego towarzystwa. Był z niej bardzo dumny, gdy występowała w roli wielkiej damy, i jej upadek bardzo go zasmucił. Co powiedziawszy, należy dodać, że miał do szaleństwa Edith stosunek znacznie bardziej filozoficzny niż pani Lavery. W przeciwieństwie do żony nigdy się nie łudził, iż małżeństwo córki w jakiś znaczący sposób odmieni jego życie.

– Chyba dokładnie to, co powiedział. Charles jest załamany, to raczej



naturalne. Jego żona właśnie odeszła z innym mężczyzną. Czego się spodziewałaś?

Stella Lavery wystawiła głowę zza drzwi.

– Ja tylko zauważyłam, że to zabrzmiało, jakby Charles wciąż nie mógł się przyzwyczaić do sytuacji. Zastanawiam się, czy może miałoby sens, gdybyśmy się do niego odezwali...? – Urwała speszona, widząc, że mąż powoli, lecz stanowczo kręci głową.

– Moja droga, to nie Charles postanowił zakończyć to małżeństwo. Nie ma znaczenia, co on myśli. To nie on ponosi za to winę. I nie sądzę, żeby należało go nachodzić, to byłoby nie fair. Może już wszystko przeboleał, a może nie. Tak czy inaczej, nie pomożesz mu, rozbudzając jego nadzieje. To miły człowiek, a nasza córka zachowała się wobec niego bardzo brzydko. Nie wypada, żebyśmy teraz wchodzili mu w drogę.

Co powiedziawszy, wrócił do oglądania telewizji.

Żona nie miała pretensji, że potraktował ją w ten sposób, bo w głębi duszy całkowicie się z nim zgadzała. Choć usilnie próbowała być nowoczesna i wykazać się tolerancją, to fakt pozostawał faktem – było jej bardzo, ale to bardzo wstyd za Edith. Odkąd sięgała pamięcią, wyobrażała sobie, że jest doskonale przygotowana, by odgrywać ważne role w angielskim życiu publicznym. Patrzyła na damy dworu stojące za plecami królowej w parlamencie, ubrane w suknie od Hartnella<sup>[51]</sup> z lat pięćdziesiątych, i myślała z rozmarzeniem, że ona, Stella Lavery, świetnie by się sprawdziła w roli księżnej Grafton albo hrabiny Airlie, gdyby los zechciał ją powołać do tego zadania. Służyłaby wzorowo, wiedziała o tym, nawet gdyby niczym Mała Syrenka musiała stąpać po ostrzach noży. I tę fantazję przekazała córce, a ta cudownym sposobem zdołała ją urzeczywistnić. A teraz, zamiast usłyszeć, że Edith zaproponowano prezesurę Czerwonego Krzyża albo włączono do dworu jakiejś księżniczki krwi, dowiedziała się, że wszystko przepadło! Że jej marzenia legły w gruzach! Została wtrącona do oślizłej jamy, co gorsza, czekała ją gorzka świadomość, iż w tej chwili w całym Londynie ludzie cmokają i powtarzają sobie, że ostatecznie można się było tego spodziewać – w końcu Charles popełnił mezalians, gdyż powinien był poślubić kogoś ze

swojej sfery, a Edith to kompletne zero, mała karierowiczka, którą „sytuacja przerosła”.

Rozległ się dzwonek, lecz zanim zdążyli się poderwać, Edith już sama otworzyła drzwi i głośno się witając, wkroczyła z Simonem do salonu. Najpierw podbiegła do ojca, który przytulił ją serdecznie, z czego zorientowała się, że przynajmniej z tej strony nie będzie kłopotów. Wzięła go pod rękę, aby przedstawić mu Simona, jednak jeden rzut oka na matkę, zastygłą w drzwiach niczym lodowy posąg, wystarczył, by zrozumiała, jaki wieczór ich czeka.

Pani Lavery zbliżyła się i sztywno podała Simonowi rękę. Nie potrafiła się uśmiechnąć, a kiedy Kenneth się oddalił, by przynieść im drinki, ucięła niezdarne towarzyskie awanse Simona i przeszła prosto do sedna sprawy, co było niemal swego rodzaju ulgą.

– Oczywiście, rozumie pan, panie Russell, że to wszystko jest dla nas bardzo trudne.

Celowo zignorowała jego propozycję, by mówić mu „Simon”, wykazując pod tym względem pewne podobieństwo do swojej idolki, lady Uckfield, która zapewne zachowałaby się tak samo, choć oczywiście zrobiłaby to z większym ciepłem i poufałością.

– Oboje bardzo lubimy naszego zięcia. Więc proszę wybaczyć, że nie rzucamy się panu na szyję.

Simon uśmiechnął się do niej, mrużąc szelmowsko oczy, co zazwyczaj okazywało się skuteczne.

– Zapewniam panią, że rzucanie się na szyję jest całkowicie dobrowolne – mruknął wesoło.

Pani Lavery nie odwzajemniła żartu. Nie chodzi o to, że była obojętna na atrakcyjność fizyczną. Doskonale widziała, że Simon jest jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała, ale w jej oczach właśnie jego uroda stała się przyczyną upadku córki. W tym rzecz. Gdyby miała pewność, że w ten sposób zawróci Edith z obranej drogi, w tej chwili z radością chwyciłaby za nóż i pocięła mu twarz.

– Moja córka była... – zawiesiła głos – ...jest żoną wspaniałego mężczyzny. Naturalnie na pewno wiecie, co robicie, ale trudno nam jest bez bólu patrzeć, jak ona łamie przysięgę małżeńską.

– Może twój ból nie byłby aż tak wielki, gdybym rzuciła Simona dla Charlesa – odcięła się Edith.

Cóż, to była absolutna prawda. Do tego stopnia, że pan Lavery, wracając z tacą pełną kieliszków, uśmiechnął się przelotnie. Niemniej Edith zapomniała o jednym – że pani Lavery obsadziła się w roli okrutnie owdowiałej Hekuby. Zdruzgotana, postrzegą ją obie – siebie i Googie Uckfield – jako szlachetnie urodzone ofiary, które dotknęła katastrofa o wręcz kosmicznym wymiarze (w duchu nazywała lady Uckfield „Googie”, choć na razie tak do niej nie mówiła; a teraz, myślała płacząco, utraciła tę szansę na zawsze). W jej cierpieniu nie było miejsca na ironię. Spojrzała na córkę oczami pełnymi łez.

– Jakże mało mnie znasz – rzekła, po czym majestatycznie usunęła się do kuchni. Edith i obaj panowie spojrzeli wymownie po sobie.

– No cóż, chyba wszyscy mieliśmy świadomość, że to będzie burzliwy wieczór – powiedział pan Lavery i upił spory łyk whisky.

Siedząc później w skromnej jadalni wokół stylowego owalnego stołu, zdołali się we czworo zmusić do swego rodzaju normalnej konwersacji. Pan Lavery wypytywał Simona o zawód aktora, Simon wypytywał pana Lavery’ego o interesy, a pani Lavery przynosiła kolejne dania, zabierała brudne talerze i przez cały wieczór zachowywała się z wyszukaną uprzejmością. Posiadała ów wyjątkowy, właściwy tylko Anglikom dar okazywania za pomocą skrupulatnej grzeczności, że uważa towarzystwo za okropne. Wciąż gratulowała sobie nienaganych manier, choć otoczenie czuło się zmiażdżone i odepchnięte. Ze wszystkich form chamstwa ta oczywiście jest najbardziej obraźliwa, bo nie zostawia miejsca na replikę i pozwala nawet na szczytach wrogości zachować wyższość moralną.

Edith patrzyła na te trzy znajome twarze i zadawała sobie pytanie, co się naprawdę dzieje. Czy właśnie zawierany jest nowy alians, który odtąd będzie kształtować jej życie? Czy przez najbliższe dwadzieścia lat przyjdzie jej spędzać Boże Narodzenie z tymi trzema osobami? Czy Simon i jej matka dojdą

do jakiegoś porozumienia, zaczną rozmawiać o dzieciach i wymieniać prywatne dowcipy? Owszem, Simon był przystojny i wciąż bardzo go pożądała, lecz tego wieczoru monotonia sytuacji uderzyła ją z całą mocą.

Od dwóch lat zajmowała miejsce w pierwszym rzędzie angielskiej socjety i ze zdumieniem zreflektowała się, że zaczęła uważać ten stan za normalny – to znaczy do chwili, gdy sama się wyeliminowała z towarzystwa. Mieszkając w Broughton, czuła się udręczona brakiem wydarzeń, pustką codzienności. Teraz jednak, gdy opuściła pałac, prawie nie było dnia, by nie widziała w mediach kogoś, kogo poznała, będąc z Charlesem. I myśląc o tym – mimo że w tamtym okresie nieustannie narzekała, że nic nie robią – przypomniała sobie wszystkie kolacje, kiedy siedziała twarzą w twarz z jakimś ważnym członkiem rządu, gwiazdą opery lub po prostu sławą z rubryki plotkarskiej. Choć Tigger i Google nudzili ją śmiertelnie, przyzwyczała się, że nowinki polityczne i dworskie plotki docierają do niej znacznie wcześniej, niż się ukażą w prasie. Przywykła do tego, że poznaje szczegóły z życia wielkich ludzi, zanim – jeśli w ogóle – trafią do wiadomości ogółu. Nie wyjeżdżali z Charlesem zbyt często, lecz zachowała w pamięci zaproszenia na zimowe polowania i letnie pobyty wakacyjne w Blenheim, Houghton, Arundel czy Scone<sup>[52]</sup>. Nie uważała ich za miejsca historyczne – dla niej były to po prostu domy ludzi z ich sfery. Pod tym względem Edith była niemal uczciwa, w każdym razie nie mniej uczciwa niż członkowie klasy, do której należała tak krótko. Co więcej, nauczyła się bezbłędnie naśladować arystokratyczną nonszalancję: robiła *grande entreé* do wielkiej sali Vanbrugha<sup>[53]</sup>, obwieszanej naturalnej wielkości portretami pędzla van Dycka, klęła na korki na trasie M25, ciskając torebkę na krzesło z pracowni Hepplewhite’a<sup>[54]</sup>. Na tym etapie umiała już wyrażać solidarność ze swoją przybraną klasą społeczną, która w ten sposób daje przecież do zrozumienia: „To przepiękne otoczenie jest dla mnie czymś zwyczajnym, moim naturalnym środowiskiem. To moje miejsce – ale nie wasze”.

Teraz, patrząc na Kennetha i Stellę, na pokój z rycinami kwiatów od Petera Jonesa, na pseudoregencyjne mebelki i drukowane zasłony od Jane Churchill, miała wrażenie, że bez pytania unieważniono jej członkostwo w jakimś klubie;

nie mogła już zwinąć się w fotelu w Wilton<sup>[55]</sup> i leniwie kartkować „Vogue’a”, popijając wódkę z tonikiem. W rzadkim dla siebie momencie jasności zrozumiała, że wybierając aktora jako partnera życiowego, nie zmanifestowała bynajmniej nieskrępowanej artystycznej swobody, lecz po prostu wróciła na własny teren. Simon o wiele bardziej niż Charles należał do świata Stelli i jej dalekiego kuzyna baroneta, Kennetha i jego znajomych biznesmenów, świata ludzi mało znanych, których śmiech i płacz nie zwracał już niczyjej uwagi. To był jej świat – środowisko, w którym się wychowała i w którym odtąd miała żyć. Charles, Broughton, giełda nazwisk – tylko otarła się o te sprawy. Niezależnie od złudzeń matki, stanowili całkiem inne plemię.

– Uff! – westchnął Simon, gdy ruszyli od krawężnika i wyjechali z powrotem na King’s Road. Edith kiwnęła głową. Przeżyli. To było najważniejsze. Zrobiła pierwszy krok, by wytłumaczyć matce, że jej baśniowe życie się skończyło. Simon puścił do niej oko.

– Żyjemy.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– Chcesz wracać prosto do domu? – zapytał.

– W przeciwieństwie do...?

– No, można by jeszcze gdzieś pójść.

– Gdzie?

Simon odął wargi.

– Może do Annabel’s?

– Należysz do klubu? – zdziwiła się Edith.

Pokręcił głową – z pewnym rozdrażnieniem, jak jej się wydawało.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale mogłabyś nas wprowadzić.

Edith wcale nie była tego taka pewna. W końcu to Charles był członkiem klubu i chociaż dosyć często bywali tam razem, a obsługa z pewnością ją rozpoznawała, to nie miała jasności, jak teraz wygląda jej status. Poza tym nie była przekonana, czy to dobry pomysł. Mogli się tam natknąć na znajomych Charlesa.

– No nie wiem – bąknęła.

– No chodź! W końcu Charles jest w Sussex, a ty nie możesz przez cały czas schodzić ludziom z oczu. Przecież chyba też mamy jakieś życie.

Tym razem, inaczej niż podczas wieczorów z Charlesem, zaparkowali na placu i pieszo zbliżyli się do prowadzących w dół schodków. Simon, który dotychczas był w Annabel's tylko raz, szczyrzył zęby jak szalenię. Edith nie czuła się tak pewnie, a kiedy znaleźli się w westybulu, wiedziała już, że miała rację. Popełnili błąd.

Pracownik klubu przy drzwiach powitał ją dość przyjaźnie.

– Lady Broughton – rzekł z wahaniem, mierząc Simona wzrokiem. – Pani jest z kimś umówiona? Mam zawiadomić, że pani przyszła?

Edith poczuła, że się czerwieni.

– Nie, właściwie nie. Po prostu myślałam, że zajrzemy tu na chwilę.

I znów zabrzmiała skrupulatnie uprzejma odpowiedź.

– Nie wiedziałem, milady, że pani jest członkiem klubu.

– No bo nie jestem. Ale Charles... lord Broughton... to znaczy myślałam... – Urwała, widząc, że portier patrzy na nią z ubolewaniem.

– Milady, bardzo mi przykro...

Gdyby los im sprzyjał, w tym momencie byłoby już po wszystkim, lecz wówczas za ich plecami otworzyły się drzwi i Edith dobiegły piskliwe tryle Jane Cunnor. Odwróciła się z uczuciem beznadziei i tuż przed sobą ujrzała olbrzymie, spocone oblicze Henry'ego, który zdyszany wtaczał się do podziemi.

Jane zamilkła na sekundę, obejmując wzrokiem Edith oraz, przede wszystkim, Simona. Następnie uśmiech wrócił na jej wargi.

– Edith! Cudownie! – Ucałowała ją zimno w oba policzki. – Nie przedstawisz nas?

– Simon Russell. Lord i lady Cunnor. – Edith nie bardzo wiedziała, czemu nie wymieniła ich imion. Czyżby do tego stopnia chciała zaimponować Simonowi? Po wieczorze, jaki mieli za sobą?

Jane obrzuciła ją nieco staroświeckim spojrzeniem.

– Wchodzicie?

Edith chciała wyjaśnić, że właśnie wychodzą, kiedy Simon wtrącił się do rozmowy.

– Nie chcą nas wpuścić. Podobno trzeba być pełnoprawnym członkiem.

Naprawdę nie pojmował, jak potwornej zdrady wobec Edith dopuszcza się w tej chwili. Po prostu życzył sobie wejść do klubu, a tych dwoje, o ile wiedział, mogło mu to ułatwić.

Ale Henry nie dał się złapać. Wyczuł, na co się zanosi, i skinął energicznie głową.

– Cześć, Edith – powiedział i dziarsko poczłapał korytarzem do baru.

Jane uśmiechnęła się blado.

– A to przykrość – mruknęła. – Ja też nie jestem członkiem. Jeśli chcecie, to mogę, mm, przywołać Henry’ego z powrotem.. – Urwała, demonstracyjnie okazując, że nie ma na to najmniejszej ochoty. Edith odpuściła.

– Nie, nie – oznajmiła pośpiesznie. – To nie ma żadnego znaczenia. I tak jesteśmy spóźnieni. Nie wiem, po co tu zaglądaliśmy. – Pocałowała Jane zdawkowo; jednak Simon, z błyskiem w oku, nadal miał nadzieję, że go wpuszczą i nadal nie rozumiał, co się naprawdę dzieje. Znów zostali sami z portierem, który, wciąż nienagannie grzeczny, chciał jak najszybciej zakończyć sprawę.

– Przepraszam, lady Broughton...

Edith skinęła głową.

– Już idziemy.

Byli już za drzwiami u stóp schodów, gdy z góry dobiegł ich głos.

– Edith?

Unieśli głowy i ujrzeli tyczkowatą postać Tommy’ego Wainwrighta, który zbiegał ku nim po stromych stopniach.

– Coś podobnego, ty tutaj?

Uśmiechnął się przyjaźnie i podał Simonowi rękę. Jego żona Arabella, znacznie od niego twardsza, w ogóle się nie odzywała.

– Już idziecie? – zapytał Tommy.

– Tak – odparła Edith, jednak Simon, zanim zdołała go powstrzymać, podjął kolejną próbę zakończenia wieczoru tak, jak to sobie zaplanował.

– Edith myślała, że może nas wprowadzić, ale jej się nie udało – oznajmił, w ten sposób w jednym zdaniu streszczając cały upadek Edith i dostarczając Arabelli Wainwright zabawnej historyjki do opowiadania przy lunchu.

– To pozwólcie, że ja to zrobię – zaproponował z uśmiechem Tommy.

– Naprawdę, to nie ma znaczenia – zaprotestowała Edith.

– No chodź – nalegał Simon.

– No ale jeśli ona nie chce... – mruknęła cicho Arabella. Było zupełnie jasne, że podobnie jak Jane Cumnor, zupełnie nie ma ochoty na oczach wszystkich wprowadzać do Annabel's Edith z nowym kochankiem. Jednak Tommy nie był aż takim oportunistą, więc chwilę później z drinkami w dłoniach siedzieli już w fotelach u stóp wielkiego Buddy w małej czerwonej palarni obok baru, a Simon, dla którego Arabella stanowiła swego rodzaju wyzwanie, prosił ją do tańca. Być może ta wolała być widziana w tańcu z nieznanym anizeli w towarzystwie Edith, w każdym razie zgodziła się i Edith została z Tommym sam na sam.

– Więc co u ciebie? – zapytał.

– No, wiesz... – Wzruszyła ramionami.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się do niej życzliwie. – Nie daj się złamać tym gazetowym bzdurom. Przy moim zajęciu coś o tym wiem. Dzisiejszy skandal to jutrzejsza makulatura. Ludzie o wszystkim zapomną.

Edith skinęła głową. Doskonale zdawała sobie sprawę, że ta opinia, choć ogólnie słuszna, rzadko sprawdza się w przypadkach indywidualnych. Została naznaczona piętnem skandalu i miała świadomość, że nawet kiedy to wszystko się skończy, to i tak do końca życia każda najmniejsza wzmianka w gazecie na jej temat będzie zawierać mały akapit o separacji.

– Widujesz się z Charlesem? – zapytała.

Tommy przytaknął.

– W zeszłym tygodniu umówiliśmy się u White'a na drinka.



– Co u niego?

– Niezbyt wesoło, ale jakoś sobie radzi.

Edith przeszła niespodziewany dreszcz tęsknoty za Tommym, za klubem White'a, nawet za Jane Cumnor, której skinęła głową przy barze, nie próbując jednak do niej dołączyć. Pół roku temu siedziałyby tu z Tommym, robiąc przegląd aktualnych plotek; cokolwiek sądziła na ten temat, czułaby się błogo i przytulnie. Lecz tego wieczoru najwyraźniej nie miało to sensu. To już nie był jej świat i oboje o tym wiedzieli. Co zaś się tyczy Charlesa... Biedny Charles. Czym sobie na to zasłużył? Był tylko nudny w towarzystwie, nic więcej. Poza tym nie zrobił nic złego.

Simon wrócił i ku wielkiej uldze Arabelli zaprosił Edith na parkiet.

W samochodzie się nie odzywała, tylko uśmiechała się do Simona; chciała uśmierzyć jego obawy, że się gniewa, bo wcale tak nie było. Gdy otwierała kluczem frontowe wejście do domu na Ebury Street, ręka Simona, która dotąd obejmowała ją w talii, ześliznęła się na jej pośladki. Idąc za nią przez sieni i przystając przed drzwiami mieszkania, zaczął je delikatnie ugniatać, po czym pochylił się i musnął językiem jej kark. Edith poczuła ciepłe mrowienie w podbrzuszu; nie domknęli jeszcze za sobą drzwi, gdy odwróciła się, pocałowała go drapieżnie i sięgnęła mu do krocza. Poczuła jego twarde, duże penis.

– Kochana – szepnął z wiedzącym uśmiechem mężczyzny, który rozumie i lubi swoją robotę.

Tej nocy, na życzenie Edith, kochali się trzykrotnie. Simon nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem robiła to z taką zaciekłością. Dosiadła go i napierała ze wszystkich sił, wbijając się jak najgłębiej. Było dla niej całkowicie jasne, że klamka zapadła. Z Charlesem, gdy wracała do domu i zamykała za sobą drzwi, wiedziała, że wieczór się skończył. Wychodząc z Simonem, miała świadomość, że wieczór to coś, co należy przetrwać, dopóki znów nie znajdą się sam na sam. Los postawił ją przed wyborem między życiem prywatnym a życiem publicznym; najwyraźniej żaden z mężczyzn w jej życiu nie był w stanie dać jej obu tych rzeczy naraz. No cóż, myślała, patrząc na wstający świt, podczas gdy Simon cicho pochrapywał u jej

boku – przedłożyła osobiste spełnienie ponad publiczny splendor i cieszyła się z tego. To znaczy cieszyła się w nocy, naga, zaspokojona, daleka od świata. Bo każdego ranka musiała wciąż na nowo podejmować decyzję.

CZĘŚĆ TRZECIA

*Dolente – energico* [\[56\]](#)

Nie widziałem się z Edith przez kilka miesięcy. Jesienią dostałem rolę złoczyńcy w jednym z tych seriali, które optymistycznie określa się mianem „kino rodzinne”, gdyż nikt nie potrafi zdecydować, do jakiej właściwie kategorii się zaliczają, i sporo czasu spędzałem poza Londynem; plenery kręciliśmy w Hampshire, więc wynająłem domek w Itchen Abbas, gdzie niekiedy dołączała do mnie Adela.

Wszystko zmieniło się pewnego dnia w listopadzie, gdy odkryliśmy, że Adela jest w ciąży. Oszołomiony perspektywą wielkiego życiowego przełomu, prawie nie myślałem o niczym innym. Zakupiliśmy tuziny poradników, nad którymi ślęczeliśmy całymi wieczorami, usiłując się dowiedzieć, dlaczego Adela czuje w ustach smak metalowych opiłków albo czemu bolą ją plecy. Prawdę mówiąc, zajęcie było dość beznadziejne, gdyż odpowiedź na większość pytań brzmiała: „Na razie przyczyny pozostają nieznane”. Niemniej dostarczyło nam to mnóstwo uciechy.

Wiadomości o Edith, Simonie i Charlesie nie docierały do nas prawie wcale. Gazety chwilowo dały sobie z nimi spokój; nic nie zapowiadało rozwodu, więc przypuszczalnie prasa zostawiała sobie coś w rezerwie na wypadek sprawy w sądzie. Raz, przeczytawszy w elitarnym piśmie o sztuce, że portret jakiegoś Broughtona został wystawiony na sprzedaż, napisałem do Charlesa, sądząc, że ktoś z rodziny byłby tym zainteresowany. Naturalnie przekazałem mu również naszą nowinę i niemal zaraz potem otrzymałem wzruszające życzenia pomyślności: „Macie całkowitą rację, że nie chcecie z tym czekać zbyt długo” – pisał Charles. „Małżeństwo to oczywiście wspaniała rzecz, ale rodzina naprawdę zaczyna istnieć dopiero wtedy, kiedy rodzi się dziecko. Szczerze wam zazdroszczę”. Niekoniecznie podzielałem jego pogląd, uznałem jednak, zapewne słusznie, że jest to wyraz prywatnych

rozczarowań małżeńskich nadawcy. List kończył się prośbą, abym koniecznie się odezwał, kiedy wrócimy do towarzyskiego obiegu, a ja pomyślałem, że zapewne tak zrobię. Uznałem, iż przeszliśmy z Charlesem tak wiele, że nawet według standardów angielskich możemy się uważać za przyjaciół i że nie grozi mi popadnięcie w niezręczność, za jaką uważam interesowne zacieśnianie kontaktów z możliwymi tego świata. Niemniej zaciekało mnie, że ani słowem nie wspomniał o Edith; w rzeczy samej znikąd nie mieliśmy o niej żadnych wiadomości. Wnosząc z nielicznych plotek, nadal była z Simonem, który, być może ze względu na rozgłos – a niewykluczone, że i na talent – miał zagrać główną rolę w dużym serialu policyjnym. Postanowiłem więc, że po powrocie do Londynu odezwę się również do niej, bo stanowczo nie chciałem zostać obsadzony w roli człowieka, który odtrąca przyjaciół, gdy ich status się obniża.

W istocie znajomość została odnowiona, jednak nie dzięki mnie, lecz mojej żonie. Niedługo po powrocie do Londynu Adela dostała zaproszenie na pokaz wiosennej kolekcji sukien domu mody Hardy Amies<sup>[57]</sup>. Zaprosiła ją kuzynka nazwiskiem Louisa Shaw, dama dworu którejś z młodszych krewnych królowej, która z tego powodu – bądź, co bardziej prawdopodobne, dlatego że czasem coś kupowała – figurowała na listach osób zapraszanych na rozmaite wytworne imprezy, co więcej, zawsze wyznaczano jej bardzo dobre miejsca. Przyjaźniły się z Adelą od dziecka, toteż chętnie i regularnie dzieliła się z nią swoim szczęściem.

Jednakże gdy Adela i Louisa układały swoje plany, nie mieliśmy pojęcia, że nasza znajoma Annette Wilson również jest klientką firmy Hardy Amies. Jak już wspominałem, Annette była ekranową piękną z pokolenia Lesley-Ann Down i chętnie pozowała reporterom na jublach cierpiących na deficyt celebrytów. Ostatnio wszakże zaczęła występować również na rozkładówkach luksusowych czasopism haute couture, co naturalnie czyniło ją mile widzianym gościem na wszelkiego typu galach. Prawdę mówiąc, na tym etapie Annette radziła sobie naprawdę świetnie, głównie dlatego, że nudziarz Bob, i tak już bardzo zamożny, w szaleńczych latach dziewięćdziesiątych wbrew wszelkim oczekiwaniom stał się prawdziwym krezusem. Mam wrażenie, że zrobił

pieniądze głównie na „rewolucji dot comów”, chociaż niezbyt dokładnie pamiętam, co właściwie robił, to znaczy, jeśli w ogóle kiedykolwiek miałem o tym pojęcie. W każdym razie cokolwiek to było, przyniosło mu ogromny zysk. W przeciągu dwóch–trzech lat, jakie upłynęły od nieprzyjemnej wizyty u Erica na Majorce, Watsonowie zdołali umocnić swoją pozycję towarzyską i zgromadzili całkiem przyzwoitą listę adresów, przynajmniej w Londynie. Rzecz jasna w żaden sposób nie byli w stanie przeniknąć do zaczarowanego kręgu lady Uckfield, nawiązali jednak zażyłe stosunki z młodszymi markizami o nieco zszarganej opinii, a także z tą czy inną dziewczyną będącą aktualnie „na topie” londyńskiej sceny towarzyskiej. Raz pismo „Hello” zamieściło nawet zdjęcie Annette na zakupach z księżną Yorku. Tak więc, ogólnie rzecz biorąc, Annette miała powody do zadowolenia.

Trzeba zaznaczyć, że zadowolenie Annette w dużej mierze związane było z faktem, że mogła już sobie pozwolić na odrzucanie zaproszeń Chase’ów, ostatnio coraz bardziej natarczywych. Caroline Chase naturalnie miała to głęboko gdzieś, ale Eric mocno ucierpiał z powodu panującej recesji, robiąc mętne kombinacje na obrzeżach branży optymistycznie określanej jako „umiejętności biznesowe i public relations”. Owe „umiejętności” zaliczały się do dziedzin, które ongiś rozkwitały najszybciej, a teraz równie szybko więdyły i Eric po prostu czuł, że pomocna dłoń Boba Watsona mogłaby wiele zmienić w jego podupadającej firmie. Owszem, mogłaby; jednak po koszarnej kolacji w Fairburn (a może z jej powodu) dłoń ta jakoś zniknęła z horyzontu. Chase’owie, a w każdym razie Eric, przestali być dla Watsonów niezbędnym elementem gry – między innymi dlatego, że spodziewano się, iż Eric niebawem całkiem przestanie się liczyć. Wszyscy wiedzieli, że żyje z pieniędzy Caroline, zaczęto więc zadawać pytania, jak długo to jeszcze potrwa, zwłaszcza że Chase’owie nie mieli dzieci, które zawsze komplikują sprawę. Środowisko Caroline naprawdę uważało, że kontynuowanie małżeństwa z osobnikiem pospolitym i w dodatku biednym nie ma większego sensu. I jakkolwiek wartości tej grupy pod wieloma względami są dla mnie nie do przyjęcia, to przyznaję, że w wypadku kogoś tak nieznośnego jak Chase całkowicie podzielałem ten punkt widzenia.

Z pewną przyjemnością zauważyłem, że właśnie Annette Watson należała do nielicznych osób, które nie zerwały stosunków z Edith i nie opowiedziały się automatycznie po stronie Charlesa tylko po to, by podlizać się Broughtonom. Zaiste, Edith zapłaciła za swój wybór wysoką cenę. Właściwie trudno się dziwić jej znajomym – po pierwsze, byli to głównie znajomi Charlesa, po drugie, Edith postąpiła naprawdę paskudnie. Ale nie dlatego zgromadzili się pod sztandarem Broughtonów; pozostaliby wierni, nawet gdyby Charles bił Edith i trzymał na strychu zastępy girlasek, w zaistniałej sytuacji jednak nie sposób było się spierać. W każdym razie Annette – albo świadoma, że nie jest atrakcyjna dla Charlesa i jego matki, albo dlatego, że naprawdę polubiła Edith – nie porzuciła koleżanki i zaprosiła ją na popołudniowy pokaz Hardy Amies, proponując wcześniej wspólny lunch.

Edith nigdy nie była na piętrze restauracji Meridien na Piccadilly. Lokal niedawno poddano gruntownej renowacji, przerabiając dawny taras na jadalnię – przeszkloną, wyłożoną marmurem i obsadzoną palmami – dzięki czemu powstało wnętrze, w którym mieszkańcy Los Angeles, jakich spodziewano się tłumnie zwabić, mieli poczuć się niemal jak w domu. Na widok uniesionej ręki Annette Edith zaczęła przedzierać się między stolikami. Miała na sobie szykowny zimowy kostium w konwencjonalnym komplecie z perłami i broszką. Ku swemu zdziwieniu przez chwilę miała wręcz chęć założyć kapelusz. Oczywiście oparła się tej pokusie, niemniej uświadomiła sobie, że kostium wyraża istotną część jej osobowości, chwilowo stłamszoną pod stertą podkoszulków i sukienek z cekinami, które dla znajomych Simona stanowiły jedyne możliwe stroje. On też skomentował jej wygląd z kanapy, na której leżał, pogodnie czytając scenopis na jutro.

– Wielkie nieba, aleś ty elegancka! Wyglądasz jak własna teściowa!

Nie dała się sprowokować. Być może w głębi duszy nawet uznała to za komplement.

Annette ucałowała ją i zamówiła szampana. Szybko odbębniły zwyczajowe powitanie, po czym przeszły do sedna sprawy.

– No to kiedy następny ruch?

– Ruch? – zdziwiła się Edith.

– No wiesz. Rozwód. Już się za to zabrałaś?

Edith drgnęła nieswojo.

– Właściwie nie. Jeszcze nie.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba wolę... wolimy... odczekać ustawowe dwa lata, żeby było jak najmniej zamieszania. Inaczej będzie z tym straszne zawracanie głowy...

– Dwa lata? – zaśmiała się Annette. – Oj, Charles nie będzie zadowolony, że musi czekać aż dwa lata.

– Jak to?

Annette spojrzała na nią zaskoczona.

– No co ty? Kochana, to ty nie wiesz, że wyścig już się zaczął?

Edith ze zdumieniem skonstatowała, że czuje skurcz w żołądku.

– O czym ty mówisz?

– Moja droga, kiedy to wszystko się wydało, kobiety po prostu rzuciły się na niego. Dziwisz się? Nawet dziecka nie macie, więc nic ich nie powstrzyma.

Edith ogarnęło rozdrażnienie. Jak ta kobieta śmie wiedzieć o jej mężu więcej niż ona?

– Nie sądzę, żeby widywał się z kimś konkretnym.

– Więc źle sądzisz. – Annette urwała, podkreślając pauzę łykiem szampana.

– Pamiętasz Clarissę Marlowe?

Edith roześmiała się i odetchnęła z ulgą. Poczciwa Clarissa Marlowe, prawnuczka urzędnika dworskiego, który w 1920 roku został wyniesiony do podrzędnej godności barona, była odległą krewną Charlesa ze strony matki – dziarską, dorodną brunetką, świetną w siodle, bardzo pomocną przy trudnych przyjęciach. Pracowała jako luksusowa recepcjonistka w podejrzanym biurze nieruchomości, którą poniekąd uszlachcała swoją obecnością, mieszkała zaś razem z siostrą w niewielkim mieszkaniu nieopodal Old Brompton Road. Klasyczna przedstawicielka „harcerskiej brygady”, pomyślała uspokojona



Edith, całkiem nie w typie Charlesa.

– Nie mów głupstw. To jego kuzynka. Tylko się z nim kumpluje.

Annette uniosła brwi.

– Tak? No więc przed świętami kumplowała się z nim przez tydzień w Indiach Zachodnich i spędziła Nowy Rok w Broughton.

To był cios, nie da się zaprzeczyć. Prawdę mówiąc, Edith była zaskoczona, że aż tak ją to zabolalo. Ale co ona sobie właściwie wyobrażała? Że Charles już zawsze będzie sam? Odeszła osiem miesięcy temu, a on był tylko człowiekiem. Przywołując w wyobraźni obraz Clarissy, Edith poczuła, że ogarnia ją wściekłość na tę przyzwoitą ziemiańską dziewczynę. A przecież zawsze dość lubiła Clarissę, która bardzo starała się być użyteczna, śmiała się z anegdot Edith i w odróżnieniu od innych krewnych nigdy nie traktowała jej jak namolnej cudzoziemki. Po zastanowieniu Edith musiała przyznać, że Clarissa chyba miała do Charlesa pewną słabość, i z drżeniem serca zdała sobie sprawę, że jest właśnie taką dziewczyną, z jakimi chętnie się żenią mężczyźni jego pokroju.

– Och – powiedziała.

Kelner podszedł, by wręczyć ogromne, oprawne w skórę menu, napisane niegramatyczną francuszczyzną, po czym wycofał się, mrużąc gardłowe „rrr”.

– Kochanie, głowa do góry – rzekła Annette, patrząc na nią przenikliwie. – Opowiedz mi o Simonie. Dobrze się czuje?

– O tak – odparła Edith, zbierając siły. – Doskonale. Gra w serialu aż do czerwca, a w październiku przy odrobinie szczęścia wznowi pracę.

– Cudownie! Co to za film?

– Och, no wiesz – bąknęła Edith, usiłując wybrać między wątróbką a opiekany tuńczykiem. – Taki tam zwyczajny policyjny thriller. Simon gra pomocnika głównego detektywa, gamonia, który nigdy nie rozumie, o co chodzi. – W końcu zdecydowała się na nerekki z sałatą.

– Brawo – powiedziała Annette. – Kto jeszcze tam gra? Chodzisz na plan i w ogóle?

Edith doceniła entuzjastyczne wysiłki Annette. To było naprawdę miłe z jej

strony.

– Nie, właściwie nie. Czasami. Żeby mieć jakieś pojęcie o kolejnych odcinkach. Trochę go to peszy.

Prawda była taka, że mimo usilnych starań jakoś nie potrafiła traktować pracy Simona serio. Niektóre jej aspekty nawet dosyć lubiła: premiery, przyjęcia (bardzo nieliczne) i spotkanie ludzi znanych z telewizji. Ciekawiło ją czytanie scenariuszy i porównywanie ich z gotowym produktem, jednak na ogół... jakby to powiedzieć... Na początku jeździła na plany zdjęciowe, ale doprawdy, jakież to było monotonne! Powtarzanie w kółko trzech linijek tekstu, które filmowano pod tysiącem kątów! W końcu nie wytrzymała i szła poplotkować z dziewczynami z charakteryzatorni. Mówiąc szczerze, nie bardzo rozumiała, dlaczego Simon robi wokół tego tyle szumu. Wszystko wydawało się bardzo proste. Człowiek uczył się tekstu, po czym mówił go do kamery. Istotnie, potrafiła dostrzec, że jedni robią to lepiej, a inni gorzej, ale nie miało sensu się tym przejmować. Jakoś nie widziała, żeby w wypracowanych rolach Simon wypadł lepiej aniżeli w tych, które niemal improwował. Od naszego pamiętnego lunchu wyraźnie zdołała pojąć jedno – że naprawdę nie ma dla niej miejsca na planie. Toteż, jeśli nie liczyć kilku wypadów na samym początku, zazwyczaj trzymała się na uboczu, tylko czasem wpadając w weekendy, żeby przywitać się z członkami obsady i ekipy technicznej. To było wszystko. Wyglądało, że chyba najlepiej rozgrywać to w ten sposób.

– Pozdrów go ode mnie – powiedziała Annette. Przez moment mierzyły się wzrokiem, lecz ku uldze Edith akurat pojawił się kelner, żeby przyjąć zamówienia. Potem obie postanowiły zmienić przedmiot rozmowy i przeszły do ogólniejszych tematów.

Do drzwi naszego mieszkania w suterenie Louisa zadzwoniła punktualnie za kwadrans pierwsza. Miały z Adelą zjeść lunch w domu, a po pokazie wybrać się do Fortnuma<sup>[58]</sup> na herbatę. Adela, w piątym miesiącu ciąży, dopiero niedawno przestała wymiotować i bardzo potrzebowała przyjemności, obiecałem więc, że podwoję je na Savile Row, zwłaszcza że i tak jechałem

na przymiarę u perukarza na Old Burlington Street. Lubilem kuzynkę Adeli. Jako córka anglo-irlandzkiego ziemianina przejawiała właściwy jej plemieniu rys bezkrytycznego szaleństwa, czym niesłychanie się odróżniała od swoich angielskich koleżanek, toteż mimo jej tweedów i praktycznych butów wszyscy uwielbiali z nią przebywać. Była również urodzoną starą panną, zanosilo się wręcz na to, że służba na dworze ostatecznie zastąpi w jej życiu męża i dzieci. Niemniej była zachwycona, że spodziewamy się dzidziusia, dlatego też odnotowałem, jeszcze zanim Adela zdążyła mnie o to zapytać, że stanowi wymarzony materiał na matkę chrzestną.

Ruch na mieście nie był duży, więc już za kwadrans trzecia wysiadły z auta pod siedzibą firmy Hardy Amies i skierowały się ku wielkim schodom do ogromnego salonu na piętrze z oknami wychodzącymi na Savile Row. Na ogół nie ma sensu wcześniej przychodzić na takie imprezy, bo miejsca przydzielane są w sposób niebudzący wątpliwości, ale Adela i Louisa, które miały mnóstwo nowinek do omówienia, z przyjemnością opadły na wskazane krzesła z odręcznym napisem „Lady Louisa Shaw & Osoba Towarzyszająca”. Tu bez reszty pograżyły się w prywatnej operze mydlanej, do tego stopnia, że mimo dobrych miejsc przy samym wyjściu na schody, z widokiem nie tylko na wybieg, ale i na szybko zapełniającą się salę, przestały zwracać na cokolwiek uwagę; dlatego też, gdy włączono reflektory, oznaczające początek pokazu, i Adela uniosła wreszcie głowę, z niemałym zdziwieniem dostrzegła Edith Broughton, siedzącą w ostatnim rzędzie, tuż obok drzwi dla modelek. Dziwne, pomyślała Adela, że Edith nie podeszła się przywitać – przecież idąc na swoje miejsce, musiała się niemal o nią otrzeć. Jednak nawet teraz, patrząc wprost na moją żonę, Edith nie dawała żadnego sygnału, że ją poznaje. Obawiam się, że jej zachowanie świadczyło przede wszystkim o tym, jak traktowano ją przez kilka ostatnich miesięcy; w każdym razie Adela, która jak zarazy unika niesnasek, natychmiast się uśmiechnęła i uniosła rękę, a Edith, chyba z ulgą, odwzajemniła pozdrowienie.

Rozmowy już cichły, gdy przy drzwiach zrobiło się małe zamieszanie i Adela, odwróciwszy się, ujrzała, że do sali wchodzi jedna z księżniczek, za którą podąża lady Uckfield, po czym obie damy, uśmiechając się

przepraszająco, zajmują miejsca zarezerwowane dla nich w pierwszym rzędzie. Kiedy usiadły, Adela przeniosła wzrok na Edith i ujrzała, że ta nie odrywa oczu od teściowej. Nie sposób było nie dostrzec, jak różni się położenie obu kobiet, i Edith zapewne musiała to odczuwać szczególnie boleśnie. Oto siedziała ze swoją wymalowaną przyjaciółką w ostatnim rzędzie, czekając na pokaz strojów, których kupno w żaden sposób nie wchodziło dla niej w rachubę, mając przed sobą kobietę, jaką sama mogła się stać – towarzyszkę rodziny królewskiej i obiekt zazdrości niemal wszystkich obecnych pań.

Zabrzmiała muzyka, wiązanka przebojów latynoskiego rocka – dość osobliwy wybór, zważywszy na średni wiek klientek – i Adela zerknęła do programu, szukając opisu pierwszej pozycji. Na wybiegu pojawiły się trzy modelki, trzymające w eleganckich dłoniach plastikowe krążki z numerami kreacji. Pokaz się zaczął.

Przez następną godzinę publiczność z niepohamowanym ożywieniem komentowała każdy pokazywany numer. „Cudowna na Hiszpanię”, „Jaki dziwny kolor, ciekawe, czy mają kremową wersję”, „Ładna sukienka, fatalna modelka” – takie i inne zdania rozbrzmiewały donośnie w całej sali, podczas gdy dziewczęta niewzruszenie płynęły po wybiegu. Od czasu do czasu następował rozrywkowy przerywnik, gdy któraś z modelek upuściła krążek z numerem (podobno już z nich zrezygnowano, być może właśnie z tego powodu) albo zachwiała się wdzięcznie na zakręcie, były to jednak rzadkie zakłócenia, poza tym wszystko przebiegało nadzwyczaj gładko. Jednak Adela nie mogła się skupić. Zerkając raz po raz na Edith, widziała, że ta wcale nie patrzy na wybieg, lecz uporczywie wpatruje się w kark teściowej, która, wciąż beztrąsko nieświadoma jej obecności, notowała coś na programie i szeptem wymieniała uwagi ze swoją dostojną towarzyszką.

W końcu cała kolekcja została zaprezentowana i publiczność, zrobiwszy odpowiednie notatki i utrwalwszy na kliszy stosowne obrazy, wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia. Utworzono przejście dla Jej Księżęcej Mości, a w ślad za nią podążyła lady Uckfield. Naturalnie Adela powściągliwie usunęła się w cień, jednak traf chciał, że księżniczka rozpoznała Louise

dokładnie w tej samej chwili, kiedy lady Uckfield dostrzegła moją żonę. A zatem Adela została przedstawiona, dygnęła głęboko, po czym tłum z szacunkiem cofnął się nieco, pozwalając paniom zostać we czwórkę. Przez jakiś czas gawędziły przyjaźnie o wybranych sukniach, gdy wtem Adela dostrzegła Edith, przesuając się ku nim przez rzadniejący tłum. Takie momenty są bardzo trudne. Nie chwaląc się, Adela nie należy do osób, które wykracają się od przykrych obowiązków, jednakże jaki sens miało zepsucie lady Uckfield popołudnia i postawienie jej w przykrych sytuacji? Przecież jej synowa była skandalistką, a na miejscu roilo się od dziennikarzy. Adela zatem, wzorem Judasza, zdecydowała się na politykę ograniczania szkód i zerknąwszy na lady Uckfield, dyskretnie kiwnęła głową w kierunku nadchodzącej Edith. I tu lady Uckfield zademonstrowała biegłość, dzięki której imperium przez stulecia panowało nad połową świata – nie mrugnawszy okiem, niepostrzeżenie zarejestrowała obecność synowej, po czym natychmiast się oddaliła. Gdyby nie konspiracyjny uścisk dłoni, Adeli byłoby wręcz trudno stwierdzić, czy nie był to całkowity przypadek. Niebawem księżniczka i jej dama dworu zniknęły na schodach, Adeli zaś pozostało przedstawić Edith nieco speszonej Louisie.

Wymieniły ogólne uwagi, Edith zapytała, co u mnie, natomiast Adela dość ostentacyjnie nie zapytała o Simona. Jednakże, zanim się rozstały, Edith zdążyła promiennie zauważyć:

– Moja droga teściowa świetnie wygląda.

– Wydaje się, że istotnie bardzo dobrze – potwierdziła Adela.

– Dziwne jest to uczucie, że zamieniłam się w niewygodną krewną! – zaśmiała się Edith. – No cóż. Nie może mnie unikać bez końca. Powinna się przyzwyczaić do myśli, że mieszkam w Londynie, czy jej się to podoba czy nie.

– Nie sądzę, że cię unikała. Po prostu cię nie zauważyła – powiedziała Adela, dodając bez przekonania: – Może powinnam była coś powiedzieć...

– Skądże – rzuciła Edith. – A po co?

I z tym się rozeszły – Adela z Louisą do Fortnuma, a następnie do domu, gdzie opowiedziały mi wszystko ze szczegółami, Edith zaś na Ebury Street do

Simona, który akurat przeżywał atak furii, bo z jutrzejszej sceny wycięto mu ważną kwestię. Simon podejrzewał, że to sprawka jego partnera, którego zaczynał już bardzo nie lubić; przeżywał tę konkretną niesprawiedliwość do tego stopnia, że nie miał ochoty słuchać relacji Edith. Wątpię zresztą, żeby powiedziała mu coś oprócz tego, że widziała Googie, a Googie nie widziała jej. Nie licząc horrorów typu wieczoru u Annabel's, jak dotąd był to chyba najbardziej drastyczny dowód jej upadku i na razie nie potrafiła o nim mówić bez lekkich mdłości.

Z opisu Adeli pojąłem dość jasno, że mimo szczęśliwego związku z Simonem Edith przechodzi ciężki okres, postanowiłem więc zadzwonić do niej i postawić jej przyzwoity lunch. Ale zanim zdążyłem się do tego zabrać, dostałem list od Isabel Easton, która, ku memu zaskoczeniu, zapraszała nas oboje na weekend do Sussex. Właściwie koperta była zaadresowana do Adeli; Isabel zdążyła dobrze przyswoić sobie arystokratyczne maniery i już wiedziała, że w klasach wyższych listy kieruje się wyłącznie do żeńskiej połowy stadła. Dlaczego? Nie wiadomo. W każdym razie Adela przeczytała zaproszenie i zaproponowała, byśmy je przyjęli. Ale ponieważ umiarkowanie lubiła Isabel, a Davida nie lubiła prawie wcale, to od razu powziąłem podejrzenie, że ma jakiś ukryty motyw.

Na wyjaśnienie nie musiałem długo czekać.

– Może będąc na miejscu zadzwonimy do Charlesa? – zapytała. Nie byłem u Eastonów na wsi chyba od czasu, gdy zostaliśmy wszyscy wezwani do Broughton, by świętować triumf Edith. Oczywiście widywałem ich w Londynie, więc przerwa nie była zbyt dotkliwa; patrząc wstecz, nie bardzo rozumiem, dlaczego przestałem ich odwiedzać. Być może do wzajemnego skrępowania przyczynił się fakt, że zaprzyjaźniłem się z Edith niejako ponad ich głowami. Trudno powiedzieć; w każdym razie jednak w następną piątek z przyjemnością znalazłem się wraz z żoną w znajomym salonie wśród stolików z frędzlami, rypsovych kanap i pękatych poduszek.

Ledwie zdołaliśmy się rozpakować, wykapać i wypić przedobiedniego drinka, gdy wyszedł na jaw prawdziwy powód naszego spotkania.

– Wybierzecie się do Broughton, będąc u nas? – zapytał David.

Zerknąłem na Adelę.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy ktoś tam teraz jest. Miałem zamiar do nich zadzwonić.

– Świetnie – rzekł David. – Świetnie. W każdym razie pozdrówcie od nas Charlesa, gdybyście się z nim widzieli.

A więc to tak. Powinienem był od razu się domyślić. Ależ sytuacja! Najpierw całymi latami doprowadza go do szaleństwa niemożność nawiązania jakichkolwiek stosunków z rodem miejscowych notabli. Potem staje się cud: ich przyjaciółka wychodzi za mąż za spadkobiercę rodu, a oni powoli, cal po calu, zaczynają się zbliżać do wyższych sfer hrabstwa. Już, już robią postępy, już niemal ocierają się o Williamów Fartleyów tego świata, gdy nagle: bum! wybucha skandal. Edith, ich przyjaciółka, kobieta, którą jako pierwsi zaprosili w te strony (z pewnością nie trzymali tego w tajemnicy), ucieka od męża z jakimś aktorem, przynosi wstyd rodzinie, robi zawód biednemu, kochanemu Charlesowi. David i Isabel Easton schodzą ze sceny.

Sądzę, że tylko człowiek o sercu z kamienia nie miałby dla biedaków odrobiny współczucia, nawet uznając obrany przez nich cel za bezwartościowy. Łatwo się wyśmiewać z cudzych pretensji – zwłaszcza gdy chodzi o trywialne ambicje – ale przecież większość z nas w jakiejś dziedzinie życia ma za sobą drogę cierniową, która zupełnie nie była tego warta. Podejrzewam, że ciężko jest żyć w niewielkim prowincjonalnym środowisku, godząc się z tym, że jego elity są dla nas zamknięte. Z tego właśnie względu wielu żądnych awansu ludzi przenosi się do wielkich miast, gdzie wszystko wydaje się bardziej płynne i w zasięgu ręki. No i co gorsza, Eastonowie, przynajmniej we własnym mniemaniu, byli już o krok od wygranej...

– Obawiam się – ciągnął David – że prawda jest taka, iż nasza kochana Edith postąpiła okropnie brzydko.

Wszyscy, łącznie z Isabel, powitali tę wypowiedź milczeniem. Nawet Adela (która, jak doskonale wiedziałem, całkowicie zgadzała się z tą opinią) raczej nie miała ochoty solidaryzować się z Davidem pod nieobecność Edith.

– No nie wiem – rzekłem w końcu.

– Coś podobnego! – oburzył się głęboko David. – Dziwię się, że jej bronisz!

– Niezupełnie jej bronię – powiedziałem. – Mówię tylko, że w gruncie rzeczy trudno cokolwiek o kimś wiedzieć. Tak naprawdę to nie wiemy niczego o cudzym życiu.

Oczywiście ten truizm nie jest całkiem prawdziwy. Ludzie jednak coś wiedzą o innych ludziach. W istocie wiedziałem sporo o życiu Edith i Charlesa, lecz nawet jeśli teraz zgrzeszyłem obłądą, to generalnie miałem trochę racji. Nie jestem przekonany, czy kiedykolwiek wiemy o kimś dostatecznie dużo, by go móc całkowicie potępić.

– Wydaje mi się – wtrąciła Isabel w swoim pojednawczym wcieleniu – że Davidowi chodzi po prostu o to, że nam wszystkim jest okropnie żal biednego Charlesa. Chyba jednak nie zasłużył na to, co go spotkało, w każdym razie nie z naszego punktu widzenia.

Wszyscy się z nią zgodziliśmy, niemniej było całkiem oczywiste, że David ma nadzieję, iż uda mu się jakoś pograżyć Edith; najwyraźniej sądził, że jeśli dobitnie zademonstruje swoje oburzenie, to ktoś w końcu doniesie o tym Broughtonom, dzięki czemu on, David, zarobi jakieś punkty i znów znajdzie się na ich liście gości. Lub po prostu w ogóle na jakiejś liście, kropka – albowiem David całkowicie błędnie mniemał, że za panowania Edith udało mu się sforsować mury twierdzy. W tej kalkulacji, niestety, bardzo się przeliczył, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, po prostu nie był w guście Charlesa. Angielskie elity towarzyskie z zasady nie lubią naśladowców z wyższej klasy średniej. Uważają ich za arywistów, u których monotonia amikoszonerii nie idzie w parze z ciepłem intymności. Jeśli w ogóle fraternizują się z kimś spoza swojej sfery, to wybierają artystów, muzyków albo osoby, które ich bawią. Drugi powód miał charakter bardziej osobisty. Moim zdaniem Charles, bez względu na to, jak został potraktowany, wcale nie byłby zachwycony informacją, że David próbuje mu się podlizać, odcinając się od Edith.

Tak czy inaczej, na skutek nalegań Davida i pierwotnej sugestii Adeli tego wieczoru faktycznie zadzwoniłem do Broughton. Telefon odebrał kamerdyner



Jago, który oznajmił, że Charles jest w Londynie. Już miałem się rozłączyć, gdy rozległ się szcęk podnoszonej słuchawki i po chwili usłyszałem głos lady Uckfield.

– Co u ciebie? – zapytała. – Niedawno spotkałam twoją ładną żonę. – Odparłem, że wiem o tym. – Czy jest jakaś szansa, byśmy wkrótce ujrzeli cię u nas na wsi? Mam nadzieję, że tak. – Mówiła owym natarczywie intymnym tonem „dziewczynki z sekretem”, który tak mnie bawił i już nieodłącznie kojarzył mi się z jej manierą.

– Prawdę mówiąc, właśnie przyjechaliśmy. Mieszkamy u Eastonów. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy Charles jest w domu.

– Powinien wrócić jutro po południu. Co robicie w porze kolacji? Pewnie nie zdołacie się wyrwać? – Zadała to okrutne pytanie bez najmniejszych skrępow. Czy wiedziała, że David oddałby życie, aby znaleźć się w jej kręgu? Prawdopodobnie.

– Chyba nie – odparłem.

– Nie możesz rozmawiać? – Jej ton stał się jeszcze bardziej konspiracyjny.

– Właściwie nie – powtórzyłem, zerkając na Davida, który stał przy kominku i obserwował mnie jastrzębim wzrokiem.

– A podwieczorek? No, to z pewnością wam się uda.

– Wydaje mi się, że tak – odparłem niezobowiązująco.

– I przyprowadź swoją miłą żonę. – Odłożyła słuchawkę.

David poczuł się gorzko rozczarowany, że rozmowa nie skończyła się ogólnym zaproszeniem, jak sobie milcząco zakładał. Gderliwie zaproponował, że sam zadzwoni i zaprosi Uckfieldów na kolację, ale Isabel, jak zwykle rozsądniejsza, odwiodła go od tego zamiaru.

– Przypuszczam, że chcą sobie pogadać o Edith i innych sprawach. Trudno im się dziwić.

W rezultacie przyznał w duchu, że skoro już ściągnął nas tutaj, aby odnowić stosunki z pałacem, to nie ma sensu nam tego utrudniać, i zgodził się, byśmy poszli tam na herbatę tylko we dwoje. Niemniej w zamian kazał nam zaprosić wszystkich na drinka w niedzielę wieczorem.

Jak było do przewidzenia, u Broughtonów zastaliśmy sześć czy siedem osób zaproszonych na weekend. Rozpoznałem lady Tenby, która przyjaźnie skinęła mi głową, oraz daleką kuzynkę gospodarzy, którą widywałem w Londynie u Charlesa i Edith. Nie wiedziałem jeszcze, że obecność Clarissy Marlowe ma jakieś szczególne znaczenie, niemniej oboje z Adelą zwróciliśmy uwagę na jej zapobiegliwą manierę – dopytywała się, czy nam wygodnie, czy przynieść nam kanapkę albo coś – która wyróżniała ją spośród pozostałych. Inni goście – mężczyźni w sztruksach i swetrach, kobiety w sportowych butach i spódnicach – na nasze powitanie ledwie oderwali się od swoich zajęć: lektur, rozmów, głaskania psów, opiekania tostów nad żarem kominka. Uckfieldowie, przeciwnie, prześcigali się w uprzejmościach. Wypytywali nas o nowiny, komentowali pokaz mody, chwalili film, w którym grałem, przynosili ciasteczka, dolewali herbaty, aż stało się jasne, zarówno dla nas, jak i dla reszty zebranych, że mają wobec nas jakieś szersze plany. Normalne zachowanie, jakiego zazwyczaj spodziewamy się podczas pobytu w wiejskim dworze, charakteryzuje umiarkowanie życzliwy brak zainteresowania. Zaproszone osoby błąkają się z kąta w kąt, czytają prasę, chodzą na spacer, biorą kąpiele i piszą listy, nie usiłując spełniać żadnych szczególnych oczekiwań towarzyskich. Jedynie przy posiłkach muszą „stawać na wysokości zadania”, a i to właściwie tylko przy kolacji. Nikt się nie wysiła, często nikt nawet nie podnosi głowy znad książki, aby zobaczyć, kto przyszedł, co obcokrajowcy często uważają za niegrzeczność (bo faktycznie jest to niegrzeczne), muszą jednak stwierdzić, że dzięki temu atmosfera staje się luźna i swobodna. Skoro nikt nie stara się być dla nas uprzejmy, to i my nie musimy się szczególnie starać. Powiem więcej – kiedy na weekendowym przyjęciu ktoś staje się obiektem uwagi, to nieodmiennie dlatego, że uznano go za

outsidera bądź za osobę śmiertelnie chorą, która wymaga dodatkowego wysiłku. Na ogół jednak człowiek, na którego widok wszyscy się zrywają i zaczynają wylewnie się witać, mógłby się poczuć niemal obrażony.

Jednakże ani Adela, ani ja nie traktowaliśmy obecnego „rozmiękczenia” jako próby, by nas towarzysko spostponować; pojmowaliśmy doskonale, że niebawem zostaniemy poproszeni o przysługę. Toteż gdy lady Uckfield oznajmiła, że jest ciekawa, czy nie zechcemy obejrzeć jej saloniku, który właśnie urządziła na nowo, o czym podobno kiedyś nam mówiła, natychmiast poderwałem się na nogi. Naturalnie moja żona także została objęta propozycją, lecz było w tym pytaniu coś takiego, że Adela natychmiast zrozumiała, iż lady Uckfield chce mnie mieć tylko dla siebie, a ponieważ ciekawość zżerała ją tak samo jak mnie, zajęła się lordem UckfielDEM i zażądawszy kolejnej filiżanki herbaty, bezzwłocznie wzięła go na spytki.

Rzeczony salonik znajdował się w bocznym skrzydle, w pewnym oddaleniu od znanych mi pomieszczeń; z głównym budynkiem łączył go łukowaty korytarz z oknami wychodzącymi na park. Kiedy dotarliśmy na miejsce, moim oczom ukazało się urocze i wytworne wnętrze, pogładowy dowód, jak świetnie lady Uckfield opanowała sztukę *gemütlich*, wybrednego przepychu. Był to dość spory pokój o ścianach obitych różowym adamaszkiem, z dużą liczbą foteli pokrytych rypsem w kwiaty, japońskich lakowych biureczek, malowanych półek na książki i subtelnie intarsjowanych stolików, na których walało się mnóstwo rupieci i akcesoriów bogatej arystokracji – bukietów, bibelotów z miśnieńskiej porcelany, ślicznych lamp, misek suszonej lawendy, lichtarzy z emalii, małych obrazków na rzeźbionych podstawkach – oraz, na głównym biurku (było to okazałe *bureau plat*<sup>[59]</sup> na podstawie z mosiądzu, ustawione prostopadle do ściany), masa papierów, zaproszeń i oficjalnych podań. Obok niewielkiego kominka, gdzie na wypolerowanym ruszcie pełgał i trzaskał mały wesoły ogień, stała leżanka obita czarną morą. Na półce powyżej porcelanowe figurynki i tabakiery walczyły o lepsze z gryzakami dla psów, wełnianym królikiem i pocztówkami od znajomych z Barbados i San Francisco, ponad wszystkim zaś jaśniał pastel Greuze’a przedstawiający którąś z poprzedniczek lady Broughton. Była to, jednym słowem, prawdziwa kwatera główna wielkiej

damy.

– Bardzo ładnie to pani urządziła – powiedziałem.

Ale lady Uckfield zapomniała już, pod jakim pretekstem mnie tu ściągnęła; po prostu gestem wskazała mi fotel przy ogniu, po czym sama z poważnym wyrazem twarzy usiadła na leżance naprzeciwko.

– Widziałeś się ostatnio z Edith?

– Ostatnio nie. Jakiś czas temu Adela spotkała ją na pokazie mody.

– Rozumiem – mruknęła. Milczała przez jakiś czas. Prawdę mówiąc, nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział ją nieswoją, ale z pewnością w tej chwili była bardzo tego bliska.

– Jak się czuje Charles?

Odpowiedzią było skrzywienie warg.

– Chcę cię o coś zapytać. Wiem, że Edith wciąż jest z tym jak-mu-tam. Czy ona zamierza go poślubić?

– Nie mam pojęcia – odparłem zaskoczony. – Jeszcze się nie rozwiódł, nie jestem nawet pewien, czy w ogóle się o to stara.

Pokiwała głową.

– Charles mówi, że ona zamierza czekać dwa lata, aby dostać separację bez sprzeciwu stron. – Urwała; teraz ja kiwnąłem głową, jakby w odpowiedzi. Była to dla mnie nowina, niemniej uznałem, że to niezły pomysł, choćby dlatego, że po tak długim czasie sprawa nie trafiłaby już na pierwsze strony gazet. – Rzecz w tym, że my z Tiggerem nie popieramy tego planu...

Znów urwała, skrepowana jak nigdy dotąd.

– Uważamy, że im prędzej Charles będzie to miał za sobą i odkreśli tę sprawę grubą kreską, tym lepiej dla niego. Nie możemy znieść myśli, że to wszystko będzie się wlokło i wlokło w nieskończoność. – Spojrzała na mnie pytająco. – Rozumiesz, o czym mówię?

– Chyba tak.

– Nawet się nie domyślasz, jaki to był dla niego cios. Zupełnie nie może się pozbierać. Nie jest człowiekiem, który łatwo okazuje uczucia, ale był

w strasznym stanie, możesz mi wierzyć.

Pokiwałem głową. Wystarczyło, że wspomniałem scenę w gabinecie, gdy Charles rozplakał się w mojej obecności, żebym uwierzył jej bezwarunkowo. Charles należał do mężczyzn, którzy w przyrodzie występują o wiele częściej, niż chcą nam wmówić pisma dla kobiet, i którzy po dokonaniu wyboru żony już nigdy tego nie kwestionują. Nie dawkują żonie uczuć i zaangażowania; zwyczajnie nie przychodzi im do głowy, że kiedykolwiek będą musieli wykonywać jakieś wolty emocjonalne. Zamierzają być razem, aż śmierć ich nie rozłączy, a i wtedy zakładają, że umrą pierwsi, bo przecież zazwyczaj pierwszy odchodzi mężczyzna. Nie twierdzę, że to automatycznie pociągało za sobą niezdolność Charlesa do zdrady. Na jakimś zjeździe farmerów w Ameryce czy na polowaniu w Szkocji, kto wie? Twierdzę jednak, że Charles nie byłby w stanie zapoczątkować rozpadu własnego małżeństwa. Wybrał Edith i obdarzył ją całą miłością, do jakiej był zdolny, oraz, w konsekwencji, całym swoim zaufaniem. Być może pod względem jakości ani jedno, ani drugie nie wyglądało zbyt ciekawie, za to ilości były naprawdę ogromne. Tego jestem pewny. Nie, nie zdziwiło mnie, że Charles jest „w strasznym stanie”.

Lady Uckfield jeszcze nie skończyła.

– Rozpaczliwie pragniemy, żeby jakoś odbudował swoje życie, i sądzimy, że teraz ma na to szansę.

– Poznał kogoś?

Przekrzywiła tylko głowę, zrozumiałem więc, że odpowiedź jest twierdząca. Lub przynajmniej taką miałem nadzieję. Po chwili zastanowienia wydedukowałem, że zapewne chodzi o Clarissę.

– Rzecz w tym, że gdyby był wolny, to mógłby poczynić w tej kwestii jakieś plany. Ale na razie nic z tego. Przeszłość wciąż go trzyma w uścisku, zaczynam nawet sądzić, że stracił zdolność jasnego myślenia.

Zaintrygowało mnie to. W jakim sensie Charles „stracił zdolność jasnego myślenia”? Wpatrywała się we mnie, czekając na jakieś potwierdzenie.

– Jak mogę pomóc? – zapytałem.

Byłem ciekaw, co lady Uckfield ma dla mnie w zanadrzu. Wiedziałem, że to musi być coś dużego, bo jedna rzecz jest absolutnie pewna – dla takiej kobiety jak ona rozmowa o intymnym życiu rodziny z kimkolwiek oprócz dozgonnej przyjaciółki (i to nie zawsze) z tej samej sfery musiała być rodzajem tortury. Nie ma znaczenia, czy mnie lubiła czy nie. Cierpiała potępieńcze męki.

– Czy mógłbyś porozmawiać z Edith? Czy mógłbyś ją zapytać, czy zgodzi się szybko dać rozwód Charlesowi? Oczywiście kiedyś to byłoby nie do pomyślenia, ale chyba już nie ma takich przesądów? Tak mi się wydaje... I proszę, byś ją zapewnił, że to nie będzie miało wpływu na wysokość ugody. Absolutnie żadnego wpływu. – Z jej ust płynął potok słów mający zatuszować zakłopotanie. Nic dziwnego. Nie da się ukryć, że była to prostacka prośba, zresztą chyba jedyna prostacka rzecz, jaką zdarzyło mi się od niej usłyszeć. – Pewnie uznasz to zlecenie za bardzo kłopotliwe – dodała, widząc moje nieskrywane zdumienie.

– Nie wiem, czy w tym przypadku użyłbym określenia „kłopotliwe”. – Mówiłem tonem dość surowym, a lady Uckfield była damą w dostatecznym stopniu, by pojąć, że uchybiła swoim własnym zasadom. Przyjęła reprimendę z godnością kogoś, kto na nią zasłużył.

– Oczywiście to okropne prosić o coś takiego.

– Jest pani niesprawiedliwa wobec Edith – powiedziałem. – Na pewno nie myśli o pieniądzach.

Była to prawda. Nie sądzę, by Edith kiedykolwiek przyszło do głowy, żeby wyciągnąć z Charlesa więcej niż te kilka tysięcy, dzięki którym na razie miała spokój. Wystarczyło, że płacił czynsz za Ebury Street i pozwalał jej realizować czeki. Lady Uckfield zwyczajnie nie potrafiła zrozumieć, że Edith w pełni zdaje sobie sprawę, iż źle postąpiła. Ludzie tego pokroju nie przyjmują do wiadomości – ba, na ogół w ogóle tego nie ogarniają – że „honor” nie jest wyłączną prerogatywą ich klasy. Tak długo wysłuchiwali frazesów o materializmie klas średnich, a także o godności i gotowości do poświęceń swojego środowiska, że uwierzyli w obie te fantazje.

Lady Uckfield lekko uniosła brwi.

– Nie wykluczam, że mówisz prawdę.

– Bo to jest prawda – rzekłem z mocą. – Pani nie lubi Edith, a ponieważ pani jej nie lubi, to jej pani nie docenia.

Na te słowa trochę złagodniała. Nie zaprzeczyła i na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Masz rację, że występujesz w jej obronie. Wszedłeś do tego domu jako jej przyjaciel, więc bardzo dobrze, że jej bronisz.

– Powtórzę Edith, co pani powiedziała, ale naprawdę niewiele więcej mogę zrobić.

– Zrozum, nie możemy dopuścić do sytuacji, w której Charles wystąpi o rozwód, a ona się temu sprzeciwi lub zakwestionuje to z jakiegoś powodu. Musimy być pewni, że tak się nie stanie. Rozumiesz przecież?

– Oczywiście. – Bo też rozumiałem. – Ale nie mogę jej nic doradzać. Zresztą ona mnie nie posłucha, nawet gdybym spróbował.

– Powiesz mi, co postanowi?

Zgodziłem się.

Rozmowa dobiegła końca. Wstaliśmy i już prawie wychodziliśmy z pokoju, gdy lady Uckfield wyraźnie poczuła się zmuszona przekonać mnie jeszcze dobitniej, że sprawa jest pilna.

– No bo widzisz, Charles jest okropnie nieszczęśliwy. Tak dalej być nie może, prawda? To dla nas straszne oglądać go w tym stanie.

W odpowiedzi objąłem ją ramieniem i lekko uściśnąłem. Dotąd nie odważyłem się na tak osobisty odruch; być może cała ta żalosna historia łez i straty w pewien sposób nas połączyła. W każdym razie nie protestowała, nie zauważyłem również owego nieznacznego zeszywnienia, jakim Angielki jej typu dają nam odczuć, że pozwalamy sobie na nieuzasadnioną poufałość.

Wróciliśmy do salonu, gdzie Adela, usiłując uciec przed Tiggerem i jego drobiazgowym referatem na temat planów dla South Wood, próbowała nauczyć psa trzymać herbatnik na nosie. Teraz nareszcie mogła oderwać się od tego zajęcia, a ponieważ oboje umieraliśmy z niecierpliwości – ona, by się dowiedzieć, o co chodzi, ja, by jej o tym opowiedzieć – wkrótce uznaliśmy, że pora się pożegnać. Niemniej nadal ciążył na nas nieznośny obowiązek

przekazania domownikom zaproszenia Davida; za tę cenę kupiliśmy ten podwieczorek i musieliśmy się wywiązać. Na szczęście lady Uckfield ułatwiła nam zadanie

– David i Isabel – zagailem, gdy odprowadzała nas do Dolnego Holu. – Eastonowie – dodałem, bo spojrzała na mnie pytająco. – Nasi gospodarze. – Skinęła głową. Już sama ta wymiana zdań wpędziłaby Davida w wielomiesięczną depresję. – Zastanawiają się, czy nie mielibyście ochoty wpaść do nich z gośćmi na drinka jutro przed południem? – Uff.

Lady Uckfield uśmiechnęła się radośnie.

– Jak to miło z ich strony! Obawiam się, że jest nas trochę za dużo. Ale proszę im jak najserdeczniej podziękować. – Zauważyłem, że odrzucając zaproszenie (doskonale wiedziałem, że nigdy nie mogło zostać przyjęte), wróciła do formy i znów przejawiała swoją zwykłą zdyszana poufałość. Mimo to zaskoczyła mnie, zaraz bowiem dodała: – Ale dlaczego nie mielibyście znów nas odwiedzić i zabrać ich ze sobą?

To była grzeczność poza i ponad wymagane standardy; David nie posiadałby się z zachwytu, gdyby się o tym dowiedział. Jednak pokręciłem głową, tłumiąc poczucie winy.

– Sądzę, że to dla pani dość nużące, prawda? Może innym razem?

Jednak ku mojemu rosnącemu zdumieniu lady Uckfield się uparła.

– Nie, proszę. Przyjdźcie. – Uśmiechnęła się. – Charles ma przyjechać i wiem, że z radością się z wami zobaczy.

Nie bardzo jeszcze rozumiałem, co chciała osiągnąć, aranżując to spotkanie z Charlesem. Wydawało mi się wręcz, że sporo ryzykuje, bo gdybym zdradził jej synowi, co zamierza, z pewnością wpadłby w furję. Później jednak zdałem sobie sprawę, że chciała, żebym osobiście ujrzał otchłanną rozpacz Charlesa, i to z dwóch powodów: po pierwsze, to po części usprawiedliwiało jej poprzednią prośbę, po drugie zaś, liczyła na to, że jego widok jeszcze bardziej mnie zmobilizuje. Niewykluczone, że wierzyła, iż pozwalając nam przyprowadzić znajomych do Broughton, zwiąże nas mocniej z losem rodziny.

– Proszę, naprawdę nie trzeba – bąknęła Adela, lecz nie wypadało nam



dłużej się opierać. Pożegnaliśmy się zatem do następnego dnia i wyruszyliśmy dostarczyć szczęsną nowinę zachwyconemu Davidowi i mniej urzeczonej, niemniej miło zaskoczonej Isabel.

Gdy następnego ranka przybyliśmy do Broughton, Charles czekał już na nas w salonie, przynajmniej tak to wyglądało. Zerwał się z fotela, ucałował Adele w oba policzki, a mnie z ferworem uściśnął rękę, jakby chciał ją urwać. Nie był zbyt wymowny, powtarzał jedynie, jak miło nas widzieć, lecz jego matka zaraz przybyła z odsieczą, prowadząc nas do kredensu z trunkami, sprytnie umieszczonego za fałszywymi drzwiami, które pierwotnie wstawiono naprzeciwko drzwi do jadalni w celu zachowania symetrii. W barze prezydował Tigger, który wszystkim chętnym dumnie nalewał z dzbanka Krwawą Mary. Podał szklaneczkę swojej żonie, ta jednak spróbowała i zmarszczyła nos.

– Za mało tabasco, niewłaściwa wódka i zapomniałeś o soku z limonki.

Oczekiwałem, że zadzwonią po miskę świeżych limonek, lecz ku memu zdumieniu lord Uckfield po prostu zdjął z półki plastikowy pojemnik z syropem limonkowym i chlusnął nim do dzbanka. W tej sytuacji chciałem w ogóle zrezygnować z drinka, ale zreflektowałem się i przyjąłem szklanę; naturalnie koktajl był przepyszny.

– Jak on wygląda twoim zdaniem? – zapytała gospodyni.

Wiedziała doskonale, że Charles wygląda okropnie. Twarz miał szarą i lekko obrzękłą; skóra, zwykle czerstwa, tchnąca naturalnym zdrowiem i świeżością wrzosowisk i pól, teraz była ziemista, niemal brudna; zmierzwiłone włosy opadały strąkami na kark.

– Marnie – powiedziałem.

– Teraz pojmujesz, czemu muszę prosić cię o pomoc?

Po czym oddaliła się nieśpiesznie, nie wspominając więcej o naszej dziwnej rozmowie z poprzedniego dnia. Na jej obronę muszę uczciwie przyznać, że świetnie ją rozumiałem – oto była świadkiem, jak jej syn powoli umiera, i jako matka musiała sięgnąć po desperackie środki. Zagadką natomiast był dla mnie ten niby rozkwitający romans Charlesa, rzekomo obiecujący nowe życie i szczęście. Mimo że miał Clarisę, by tak rzec, pod

nosem, naprawdę nie wyglądał na człowieka, który odnalazł prawdziwą miłość. Wprawdzie Clarissa znów odgrywała rolę gospodyni wobec kilku osób zaproszonych na drinka przed lunchem, krzątała się, przyprowadzała gości, przedstawiała ich sobie nawzajem – a przecież, o ile widziałem, serce jej kuzyna ani drgnęło.

Domowi goście byli równie burkliwi jak wczoraj, jednak dwoje z nich, aczkolwiek niechętnie, dało się zaprząć do obsługi Isabel i Davida. Wicehrabia Bohun – wczoraj nieobecny, bo poszedł na spacer – był mi trochę znany z Londynu, gdyż kiedyś przyjaźniłem się niezobowiązująco z jego młodszą siostrą. Już wtedy podejrzewałem, że choć nie kwalifikuje się do hospitalizacji, to chyba jest odrobinę niedorozwinięty; zdziwiłem się zatem niezmiernie, czytając w jakiejś gazecie, że ożenił się z ładną dziewczyną na przyzwoitej posiadce w branży wydawniczej. Teraz przypominałem sobie to wszystko i z ciekawością rozejrzałem się za osobą, która zdecydowała się na tak potworny krok, czyli za świeżo upieczoną lady Bohun. Nietrudno było ją zauważyć. Z aksamitną opaską na włosach i nosem zadartym pod sufit zajęta była strojeniem wielkopańskich fochów wobec biednego Davida, który wyglądał jak ryba wyrzucona na brzeg. Traktowała go wyniośle i tak oziębłe, że wręcz graniczyło to z obelgą. Na próżno nieborak dwoił się i troił, z nadzieją wtrącając nazwiska i aluzje – wręcz widziałem krople potu występujące mu na czoło – wszystko to spotykało się z uprzejmą wzgardą. No cóż, pozostawało jedynie mieć nadzieję, że te małostkowe triumfy były warte straszliwej ceny, jaką zapłaciła lady Bohun, składając swoje życie w ofierze. Wicehrabia tymczasem dopadł nieszczęsną Adelę i teraz, dręcząc ją jakąś niekończącą się historią, śmiał się piskliwie i bez sensu. Widziałem niemal, jak Adela rozgląda się za najbliższymi drzwiami.

Charles dotknął mojego ramienia.

– No więc, jak się masz? Jak twoje filmy?

– W porządku? A co u ciebie?

Gestem wskazał mi kanapkę pod oknem, gdzie mogliśmy usiąść na chwilę, nie niepokojeni przez pozostałych. Charles w milczeniu wpatrzył się w ogród.

– Och, dobrze. – Uśmiechnął się cierpko. – No, może być.

Bynajmniej na to nie wyglądało, niemniej pokiwałem głową.

– To świetnie.

– Mama mówiła, że byliście tu wczoraj.

– Przyszliśmy na herbatę.

– Pewnie chciała z tobą porozmawiać o tej, no wiesz, aferze.

– W pewnym sensie.

– Co mówiła?

Naprawdę nie byłem przygotowany na to, by zdradzać sekrety lady Uckfield jej synowi. Przede wszystkim, choć jej prośba wydała mi się niestosowna i inwazyjna, to uczciwość jej intencji nie ulegała wątpliwości. Jej syn wyglądał okropnie. Naturalnie, że chciała, by to się skończyło. Która matka by nie chciała? Trudno się było dziwić, więc tylko wzruszyłem ramionami.

– Bardzo im zależy, żeby przyspieszyć sprawę – ciągnął Charles. – Chcą, żebym „miał już wszystko za sobą”.

– A ty nie chcesz?

Znów zapatrzył się w okno. Był początek maja i kwiaty budzące się do życia na tkliwie pielęgnowanych tarasach, które powinny były wyglądać świeżo i radośnie, po porannej ulewie robiły wrażenie zmokniętych i stłamszonych. Drzewa za niskim murkiem okrywała bladozielona mgiełka liści, barwy subtelniejszej niż bujne listowie pełni lata.

– W listopadzie wysłali mnie na Jamajkę z Clarissą i jej znajomymi.

– Dobrze się bawiłeś?

Spojrzałem na Clarissę, która uwijała się, dolewając gościom do kieliszków. Charles podążył za moim spojrzeniem.

– Biedna Clarissa. Tak. Całkiem nieźle. Lubię Jamajkę. W każdym razie Ocho Rios. Byłeś tam kiedyś? – Pokręciłem głową. – Droga mama próbuje mnie wyswatać. Nie zamierza drugi raz podejmować ryzyka na wolnym rynku.

– Zaśmiał się.

– Przypuszczam, że po prostu chce, żebyś był szczęśliwy.

Spojrzał na mnie.

– Niezupełnie. Widzisz, ona faktycznie chce, żebym był szczęśliwy, ale szczęśliwy w sposób, który będzie dla niej zrozumiały. Boi się nieznanego. A Edith była czymś nieznanym. Mama uważa, że działa na rzecz mojego szczęścia, ale tak naprawdę zależy jej głównie na tym, żeby nie doszło do powtórki. My w Broughton nie chcemy tu więcej żadnych obcych. Dość nam było Erica i Edith.

– Cóż, co się tyczy Erica, to jest coś na rzeczy – powiedziałem i obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

Obejrzałem się na Clarisę, która zaczęła nerwowo zerkać w naszym kierunku, jakby wyczuwając, że nasza rozmowa nie wróży niczego dobrego. Było mi jej żal. Uważałem ją za miłą dziewczynę, która z powodzeniem dałaby sobie radę, zapewne o wiele lepiej niż biedna Edith. Dlaczego nie mogła spróbować uszczęśliwić Charlesa? Ale już rozważając tę możliwość, wiedziałem doskonale, że cały pomysł jest wytworem wyobraźni lady Uckfield i zawsze tylko takim pozostanie.

– Widziałeś się ostatnio z Edith? – zapytał Charles.

Po raz kolejny uderzyło mnie, jak całkowicie błędne, choć rozpowszechnione, jest mniemanie – od którego i ja nie byłem wolny, gdy chodziło o Charlesa – że ludziom głupim oszczędzone są tragiczne przeżycia. Choć właściwie Charlesa nie nazwałbym głupim. Po prostu nie był to człowiek zdolny do oryginalnego myślenia, lecz teraz już wiedziałem, że jest aż nadto zdolny do wielkiej miłości. Nieodmiennie fascynujące są dla mnie rozważania, dlaczego ludzie podejmują takie, a nie inne uczuciowe wybory. Ja sam polubiłem Edith od pierwszego wejrzenia: podobała mi się jej uroda, jej dyskretna autoironia, jej z natury chłodne obojętne. Przechodziło jednak moje pojmowanie, dlaczego ten mężczyzna, który przecież mógł mieć wszystko, aż tak bardzo się w niej zakochał. Ostatecznie jej największą zaletą była właśnie wspomniana ironia, której Charles nie mógł docenić ani nawet odgadnąć. Podobnie jak lady Uckfield, nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego nie wybrał dziewczyny ze swojej sfery, oswojonej z zasadami jego świata. Zasiadałaby w komitetach dobroczynnych, jeździła konno i bez skrupułów rządziła się w miasteczku, a już z pewnością robiłaby to wszystko bez owej tłumionej

kpiny, z jaką Edith odgrywała tę rolę. Cóż, stało się; Charles zakochał się w Edith Lavery, kochał ją bezinteresownie i z całego serca. Cios, jaki odniosła jego miłość własna – w rzeczy samej jego egzystencja – miał oczywiście zasadnicze znaczenie, ale z jego oczu, gdy na mnie patrzył, jasno wyczytałem, że mimo to nie przestał jej kochać.

– Adela widziała ją przy jakiejś okazji.

– Jak ona się miewa?

– Chyba dobrze.

Ta droga była najeżona kolcami. Nie mogłem mu powiedzieć, że Edith wyglądała na przygnębioną, bo nie chciałem budzić w jego sercu nadziei skazanej na nieuchronną klęskę, ale nie miałem też ochoty niepotrzebnie go ranić, mówiąc, że promieniała szczęściem. A poza tym z tego, co usłyszałem od Adeli, wynikało, że nie byłaby to prawda.

– Zobaczysz się z nią niebawem?

– Pomyślałem, że może zaproszę ją na lunch.

– Powiedz jej... powiedz jej, że zrobię, co zechce. No wiesz. Dostosuję się.

– Kiwnąłem głową. – I serdecznie pozdrów ją ode mnie – dodał.

Wstąpienie do Valhalli nie przyniosło Davidowi oczekiwanych rozkoszy. Jak często bywa w takich razach, realizacja marzeń sprawiła mu wyłącznie zawód. To częsta rzecz u osobników tego pokroju – w wyobraźni widzą już siebie w zaczarowanym kręgu, kumplują się z połową arystokracji, wymieniają historyjki z dzieciństwa i planują wspólne wyjazdy do willi w Toskanii. Jednak w rzeczywistości próby zbratania nieuchronnie skutkują uczuciem goryczy i przykrości; ludzie, których przez całe życie podziwiali i naśladowali, lekceważą ich i traktują jak obcych.

– Muszę powiedzieć – mruknął David, gramoląc się na tylne siedzenie mojego auta – że ci Bohunowie okazali się dosyć oporni. Ty ich znasz?

– Jego kiedyś trochę znałem.

– Naprawdę? Nie wiem, co o nim myśleć.

Uśmiechnąłem się.

– To półgłówek. A ona?

– Powiedziałbym, że jest dosyć trudna.

Isabel pokiwała głową.

– Diana Bohun zawarła umowę nie do przyjęcia, więc jedyną rekompensatą może być dla niej wyłącznie zazdrość osób postronnych. Ciekawe, jak długo da radę to znosić. Jestem pewna, że za pięć lat przeczytamy, że uciekła z miejscowym lekarzem.

– Wcale nie – pokręciła głową Adela. – Poznałam ją, kiedy obie debiutowaliśmy w towarzystwie. Żyłaby z samym Hitlerem, gdyby dzięki temu dostała tytuł i pałac.

Isabel uniosła brwi.

– Chyba wolałabym Hitlera.

Zainteresowała mnie ta wymiana zdań, gdyż świetnie zdawałem sobie sprawę, że Adela, David, a nawet Isabel, jakkolwiek szydzą z żalosnej obłudy Diany Bohun, to równocześnie zasadniczo aprobują jej pakt z diabłem. Zapewne żadne z nich nie poślubiłoby kogoś, kto naprawdę budził w nich wstręt, jednak znajome dziewczęta, które zdecydowały się na taki krok (sam miałem w notesie co najmniej siedem nazwisk), nie dopuszczały się, ich zdaniem, żadnej nikczemności. Co innego, gdyby potem nie dotrzymały obietnicy. Według mieszkańców ich świata prawdziwa zbrodnia Edith polegała nie na tym, że wyszła za Charlesa, którego nie kochała, lecz na tym, że porzuciła go z miłości do innego. Porzuciła fałszywe wartości – które przecież zaakceptowała, wychodząc za mąż – i podjęła próbę powrotu do wartości ponadczasowych. To dopiero było przestępstwo! Gorzej, naiwność! To po prostu nie było *mondaine*<sup>[60]</sup>! Takie postawy mogą budzić podziw Amerykanów (w każdym razie w literaturze, jeśli nie w realnym życiu), ale ich brytyjscy koledzy z klas wyższych i średnich z pewnością mają je za nieodpowiedzialne. Nawet abdykacja króla Edwarda VII<sup>[61]</sup>, którą w Stanach przedstawia się jako „historię miłości ponad wszystko”, w angielskich kręgach pewnego typu postrzegana jest jako dziecinada, niedorzeczność i przejaw totalnego braku rozsądku.

Takie były normy, według których Edith została osądzona i uznana za trefną.

Podjąłem się niemożliwego zadania. Z jednej strony miałem wykonać zlecenie lady Uckfield i zapytać Edith, czy zgodzi się na natychmiastowy rozwód, z drugiej strony jednak pobyt w Broughton uprzytomnił mi dobitnie, że Charles nadal kocha swoją żonę.

– No więc co masz zamiar jej powiedzieć? – zapytała Adela, słysząc, że umawiam się z Edith na lunch. Naturalnie już opowiedziałem jej wszystko ze szczegółami. Nie zostałem zobowiązany do dochowania tajemnicy, a nawet gdyby tak było, to sądzę, że dyskrecja, z wyjątkiem nadzwyczajnych przypadków, w żadnym razie nie może się rozciągać na współmałżonka. Nie ma nic bardziej irytującego niż próba bliskiego współżycia ze Strażnikiem Sekretów.

– Chyba tylko to, co lady Uckfield chce, żebym jej powiedział.

– Nie mów, że zamierzasz poprzeć tę nieszczęsną Marlowe.

Pokręciłem głową.

– Nie, tego będę unikał. Powiem, że oni chcą z tym skończyć, i tyle.

Adela zamyśliła się.

– Powiedz, że lady Uckfield chce z tym skończyć. To będzie bliższe prawdy.

Zważywszy na jej niechęć do Edith, uznałem te słowa za chwalebny przejaw fair play.

Umówiłem się z Edith w Caprice. Czyste linie tego nieprzeładowanego wnętrza, okraszone odrobiną przepychu robią wrażenie zwłaszcza w porze lunchu, uznałem więc, że zapewnią naszej konwersacji stosowne i nieprzygnębiające tło. Po przyjściu okazało się, że zarezerwowano dla nas stolik w głębi restauracji, z dala od baru. Stało się tak przez przypadek, trudno było jednak o lepsze rozwiązanie. Zamówiłem kieliszek szampana i usiadłem,



by zaczekać na swojego gościa.

Edith ucieszyła się z miejsca spotkania. Simon w ostatnich czasach miał mnóstwo pracy i całkiem przyzwoicie zarabiał, ale zważywszy na kredyt, żonę i ogólne zaległości finansowe, które każdy aktor musi spłacać, kiedy znajdzie się na fali, niezbyt się palił do rozrywek na West Endzie, chyba że na cudzy koszt. Edith zapewne mogłaby sobie na to pozwolić – właściwie nikt jej nigdy nie powiedział, ile wolno jej wydać – ale niechętnie wydawała pieniądze Charlesa na rzeczy, które uważała za niekonieczne. Naturalnie czasem interpretowała tę zasadę dosyć luźno, jednak fundowanie Simonowi przyjemności na koszt męża jakoś nie wydawało się jej w porządku. Doprawdy, uprzykrzony był ten brak własnych środków! Czuła się dziwnie w tej sytuacji, co stanowiło najlepszy dowód, jak daleko odeszła od świata swojej młodości. W każdym razie z radością korzystała z każdego pretekstu, aby się wystroić i wyjść na miasto.

Ucałowaliśmy się, wymieniliśmy plotki i złożyliśmy zamówienie. Oboje doskonale wiedzieliśmy, że czekająca nas rozmowa ma dość zasadniczy charakter, jednak za obopólną zgodą odłożyliśmy ją do chwili, gdy nasze dania – kurczak bang bang dla mnie i gorące przystawki dla Edith – znalazły się na stole. Kelner nalał nam wody do szklanek i oddalił się dyskretnie. Mieliśmy trochę czasu dla siebie.

– Widzieliśmy się z Davidem i Isabel – zagaiłem. – Prawdę mówiąc, spędziliśmy u nich weekend.

– Jak oni się miewają?

– Całkiem dobrze. David jest trochę zajęty, chociaż nigdy nie wiem, co właściwie robi. – Urwałem. – Byliśmy w Broughton na drinku.

Edith odgryzła kęs czegoś w cienkim cieście.

– David pewnie nie posiadał się ze szczęścia.

– Nie bardzo. Wylądował w towarzystwie Diany Bohun. Próbował jej zaimponować, ale bez większych rezultatów.

– Jasne, że bezskutecznie. Niedawno u Petera Jonesa Diane w ogóle mnie nie dostrzegła. – Edith wciąż jadła i piła z apetytem, w niczym nie ułatwiając

mi zadania. Westchnąłem w duchu i dzielnie postanowiłem brnąć dalej.

– Rozmawiałem z lady Uckfield.

– Tak przypuszczałam. Jak się ma nasza droga „Googie”? – W głosie Edith, rzecz jasna, zabrzmiała ironia, ale nie wyczułem nieprzyjemnej goryczy. Po prostu, tak jak w pierwszych tygodniach małżeństwa, znów umieściła to głupiutkie przezwisko w cudzysłowie. Niemniej wyczułem również coś w rodzaju bariery, świadomości, jak głęboka jest przepaść, która obecnie dzieliła jej egzystencję od życia teściowej.

– Bardzo dobrze, jak sędzę. Oczywiście chciała rozmawiać o tobie.

– Nie ma tu żadnego „oczywiście”; wręcz przeciwnie, czuję się trochę zaskoczona. Googie nie należy do osób, które lubią omawiać rodzinne problemy z kimś z zewnątrz. To dla ciebie chyba olbrzymi komplement.

– Przypuszczalnie sądziła, że mogę się na coś przydać.

Edith pokiwała głową. Zaczynało do niej docierać, że ten wątek może ją zaprowadzić na głębsze wody, niż oczekiwała.

– Ach tak – mruknęła.

– Powiedziała, że masz zamiar odczekać ustawowe dwa lata. – Edith wpatrywała się we mnie beznamietnie. – Ale oni nie chcą czekać. Chcą, żeby Charles rozwiódł się z tobą teraz, natychmiast. I ona musi wiedzieć, co ty o tym sądzisz.

Powiedziałem to i poczułem ulgę. Słowa padły, było po wszystkim. Edith przestała jeść i bardzo delikatnie odłożyła widelec na talerz. Następnie z rozmysłem uniosła kieliszek i zaczęła sączyć wino, jakby smakowała każdą kroplę. Przypuszczam, że dotarło do niej, iż „ta chwila” nadeszła. Koniec małżeństwa. Nie jestem pewny, czy dotychczas w pełni uświadamiała sobie, dokąd zaprowadzi ją romans z Simonem. Muszę jednak przyznać, że kiedy przemówiła, jej głos brzmiał spokojnie.

– Chcesz powiedzieć, że dążą do tego, by Charles rozwiódł się ze mną, podając jako powód zdradę małżeńską. Z Simonem jako współpозwanym.

Przytaknąłem.

– Chyba tak. Nie sędzę, żeby w dzisiejszych czasach tak się to nazywało, ale

przypuszczalnie o to chodzi. Właściwie nie wchodziliśmy w szczegóły. Czy gdyby Charles chciał się teraz z tobą rozwieść, to musiałby podać powód? Bo nie wiem, może to się już zmieniło?

– Nie można powiedzieć, żeby postępowali po dżentelmeńsku.

– Ty też nie zachowałeś się jak dama, odchodząc z żonatym aktorem.

Pokiwała głową i wróciła do jedzenia.

– Więc czego chcesz ode mnie? Co ja mam tu do gadania?

– Wydaje mi się, że oni chcą mieć pewność, że jeśli teraz wniosą pozew o rozwód, to nie zaczniesz się nagle sprzeciwiać. Pewnie to dla ciebie bez znaczenia, ale nie będzie to miało wpływu na... no wiesz, na pieniądze.

Spojrzała na mnie smutno.

– Nie potrzebuję żadnych pieniędzy. W każdym razie niewiele. Charles w każdej chwili da mi, ile zechcę, wystarczy, że go poproszę.

– Wiem – odparłem. – To samo powiedziałem lady Uckfield.

– W gruncie rzeczy – dodała po chwili – to wcale nie jest taka wielkoduszna propozycja. Dzisiaj nie orzeka się już o winie którejś ze stron. Nie robi to żadnej różnicy pod względem finansowym. Nie wiedziałeś o tym?  
– Pokręciłem głową. – No ale założę się, że „Google” wiedziała.

Przez jakiś czas jedliśmy w milczeniu. Kelner przyszedł, zabrał talerze, po czym wrócił, niosąc smażonego łososia i półmisek *pommes allumettes*. Ale temat wciąż tkwił na stole między nami niczym ociekająca łzami dekoracja. I to Edith w końcu wprowadziła do rozmowy postać, o której myśleliśmy oboje.

– A co Charles sądzi o tym wszystkim? Zakładam, że był obecny. Rozmawiałeś z nim?

– Owszem, rozmawiałem.

Choć teoretycznie powiedziałem prawdę, to faktycznie skłamałem, bo gdy lady Uckfield kreśliła swoje plany, Charlesa przy tym nie było, a o to właśnie chodziło Edith. Bardzo wątpię, czy pozwoliłby matce mówić w ten sposób, gdyby uczestniczył w naszej rozmowie. Poprawiłem się więc, nagle zgnębiony swoim niejawnym oszustwem.

– Właściwie, gdy rozmawiałem z lady Uckfield, to Charlesa nie było w domu, ale widzieliśmy się następnego dnia.

– I?

– Mówi, że dostosuje się do twojej decyzji. Cokolwiek zechcesz zrobić.

– To bardzo do niego podobne. Biedny Charles – westchnęła Edith. – Jak on się czuje?

Tego się obawiałem. Gdybym uważał, że Charles wygląda świetnie, tobym to powiedział, gdyż podobnie jak lady Uckfield, doszedłem do przekonania, że pora zakończyć ten żaloszny eksperyment z krzyżowaniem gatunków. Problem jednak w tym, że Charles wcale świetnie nie wyglądał.

– Tak sobie – odparłem. – Nie wydaje mi się, żeby ta sprawa wyszła mu na dobre.

– Nie. – Zjadła jeszcze trochę frytek. – Clarissa też tam była?

Przytaknąłem i Edith zamilkła. Już chciałem jej powiedzieć, żeby nie zwracała uwagi na plotki, inspirowane wyłącznie ambicjami lady Uckfield, ale zmilczałem. Jaki to miało sens? Chodziło o to, by uwolniła Charlesa od swojej osoby, więc jaki byłby pożytek z opóźniania jej decyzji?

Do końca lunchu gawędziliśmy o Simonie, aktorstwie, Isabel, kupowaniu mieszkania. Jednak przy wyjściu Edith na moment wróciła do tematu.

– Pozwól, że się zastanowię. – Uśmiechnęła się lekko. – Oczywiście oboje wiemy, że zrobię to, o co mnie proszą, ale daj mi pomyśleć. Zadzwoń do ciebie.

Edith Lavery nie od razu wróciła do domu – a raczej nie od razu skierowała się na Ebury Street. Wiosenny dzień był rześki i słoneczny, jeden z tych, kiedy wszystko ma wyraźne kontury wycinanki, a przedmioty lśnią zimnym blaskiem klejnotów. Była ciepło ubrana, więc za Ritzem skręciła w lewo w kierunku Green Park i nieśpiesznie ruszyła zwirowaną aleją. Minęła Wimborne House, odrestaurowany, zdobiony posągami, wspaniały fronton Spencer House, włoskie architektoniczne cuda Bridgewater House, aż wreszcie przystanęła i spojrzała w górę na złocistą bryłę Lancaster House, dzieło i wielowiekową

siedzibę potężnych diuków Sutherland. Diuszesy z tego rodu, jedna po drugiej, w kolejnych epokach niepodzielnie władały londyńską socjetą; na ich wezwanie wielcy i zacni ludzie różnych czasów pokonywali ogromne złożone schody najwspanialszej sali wejściowej w Londynie, ażeby pokłonić się bogactwu i wpływom.

Chyba po raz pierwszy Edith przyszło do głowy, że mógłby się jej spodobać ów dawny prosty świat, gdy w stolicy rządziły takie pałace jak ten; gdy pod tymi rozległymi dachami zamiast ulokowanych tu obecnie organizacji dobroczynnych, instytucji rządowych i apartamentów greckich magnatów morskich realizowały swoje przeznaczenie rody Guestów, Spencerów, Egertonów i Leveson-Gowerów. Na chwilę zapominając, że ona, Edith Lavery, tylko z największym trudem zdołałaby przeniknąć do choćby najbardziej zewnętrznych kręgów owej złotej elity, ujrzała siebie w strojnej krynolinie, szczęśliwą, gdyż niekwestionującą własnej szczęśliwości. Jednakże zaraz uprzytomniła sobie, że te wizje świata, który wszak przepadł z kretesem w Wielkiej Wojnie, bardzo przypominają jej rojenia o przyszłym życiu w roli lady Broughton, jakim oddawała się w wannie tuż przed ślubem. Jakie proste miało być to życie, jak mocno mieli ją kochać wieśniacy i dzierżawcy, jak bardzo rodzina Charlesa miała błogosławić dzień, gdy znalazła się pośród nich! Pozostało jej tylko z uśmiechem melancholii patrzeć, jak ów obraz Wielkiej Odnowicielki Nowoczesnej Socjety zaciera się i blaknie w jej duszy, łzawo machając na pożegnanie.

Rozważając tę kwestię w swoim znękanym umyśle, początkowo doszła do wniosku, że jej matka jednak przez cały czas się myliła; że media miały rację, przedstawiając jej sny i ambicje jako przestarzałe i niemodne; że dziś już nikt nie pragnie tytułów, rangi i dziedzicznej władzy; że żyjemy w epoce self-made manów, którzy wszystko zdobywają własną pracą, talentem i kreatywnością. Ale potem, gdy spojrzała na snujących się po parku urzędników, ulicznych zamiataczy i bezrobotnych szukających pracy, uderzyło ją, jak nieuczciwi są medialni guru naszych czasów. Czy istniał ktoś, kto nie zamieniłby się z Charlesem, gdyby mógł? Czy mędracy małego ekranu nie gloryfikują merytokracji wyłącznie dlatego, że to jedyny ustrój, który daje im szansę

dotarcia na szczyty? Nawet jeśli niewypracowane bogactwo i prestiż pozbawione są jakiejkolwiek wartości moralnej, nawet jeśli odzwierciedlają wyłącznie wstydlive pragnienia, do których nikt nie śmie się przyznać, to wciąż zajmują znaczącą pozycję w marzeniach i fantazjach mnóstwa ludzi. A ona, Edith, postanowiła beztrasko je odrzucić.

I znów z pełnym niedowierzania zdumieniem wróciła myślami do swojego rzekomo nieszczęśliwego życia z Charlesem. Na czym właściwie polegało to nieszczęście? Wspominając wspólnie spędzone dni, miała przed oczami ładne pokoje w Broughton, służących, park i zajęcia w miasteczku. Jeśli w ogóle pamiętała jakieś niewygody, to tylko takie jak pakowanie samochodu przed wyjazdem i sterczenie na deszczu, podczas gdy Charles strzelał do cietrzewi. Czy to rzeczywiście było takie straszne? Sam Charles wzbudzał w niej coś w rodzaju serdecznej nostalgii. Wręcz z rozczuleniem przypomniawsza sobie, jak kłął na innych kierowców albo pierdział przez sen. Nie czuła ani śladu ulgi na myśl, że od niego odejdzie. Ach, gdybyż tak było! Tymczasem ona martwiła się, że będzie mu smutno, a świadomość, że on cierpi, sprawiała jej ból. Coraz uporczywiej zadawała sobie pytanie, czym właściwie jest to osobiste spełnienie, do którego usilnie dążyła kosztem takiego zamętu? Czy chodziło o seks? Czyżby właśnie przyznała się przed sobą, że zrobiła to wszystko ze względu na fiuta Simona? Lub jedynie z nudów? A jeśli tak, to czy teraz, siedząc na Ebury Street i gadając przez telefon albo jedząc lunch z jakąś koleżanką, naprawdę nudziła się mniej niż na zebraniach swojego komitetu w bibliotece w Broughton?

Odwróciła się plecami do Lancaster House i wolnym krokiem powędrowała w stronę Victory Arch, mając po lewej ręce pałac Buckingham. Królewski proporzec, oznajmiający obecność monarchini w Londynie, zwisał nieruchomo na drzewcu, pod ogrodzeniem tłoczyli się turyści, którzy w skupieniu wpatrywali się w okna, jakby licząc na to, że mignie im jakaś królewska osoba lub ktoś wyjdzie na zewnątrz się przewietrzyć. Na ten widok Edith znów zaczęła rozważać fenomen niezaskuszonej wielkości. Pomyślała o kolejnym dworskim balu, na który Tigger, Googie i Charles z pewnością będą zaproszeni. Dla tych wszystkich przybyszów – dla trzaskających

migawkami Japończyków i wędrowców z Północy w ohydnych kurtkach niczym syntetyczne jaskrawe kleksy na tle zimnoszarej neogeorgiańskiej fasady – byłoby to wydarzenie wręcz niewyobrażalnie wspaniałe. Zaproszenie do pałacu stałoby się dla nich opowieścią życia, wytartą na skutek niezliczonych powtórzeń. Ona zaś dobrowolnie zrezygnowała z tej baśni, woląc zostać... czym właściwie? Kobieta szczęśliwą?

Rzecz w tym, że ostatnio Edith zaczęła się serio zastanawiać, jak dalece osobiste szczęście – jeśli to właśnie proponował jej Simon – naprawdę ją zadowala. Jakoś nigdy nie umiała oddzielić własnych ambicji od wartości, którymi kierowała się jej matka; być może dlatego zdążyła już zatęsknić za słodyczą wysokiego mniemania o sobie, którego dostarczało jej życie w Broughton. Rozumiejąc, że takie uczucia nie przynoszą jej chluby, próbowała się bronić, odwołując się do pragmatyzmu. Przecież chyba tylko wychodząc za mąż, mogła się cieszyć tym, co dobre? Jakżeby inaczej miała to osiągnąć? Tym bardziej że jej wiara w przyszły triumf Simona powoli gasła. Teraz, kiedy wiedziała już więcej o show-biznesie, powoli nabierała przekonania, że serial, w którym grał obecnie, i jeszcze ze dwa, trzy w podobnym stylu, to zapewne szczyt tego, czego mógł się spodziewać. Cokolwiek przed sobą udawali, z pewnością powinni wybić sobie z głowy nerwowe ściskanie się za ręce na czerwonym dywanie podczas ceremonii wręczania Oscarów. Jakie więc życie ją czekało? Plebania z odzysku w okolicach Londynu i czasem jakiś wywiad dla prasy? Czy naprawdę przez następnych dwadzieścia lat miała służyć jako uczuciowa i werbalna podpora tylko po to, by udowodnić, iż jest kimś prawdziwym? Ktoś mógłby powiedzieć, że sława powinna wynikać wyłącznie z osobistych dokonań, ale co z ludźmi, którzy nie mają żadnych szczególnych talentów ani umiejętności pozwalających osiągnąć ten cel? Czy ich tęsknota za życiem wśród wybrańców losu naprawdę jest godna potępienia? Biedna Edith w pełni zdawała sobie sprawę, że należy do tych, którzy nie sieją i nie orzą, ale czy dlatego nie miała prawa pożądać przepychu? Czy to było jakąś hańbą? Zirytowana pokręciła głową. Zrodzona w odległym zakątku jej mózgu świadomość powoli zaczynała jej podpowiadać, że podjęta ongiś decyzja, mimo swojej zuchwałości, właściwie ani na jotę nie zmieniła jej poglądu na

świat oraz na miejsce, jakie w nim zajmowała. Wspomniała, jak przemożną niechęć budziły w niej zarzuty rodziców i znajomych, które usłyszała po swojej ucieczce – że nie umie się przystosować do nowego życia, bo pod skórą buntowniczką nadal bije serce córeczki pani Lavery. Ale czy źródłem owej niechęci nie była przypadkiem dojmująca obawa, że te zarzuty są uzasadnione?

Zmierzając w stronę Victory Arch, patrząc na odbłask słońca w oknach Apsley House, dokąd zeszłego lata zaproszono ich z Charlesem na przyjęcie – to była chyba pierwsza duża impreza, z której musiała zrezygnować po rozstaniu – ze zdumieniem zadała sobie pytanie, jak to się stało (teraz naprawdę nie mogła w to uwierzyć), że odrzuciła wysoką pozycję w świecie ludzi światowych na rzecz roli partnerki mało znanego mężczyzny uprawiającego ogólnie pogardzany zawód. Po czym po raz kolejny usiadła na ławce, aby szczegółowo przemyśleć niezwykle wydarzenia ostatniego roku.

Po powrocie zastała Simona w mieszkaniu. Pił herbatę i oglądał jakiś stary film. Kiedy pracował, uspokajał się, rozluźniał i przestawał się czymkolwiek przejmować. Gdy nie miał zajęcia, biegał po Londynie, umawiał się na lunch z nie lubianymi ludźmi i co cztery godziny dzwonił do agenta.

Edith zdjęła płaszcz w przedpokoju.

– Będzie dla mnie herbata?

– Zaparzyłem z torebki – pomachał do niej kubkiem. – Jeszcze jest wrzątek, jeśli masz ochotę.

Był bez butów, a jego byłe jak rzucone adidas leżały na dywaniku przed kominkiem. Kurtka zwisała z fotela, na podłodze wały się książki i maszynopisy. Edith stała w drzwiach, chłonąc tę scenę niczym przybysz z innego kraju. *Tak teraz żyjemy*<sup>[62]</sup>. Tak właśnie teraz żyła, z tą tweedową kanapą z lat sześćdziesiątych barwy brudnej owsianki, z nijakimi grafikami kwiatów w kolorowych ramkach, ze stolikiem do kawy z pleksiglasu i gazowym ogniem na kominku. Tak właśnie teraz żyła. Przeszyło ją dojmujące uczucie, że nie ma najmniejszej ochoty wchodzić do tego pokoju.

Simon, wyczuwając między nimi jakąś obcość, wstał i zbliżył się do niej.



Objął ją mocno w talii i przyciągnął do siebie, przyciskając usta do jej warg. Wczorajszy wieczór spędzili w indyjskiej restauracji i jego oddech wciąż pachniał przyprawami. Przywarł do niej całym ciałem; wyczuła, że jest podniecony.

– Udany lunch? – zapytał.

Przytaknęła.

– Przyszedł na polecenie Googie. W zeszły weekend byli z Adelą w Sussex. Wybrali się do Broughton i oczywiście Googie zaciągnęła go do swojej kryjówki. To spotkanie to był jej pomysł.

– I?

– Chcą przyśpieszyć rozwód. – Urwała, czując, że on się wzdryga. – Googie chce cię pozwać jako współwinnego.

– Jezu!

Simon nie wiedział, co o tym sądzić. Po części był zachwycony; przez myśl przemknęły mu wizje kolejnych rozkładówek w „Daily Mail”, za nimi wszakże nadciągnęły pierwsze zwiastuny paniki. Miał wrażenie, że znalazł się w jakiejś rurze, przez którą, nieważki i bezbronny, leci na oślep w nieznane.

– Ona mówi poważnie?

– Tak sędzę, ale nic się nie martw. Oni się mylą. Jestem niemal pewna, że w dzisiejszych czasach nie trzeba współpозwanego, żeby się rozwieść. Rzecz w tym, że chcą to zrobić jak najszybciej.

– Co mu powiedziałaś?

Edith spojrzała uważnie na buzię ślicznego chłopca, którego miała przed sobą. Simon porzucił swoją zwykłą kokieterijną manierę i choć nie zdawał sobie z tego sprawy, było mu z tym o wiele bardziej do twarzy. Wyraz pewnej powagi przydawał wdzięku jego błękitnym oczom i jasnej, lśniącej czuprynie, opadającej niedbałymi lokami na czoło.

– Powiedziałaam, że muszę się zastanowić.

– Możesz ich powstrzymać?

– Jeśli zechcę.

– Jak?

– Powiem Charlesowi, żeby się wycofał.

Simon wybuchnął śmiechem.

– I to załatwi sprawę?

Edith przyjrzała mu się chłodno. Ależ z niego prowincjusz! Jak słabo rozumie mężczyzn takich jak Charles! Broniąc porzuconego męża przed kochankiem z wyboru, odpowiedziała niemal wyniośle:

– Owszem. To załatwi sprawę.

Simon już się nie śmiał, lecz nagle dostrzegła w nim coś niewymownie irytującego. Nie miała ochoty na zwykłą pogawędkę, nic chciała słuchać o złych filmach i aktorach, o zazdrosnych kolegach, o kamerzyście, który nie ma o niczym pojęcia.

– Pójdę wziąć kąpiel – powiedziała, wyslizgując się z jego objęć.

Simon rzucił się na kanapę i wlepił wzrok w ekran.

– Strasznie jesteś dzisiaj nadąsana – mruknął. – Będę wyrozumiała i złożę to na karb pory miesiąca.

Nie odpowiedziała, lecz zeszła na dół do niewielkiej łazienki w suterenie, przylegającej do ich małej, ciemnej sypialni. Próbowali rozjaśnić oba wnętrza za pomocą luster i tapety w ogromne maki, ale to jedynie pogłębiało panujący tu smutny półmrok. Odkręciła krany, rozebrała się i weszła do wanny. Spacer po parku wprowadził ją w dziwny, nieziemski stan. Intensywnie przeżywała każdy ruch swojego ciała, każdą kroplę wody na skórze. Miała wrażenie odlotu, upojenia, chociaż podczas lunchu piła bardzo niewiele. Brzuch rozsadał jej niejasny niepokój, przebiegały ją ciarki, mrowiło każde włókno nerwowe. I wtedy nareszcie zdała sobie sprawę, jaki to szczegół domaga się jej uwagi. Simon powiedział to, co wiedział, nic więcej. Nadeszła pora jej miesiączki, która pojawiała się regularnie jak w zegarku.

Było już pięć dni opóźnienia.

## 20

Następnego dnia po moim lunchu z Edith, kwadrans po ósmej rano przy naszych drzwiach rozległ się dzwonek.

– Rany boskie! – zawołała Adela. – Kto to może być, u licha?

Byliśmy w naszej małej sypialni, której okno wychodziło na schodki do suterenu; drzwi wejściowe znajdowały się z prawej strony, więc nie było widać, kto przyszedł. Uznałem, że tak wcześnie to może być jedynie listonosz, krzyknąłem więc, że już idę, nie zwracając zbytnej uwagi na strój. Lecz kiedy rozczochrałem, w samych gaciach, otworzyłem drzwi, odkryłem, że nie stoi tam listonosz – w końcu przyzwyczajony do takich widoków – ale Edith Broughton.

– Dzień dobry – wybąkałem z lekkim zdziwieniem.

Edith przepchnęła się obok mnie do pokoju.

– Muszę z tobą porozmawiać – oznajmiła, padając na kanapę dzielącą część „bawialną” naszej małej „sali recepcyjnej” od części jadalnej.

– Mogę się najpierw ubrać? – zapytałem.

Kiwnęła głową, więc pośpiesznie wróciłem do sypialni, by powiadomić osłupiałą Adelę, kim jest nasz poranny gość.

Adela, choć ubierała się dość niezdarnie, była gotowa przede mną, więc kiedy wyszedłem z łazienki, Edith trzymała już w ręce filiżankę kawy, a przed nią leżał kawałek tosta.

– A więc? – zapytałem, uznając, że nie ma sensu owijać w bawełnę. Edith zerknęła na Adelę, która poderwała się na nogi.

– Lepiej sobie pójdę, co? Nie przejmujcie się, mam mnóstwo papierkowej roboty...

Edith machnęła ręką.

– Nie, zostań. To żadna tajemnica. Poza tym – rozejrzała się po naszym miniaturowym mieszkanku – gdziekolwiek pójdiesz, pewnie i tak będziesz wszystko słyszała.

Adela znów usiadła i zamieniliśmy się w słuch.

– Chcę się zobaczyć z Charlesem.

Mimo że Edith mówiła całkiem beznamyślnie, rzecz jasna to zdanie bardzo nas zaniepokoiło. Nie do końca jednak rozumiałem, dlaczego koniecznie musiała nam to oznajmić bladym świtem, jednakże byłem zaintrygowany. Wkrótce się dowiedziałem, jaką wyznaczyła mi rolę.

– Chcę, żebyś mi w tym pomógł.

Adela zerknęła na mnie i leciutko potrząsnęła głową. Tego typu sprawy wprawiały ją w najwyższe przerażenie, podobnie zresztą jak innych członków jej plemienia. Wiedziała, że bez względu na wynik, zawsze ktoś musi być winny. Poza tym, jak wyznała mi później, nie miała najmniejszej ochoty robić sobie wroga z lady Uckfield, a podejrzewała, że nie da się tego uniknąć, jeśli zgodzę się na propozycję Edith. Należy oczywiście pamiętać, że Adela od początku opowiadała się całkowicie po stronie matki Charlesa.

– Po co ja ci jestem potrzebny? – zapytałem niemrawo.

– Wczoraj zadzwoniłam do Broughton. Chciałam mówić z Charlesem, ale w słuchawce odezwała się Google. Powiedziała, że Charlesa nie ma, lecz jestem pewna, że to nieprawda. Dzwoniłam do Feltham i do Londynu i wszędzie mówili, że Charles pojechał do Broughton. Wiem, że on tam jest. Ona po prostu nie chce dopuścić, żebym z nim porozmawiała.

Wszystko to jedynie potwierdzało podejrzenia Adeli, że Edith okrężną drogą usiłuje na nas wymóc, byśmy wzięli negocjacje z lady Uckfield na siebie.

– Doprawdy, nie wiem, co mógłbym zrobić.

– Tobie pozwolę z nim porozmawiać. Powiesz, że chcesz go zaprosić na lunch, albo coś w tym rodzaju, a kiedy podejdziesz do telefonu, wyjaśnisz mu, że chcę się z nim spotkać.

– Chyba jednak tego nie zrobię – oświadczyłem. – Mogę zatelefonować, czemu nie – rzekłem kłamliwie – lecz jeśli lady Uckfield mnie zapyta, o co chodzi, to powiem jej prawdę. W końcu ona chyba nie sądzi, że może bez końca uniemożliwiać wam spotkanie.

– Bez końca nie. Ale dostatecznie długo.

– Nie wierzę w to – oznajmiłem. Chociaż, naturalnie, wierzyłem.

Prawdę mówiąc, doszedłem do wniosku, że w gruncie rzeczy ja również jestem po stronie lady Uckfield. W końcu fakty mówiły same za siebie. Edith nie kochała Charlesa i wyszła za niego dla pozycji. Następnie całkowicie skompromitowała tę pozycję, wyrzekła się jej, dopuściła się zdrady, wywołała wielki skandal i sprawiła Charlesowi ogromny ból. Lady Uckfield chciała się pozbyć Edith raz na zawsze i właściwie trudno było mieć jej to za złe.

– Jesteś pewna, że Charles zgodzi się z tobą zobaczyć? – zauważyła Adela.

– Bo może to on sam nie chce podejść do telefonu.

Ta kwestia z pewnością zasługiwała na zastanowienie.

– Jeśli nawet tak jest, to niech on sam mi o tym powie.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Adela schrupała grzanek i zabrała się do lektury rubryki Nigela Dempstera.

– Coś nowego? – zapytałem.

– Siostra Sarah Carter wyszła za jakiegoś malarza, a Langwellowie się rozwodzą, o czym wiedzieliśmy już w październiku.

– Zrobisz to dla mnie? – zapytała Edith.

Spojrzeliliśmy na siebie z Adelą, ale zignorowałem prośbę widoczną w jej oczach. Mimo wszystko – choć miałem na to wielką ochotę – postąpiłbym wrednie, porzucając Edith na pastwę losu i wspierając sprawę Broughtonów. To byłaby podłość, bez względu na to, jak prywatnie oceniałem racje obu stron. Po pierwsze i przede wszystkim, byłem przyjacielem Edith, co przyznała nawet lady Broughton.

– Tak – odparłem. – Ale nie o tej porze i nie w twojej obecności. Wracaj do domu, zadzwonię do ciebie.

Edith skinęła głową, dopiła kawę i wyszła.

– Coś tu się kroi – orzekła Adela.

O wpół do jedenastej zadzwoniłem do Broughton i poprosiłem Charlesa do telefonu. Mimo relacji Edith byłem dość zaskoczony, gdy połączono mnie z lady Uckfield.

– Dzień dobry – powiedziała. – Jak się masz?

– Próbuję odnaleźć Charlesa.

– Obawiam się, że tu go nie ma – odparła gładko. Ewidentnie wyprzedzała mnie o cztery kroki. – Czy mogę mu coś przekazać?

Przez chwilę miałem ochotę zablefować, ale najwyraźniej doskonale wiedziała, po co dzwonię, a nie chciałem się głupio sam zapędzić w kozi róg.

– Niestety, wykonuję zlecenie. Chociaż wcale nie jestem pewny, czy pani to pochwała.

– No, słucham. – Jej ton z powściągliwego zmienił się w lodowaty.

– Chodzi o Edith. Chce się widzieć z Charlesem.

– Po co?

– Nie wiem. – Przynajmniej to było prawdą.

– Czy to w ogóle ma sens?

– Nie wiem, czy to ma jakiś sens, ale wiem jedno: jeśli ona się z nim nie zobaczy, to w żaden sposób nie wyciśnie z niej pani jasnego stanowiska w sprawie rozwodu.

– A więc ją zapytałeś?

– Zapytałem. Powiedziała, że chce się zastanowić. Przypuszczalnie część tego zastanawiania musi się odbyć w obecności Charlesa.

Na moment zapadła cisza. Na linii dały się słyszeć osobliwe echa innych rozmów, dziwne, anonimowe strzępy cudzego życia odległego o tysiące mil.

– Masz czas dziś po południu? Możemy się umówić na herbatę?

– Nic nie sprawi mi większej przyjemności, ale nie sądzę, bym w tym wypadku mógł dodać coś do tego, co już powiedziałem.

– Będę w Ritzu o czwartej.

Ciekawe, pomyślałem, że nie chce mnie zaprosić do mieszkania na Cadogan

Square.

– Może przyjdzie z nią Tigger? Może tam jest Charles? – zamyśliła się Adela.

Przez chwilę kusiło mnie, by po prostu pójść do nich i zadzwonić do drzwi. Jednak zmieniłem zdanie; wypadało najpierw wysłuchać, co ma do powiedzenia lady Uckfield.

Niemniej zadzwoniłem do Edith.

– Co zamierzasz jej powiedzieć?

– Nie wiem. Że zapewne traci czas, próbując nie dopuścić do waszego spotkania. Jeśli istotnie tak jest.

– Oczywiście, że tak jest.

– To znaczy, jeśli robi to bez wiedzy Charlesa. – Edith milczała. – Tak czy inaczej, zadzwonię do ciebie wieczorem.

Zapytałem cicho, czy lady Uckfield już przyszła, ale kierownik sali nie należał do ludzi, którzy mogą przepuścić taką okazję.

– Dżentelmen do markizy Uckfield – zawołał głośno do przechodzącego kelnera, który wśród zaciekawionych spojrzeń uprzejmie odprowadził mnie na miejsce. Siedziała schludnie wyprostowana przy stoliku w Sali Marmurowej, po prawej stronie wielkiej złoconej fontanny. Na mój widok uśmiechnęła się i pomachała mi ręką, po czym ze swoją zwykłą ptasią zręcznością podniosła się, aby mnie powitać. Kelner nalał nam herbaty, „miladując” bez przerwy, co przyjmowała z pogodą i spokojem.

– Ależ frajda, prawda? – zaśmiała się radośnie.

– Dla mnie na pewno – potwierdziłem.

– Chcę być z tobą absolutnie szczerą, bo sądzę, że możesz pomóc.

Mówiła tonem niezbyt poważnym, ale przynajmniej była bardziej bezpośrednia, mniej zdyszana, mniej konfidencyjna niż zwykle. Wspominając scenę w saloniku w Broughton, doszedłem do wniosku, że tym razem jej poufałość jest prawdziwa, nie udawana.

– To mi pochlebia, ale mam wątpliwości.

– Nie życzę sobie, żeby Charles spotkał się z Edith.

– Tak mi się wydawało.

– Nie chodzi o to, że jestem nieżyczliwa. Naprawdę. Po prostu myślę, że on ma gigantyczny mętlik w głowie, i nie chcę, żeby jeszcze bardziej się pogubił.

– Lady Uckfield – powiedziałem. – Doskonale wiem, dlaczego uważa to pani za zły pomysł. Ja również tak uważam. Sądzi pani, że to małżeństwo było błędem, i wolałaby, żeby nie trwało ani chwili dłużej. Całkowicie się z panią zgadzam. Jednak fakty są takie, że obecnie Edith jest żoną Charlesa, więc jeśli ona chce się z nim widzieć, a on przypuszczalnie chce się widzieć z nią, to lepiej zrobimy, nie stając im na drodze.

Przez jej twarz przemknął cień rozdrażnienia.

– Dlaczego sądzisz, że on chce się z nią widzieć?

– Bo wciąż jest w niej zakochany.

Na pewien czas zamilkła, szukając kanapki z jajkiem, którą następnie ugryzła z przesadną rozkoszą.

– Ależ to jest pyszne! – szepnęła tajemniczo, jakby za wszelką cenę nie chciała zostać podsłuchana. Potem spojrzała na mnie swoim kocim, byстрыm wzrokiem.

– Uważasz, że byłam dla Edith niesprawiedliwa.

Pokręciłem głową.

– Nie. Uważam, że pani jej nie lubi, ale nie była pani dla niej szczególnie niesprawiedliwa.

Przyjęła to do wiadomości.

– Nie lubię jej – przytaknęła. – No, niezbyt. Ale nie o to chodzi.

– A o co?

– Chodzi o to, że z nią Charles nie będzie szczęśliwy. To, czy ją lubię czy nie, jest zupełnie bez znaczenia. Nie znosiłam swojej teściowej, ale doskonale wiedziałam, że doprowadziła Broughton do rozkwitu i wytrzymała z tym nedorajdą, ojcem Tiggera. Dwadzieścia lat trwało, zanim pogrzebałam pamięć o niej. Myślisz, że gdybym zwyczajnie nie lubiła Edith, to



przejmowałabym się aż tak bardzo? Nie jestem gimnazjalistką.

– Nie – upiłem łyk herbaty.

Faktycznie mi to pochlebiało. Lady Uckfield z jakiegoś powodu zdecydowała się uchylić rąbka zasłony, zazwyczaj skrywającej jej tajemne myśli, i rozmawiała ze mną szczerze. Jeszcze nie skończyła.

– Pozwól, że powiem ci coś o moim synu. Charles jest człowiekiem dobrym, życzliwym i nieskomplikowanym. Jest znacznie milszy niż ja, wiesz? Ale jest także mniej... – Zawahała się, szukając lojalnego epitetu, który byłby również adekwatny.

– Inteligentny? – zaryzykowałem.

Ponieważ ja to powiedziałem, puściła te słowa mimo uszu.

– Potrzebna mu żona, która będzie cenić nie tylko jego osobiście, ale to, czym on jest i co robi. Ich wspólne życie. On nie potrafi docenić innej filozofii we własnym domu. Nie umiałby żyć pod jednym dachem ze śpiewaczką operową o socjalistycznych poglądach, darząc ją szacunkiem. Nie ma tego w sobie.

– Chyba Edith też nie – powiedziałem.

– Edith poślubiła pewną ideę życia zaczerpniętą z powieści i czasopism. Wyobrażała sobie podróże, pokazy mody i spotkania z Mickiem Jaggerem. Już widziała, jak wydaje na Mauritiusie przyjęcie dla księżnej Michael...<sup>[63]</sup>. – Wzruszyła ramionami. Zaimponowało mi, że słyszała o Micku Jaggerze. – Nie wiem, czy ktoś w ogóle tak żyje. Być może. Wiem jednak, że Charles nigdy nie będzie prowadził takiego życia. Jego egzystencja przebiega zgodnie z kalendarzem rolniczym. Polowania i uprawy, uprawy i polowania, i tak przez pięćdziesiąt lat, a w lipcu wyjazd na trzy tygodnie za granicę. Będzie się martwił o dzierżawców i kłócił się z plebanem, i próbował zmusić władze, żeby sfinansowały wymianę instalacji we wschodnim skrzydle. A jego znajomi, z nielicznymi wyjątkami, będą tacy sami jak on, też będą wymieniać dachy, uprawiać ziemię, polować i starać się o dotację od rządu albo o zwolnienie od podatku. To jest jego przyszłość.

– I to na pewno nie jest przyszłość Edith?

– A jak sądzisz?

Dobrze pamiętałem, jak Edith szlochała z nudów na polowaniu w Broughton; jak się dąsała, zmuszona co wieczór znosić opowieści Tiggera i dowcip Googie. Lecz oczywiście lady Uckfield nie była świadoma czegoś, co ja zacząłem już podejrzewać: że nowe życie Edith również nudzi ją i przygnębia. Przypomniałem sobie przyjęcie u Fiony Grey, gdzie oprowadzano ją jak konkursową jałówkę.

Lady Uckfield zinterpretowała moje milczenie jako zgodę i jej ton stał się trochę cieplejszy.

– To nie do końca jej wina. Nawet ja to dostrzegam. To przez tę okropną matkę, która napchała jej do głowy mnóstwo bzdur w stylu Barbary Cartland. Dziewczyna nie miała szans.

– Biedna pani Lavery – powiedziałem. Lady Uckfield wzdrygnęła się z lekkim grymasem. I to z tą kobietą pani Lavery zamierzała spożywać smakowite posiłki i chodzić do modystki?

– Nie jestem snobką – ciągnęła lady Uckfield. Tego było już za wiele; nie potrafiłem się powstrzymać i drgnęła mi brew. – Nie jestem! – zawołała, usiłując przywołać mnie do porządku. – Wiem, że można zawrzeć małżeństwo dla awansu i mimo to świetnie sobie radzić. Mam mnóstwo różnych przyjaciół. Tak jest! – Była naprawdę oburzona. Przypuszczalnie sądziła, że mówi prawdę.

– Kogo? – zapytałem.

Zastanowiła się.

– Susan Curragh i Anne Mellon. Bardzo lubię je obie. Chyba nie powiesz, że jest inaczej!

Pierwsza z wymienionych kobiet była bajecznie bogatą Amerykanką, zamężną z dość tępym wiceministrem, druga – córką milionera z branży odzieżowej i żoną zbiedniałego irlandzkiego hrabiego, dzięki któremu znalazła się na mapie towarzyskiej. Nie znałem ani jednej, ani drugiej pani, ale zdrzałem: biada Edith, jeśli lady Uckfield uważała je za dobre przykłady „awansu przez małżeństwo”!

– Wiem, że mi nie uwierzysz, ale wychowano mnie, abym nie myślała w kategoriach klasowych!

Ciekawa rzecz – lady Uckfield śpiewająco przeszła badanie na wykrywaczu kłamstw, chociaż w istocie została wychowana, aby myśleć wyłącznie w takich kategoriach. I w dużej mierze (jeśli nie całkowicie) dochowała wiary pobranym wówczas naukom.

– Nieważne – ciągnęła – z jakiej klasy (cokolwiek to znaczy) pochodzi Edith, ważny jest fakt, że ona nie lubi tego zajęcia. Ona i jej okropna matka to londyńskie paniusie. Chcą jadać we włoskich restauracjach, chodzić na bale dobroczynne, a zimą latać do ciepłych krajów. Tymczasem prowadzenie posiadłości, takiej jak Broughton albo nawet Feltham, to straszna harówka, kiedy już zniknie pierwszy blichtr. To wieczne nasiadówki i papierkowa robota. Użeranie się z inspektorami od dziedzictwa narodowego, którzy nas nienawidzą jako lokatorów, w związku z czym utrudniają nam wszystko jak mogą. Żebranina w samorządzie lokalnym i nieustanne oszczędzanie na ogrzewaniu. Miło jest nocować w takich rezydencjach. Nawet londyńskie paniusie to lubią. Co innego właściciel, on naprawdę ciężko pracuje. Takie życie nigdy nie stanie się dla Edith przyjemne lub choćby satysfakcjonujące. Nie mam o to pretensji, ona po prostu nie jest do tego zdolna. A poza tym, mówiąc zupełnie szczerze – urwała z leciutkim wahaniem, jakby w obawie, że dostarczy mi dodatkowej amunicji – nie jestem pewna, czy ona w ogóle lubi Charlesa.

Wspomniałem owo odległe przyjęcie zaręczynowe i siedzącą po mojej lewicy Caroline Chase. „Tu bywa okropnie ponuro... wystawy kwiatów przez całe lato, a w zimie zamarzają rury” – w mojej głowie rozbrzmiało echo jej zimnego, twardego głosu. „Przypuszczam, że Edith jest na to przygotowana?” Jakże triumfująca wydawała się wtedy Edith! Oto zagrała o najwyższą stawkę i zdobyła główną nagrodę.

– Jeśli istotnie jest tak, jak pani mówi, to co to szkodzi, jeśli się spotkają?

– Bo podejrzewam, że po ośmiu miesiącach życia z bezrobotnym aktorem Edith zdążyła sobie przypomnieć, dlaczego Charles w ogóle był dla niej atrakcyjny albo, ściślej mówiąc, dlaczego stanowił atrakcyjną partię. Sądzę,

że ona zechce do niego wrócić.

– A pani jest temu przeciwna.

Było mi trochę żal Simona, który właśnie został określony jako „bezrobotny aktor”, podczas gdy biedak we własnym mniemaniu odniósł oszałamiający sukces. Jednak to chyba nie był dobry moment, żeby czepiać się szczegółów.

Odparła dobitnie i dźwięcznie jak mąż stanu:

– Jestem temu przeciwna każdym włosem swojego ciała.

Chyba w głębi duszy poczułem się zaskoczony jej szczerością. Przyzwyczailem się sądzić, że w tym środowisku obowiązuje symboliczna odraza do rozwodów, aczkolwiek wszyscy w gruncie rzeczy mają to gdzieś, ważne jest tylko to, kto w danej chwili jest czyjąś żoną lub czyimś mężem. Niemniej Googie należała do starej szkoły; byłem niemal pewny, że w jej i Tiggera rodzinie nigdy nie pojawiło się coś takiego jak rozwód. Pokiwała głową.

– Dziwisz się, że chcę, żeby ten skandal wypalił się do końca. Owszem, tego właśnie chcę. Wolę teraz przetrzymać najgorsze niż na siłę naprawiać sytuację, ryzykując jeszcze większą destrukcję później. Po pięciu latach Edith znów odkryje, że strasznie się nudzi, bądź znajdzie kogoś równie zamożnego jak Charles, z kim będzie się nudzić trochę mniej. Możliwe, że tymczasem pojawią się dzieci, a ja wolałabym widzieć, jak moje wnuki dorastają w Broughton pod opieką obojga rodziców.

– Rozumiem panią doskonale. – Nie dało się zaprzeczyć, że rozumowała rozsądnie.

– A więc mi pomożesz?

Dolała nam obojgu herbaty i pilnie zajęła się kolejną kanapką. Była wobec mnie szczerą, uznałem więc, że jestem jej winien nie mniejszą szczerość.

– Nie, lady Uckfield, nie mogę pani pomóc.

Ze zdziwienia aż przestała nalewać. Prawdopodobnie sądziła, że odkrywając przede mną karty, robi mi tak wielką łaskę, iż niezawodnie zdobędzie moje poparcie. Widząc jej rozczarowanie, wyjaśniłem:

– Nie chodzi o to, że się z panią nie zgadzam. Przeciwnie, zgadzam się

całkowicie. Chodzi o to, że nie wierzę, by jakiegokolwiek argumenty odwiodły Edith od pomysłu spotkania się z Charlesem. Co więcej, nie wierzę, że mam jakiegokolwiek prawo się wtrącać.

Skinęła nieznacznie głową, ruchem krótkim i kanciastym, zdradzającym wielki ból.

– Wyobrażam sobie, że twoim zdaniem ja też nie mam prawa.

– Nie, lady Uckfield – pokręciłem głową. – Pani jest matką Charlesa. Ma pani wszelkie prawa. Nie jestem pewny, czy może pani mieć nadzieję, ale próbować ma pani prawo niewątpliwie.

Uznałem, że na tym rozmowa dobiegła końca, i wstałem. W tej sytuacji wątpiłem, czy jeszcze kiedykolwiek poczujemy się z lady Uckfield swobodnie. Zbyt wiele mechanizmów obronnych musiała w sobie przełamać, by wybaczyć mi, że ją widziałem w tym stanie. Co gorsza, dostrzegłem, że jej oczy wilgotnieją, po czym ze zgrozą ujrzałem na starannie upudrowanym policzku jedną, jedyną łzę, zapewne wstrząśniętą faktem, iż po dwudziestu latach wreszcie zdołała wyrwać się na wolność.

Lady Uckfield wstała i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Zatem po prostu nie pomagaj jej – rzekła z desperacją, całkiem odmienną od owego dziewczynskiego, pseudospłoszonego tonu w stylu „nie mów tatusiowi”, do którego byłem przyzwyczajony. To był krzyk rozpacz. – Po prostu jej nie zachęcaj. To wszystko, o co cię błagam. Tyleż dla jej dobra, co dla jego. Oboje będą nieszczęśliwi.

Zgodziłem się, udzielając wszystkich możliwych gwarancji, podziękowałem jej za herbatę, po czym na własne oczy zobaczyłem, jak bierze się w garść tak skutecznie, że kiedy skręcałem w bramę na Arlington Street, była już w stanie do mnie pomachać z opanowaniem godnym łoży królewskiej w Ascot. Jedno było pewne; nie miałem najmniejszego pojęcia, co właściwie powiedzieć Edith.

– Oczywiście miałaś rację. Ona nie chce, żebyście się spotkali.

– Mówiłam ci.

– Jednak nie wiem, jak mogłaby temu zapobiec.

– Gdzieś go wyśle. Do Ameryki. Na końskie targi. Coś w tym rodzaju. Załatwi to przez znajomych. Ma ich wszędzie.

– To brzmi jak afera Watergate.

Zaśmiała się chrapliwie.

– Twoim zdaniem to żarty.

– Przecież – powiedziałem – Charles nie będzie bez końca tkwić w Ameryce. Po prostu musisz wciąż próbować. Nie sędzę, żeby cię spławił, jeśli go w końcu dopadniesz. Naprawdę. Musisz po prostu czekać na właściwy moment.

– Ale ja nie mogę czekać – oznajmiła Edith.

Już chciałem zażądać wyjaśnienia, ale coś w jej głosie mnie powstrzymało; przyznaję, że świadomie wyparłem jej wypowiedź na margines. Po prostu nie chciałem się tym zajmować, a już na pewno nie chciałem się tym dzielić z Adelą, prawdopodobnie wyczuwając, że może to oznaczać wszystko albo nic. Jeśli wszystko, to po co ryzykować, że pójdzie w eter? Jeśli nic, to po co o tym pamiętać?

Milczeliśmy przez chwilę; Edith chyba zdała sobie sprawę, że powiedziała więcej, niż zamierzała. Być może zastanawiała się, jak zredukować efekt tej uwagi, nie odwołując się do niej ponownie.

– A więc jakie masz plany? – zapytałem.

– Nie wiem – odparła.

Faktycznie, nie wiedziała. Zupełny obłęd – nie wiedziała, jak się skontaktować z własnym mężem! Dziwna rzecz, ale przez jakiś czas myślała nawet, że firmy Sotheby's lub Christie's mogą jej pomóc w rozwiązaniu problemu, bowiem, niepostrzeżenie dla szerokiej publiczności, letnie przyjęcia, urządzone przez oba domy aukcyjne, zyskały w trakcie ostatniej dekady rangę najważniejszych wydarzeń w kalendarzu londyńskiej socjety. Prawdziwa śmietanka towarzyska – w odróżnieniu od wszędobylskiej hałastry kawiarnianej – mogła się na nich spotkać, by wymienić plotki przed wyjazdem na wakacje, i Edith wiedziała, że Charles oraz Googie będą tam obecni; nawet Tigger był gotów zwlec się do miasta, aby odnowić znajomość ze swoją sferą. Arystokracja uważała to za miły doroczny obowiązek, trochę jak kiedyś otwarcie Letniej Wystawy, który należało spełniać z pogodą ducha. Charles na pewno tam będzie, myślała Edith, i ona złapie go za guzik. Jednak był jeden kłopot – dni mijały, listonosz codziennie wrzucał do skrzynki nowe listy, niestety, wciąż nie znajdowała wśród nich znajomego białego kartonika z adresem tłoczonym kursywą. Mniejsza o powód – być może ktoś chciał oszczędzić Charlesowi zakłopotania bądź uniknąć gniewu lady Uckfield (chyba nikt serio nie przypuszczał, że lord Uckfield zwróci uwagę na obecność Edith) – lecz nazwisko hrabiny Broughton najwyraźniej zostało usunięte z listy gości. Nie dostała zaproszenia na żadne z tych przyjęć.

W końcu nie mogła już dłużej udawać, że jej nie pominięto. Musiała znaleźć alternatywny plan. Zasiadła więc skulona nad książką adresową i jęła przeglądać nazwiska, niegdyś schludnie wpisane ołówkiem – zwyczaj, który nieświadomie przejęła od znieawidzonej teściowej, bo każdą pozycję dawało się łatwo wygumkować, gdy ktoś zmieniał adres lub przestawał być użyteczny. Przerzucała kartki, usiłując znaleźć kogoś, kto jej pomoże, aż

w końcu, *faute de mieux*<sup>[64]</sup>, wykręciła numer Tommy'ego Wainwrighta.

Słuchawkę podniosła Arabella i Edith poprosiła do telefonu Tommy'ego. Nastąpiła chwila chłodnego milczenia.

– Niestety, jest w parlamencie – powiedziała wreszcie Arabella.

– A kiedy wróci?

– Rzecz w tym, że jest teraz okropnie zajęty. Może ja mogłabym w czymś pomóc?

Nie, pomyślała Edith. Nie mogłabyś i nie zechcesz.

– Właściwie nie – odparła lekko. – Nie będę zawracać głowy. Po prostu mu powiedz, że dzwoniłam.

– Oczywiście, powtórzę.

Z bezbarwnego tonu Arabelli łatwo było wywnioskować, że ewidentnie nie zamierzała nic nikomu powtarzać. W końcu jednakże, może z obawy, że zostanie przyłapana na kłamstwie, przekazała wiadomość mężowi, naturalnie starając się go namówić, by ją zignorował. Edith tylekroć odtwarzała w myślach ten scenariusz, że była autentycznie zaskoczona, odbierając wieczorem telefon i słysząc w słuchawce głos Tommy'ego.

– Chcę się zobaczyć z Charlesem, ale wszyscy usiłują mi w tym przeszkodzić – oznajmiła po wymianie zwykłych uprzejmości.

– Dlaczego?

– Ze strachu przed Googie, żeby nie narazić się rodzinie, bo ja wiem?

Zapadła cisza. Prośba, choć niewyartykułowana, była ewidentna.

– Nie chciałbym go w nic wrobić – zastrzegł się Tommy.

– Ja też nie – zapewniła Edith. – Po prostu chcę się z nim widzieć.

Po kolejnej chwili Tommy z westchnieniem powiedział:

– Przyjdzie na drinka w środę koło siódmej. Możesz wpaść o tej porze.

– Nigdy ci tego nie zapomnę. – Z nabrzmiałego znaczeniem głosu Edith Tommy bez trudu się domyślił, jak traktuje ją reszta dawnego świata.

– Nie spodziewaj się zbyt wiele – rzekł ostrzegawczo. Miał pełną świadomość, jak wielkie są moce, którym Edith próbowała się przeciwstawić.



Byłem u Wainwrightów, kiedy Edith się pojawiła. W salonie pozostało niewielu gości – dwadzieścia, trzydzieści osób, które z braku czegoś lepszego do roboty posłusznie przybyły do małego domku w zaułku przy Queen Anne Street, aby rozpocząć wieczór od wędzonego łososia od Marksa i Spencera oraz kieliszka szampana Majestic. Apogeum spotkania już minęło i zebrani, popędzani przez teatry, rezerwacje w restauracjach oraz opiekunki do dzieci, powoli zaczęli się rozchodzić, gdy w drzwiach stanęła Edith z uśmiechem nadziei na ustach. Rozejrzała się po pokoju, jednak zaraz jej twarz skurczyła się z rozczarowania. Podszedłem do niej.

– Tylko nie mów, że Charles już sobie poszedł. Utknęłam w korku, a w ogóle trochę za późno wyszłam z domu.

Z łatwością zrozumiałem, jak to się mogło stać. Postarała się wyglądać jak najlepiej; nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział ją tak ponętą. Śliczna twarz była nieskazitelnie umalowana, włosy błyszcząły, figurę, i tak bardzo zgrabną, okrywał powabny strój.

– Nie martw się – mruknąłem uspokajająco. – Jeszcze go nie ma.

– Ale przyjdzie?

– Chyba tak. Tommy zapowiedział, że ma być.

– Mnie też tak powiedział. To gdzie on jest w takim razie?

Przygryzła wargę rozdrażniona. Jacyś znajomi z dawnych czasów, chcąc nie chcąc, zauważyli jej obecność i wciągnęli ją do rozmowy.

– Co ona tu robi? – zapytała Adela, zbliżając się do mnie. – Myślałam, że to przeciwny obóz.

– Chyba nie. Zdaje się, że Tommy próbuje doprowadzić do spotkania.

– Co ty powiesz? Dwa dni temu wpadłam na Arabellę u Harveya Nicksa<sup>[65]</sup>. Ona sądzi, że zerwanie to najlepsze, co mogło im się przytrafić.

– Nie wątpię, lecz nawet w małżeństwie czasem dochodzi do różnicy zdań. Chyba nie sądzisz, że to niemożliwe?

– Nic podobnego nie sądzę – powiedziała kwaśno Adela. – Jednak wciąż nie rozumiem, jak Arabella mogła się zgodzić, żeby on ją zaprosił.

Rzecz jasna nie byłem wówczas w stanie udzielić odpowiedzi, ale później wszystko i tak wyszło na jaw: naturalnie Arabella na nic takiego nie wyraziła zgody.

Przyjęcie zamierało. Niektórzy z nas mieli zostać u Wainwrightów na kolacji i właśnie utknęliśmy w niezręcznym momencie, który wszyscy znamy, kiedy niezaproszone osoby wychodzą, zostawiając na placu boju niedobitki, nieświadome faktu, że opóźniają kolejny etap wieczoru. Zazwyczaj gospodyni mięknie i mówi do uparciuchów: „Macie ochotę coś zjeść? Może zostanieie?”, co wyćwiczone ucho natychmiast interpretuje jako: „Proszę, idźcie już sobie. Jesteśmy głodni, a wy nie jesteście przewidziani”. Stary salonowy bywalec rozgląda się wówczas, oblewa pąsem i zmyka czym prędzej, mamrocząc pod nosem, że jest już spóźniony gdzie indziej. Tylko osoba niewtajemniczona, oporna bądź zwyczajnie głupia potraktuje serio tę nieszczerą propozycję poczęstunku.

Jednakże tym razem Arabella Wainwright ewidentnie nie zamierzała ryzykować zabawiania Edith przez resztę wieczoru. Milczała, lecz Edith wciąż nie wychodziła.

Podszedłem do niej.

– Pewnie zostajecie na kolację? – zapytała.

– Owszem. Podobnie jak chyba wszystkie osoby w tym pokoju.

Rozejrzała się. Gdy znów przemówiła, jej głos brzmiał tak beznadziejnie, że niemal się rozplakałem.

– Tak się zmobilizowałam. Nie przyszło mi do głowy, że on może nie przyjść. Pewnie jego matka jakoś się dowiedziała i go powstrzymała.

– Nie bardzo wiem, jak to możliwe. Tommy nawet mnie nie powiedział, że tu będziesz. Nie wyobrażam sobie, żeby wspomniał o tym komuś innemu.

Nie zabawiła już długo. Gdy Arabella wyszła z maleńkiej kuchni, niosąc stos talerzy, które ze szczękiem postawiła na stole na starannie ułożonych „sportowych” podkładkach, nawet Edith musiała pogodzić się z przegraną.

– Muszę lecieć – rzekła, zwracając się do obojętnej i nieugiętej gospodyni.

– Bardzo dziękuję, miło było znów was zobaczyć.

Arabella w milczeniu skinęła głową, ale Tommy odprowadził Edith do drzwi.

– Nie wiem, co się stało – powiedział. – Bardzo mi przykro.

Edith uśmiechnęła się do niego smutno.

– No cóż. Może to nie było sądzone.

Po czym ucałowała go i wyszła. Ale pogodziła się z losem tylko pozornie, gdyż nadal była przekonana, że ktoś zrujnował jej szanse.

Nie myliła się.

Późnym wieczorem, gdy wbrew osobistym zwyczajom pomagałem sprzątać talerze, zza uchylonych drzwi kuchni dobiegł mnie strzępek rozmowy.

– Co to ma znaczyć? – warczał Tommy z irytacją.

– Dokładnie to, co mówię. Uznałam, że skoro uważamy się za jego przyjaciół, to będzie nie fair zastawiać na niego pułapkę.

– Naprawdę tylko o to ci chodziło? To czemu zwyczajnie nie porozmawiałaś z Charlesem, żeby sam zdecydował, co zrobić?

– Tobie również mogę zadać to pytanie.

Tommy wyraźnie się speszył.

– Bo nie jestem pewny – mruknął – czy on naprawdę wie, czego chce.

– Właśnie. – W tonie Arabelli trudno było się doszukać choćby najmniejszych śladów skruchy. – I dlatego uprzedziłam jego matkę.

– Co za suka z ciebie.

– Możliwe. Za sześć miesięcy ocenisz, czy nie miałam racji. A teraz zanieś do pokoju śmietankę i spróbuj jej nie rozlać.

Nie mogłem dłużej udawać, że składam brudne talerze, pchnąłem więc drzwi do kuchni. Po kłótni nie było już ani śladu. Arabella zręcznie uwolniła mnie od brzemienia i powiedziała pogodnie:

– Jak to miło z twojej strony.

W drodze powrotnej do domu Adela nie dała się wciągnąć w żadne rozważania moralne.

– Po prostu przyrzeknij, że nigdy niczego takiego mi nie zrobisz – zażądała,

a ja się zgodziłem. Nie miałem do Tommy'ego pretensji; w istocie uważałem, że zachował się jak prawdziwy przyjaciel. Jednakże, dość małodusznie, nie miałem szczególnej ochoty kiedykolwiek się znaleźć w takim położeniu. Nie powtórzyłem jej również tego, co Arabella powiedziała o sześciu miesiącach, bo nawet na tym etapie rozwoju wydarzeń nie chciałem brać tamtej możliwości pod uwagę.

Kilka dni później Edith ocknęła się, wymiotując do umywalki. Chyba dotarła do łazienki w półśnie, bo ocuciły ją dopiero skurcze żołądka. Miała wrażenie, że wypluwa z siebie wnętrzności, ale w końcu mdłości zelżały, mogła usiąść i zaczerpnąć tchu. Zobaczyła, że Simon stoi w drzwiach ze słuchawką przenośnego telefonu w ręku. Sypiał nago i zazwyczaj widok jego boskiej postaci bardzo podnosił Edith na duchu, ale tego ranka owe umiejętności wdzięki nie zrobiły na niej wrażenia.

– Dobrze się czujesz? – zapytał głupio.

– To pewnie te wczorajsze krewetki – powiedziała, doskonale świadoma, że to on wybierał danie.

– Biedactwo. Lepiej, że się tego pozbyłaś. – Z uśmiechem podał jej telefon i krzywiąc się, wyszeptał bezgłośnie:

– Twoja matka.

Edith kiwnęła głową i wyciągnęła rękę po aparat.

– Zrobię kawę – rzekł Simon, oddalając się do kuchni.

Edith otarła usta i zebrała myśli.

– Mama? Nie, byłam w łazience.

– To ty wymiotowałaś? – zapytała pani Lavery w słuchawce.

– A kto inny mógłby to być?

– Wszystko z tobą w porządku?

– Oczywiście, że wszystko w porządku. Wczoraj byliśmy w jakimś upiornym lokalu na Earl's Court, który prowadzi niedoszły aktor, znajomy Simona. Chyba mi odbiło, że wybrałam akurat owoce morza.

– Bo kiedy cię ostatnio widziałam, wydawało mi się, że jesteś trochę

zielona na twarzy.

W zeszłym tygodniu Edith towarzyszyła matce w bezowocnych poszukiwaniach kapelusza – przeżycie, od którego każdy by zzieleniał. Jednak nie powiedziała ani słowa.

– Więc nie jesteś chora?

– Oczywiście, że nie.

– Powiedziałaś mi, gdyby... gdyby coś było, prawda?

Edith miałyby poważne wątpliwości, czy powiedzieć matce, która godzina, ale nie chciała teraz się w to wgłębiać.

– Jasne.

Zapadło milczenie.

– I nie masz żadnych wiadomości? O... tym wszystkim?

– Nie.

– Och, kochanie.

Edith, mimo że rozdrażniona, poczuła, że naprawdę żal jej matki. Owszem, wartości wyznawane przez panią Lavery należały do powierzchownych, niemniej trudno zaprzeczyć, że targające nią emocje były jak najbardziej autentyczne. Zwłaszcza jej pretensje.

– Nie podejmiesz żadnych... kroków, których mogłabyś żałować, prawda?

– Jakich kroków?

– No, nie spalisz za sobą mostów, dopóki nie będziesz pewna...

Edith zdążyła się już przyzwyczaić, że matka dysponuje niemal nieograniczonym zasobem komunałów, więc nie potrzebowała tłumacza, aby zrozumieć, o czym mowa. Dziwna rzecz, ale ubóstwo matczynego słownictwa pozwoliło jej się skupić na problemie. Kończąc rozmowę, miała już pewność, że przysłała pora na konkretne działanie.

Była sobota, dzień luźny i miły, który z reguły spędzali, czytając gazety, potem szli gdzieś na lunch, do kina albo na kolację w kuchni jakichś znajomych w Wandsworth, ale tym razem Edith ubierała się ze świadomością, że to będzie całkiem inny dzień. Starannie wybrała strój, ubranie na wieś,

bezpretensjonalne i nieostentacyjne, spódnicę i sweterek dokładnie w takim stylu, jaki z niemal religijnym ferworem odrzuciła nie tak dawno temu. Miała takie samo uczucie jak wówczas, gdy ubierała się na tamten pokaz mody – że prowadzi dwa życia, z których każde wymaga innego kostiumu. Córka księcia mogła wystąpić w stroju ulicznicy nawet na kolacji w Shropshire, ba, jeszcze pochwalono by ją za ekscentryczność, lecz jej, Edith, nikt nie dałby na to przyzwolenia. Gdyby ośmieliła się pojawić na wsi w londyńskich ciuchach, to krąg znajomych Charlesa uznałby to za kolejne świadectwo jej złego wychowania.

Kiedy weszła do kuchni, Simon spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Coś podobnego. Wyglądasz, jakbyś starała się o rolę w *Hay Fever*<sup>[66]</sup>.

– Czuję się jak kompletna idiotka. Obiecałam pojechać z matką na lunch i zupełnie o tym zapomniałam. Dlatego dzwoniła. Wybaczysz mi?

– Gdzie idziecie?

– Nasi krewni za miastem urządzają party.

– Przecież nie masz za miastem żadnych krewnych. O to ci chodziło, nie?

Był to rzadki przeblysłk intuicji ze strony Simona. Rzeczywiście, właśnie o to jej chodziło.

– Mam, tylko nigdy o nich nie mówiłam. Są tacy nudni, że nie nadają się do życia.

– To znaczy, że nie chcesz, bym z tobą pojechał.

Simon nienawidził sytuacji, kiedy nie mógł wziąć w czymś udziału. A przynajmniej decyzja musiała należeć do niego. Nie przeszkadzało mu to, jeśli był zajęty – prawdę mówiąc, nawet lubił odmawiać – lecz nie mógł znieść myśli, że ktoś nie zabiega o jego towarzystwo, choćby idąc z listem do skrzynki pocztowej.

Na ustach Edith wykwitł smutny uśmiech z rodzaju „ach-byłoby-miło”.

– Bardzo żałuję. Ale od dawna mnie błagała, żebyśmy spędziły trochę czasu tylko we dwie. Pewnie chce porozmawiać o tym wszystkim. – Jej słowom towarzyszyło lekkie wzruszenie ramion, wykluczające jakikolwiek sprzeciw.

– Tylko pamiętaj, że masz dobrze o mnie mówić!

Doskonale świadoma, że w głębi serca planuje jego upadek, uśmiechnęła się ciepło i serdecznie, po czym zeszła do sypialni po płaszcz. Nie powiedziała Simonowi, dokąd jedzie, bo nie chciała dopuścić do awantury, a wcale nie była pewna, czym skończy się ten dzień. Nadąsany Simon mógł przecież trzasnąć drzwiami i wrócić do żony, a ostatnią rzeczą, jakiej Edith sobie życzyła, był powrót do pustego mieszkania.

Prawda jest taka, że owego ranka, patrząc na swoje rzygowiny, uznała, że nie pozwoli się zwodzić ani dnia dłużej. Postanowiła pojechać do Broughton i dopaść lwa – a raczej lewka, syna lwicy – w jego jaskini. Nie mogła pojąć, dlaczego tak długo z tym zwlekała. To w końcu był jej mąż, ostatecznie jechała do ich małżeńskiej siedziby. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

Jednak czekała ją przykra niespodzianka, zapomniała bowiem, że w okresie letnim dom w soboty jest otwarty dla zwiedzających. Jakoś jej to umknęło, gdy czyniła swoje kalkulacje, a teraz znalazła się w nedorzecznym położeniu: musiała wybrać, czy zaparkować samochód na wewnętrznym dziedzińcu i skorzystać z wejścia dla rodziny, czy wkroczyć do środka razem z publicznością i przedostać się do głównej części domu w tłumie turystów i gospodyń domowych z Brighton. Śmiało zdecydowała się na ten drugi wariant. Uznała, że jeśli zadzwoni do drzwi dla rodziny, to będą mieli czas, by ją powstrzymać, poza tym była niemal pewna, że Charles w tej chwili przebywa w swoim gabinecie obok biblioteki. Błyskawicznie prześliźnie się przez kordon i wejdzie do niego; to zajmie tylko chwilę i żaden przewodnik – jak się słusznie domyślała – jej nie zatrzyma. I rzeczywiście, z rozmysłem przystanąła obok miłej kobiety w porządnym tweedowym kostiumie, sprawdzającej bilety przy wejściu.

– Dzień dobry, pani Curley, co u pani słychać? Mogę się tędy przemknąć? Pozwoli pani?

Świetnie opanowała sztukę stosowaną w rodzinie męża, kiedy niby to prosi się o przysługę, której de facto nie można odmówić. „Och, moja droga, wytrzyma pani, aż wrócimy do domu? Czy to nie za późno? Nie będzie to dla pani okropnie męczące?” Naturalnie zarówno nieszczęsna kobieta, jak i jej pracodawcy doskonale zdają sobie sprawę, że tak naprawdę znaczy to:

„Nie wolno ci iść spać, póki nas nie będzie”, lecz wydawanie poleceń w taki sposób bardziej łączy miłość własną. To część wizerunku świadomego kreowanego przez arystokrację, która lubi się pysznić swoim świetnym podejściem do służby, co zazwyczaj sprowadza się do żądania rzeczy niemożliwych możliwie jak najbardziej przyjaznym tonem.

Prośba Edith wyraźnie wytrąciła panią Curley z równowagi, ale – jak przewidziała Edith – niewiele mogła na to poradzić.

– Oczywiście, milady – odparła pogodnie i odczekawszy, aż Edith ją minie, wykręciła prywatny domowy numer.

Przypuszczenia Edith były słuszne – Charles Broughton faktycznie siedział w swoim gabinecie, zwanym przez lady Uckfield „małą biblioteką”, i udając okropnie zajętego, apatycznie odpowiadał na listy. Jego matka znów zażyczyła sobie weekendowego przyjęcia i znów zaprosiła osoby całkiem nieodpowiednie dla jego zranionej duszy. Zdaniem Charlesa Diana Bohun była kobietą nieciekawą, zimną i ostentacyjnie wyniosłą, a jej mężowi zwyczajnie brakowało piątej klepki. Clarissa nie figurowała na liście gości – przynajmniej w tej sprawie zdołał przekonać matkę, że grubo się myli – z drugiej strony jednak... jeśli nie Clarissa, to kto?

Wiedział już o wizycie Edith u Tommy’ego Wainwrighta. W istocie Tommy powiedział mu o tym zaraz następnego dnia, być może nie chcąc, by wiadomość przekazał mu ktoś inny. Z początku Charles straszliwie się wściekł, nie na Tommy’ego, lecz na swoją matkę, która tego wieczoru nagle kazała się zawieźć do szpitala, by odwiedzić jakąś swoją odwieczną przyjaciółkę, przedstawiając to jako misję niecierpiącą zwłoki. Oczywiście teraz zrozumiał, że był to najprostszy w świecie wybieg, by uniemożliwić mu pójście do Wainwrightów. Później jednak, gdy trochę ochłonął, po raz tysięczny zadał sobie pytanie, co właściwie mógłby osiągnąć przez spotkanie z Edith. Jakkolwiek w ocenie jego przyjaciół postąpiła co najmniej dziwnie, Charles doskonale rozumiał, dlaczego go rzuciła. Był nudny. Wiedział o tym, bo na swoje nieszczęście miał akurat dość inteligencji, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Wiedział, że kiedy pozłotka spłowiła, przestał być dla Edith



interesujący. Szczerze mówiąc, przez większość czasu nie miał bladego pojęcia, o co chodziło jego żonie, gdy kwestionowała politykę opozycji albo rozważała korzyści i straty interwencji na Bliskim Wschodzie... Owszem, słyszał, że ludzie miewają różne poglądy, ale nie pojmował, dlaczego on właśnie musi je mieć. Chyba wystarczało, że głosował na konserwatystów i narzekał na tę okropną New Labour, czyż nie? To i tak więcej, niż jego kumple z klubu White'a. No ale Edith wyraźnie to nie wystarczało.

A teraz, kiedy już nawet on zaczął podejrzewać, że Edith chce do niego wrócić – a przynajmniej, że chce z nim o tym pomówić – wcale nie był pewny, czy to coś zmieni. Czy ona znów się nim nie znudzi po kilku miesiącach albo i tygodniach? Czy nie będzie lepiej dla niej i dla niego, jeśli przyznają się do porażki? Słowem, tak właśnie zaczął myśleć o swoim małżeństwie. To była klęska, owszem, ale należało się z nią pogodzić i jak najszybciej zacząć żyć dalej.

Rzecz jasna dokładnie o to chodziło lady Uckfield. W dzisiejszych czasach uważa się zazwyczaj, że rodzice nie powinni ingerować w osobiste sprawy swoich dzieci, bo to nieodmiennie źle się kończy. Nieprawda. Sprytni rodzice mogą naprawdę wiele zdziałać, jeśli nie rozgrywają sprawy zbyt pośpiesznie. A markiza Uckfield zaliczała się do najsprytniejszych.

Uniósł głowę i ujrzał posagową postać wicehrabiny Bohun, wślizgującej się do gabinetu.

– Charles? – szepnęła, desperacko przewracając oczami. – Dzięki Bogu, że jesteś.

– Dlaczego? O co chodzi?

– Jestem w strasznym kłopotcie. Peter poszedł na spacer, a my nie mamy samochodu... – Charles czekał cierpliwie. – Chodzi o to... – Diana nerwowo zwilżyła wargi; miała prawdziwy talent aktorski. – Daty mi się pomyliły i niczego ze sobą nie wzięłam...

Charles wpatrywał się w nią pytająco. To, co mówiła, brzmiało bezsensownie, niczym zły przekład z obcego języka.

– Przepraszam – rzekł w odpowiedzi na jej pseudorumieńce – ale nie bardzo wiem...

Diana przezwyciężyła swoją odrazę do tego rodzaju taktyki. W rozpacz człowieka posuwa się do ostateczności, a gospodyni zdołała ją przekonać, że sytuacja jest naprawdę rozpaczliwa.

– Nie spodziewałam się, ale... to moja pora miesiąca i muszę jechać do apteki...

– O Boże! – Charles, szaleńczo zażenowany, zerwał się na równe nogi. – Oczywiście. Co mam zrobić?

Diana odetchnęła z ulgą. Osiągnęła cel cudownie szybko.

– Czy dałbyś radę zawieźć mnie do Lewes, tylko że na wsi wszystko zamykają o pierwszej...

– Jasne. W tej chwili.

– Tylko powiem coś twojej mamie.

– W porządku. Lecę po samochód. Bądź przed wejściem za pięć minut. I nie martw się.

Rozczuliło ją, że zdaniem Charlesa mogłaby się zmartwić zjawiskiem, które przeżywała co miesiąc od dwunastego roku życia, uznała jednak, że nie należy uśmierzać jego niepokoju. Z lekkim uśmiechem patrzyła, jak biegnie do drzwi; wybrała właściwe kłamstwo i uzyskała natychmiastowy efekt. Słusznie oceniła, że Charles należy do mężczyzn, których mechanika kobiecości napawa najwyższym niesmakiem. Dość było jednej wzmianki, by nie chciał więcej o tym słyszeć i rzucił się do działania. Słyszając, jak z hukiem zbiega po wielkich schodach, poczuła przypływ uzasadnionej dumy z dobrze wykonanej roboty.

Edith dotarła zaledwie do półpiętra z rzeźbą niewolnika z brązu, gdy spod odgradzonego sznurem łukowatego przejścia wyłoniła się lady Uckfield.

– Edith? To ty? Czemu nam nie powiedziałaś, że przyjeżdżasz?

Teściowa wsunęła jej dłoń pod ramię i pociągnęła ku drzwiom rodzinnego salonu. Edith, która natychmiast zrozumiała, że gra skończona, pluła sobie w brodę, że nie odważyła się zakraść do środka, dla niepoznaki zasłaniając twarz szalikiem, niemniej nie poddała się od razu. Wyplątała się z uścisku

Googie i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę gabinetu Charlesa.

– Pomyślałam, że nie będę zawracać wam głowy, chcę tylko zamienić z Charlesem kilka słów. To potrwa zaledwie chwilkę. – Szła tak szybko, że lady Uckfield, ku uciechu zgromadzonej publiczności, wręcz truchtała, by za nią nadążyć.

Znalazły się we wspaniałej bibliotece, w otoczeniu wysokich mahoniowych regałów na podstawach z brązu. Znad kominka, odziany w kasztanową rokokową perukę, spoglądał jakiś dawny Broughton, którego zapewne zaskoczyła rozgrywająca się poniżej scena. Również wielu zwiedzających rozpoznało jedną lub nawet obie kobiety – w końcu kryzys małżeński Broughtonów trafił na łamy połowy gazet w kraju – gdyż odwrócili znudzone spojrzenia od złożonych skórzanych opraw na półkach i zachwyceni nieoczekiwaną rozrywką, skupili na nich całą uwagę.

– Zostaniesz na lunch? – zapytała lady Uckfield, która w obliczu powszechnego zainteresowania usiłowała za wszelką cenę znormalizować sytuację.

– A co? Chcesz, żebym została? – odparła Edith. Ona, przeciwnie, znakomicie się bawiła tym wystawieniem teściowej na widok publiczny.

– Oczywiście – rzekła lady Uckfield, daremnie próbując chwycić Edith za rękaw i powstrzymać jej marsz po lśniącym parkiecie.

– Nie wydaje mi się – ucięła Edith.

Dotarła już do gabinetu i niemal kładła rękę na klamce, gdy drzwi się otworzyły, ukazując dostojne kształty lady Bohun. Ruch głowy, którym dała znak gospodyni, był leciutki, niemal niedostrzegalny, nie umknął jednak uwadze Edith. Spóźniła się. Ptaszek się ulotnił.

– Dzień dobry, Edith – wycedziła Diana najbardziej powolnym i zmanierowanym tonem, jakim dysponował jej arsenał. – Wybacz, ale śpieszę się do Lewes, żeby coś kupić, zanim zamkną wszystkie sklepy. Czy jeszcze cię zastanę po powrocie?

– A jak sądzisz? – zapytała Edith i Diana odeszła bez dalszych pytań.

Lady Uckfield pozostawiona sam na sam z synową wciągnęła ją do pokoju

i zamknęła drzwi.

– Usiądź na chwilę – powiedziała, zajmując miejsce za biurkiem Charlesa i machinalnie układając porozrzucone papiery w schludne kupki.

– Nie ma potrzeby – odrzekła Edith. – Skoro Charlesa nie ma, to pójdę sobie.

– Usiądź, proszę – powtórzyła Googie i Edith usiadła. – Przykro mi, że postrzegasz nas jako wrogów, moja droga.

– Nie wątpię, że ci przykro, ale chyba się temu nie dziwisz.

Lady Uckfield spojrzała na nią dotknięta.

– Słuchaj, bardzo mi zależało, żeby wasze małżeństwo było udane. Źle mnie oceniasz, jeśli sądzisz inaczej. Zawsze chciałam, żebyście byli szczęśliwi.

– Chciałaś, żebyśmy robili dobrą minę do złej gry.

– Ale jakoś nie zdołałaś, prawda? – zapytała sucho lady Uckfield, z której głosu znikły wszelkie ślady zwykłej egzaltacji i vibrato.

Edith musiała przyznać, że jest w tym pewna doza logiki i jej ferwor trochę przygasł. Czy rzeczywiście postępowała racjonalnie, oczekując, że lady Uckfield będzie szalała ze szczęścia, gdy ona, Edith, wkroczy w jej życie? I dlaczego właściwie teściowa miałaby ją zaakceptować akurat teraz, gdy cały przykry epizod już dobiegał kresu?

Lady Uckfield jeszcze nie skończyła.

– Rok temu – ciągnęła – sam widok Charlesa przyprawiał cię o mdłości. Zaciskałaś zęby, kiedy coś mówił, wzdrygałaś się, kiedy cię dotykał. Jestem jego matką i mieszkałam z tobą pod jednym dachem. Naprawdę sądziłaś, że tego nie zauważę?

– Nie całkiem tak było.

– Dokładnie tak było. Charles cię nudził. Nudził cię śmiertelnie. Gorzej, drażnił cię do obłądu. Nie mógł cię zadowolić, choćby nie wiem jak próbował. Cokolwiek robił i mówił, było źle. Sama jego obecność działała ci na nerwy. A teraz... co ja mam myśleć o twojej nagłej chęci, by się z nim zobaczyć? Co się zmieniło?

Edith wyprostowała się i spojrzała przeciwnicze w oczy. Była

zdecydowana w jakiś sposób przejąć inicjatywę.

– A nie przyszło ci do głowy, że miałam trochę czasu, by się zastanowić? Czy twoim zdaniem jestem zbyt głupia, żeby myśleć o czymś prócz pieniędzy i pozycji?

– Moja droga, nigdy nie uważałam cię za głupią. – Lady Uckfield uniosła dłoń w proteście. – Proszę, żebyś przynajmniej to doceniła. – Słyszac chrzęst żwiru, podeszła do okna, ale na szczęście, wbrew jej obawom, nie był to Charles wracający po jakąś zapomnianą rzecz. – Po prostu zadaję sobie pytanie, dlaczego nagle uznałaś kontakt z Charlesem za niezbędny. Przez pierwsze kilka miesięcy nie przejawiałaś takich chęci, prawda? Więc jako matka pytam samą siebie, co takiego się zmieniło, że ponowny związek z moim synem stał się pożądany, skoro przedtem był taki niepożądany?

– Może doszłam do wniosku, że nie wybrałam zbyt dobrze. Czy to tak trudno pojąć?

– Wręcz przeciwnie. Pojmuję to z łatwością. Zwłaszcza że sędzę, że doprawdy, wybrałaś fatalnie. Ale... – złożyła dłonie, stykając palce niczym kaznodzieja, dobrodusznie pouczający kogoś z ambony – ...dlaczego teraz? Skąd ta błyskawiczna wolta?

Edith wlepiła w nią wzrok.

– Nie możesz nam bez końca zabraniać się widywać.

Lady Uckfield skinęła głową.

– Nie. Przypuszczalnie nie mogę.

– No właśnie.

– Ale mogę nie dopuścić do spotkania jeszcze przez kilka miesięcy. Być może będzie to sześć miesięcy, a może wystarczą trzy. Wtedy wszyscy zobaczymy, jak się czujemy z tym fatalnym wyborem, którego dokonałaś.

W owej chwili Edith zrozumiała, że jej teściowa – kochana Googie ze swoją czystą jak śnieg duszyczką – oczywiście wie. Nigdy o tym nie rozmawiały, ani wtedy, ani w następnych latach, niemniej od tej chwili obie miały już co do tego absolutną pewność. Edith wstała.

– Pójdę już.

– Jesteś pewna? Może przynajmniej dam ci coś do zjedzenia? Nie chcesz iść do toalety? Jechałaś taki szmat drogi...

Znów wróciła do swojego zwykłego intymnego tonu, do rytmu dziewczynskich sekretów szeptanych w sali sypialnej o północy.

Osobliwa rzecz, ale w owej chwili Edith zalała fala nieodpartego podziwu dla tej kobiety, która była jej zaprzysięgłym wrogiem i która w każdym sporze z kimś z zewnątrz umiała zachować przewagę. Walka z nią była trudna – ale możliwa.

– Ależ z ciebie zasrane krówsko – oznajmiła. – Zasrane gruboskórne krówsko bez serca.

Po zastanowieniu lady Uckfield przytaknęła.

– Zapewne twój niepochlebny opis zawiera pewną dozę prawdy – rzekła zgodnie. – Ale możliwe również, że właśnie ta cecha, którą, mam nadzieję, da się opisać mniej soczystym językiem, pozwoliła mi w pełni wykorzystać otrzymaną szansę, podczas gdy ty zmarnowałaś swoją. Żegnaj, moja droga.

Powstaje pytanie, dlaczego Edith, przechytrzona na wszystkich frontach, nie rozwiązała swojego dylematu w bardziej nowoczesny sposób i nie uwolniła się od kłopotu w jakiejś dyskretnej klinice za miastem. Mogła przecież później odczekać owe trzy do sześciu miesięcy, przewidziane przez lady Uckfield i stanąć przed nimi z podniesionym czołem. Podejrzewam, że sama niezbyt dobrze wiedziała, dlaczego stanowczo nie chce iść tą drogą. O ile wiem, nie należała do szczególnie religijnych osób, sądzę nawet, że na co dzień stosowała zaledwie minimum zasad moralnych, być może jednak widząc, że jest w jej mocy ocalić życie, które zależy od niej i tylko od niej, nie potrafiła złożyć go w ofierze. Sądzę, że decyzja ta miała charakter bardziej animalny niż sentymentalny – chyba że za sentymentalną uznamy każdą tygrysicę w dżungli. Mam wrażenie, że kobiety lepiej niż mężczyźni pojmują, dlaczego coś, co istnieje tylko hipotetycznie, a w sensie prawnym nie istnieje wcale, mimo to wzbudza aż taką lojalność.

Ostatecznie pomoc przyszła z całkiem nieoczekiwanej strony. Kiedy następnego ranka Edith opowiedziała mi o wypadzie do Broughton, naturalnie zacząłem bardzo się obawiać, że poprosi mnie, abym aktywniej włączył się do sprawy. Ale wówczas mnie zaskoczyła; zamierzała zaczekać, oznajmiła, aż Charles następnym razem wybierze się do Feltham.

- Bywa tam mniej więcej co dwa tygodnie. I tam go przyłapię.
- Jak zamierzasz się o tym dowiedzieć?
- Caroline mi powie. Nawet obiecała mnie zawieźć.

Informację tę przyjąłem tyleż z ulgą, co ze zdumieniem. Z ulgą, gdyż wynikało z niej, że nie będę już potrzebny; ze zdumieniem, bo nigdy nie wpadłbym na pomysł, że Caroline zrobi coś wbrew interesom matki. Nawet

dziś nie jest dla mnie jasne, jakimi pobudkami się kierowała. Chase'owie akurat przeżywali kryzys małżeński, możliwe więc, że Caroline nie życzyła sobie, żeby kwestia korzystnego sfinalizowania jej rozwodu została przyćmiona przez rozstanie dziedzica rodu z małżonką. Być może traktowała to jako akt buntu przeciwko matce i propagowanym przez nią wartościom, które rzekomo odrzucała, a przynajmniej tak się jej wydawało. A może chodziło o rzecz znacznie prostszą: Caroline bardzo kochała swojego brata i nie mogła znieść, że jest nieszczęśliwy. Ostatecznie sądzę, że jak to zwykle bywa, wszystkie te czynniki odegrały pewną rolę.

– Już zdążyłaś się z nią skontaktować?

– Zadzwoiła dziś rano. Słyszała, że byłam w Broughton. Pewnie zrobiło się jej żal.

– No, nie powiem, żebym nie był zdziwiony, niemniej cieszę się w twoim imieniu. Niewątpliwie to o wiele bardziej stosowne, by pomagała ci siostra Charlesa, a nie obcy człowiek, taki jak ja. Dasz mi znać, jak ci poszło?

– Owszem.

Pomimo wyjaśnień sama Edith również nie bardzo rozumiała pobudki Caroline. Nigdy nie były ze sobą blisko, lecz gdy Edith weszła do rodziny, wytworzyła się między nimi pewna zażyłość. W rzeczy samej, mimo niekończącego się potoku jadowitych uwag, którymi Eric obrzucał Edith, osiągnęły z bratową coś w rodzaju ostrożnej komitywy, choć określenie „przyjaźń” byłoby tu słowem zbyt mocnym. Poza tym, co tu dużo mówić – Caroline zawsze doskonale wiedziała, komu jest winna lojalność. Jako osoba całkowicie pozbawiona autorefleksji utrzymywała, że jest kobietą nowoczesną, lecz w gruncie rzeczy była nieodrodną córką swojej matki. Owszem, gardziła koterią hrabin o zaciętych twarzach oraz żon ministrów, wśród których obracała się lady Uckfield, trzeba jednak jasno stwierdzić, że jej przyjaciele wywodzili się prawie wyłącznie spośród zbuntowanych i dziwnie ubranych dzieci tych pań.

Tak czy inaczej, bez względu na swoje motywacje Caroline dotrzymała słowa. Dwa dni później na Ebury Street zadzwonił telefon, a gdy Edith



podniosła słuchawkę, usłyszała głos bratowej.

– Jeśli mówiłaś poważnie, to informuję, że Charles jest teraz w Feltham. Wczoraj tam pojechał i do jutra będzie sam.

Edith zerknęła na Simona, pogrążonego w lekturze „Daily Mail”. Kazał codziennie dostarczać sobie także „Independent”, którego wszakże nigdy nie czytał. Skupiła się; została zmuszona do nieco akrobatycznej konwersacji, jakie prowadzimy, pragnąc ukryć treść rozmowy przed postronnymi słuchaczami.

– To miło z twojej strony.

– No więc jak? Chcesz, żebym cię tam zawiozła?

– Jeśli jesteś w stanie – odpowiedziała sztywno.

– Nie możesz rozmawiać?

– Właściwie nie.

– Będę o dziesiątej przy wylocie Sloane Street pod bankiem Couttsa.

– Świetnie.

Edith ostrożnie odłożyła słuchawkę. Nic nie powiedziała, nie dlatego – jak wyjaśniała później – że osłabła w niej chęć zobaczenia się z Charlesem, lecz dlatego, że podobnie jak w przypadku wizyty w Sussex, nie chciała palić za sobą mostów. Zresztą Simon ledwie zauważył, że w ogóle z kimś rozmawiała.

– Pracujesz dzisiaj? – zapytała, uśmiechając się do niego.

Podniósł głowę.

– Po południu. A co?

– Dzwoniła Caroline. Zaprasza mnie na lunch.

– Jak widzę, zostawiasz sobie furtkę.

Nie odpowiedziała, ale nie zwrócił na to uwagi.

Znów z wielkim rozmysłem wybrała strój. Mogła pójść na łatwiznę i jak poprzednio ubrać się prosto i swobodnie, jakby wciąż mieszkała w Broughton, lecz po upokorzeniu, którego doznała ze strony lady Uckfield, doszła do wniosku, że byłoby to niegodne. A co gorsza, zbyt oczywiste i nachalne, co dostrzegła dopiero teraz. Nie – jeśli Charles miał zgodzić się na jej powrót, to

musiał ją zaakceptować taką, jaka jest, jako Edith, a nie klon Diany Bohun czy innej suki bez serca, czerpiącej korzyści z małżeństwa dla zysku w samym centrum Charlesowego świata. W końcu zdecydowała się na czarną obcisłą spódniczkę, która podkreślała jej zgrabne nogi, oraz luźny niebieski sweter z wplecionymi barwnymi wstążkami. Wyszczotkowała włosy i mocno się umalowała (jak dla Charlesa, bo nie Caroline). Przejrzała się i uznała, że efekt ją zadowala. Wyglądała ładnie, świeżo i akurat dostatecznie londyńsko, żeby nie zrobić wrażenia, iż za bardzo się stara.

– Bardzo ładnie – pochwalił Simon. – Dokąd teraz idziesz?

– Pomyślałam, że najpierw przejdę się po sklepach. Muszę kupić coś na urodziny ojca.

– Pewnie nie zechcecie mnie zaprosić na wasz paniński lunch...

– Caroline urządza go u siebie w domu... – Edith smutno wzruszyła ramionami. – A może pójdziesz ze mną na zakupy? Poszukam czegoś dla taty, a potem wybiorę się do Harrodsa. Zobaczą, co mają na lato.

Mogłoby się wydawać, że ta chytra propozycja wiąże się z pewnym ryzykiem, ale to nieprawda. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie da się ciągnąć po sklepach kobiecie, która nawet nie wie, o co jej chodzi. Zwłaszcza jeśli wiadomo, że na końcu nie czeka go lunch. Jak przewidziała, Simon pokręcił głową.

– Nie bardzo mi się chce. Wybacz. Zobaczymy się wieczorem.

– Kiedy wrócisz?

Wzruszył ramionami.

– O siódmej, ósmej.

Pocałowała go, chwyciła płaszcz i wyszła. Minutę później zmierzała już w stronę antykwariatów przy skrzyżowaniu z Pimlico Road. Wiedziała, że Caroline podczas dwugodzinnej jazdy z pewnością zapyta ją o plany; pragnęła się zastanowić, co jej powie, a także co naprawdę czuje – gdyż jedno niekoniecznie musiało pokrywać się z drugim.

Pojęła już, wnosząc choćby z historycznego sprzeciwu lady Uckfield, że ma sporą szansę odzyskać Charlesa. Przez chwilę udawała sama przed sobą, że

rozważa tę możliwość wyłącznie teoretycznie, w głębi serca czuła jednak, że sprawy zaszły znacznie dalej. W przeciwnym razie – musiała to przyznać – nie dążyłaby aż tak usilnie do spotkania. Pozostawało pytanie, czy rzeczywiście chciała go odzyskać? Za wszelką cenę? Czy zamierzała wymusić jakieś ustępstwa? A co, jeśli ich życie ułoży się według starego wzorca? Czy w ogóle mogła oczekiwać jakichś ustępstw? Przecież Charles miał w ręku wszystkie atuty. No i była jeszcze jedna możliwość, najgorsza: a co, jeśli się myliła i on wcale nie pragnął jej powrotu? Oczywiście, snując te rozważania, miała pełną świadomość, że poniekąd wyparła prawdziwy powód tego przewrotu uczuciowego, spychając go do najskrytszych zakamarków duszy, uznała jednak, że jeśli się jej powiedzie, to nic nigdy nie wyjdzie na jaw, więc po co martwić się na zapas? Sama myśl o problemie sprawiała, że otwierała się przed nią otchłanna przepaść, więc nie miała zamiaru go poruszać, chyba że w skrajnej potrzebie. A poza tym, odkąd się dowiedziała, że nareszcie uda jej się zobaczyć z Charlesem, jej sekret praktycznie przestał istnieć.

Przystanęła naprzeciw Poule au Pot, żeby obejrzeć rysunki na wystawie galerii. Chwilę później za jej plecami zatrzymała się lśniąca limuzyna z kobietą o nieokreślonym bliskowschodnim wyglądem. Z auta natychmiast wyskoczył szofer, pomógł pasażerce wysiąść i otworzył przed nią drzwi sklepu. Patrząc na tę mocno uróżowaną istotę w sobolowym futrze, z błyskiem brylantowych bransolet na rękach, Edith nagle wspomniała swoją teściową. Jakże inny był styl lady Uckfield! Ta przybyłaby taksówką z minimum hałasu, w rozsądnym stroju i wspaniałych perłach, ufna, że kierownik ją rozpozna. A przecież, gdyby doszło do spotkania obu kobiet, to nieswojo poczułaby się Lewantynka, a lady Uckfield pozostałaby uprzejma i obojętna.

Paradoksalnie, starcie w małej bibliotece w Broughton nie pogrążyło lady Uckfield w oczach Edith – przeciwnie, w jego wyniku poczuła niechętny szacunek dla kodu moralnego teściowej. Edith zawsze nieco gardziła osobami z kręgu Charlesa, które nadskakiwały jego matce, jednak ostatnie dni kazały jej zrewidować tę postawę. Niewykluczone, że tuż po ślubie istotnie pragnęła tego wszystkiego, co stanowiło codzienność tamtej wschodniej piękności w futrze – luksusu, splendoru, sławnych twarzy. Dla młodej Edith Lavery

każda z tych rzeczy, przynajmniej w angielskiej wersji, należała do domniemanego „świata lady Broughton”, toteż bardzo się zdziwiła, kiedy jej nowe życie okazało się całkiem przyziemne. Wiedziała, że zdaniem lady Uckfield jej wyobrażenia o wyższych sferach zostały zaczerpnięte z dziewiętnastowiecznych powieści i biografii, czasami nawet próbowała bronić swojej matki przed zarzutem, iż ta napchała jej głowę burżuazyjnymi mrzonkami. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że te oskarżenia były słuszne. Realne życie z Charlesem istotnie wydawało jej się płaskie i monotonne w porównaniu z blaskiem władzy, sal balowych i zawrotnych karier w stylu lady Palmerston, jakich się spodziewała.

A przecież owego dnia, gdy tłum na pokazie mody rozstał się przed lady Uckfield i krewną królowej niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem, Edith zobaczyła, czym jest to, co tak łatwo odtrąciła – że jest to klucz, przynajmniej dla ludzi powierzchownych, do wszystkich zamkniętych drzwi w Anglii i na świecie. Być może tytuł szlachecki nie gwarantował zaproszenia do Camp David, lecz już w Palm Beach na pewno nie byłaby samotna, nawet w XXI wieku. Co więcej, tymczasem zdążyła zrozumieć, że owi ludzie powierzchowni, te snoby, których życie społeczne polega na kolekcjonowaniu nazwisk w celu podwyższenia własnego statusu, i tak mają dziesięciokrotną przewagę nad całą resztą. W ogólnym porządku rzeczy ten rodzaj władzy być może nie jest wiele wart, ale co ona zyskała zamiast niego? Życie w Broughton było nudne, lecz jakie było życie na Ebury Street? Czy wołała, by otaczał ją harmider i ruch, czy wołała mieć siłę przebicia? Odęta i znudzona opuściła świat ludzi światowych, po czym z dnia na dzień zamiast ważną figurą w Grze Towarzyskiej stała się blotką, nikim, osobą, z którą ludzie wstydzili się pokazać publicznie.

Czując coś w rodzaju dreszczu, podjęła spacer. Teraz musiała pomyśleć o obu mężczyznach. Wiedząc, że poślubiła Charlesa ze względu na nazwisko i fortunę, podświadomie zawsze zakładała, że bez tych atrybutów w żadnym wypadku nie zwróciłby jej uwagi. Przeżyła z nim dwa lata, podczas których coraz bardziej miała mu za złe coś, co dzisiaj wyglądało na totalny absurd – że schwytał ją w sidła, oferując jako wabik swoje ziemskie dobra, choć

doskonale zdawał sobie sprawę, że nie potrafi zapewnić jej żadnych atrakcji, gdy już zostanie złapana. A przecież tak naprawdę to ona się za nim uganiała, tyle że w chwili, gdy Simon pojawił się na horyzoncie, w swoim zakłamanym i nieszczerym umyśle zdążyła już sprowadzić Charlesa i jego moralność do poziomu pułapki z przynętą.

Wpatrując się w wystawy antykwariatów na Pimlico Road, wróciła myślami do rozważań w Green Park, kiedy to zdała sobie sprawę, że rozłąka zmieniła wiele jej ocen. Nieświadomie nabrała zwyczaju, by łagodniej myśleć o swoim mężu. Czy rzeczywiście jego towarzystwo było tak niemiłe? Czy naprawdę był o wiele mniej atrakcyjny niż Simon? W końcu mężczyźni znacznie od niego gorsi bez przerwy znajdowali sobie żony. Czy w zamierzchłej przedmałżeńskiej przeszłości perspektywa wyjścia za kogoś takiego jak Charles faktycznie byłaby dla niej tak nieznośna? Czy istotnie, poznawszy pana Charlesa Broughtona jako adoratora szkolnej przyjaciółki, uciekłaby z krzykiem w środku nocy, ciągnąc nieszczęsną dziewczynę za sobą? Oczywiście, że nie. Owszem, Simon był przystojniejszy, co do tego nie miała wątpliwości, ale w ciągu kilku wspólnie spędzonych miesięcy jego uroda spowszedniała, a nieustanny błysk w oku, towarzyszący wszelkim kontaktom towarzyskim, zaczął ją wręcz irytować. Zwyczajnie znudziły ją jego ciągłe uśmieški i spojrzenia spod zmrużonych powiek, którymi obdarzał kelnerki, stewardesy i dziewczyny z szatni u Partridge'a. Nie mogła już patrzeć, jak zarzuca złocistą grzywą.

Bardziej kłopotliwa od sprawy wyglądu (ostatecznie Charles, choć niezbyt urodziwy, prezentował się całkiem znośnie) była dla niej kwestia seksu. Musiała przyznać, że Simon jako kochanek jest o wiele lepszy, właściwie znakomity – i to wedle wszelkich standardów, nie tylko w porównaniu z Charlesem – czego już nie dało się łatwo zlekceważyć. Lubiła kochać się z Simonem, nawet bardzo. Prawdę mówiąc, wystarczyło jej pomyśleć o łóżku, żeby poczuła łaskotki w podbrzuszu, zaczęła się niespokojnie wiercić i raz po raz zakładać nogę na nogę. Drogi Charles, który szturchał ją niezdarnie przez pięć minut – jego „dziękuję, kochanie” doprowadzało ją do białej gorączki – naprawdę nie stanowił tu żadnej konkurencji.

Jednak po raz pierwszy musiała przyznać, że po roku, jak było do przewidzenia, miłość fizyczna z Simonem utraciła urok nowości. Seks niewątpliwie nadal był świetny, choć nie tak częsty jak poprzednio, ale nie czynił jej już ślepą na życie, które prowadziła i dla którego wyfrunęła ze złotej klatki. W końcu, jak długo można leżeć w łóżku i uprawiać miłość? Czy pół godziny przyjemności dwa, trzy razy w tygodniu naprawdę równoważyło te wszystkie okropne, niekończące się przyjęcia, tych koszmarnych ludzi z nosowym akcentem, bez przerwy ćmiących papierosy, tych wszystkich strasznych kumpli ze szkoły teatralnej, bez końca omawiających swój „fryz”, prace w ogródku i wakacje all-inclusive? I wreszcie, czy Charles nie był na swój sposób słodki? Czy nie był bardziej przyzwoity od Simona? Czy nie był bardziej autentyczny jako człowiek?

Tak oto Edith podążała Sloane Street, bez końca wałkując swoje fałszywe wartości, aby za pomocą tej litanii przekonać samą siebie do zasadniczych zalet Charlesa, gdy wtem rzadki przypływ szczerych uczuć oświetlił, niczym promień słońca spoza chmur, całą ironię tego wewnętrznego dialogu. Pracowicie wyliczała argumenty, ba, niemal się do tego zmuszała w obawie, że najmniejszy sprzeciw, gdyby dopuściła go do głosu, okaże się decydujący, podczas gdy każdy bezstronny obserwator – nagle zyskała co do tego pewność – niepytany mógł jej powiedzieć, że Charles bezspornie jest porządniejszym człowiekiem niż Simon. Było to oczywiste, bo w gruncie rzeczy Simon pod żadnym istotnym względem nie mógł uchodzić za porządnego. W przeciwieństwie do Charlesa nie powodował się honorem, a jedynie pragmatyzmem. Nie był prawdziwy, bo nie było w nim prawdy. Jego moralność stanowiła tandetną zbitkę modnych poglądów z drugiej ręki, które miały mu zaskarbić przychyłność kierowników obsady. Edith wmawiała sobie, że pod pewnymi względami woli Charlesa od Simona, chociaż dla nikogo, kto znał ich obu, nie mogło być między nimi żadnego porównania. Charles, jakkolwiek nudny, był nieskończenie lepszym człowiekiem. Simon był kupą niczego.

W owym momencie do Edith wreszcie dotarło, że nikt – a tego lękała się najbardziej – nie będzie miał jej za złe powrotu do męża; przeciwnie, ludzie

wciąż nie mogli wyjść ze zdumienia, że mogła go porzucić dla takiej atrapy. A przecież musiała przyznać – czuła bowiem, że choć raz w życiu powinna być szczerą – że jeśli chce odzyskać Charlesa, to nie dla jego cnót. Nie chodziło nawet o jej sekret. Poczucie niczym niezagrożonego prestiżu – oto, czego jej brakowało i czego teraz, w obliczu skrywanego kryzysu, potrzebowała bardziej niż kiedykolwiek. Prawda była taka, że miesiące spędzone poza domem stanowiły ostateczne potwierdzenie stroniczych ostrzeżeń jej matki. Edith wybrała się na spacer i odkryła, że na dworze jest zimno.

Kiedy wreszcie dotarli na trasę M11, Caroline oznajmiła:

– Chyba odejdę od Erica.

Edith skinęła głową, lekko unosząc brwi. Milczała.

– Jakiś komentarz? – zapytała Caroline.

Była przerażająco złym kierowcą, bo nigdy nie nauczyła się rozmawiać, nie patrząc na rozmówcę.

Edith nerwowo zerknęła na ciężarówkę, która śmignęła im kilka cali przed maską.

– Chyba nie. W mojej sytuacji raczej nie powinnam niczego komentować. Poza tym – rzekła, zapatrzona w okno – nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego za niego wyszłam; o wiele łatwiej mi zrozumieć, dlaczego od niego odchodzisz.

– Po prostu nie pamiętam, dlaczego za niego wyszłam – zaśmiała się Caroline. – W tym cały problem.

– Całe szczęście, że nie macie dzieci.

– Tak sądzisz? – Twarz Caroline stężała jak rzeźba z Mount Rushmore, upodabiając ją do indiańskiego wodza w jakimś westernie z lat pięćdziesiątych, kiedy jeszcze wolno było opowiadać się po stronie kowbojów. – Według mnie to strasznie uciążliwe. Pomyśl tylko: jeśli zechcę je mieć, to będę musiała od początku powtarzać tę całą cholerną szopkę. – Niewątpliwie było w tym trochę prawdy. – Mam przemożne wrażenie, że w rozsądnych granicach wszystko jedno, za kogo się wychodzi. I tak w końcu

ma się go dosyć.

– W takim razie dlaczego chcesz rzucić Erica?

– Powiedziałam „w rozsądnych granicach” – odparła ostro Caroline, całkiem odrywając wzrok od szosy i cudem unikając zderzenia z ogromną lawetą. – Na starość zaczynam uważać, że lady Uckfield jednak mogła mieć rację. – Caroline i Charles zawsze mówili o matce per „lady Uckfield”, co stanowiło dość wstrząsający komentarz do rodzinnego życia Broughtonów. Czy był to swego rodzaju dowcip czy po prostu opis, w każdym razie mroziło krew w żyłach. – Powiedziała mi kiedyś – ciągnęła Caroline – że robię błąd, wychodząc za prostaka bez pieniędzy, ale ja naturalnie jej nie posłuchałam. Powiedziała również, że skoro już zamierzam złamać tę podstawową zasadę, to powinnam się przynajmniej upewnić, że mój przyszły mąż jest człowiekiem dobrym i uprzejmym, gdyż okrucieństwo i chamstwo to dwie cechy, które potrafią absolutnie zatruć życie.

– Zgadzam się – pokiwała głową Edith. Niewykluczone, że zaskoczyła ją mądrość teściowej. Niesłusznie. Lady Uckfield była zbyt inteligentna, by nie zdawać sobie sprawy, że prawdziwa udręka dławi wszelkie dążenia. Po prostu miała o wiele trzeźwiejszy pogląd na to, co jest prawdziwą udręką.

– Eric to cham. Nie tylko wobec mnie, lecz w ogóle wobec wszystkich. Proszona kolacja w naszym domu stanowi coś w rodzaju ścieżki zdrowia. Goście muszą być przygotowani na to, że przez cały wieczór będą musieli uchylać się od ciosów. W końcu uciekają; nie pojmuję, dlaczego ktokolwiek w ogóle przychodzi do nas drugi raz.

– No to dlaczego za niego wyszłaś?

– Częściowo, żeby zrobić matce na złość – oznajmiła Caroline, jakby to było kompletnie oczywiste. – Częściowo, bo był taki przystojny. I w końcu, bo ogromnie chciał się ze mną ożenić.

– A teraz uznałaś, że nie był w tym szczery.

– Ależ owszem, był szczery, jak najbardziej. Chciał mnie poślubić wręcz rozpaczliwie, bo byłam córką markiza. Tego nie dostrzegałam. A w każdym razie nie widziałam, że wyłącznie o to mu chodzi.



Edith nie odzywała się. Rozmowa wkraczała na niebezpieczny teren. W duchu usłyszała cichy trzask lodu pękającego pod stopami.

– Rozumiem – bąknęła.

Jednak Caroline miała coś jeszcze do powiedzenia.

– Ty wyszłaś za Charlesa z podobnego powodu – ciągnęła nieubłaganie, a widząc, że Edith nie reaguje, dorzuciła: – Nie żebym miała do ciebie pretensje. W twoim przypadku to przynajmniej ma jakiś sens. W końcu dzięki małżeństwu z Charlesem zostałam hrabiną. Ja tymczasem dotąd nie wiem, co Eric chciał na tym zyskać.

Przez pewien czas jechały w milczeniu.

– Skoro tak sądzisz, to czemu postanowiłaś mnie tu przywieźć? – odezwała się w końcu Edith.

Caroline zastanawiała się przez chwilę, marszcząc brwi, jakby dopiero teraz zaczęła rozważać to pytanie. W końcu odpowiedziała z pewnym wahaniem:

– Bo Charles jest bardzo nieszczęśliwy.

– Naprawdę? – zapytała Edith zachwycona.

– Tak. – Caroline postanowiła zapalić papierosa i Edith przez sekundę miała wrażenie, że wjadą w barierkę na środku autostrady. – Wiem, że lady Uckfield wyobraża sobie, że mu przejdzie. Uroiła sobie, że on o tobie zapomni, ożeni się z córką jakiegoś arystokraty i spłodzi czworo dzieci, z których dwoje odziedziczy majątki po krewnych swojej matki. – Caroline zaśmiała się cierpko; było to cudownie precyzyjne résumé marzeń teściowej Edith.

– A ty jesteś pewna, że się myli?

– Jak ty słabo znasz mojego brata – rzekła Caroline i znów zamilkła. Naturalnie Edith zapragnęła usłyszeć więcej o tym nieszczęśliwym, smutnym mężczyźnie, dla którego życie bez niej było pasmem cierpień, który wszakże, przedziwnym zrządzeniem losu, już był jej mężem. Popatrzyła na Caroline pytająco i ta w końcu zmiękła. – Po pierwsze, nie sądzę, by Charles podzielał wyobrażenia matki o idealnej następczyni. Mówiąc brutalnie, gdyby czegoś

takiego szukał, znalazłby to bez trudu. Ale teraz już nawet nie o to chodzi. Charles to człowiek prosty. Owszem, jest zdolny do uczuć, lecz są to uczucia nieskomplikowane, szczerze i głębokie. Z trudnością je komunikuje, a już z pewnością nie umie flirtować. – Edith ze zdumieniem pomyślała o swoim kochanku, który wyłącznie komunikował i flirtował. Simon miał dokładnie odwrotny problem niż Charles: nie był zdolny do uczuć. – Charles dokonał wyboru – mówiła dalej Caroline. – Wybrał ciebie. Jesteś jego żoną. Oddał ci serce, i już. Nie twierdzą, że jeśli się z nim rozwiedziesz, to w końcu nie poprzestanie na innej kobiecie jako klaczy rozplodowej, lecz do końca życia będzie uważał, że poniósł klęskę. Że jego prawdziwa żona jest gdzie indziej, z innym facetem. A tą żoną jesteś ty, moja droga.

Reszta podróży upłynęła w milczeniu, zupełnie jakby coś musiało się zdarzyć, aby znów podjęły rozmowę. Przez dłuższy czasjechały krętymi drogami hrabstwa Norfolk, aż wreszcie skręciły na zadbany podjazd, obsadzony szpalerem wielkich rododendronów, który wyprowadził je na żwirowy plac przed głównym budynkiem.

Dwór Feltham Place trafił w ręce Broughtonów w roku 1811, gdy ówczesny lord Broughton poślubił Anne Wykham, jedyną córkę sir Marmaduke'a Wykhama, szóstego baroneta, ostatniego przedstawiciela swojej gałęzi rodu. Dom, zbudowany w jakobińskim stylu, z dachem najeżonym spiralnymi kominami, bardziej przypominał malowniczy dwór ziemiański niż pałac wielkiego magnata i być może z tego powodu rodzina nigdy nie darzyła go sentymentem. Jak większość dworów z tego okresu, stał w kotlinie (innowacje w zakresie pompowania wody, umożliwiające widok z góry na rozległą panoramę, nastąpiły dopiero pod koniec XVII wieku), jednak ze względu na ogólną płaskość terenu było tu dość przestronnie. Oczywiście Broughtonowie mogli go wykorzystać jako wdowi dworek bądź siedzibę następcy rodu, mieli wszakże inne domy, bliżej Uckfield, które pełniły tę funkcję do wybuchu drugiej wojny światowej. Jak zaś wiadomo, ostatni dziedzic postanowił zamieszkać z rodzicami.

Posiadłość Feltham była kiedyś wynajmowana, lecz w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku Broughtonowie znów zaczęli tu urządzić

polowania i mimo że po wojnie zarzucili ten zwyczaj, nigdy już nie wypuścili jej z rąk. Charles, który kilka ostatnich lat poświęcił przywracaniu terenom łowieckim dawnej świetności, mógł teraz chętnym zaoferować odstrzał dwustu lub trzystu ptaków dziennie, nie ryzykując, że doznają zawodu. Obaj z leśniczym ciężko na to pracowali. Posadzono zagajniki i żywopłoty, przebudowano pałniki; posiadłość i krajobraz odzyskały w istocie wygląd sprzed ponad stu lat. Mimo to Charles nie czuł pokusy, by polować w Feltham ze swoimi prywatnymi gośćmi. Tym udostępniano splendory Broughton, a Feltham wynajmowano na dniówki biznesmenom, ludziom nierozstającym się z przenośnymi telefonami i dorobkiewiczom w błyszczących sportowych strojach. Za dodatkową (dość sporą) opłatą można tu było nawet przenocować, co być może tłumaczy nieco „pensjonatowy” charakter wnętrza.

Wykham, pierwotny budowniczy rezydencji, zaliczał się do faworytów króla Jakuba I, więc za jego czasów dom był znacznie obszerniejszy; niestety, jako królewski kochanek nie wykazał się zbytnią zapobiegliwością i jego spadkobierca (bratanek, gdyż sam budowniczy nigdy się nie ożenił, czemu trudno się dziwić) musiał wyburzyć ponad dwie trzecie budynku. Z tego powodu wszakże resztki murarki i ciesiołki, zachowane zarówno na fasadzie, jak i we wnętrzach, reprezentowały o wiele wyższy poziom niż zazwyczaj w domach tego rozmiaru. Cenniejsze meble i obrazy już dawno wchłonął pałac w Broughton, w Feltham zaś pozostawiono głównie sprzęty z przełomu stuleci, gdy dwór otrzymał drugie życie jako rezydencja myśliwska. Znajdowały się tutaj ogromne zdezelowane skórzane kanapy i dzieła drugorzędnych portrecistów, a także olbrzymie malowidła ze scenami polowań na głuszce, lisy, jelenie oraz inne ofiary rustykalnych mordów. Jednak sypialnie były dość przyjemne, a ocalałe po królewskim faworycie schody – wręcz wspaniałe.

Edith właściwie nie знаła tego miejsca, a Charles, który odwiedzał je raz na tydzień, uważał je za coś w rodzaju biura. Tutaj prowadził interesy i tu zarabiał pieniądze; nie licząc rzadkich odwiedzin na wystawach w miasteczku oraz dorocznego koktajlu dla sąsiadów, których należało udobruchać, aby nie robili problemów z polowaniem, prawie nie udzielał się tutaj towarzysko. Nie chcąc zawracać głowy starej parze służących, którzy musieliby dla niego

przygotować sypialnię, dość często nocował u Cumnorów; dwór tych ostatnich, znacznie większy i bardziej luksusowy, stał cztery mile dalej.

Caroline podjechała pod główne wejście i obie z Edith weszły do rozległego i ponurego holu, zajmującego dwie trzecie parteru od frontu. Pomieszczenie, obłożone brązową boazerią, pełne kanap i foteli obitych ciemnobrunatną skórą, było brzydkie i ponure. Nie ożywiało go żaden kolor z wyjątkiem fryzu, na którym widniały podróbki trybutów herbowych Wykhamów i Broughtonów.

– Charles! – zawołała Caroline. Dzień był zimny i w domu panował większy chłód niż na zewnątrz. Edith ciaśniej owinęła się płaszczem.

– Charles! – zawołała Caroline ponownie, kierując się do saloniku za schodami, gdzie ongiś mieścił się pokój poranny, w którym obecnie Charles urządził sobie gabinet.

Edith ruszyła w ślad za nią i znalazła się w smutnym pomieszczeniu wyposażonym w kilka biurka i szafek na akta. Zimno trochę łagodził stojący przy kominku elektryczny piecyk o trzech spiralach, włączony z pogwałceniem chyba wszystkich przepisów przeciwpożarowych. Zbliżyły się, aby ogrzać dłonie, gdy drugie drzwi otworzyły się nagle i stanął w nich oniemiały Charles. Na jego widok Edith doznała wstrząsu, który jednak zaraz zamienił się w zaskoczenie, wręcz zachwyty. Gdzieś zniknął gładki posiadacz ziemski, który zawsze wyglądał jak reklama Burberry; ze zdumieniem ujrzała, że jej pedantyczny mąż jest rozczochrany i niechlujny, niemal brudny.

Speszony przeczesał palcami włosy.

– Cześć – powiedział z bladym uśmiechem. – Coś podobnego, ty tutaj.

Caroline postanowiła się pożegnać.

– Jadę do Norwich – oznajmiła. – Wracam za jakieś dwie godziny.

Z ulgą przyjęli fakt, że nie próbowała normalizować sytuacji, wygadując bzdury w stylu „przypadkiem tędy przejeżdżaliśmy”.

Charles pokiwał głową.

– Rozumiem.

Zostawszy z nim sam na sam, Edith poczuła dziwną pustkę w głowie. Nie

bardzo wiedziała, co powiedzieć, przycupnęła więc na fotelu jak starająca się o posadę pokojówka i wyciągnęła dłonie w stronę piecyka.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz – bąknęła nieśmiało. – Bardzo mi zależało, żeby z tobą porozmawiać. Porządnie. Ale zaczęłam mieć wrażenie, że oni nigdy do tego nie dopuszczą. Wybacz, po prostu musiałam zaryzykować.

Pokręcił głową.

– Wcale się nie gniewam. No co ty. – Zawahał się. – Ja... przykro mi z powodu tych telefonów i w ogóle. Bo wiesz, matka rzeczywiście mi nic nie mówiła, ale nie tylko o to chodzi. Chociaż pewnie tak sądzisz. Po prostu naprawdę nie miałem pojęcia, co ci powiedzieć. Wydawało mi się, że lepiej całą sprawę zostawić fachowcom. Ale oczywiście, skoro już tu jesteś... – Urwał bezradnie.

Edith pokiwała głową.

– Po prostu musiałam się dowiedzieć, co ty sam myślisz o tym wszystkim. Jak rozumiem, twoi rodzice chcą, żebyś jak najprędzej był wolny.

– Ach, to – odparł zmieszany. – Nie mam nic przeciwko temu. Naprawdę. Zrobimy, jak ci będzie wygodniej. – Przyjrzał się jej w niepochlebnym świetle żarówki pod sufitem. – Jak tam Simon?

– Świetnie. Doskonale. Uwielbia swój serial.

– To dobrze. Cieszę się.

Nie zabrzmiało to szczerze, ale wyraźnie usiłował być uprzejmy. Edith znów zdumiała się, jak dobry i przyzwoity jest ten mężczyzna, którego odepchnęła tak beztrąsko. Co jej strzeliło do głowy? Czasem nie pojmowała swoich własnych działań, zupełnie jakby oglądała zagraniczny film. A przecież wszystko to był jej wybór.

Konwersacja, kulejąc, wciąż się toczyła.

– Wydaje mi się, że nigdy nie widziałam Feltham o tej porze roku. Musiałam tu być, ale nic nie pamiętam. Bardzo tu ładnie, prawda?

– Dobre stare Feltham – uśmiechnął się Charles.

– Powinieneś tu zamieszkać. Odnowić dom. Odzyskać trochę rzeczy.

Przytaknął niepewnie.

– Chyba nie czułbym się za dobrze, tkwiąc tu sam jak palec. Nie sądzisz? Ale to miły pomysł.

– Och, Charles!

Mimo że do tej wyprawy pchnęła Edith wyłącznie cyniczna kalkulacja, właśnie uległa mocy własnych wykrętów. Na podobieństwo postaci granej przez Deborah Kerr w filmie *Król i ja*, która dodawała sobie odwagi, gwizdząc wesołą piosenkę, Edith zdołała sobie wmówić, że jest romantyczną postacią, tęskniącą za utraconą miłością, nie zaś po prostu samolubną panną, której szkoda porzucić wygodne życie. Poczula, że oczy jej wilgotnieją.

Dziwne, ale Charles dopiero teraz ostatecznie nabrał przekonania, że Edith przyjechała, aby go odzyskać. Do tej chwili sądził raczej, że powodem całej tej wyprawy są względy finansowe lub jakieś inne sprawy niecierpiące zwłoki. Jako człowiek całkowicie pozbawiony próżności bardzo powoli dochodził do tego oczywistego wniosku; owszem, coś tam podejrzewał już wcześniej, w końcu uznał jednak, że Edith chce na coś go namówić, zanim prawnicy zdążą mu to wyperswadować. Bynajmniej nie czuł się tym dotknięty; a nawet gdyby, to zapewne nie okazałby przygnębienia, zarówno ze względu na nią, jak i na (całkiem uzasadnione) poczucie własnej godności. Teraz jednak uświadomił sobie, z czym ma do czynienia, i serce w nim zamarło. Chciała wrócić. Przyjrzał się jej uważnie.

Owszem, był człowiekiem dość prostym, ale nie był idiotą. Rozumując podobnie jak owej nocy w Broughton, domyślił się, że od chwili, gdy go porzuciła, nie stał się dla niej ani trochę bardziej interesujący. Podejrzewał, że w gruncie rzeczy nie spodobał się jej świat show-biznesu, w każdym razie nie chciała go na co dzień. I tak jak Edith przez rok życia w grzechu jaśniej pojęła, czym i kim jest Simon, tak również Charles po dwóch latach małżeństwa i roku rozstania znacznie lepiej rozumiał Edith. Wiedział, że jest arywistką i córką arywistki. Dostrzegał prostackie aspekty jej duszy równie wyraźnie jak aspekty subtelne, których, wbrew spostrzeżeniom lady Uckfield, wciąż, jego zdaniem, posiadała dość sporo. Wiedział również, że jeśli teraz on wykona jakiś ruch, to właściwie będzie po sprawie.

Wpatrywał się w jej skuloną postać, garnącą się do ciepła przy nędznym

piecyku. Miała na sobie płaszcz wielbłądziej barwy, na oko dość tani. I ta smutna figurka, ta „blond cizia”, jak określała ją jego matka, miała być przyszłą markizą Uckfield? To jej cukierkowy portret, pędzla jakiegoś miernego pacykarza, miał wisieć wśród wizerunków poprzednich pokoleń malowanych przez Sargentów, Laszlów i Birleyów<sup>[67]</sup>? Ona miała stanąć na wysokości zadania?

Lecz patrząc na nią, nagle dostrzegł, jaka jest bezbronna w swojej zalotności, jak żałośnie wygląda w jaskrawym makijażu, ubrana w płaszczyk z sieciówki, i nagle owładnęła nim litość, a w jej następstwie – miłość. Zrozumiał, że jakkolwiek jest nieodpowiednia, jakkolwiek ograniczona emocjonalnie, jakiegokolwiek są jej pobudki, to on, Charles Broughton, nie weźmie na siebie odpowiedzialności za jej nieszczęście. Krótko mówiąc, nie potrafił jej zranić.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytał powoli, wiedząc, że tym samym udziela jej zezwolenia na powrót do niego i do jego życia.

Na dźwięk tych słów Edith pojęła, że ułaskawienie nadeszło. Mimo trudności ze strony Simona, teściowej, gazet, słońca i księżyca mogła, jeśli chciała, znów zostać żoną Charlesa – a chciała tego bardzo, czemu trudno się dziwić, zważywszy wszelkie okoliczności. Poczwała taką ulgę, że na sekundę wręcz ją zemdliło, ale nie chcąc okazać zbyt wielkiej desperacji, zwlekała chwilę, celowo poprzedzając odpowiedź brzemiennym milczeniem. Wreszcie, gdy już nabrała przekonania, że oboje czekają na to, co powie, ostrożnie uniosła ku niemu zażawione oczy.

– Nie – odparła.

## *Smorzando*<sup>[68]</sup>

Mniej więcej siedem miesięcy po pojednaniu z Charlesem Edith powiła córeczkę i, o ile mnie pamięć nie myli, wydarzenie to nie wzbudziło większej sensacji. Oczywiście sporo się mówiło – mówiła o tym zwłaszcza matka Edith – że wszyscy są „zdumieni, iż ona tak przerażająco się pośpieszyła”. W rzeczy samej pani Lavery trochę przesadziła, upierając się przy całonocnym czuwaniu w szpitalu ze względu na „ryzyko przedwczesnego porodu”, co naturalnie dało początek wielu zabawnym anegdotom w towarzystwie, ale tak naprawdę nikt się tym nie przejął. Istotnie, w wyższych sferach nadal przy takich okazjach opowiada się różne banialuki, lecz w gruncie rzeczy te rytuały są dosyć wzruszające i nikomu nie wyrządzają krzywdy. Najważniejsze, że dziecko okazało się dziewczynką, co znacznie upraszczało przyszłą sytuację; sprawy mogły wrócić do normy, nie pozostawiając długotrwałego niesmaku.

Nawet lady Uckfield, zazwyczaj nader uważna, nieopatrznie zdradziła się z tą opinią, gdy zadzwoniłem, aby poznać najnowsze wieści.

– Chłopiec czy dziewczynka? – zapytałem, kiedy podniosła słuchawkę.

– Dziewczynka – odparła lady Uckfield. – Co za ulga! – Po czym pośpiesznie, nie dość wszakże szybko, dodała: – Wspaniale, że obie doskonale się czują.

– Rzeczywiście, ogromna ulga – powiedziałem, przystając na tę nieszczerłość.

Nie było sensu mieć do niej pretensji, że zachowała najgłębsze uprzedzenia swojej klasy. Skoro – dzięki zawiłym prawom majoratu, których, mimo trąbienia o prawach kobiet, nawet sam pan Blair nie uznał za stosowne



zmienić – córeczka nie mogła odziedziczyć wspaniałości Broughton, to nie stanowiła już zagrożenia i można z nią było spokojnie żyć. Cała trójka „rodziców” miała jasne włosy, istniała więc spora szansa, że dziecko nie będzie się wyróżniać. I faktycznie, mała jak dotąd nie przejawia zbytniego podobieństwa do Simona, naturalnie zakładając, że to jego dziecko, czego w końcu nigdy nie można być pewnym. W tym celu potrzebne byłyby testy DNA, którym wszakże nie podda się nikt, kto figuruje w almanachu Debretta; nigdy nie wiadomo, co może wyjść na jaw. Pewna goszcząca w Broughton cudzoziemka, nieświadoma znakomitej edwardiańskiej zasady, by „nie komentować podobieństwa cudzych dzieci”, zapytała mnie kiedyś, czy nie sądzę, że córeczka Charlesa ma dużo z tatusia.

Być może tylko wyobraziłem sobie, że w pokoju nagle powiało chłodem, ale przytaknałem.

– Owszem – powiedziałem. – Wcale nie wygląda jak Edith. – Czym zasłużyłem sobie na pełne wdzięczności spojrzenie gospodarza.

Zabawne, ale gdy bliżej przyjrzałem się małej, to dostrzegłem, że istotnie jest trochę podobna do Charlesa, jednak mogła to być kwestia wyrazu twarzy, a nie samych rysów. Co dziwniejsze, w późniejszych latach Charles ogromnie ją pokochał, do tego stopnia, że młodsze dzieci zarzucały mu, iż faworyzuje ją ich kosztem. Co więcej, całkiem już wbrew logice, dziewczynka wyrosła na ulubioną wnuczkę lady Uckfield, dowodząc tym samym, jak prawdziwe jest stare porzekadło, że „są ludzie i ludziska”. W każdym razie zaledwie czternaście miesięcy później lady Broughton znów zległa, tym razem wydając na świat niemowlę płci męskiej. Nowemu wicehrabiemu Nutley urządzono huczne powitanie, w Sussex i Norfolk zapłonęły ogniska i odbyły się liczne fety, słowem, mówiąc szczerze, brutalnie i nienowocześnie, wszystkich poniekąd przestało obchodzić, kto właściwie jest ojcem małej lady Anne.

Caroline rzeczywiście rozwiodła się z Erikiem. Sprawa odbyła się cicho i bez zajadłości, w lepszym stylu, przyznaję, niż się po Ericu spodziewałem. Niespełna pół roku później Eric ożenił się ponownie, z córką bogatego przemysłowca z Cheshire, Christine jakąś tam. Nowa żona pasowała do niego o wiele bardziej, a przede wszystkim podzielała jego ambicje i realizowała je

tak niepowstrzymanie, jakby były jej własnymi – bo i, rzecz jasna, wkrótce takimi się stały. Przypadkiem spotkałem ich oboje w Ascot kilka miesięcy po ślubie i muszę powiedzieć, że nawet mi się spodobała. Miała mnóstwo energii i pod wieloma względami była łatwiejsza w obejściu niż Caroline, choć zdążyła już się trochę zarazić bzdurami, które Eric notorycznie wygłaszał. Pamiętam, że użyła sformułowania „ludzie naszego typu”, przypuszczalnie mając na myśli jakąś ekskluzywną grupę towarzyską, do której należeli oboje. Zapewne dla Erica była to nie lada ulga; biedak przez cały czas trwania pierwszego małżeństwa nieustannie musiał pamiętać o tym, że istnieje jakiś Wewnętrzny Krąg, na zawsze dla niego zamknięty.

Przywitał mnie warknięciem, ale nie poczułem się urażony. Zdążyłem już mu wybaczyć dawne afronty, a poza tym na starość człowiek zyskuje pewną swobodę i niekoniecznie musi czuć antypatię do ludzi, którzy go nie lubią. W końcu Eric miał prawo za mną nie przepadać. Lady Uckfield, bynajmniej nie kryła, że niezbyt sobie ceni jego towarzystwo, i czasem – podejrzewam, że trochę złośliwie – używała mojej osoby, aby mu to okazać.

– Pewnie wciąż się z nimi widujesz? – zapytał, gdy jego żona skończyła opisywać swoją nową kuchnię od Poggenpohla.

Przytaknąłem.

– Mamy teraz dziecko, więc jeżdżę tam nieco rzadziej niż kiedyś. Ale owszem, widuję się z nimi.

– I co, droga Edith jest zadowolona ze swojego dzieła? – Oczywiście irytacja Erica była całkiem zrozumiała; w końcu mówił o osobie, która przetrwała wyścig, w którym on poległ.

– Sądzę, że tak.

– No, mogę się założyć. A jak tam kochana „Google”? – wręcz wypluł to imię, tak jak niegdyś Edith, zanim została zrehabilitowana, bo teraz ponownie uważała je za normalne. – Ciekaw jestem, co moja droga eksteściowa sądzi o najnowszych wydarzeniach.

– Och, powiedziałbym, że się dosyć cieszy, w ten czy inny sposób – odparłem, jakbym serio sądził, że go to obchodzi, po czym skinęliśmy sobie głowami i każdy z nas poszedł w swoją stronę.

Zmierzając na królewską trybunę, by wypić herbatę z Adelą i Louisą, miałem czas zastanowić się nad swoją odpowiedzią i doszedłem do wniosku, że powiedziałem tylko i wyłącznie prawdę. Bo to prawda – obecność dzieci zmienia absolutnie wszystko. Oczywiście to jest do przewidzenia; człowiek bywa zmęczony, lecz z dwójką maluchów poniżej lat czterech naprawdę nie sposób się nudzić. Zwłaszcza że Edith, ku konsternacji teściowej, nie zatrudniła porządnej niani z Norland<sup>[69]</sup>, decydując się zamiast tego na szereg Australijek i Portugalek. Jedna w drugą (prawie) były to miłe i urocze dziewczyny, jednak żadna nie zamierzała przejąć pełni władzy nad pokojem dzieciennym. Ja przynajmniej uznałem, że był to mądry wybór, a Charles (co z przyjemnością zauważyłem) podzielał moją opinię.

Natomiast co lady Uckfield myślała o tym wszystkim.. Trzeba dobrze się sprężyć, żeby za nią nadążyć, z całą pewnością bardziej, niż ja jestem w stanie. Zgodnie z moimi przewidywaniami po restytucji Edith nasze stosunki znacznie ochłodziły, niemniej nie porzucam nadziei, że kiedyś odzyskam pozycję ulubieńca. Biedna Googie w czasie interregnum pozwoliła sobie na fantazje, które napełniały ją błogą otuchą, snując w wyobraźni marzenia o życiu z Clarissą lub kimś podobnym w roli młodszej kasztelanki. Jak na ironię jej fantazje nie aż tak różniły się od rojeń pogardzanej pani Lavery; lady Uckfield także postrzegała siebie jako zaufaną przyjaciółkę matki wymarzonej synowej, z którą, jak babcia z babcią, mogłaby czasem zjeść lunch i pójść na wystawę... Z trudem pogodziła się z powrotem Edith, zwłaszcza że pod jej nieobecność pozwoliła sobie na rzadki luksus okazania, co naprawdę czuje. Na domiar złego nie dość, że wyznała ten sekret mężowi, to jeszcze zwierzyła się z niego obcemu, czyli mnie. Już kiedy to robiła, miała świadomość, że daje mi broń do ręki, więc od tamtej pory każda wzmianka o „naszej kochanej Edith” jest obciążona ryzykiem – mógłbym jej wszak spojrzeć w oczy i w duchu ją obnażyć. Naturalnie nie mam najmniejszego zamiaru tego robić, lecz sama groźba wystarczyła, by pojawił się między nami pewien chłód. Nadal jest mi przykro z tego powodu, niemniej nie da się nic na to poradzić. Tymczasem oboje z Adelą odwiedzamy Broughton dosyć regularnie.

Pamiętam, że raz lady Uckfield pozwoliła sobie na trochę więcej. Było już

po kolacji; rozproszeni goście błakali się po salonie rodzinnym oraz Czerwonym Salonie po sąsiedzku, a wokół Edith zebrała się zachwycona gromadka. Oczywiście wiele osób, które odcięły się od niej, gdy była na wygnaniu, teraz gwałtownie zapragnęło nadrobić straty. Można by sądzić, że ci nieliczni, którzy pozostali lojalni, na przykład Annette Watson, zostaną nagrodzeni lawiną zaproszeń, ale chyba tak się nie stało, co może również było do przewidzenia. W każdym razie Edith zrobiła jakąś uwagę, nie pamiętam już jaką, którą powitał huragan pochlebczego śmiechu. Akurat stałem sam i nalewałem sobie kawy, gdy niepostrzeżenie podeszła do mnie lady Uckfield.

– *Edith Triumphans* – powiedziała. Przytaknąłem. Ale nie poprzestała na tym. – Zwycięzca bierze wszystko.

– Edith zwyciężyła? – zapytałem.

– A nie?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. Przypuszczalnie siliłem się na filozoficzny ton, ale, jak zwykle w takich razach, gładko osunąłem się w nieszczerść.

– Jasne, że zwyciężyła – rzekła lady Uckfield, całkiem zgodnie z prawdą. – Wygraliście.

To już mnie zirytowało. Miała rację co do Edith, przyznaję, ale nie co do mnie. Jeśli w trakcie walki o duszę Charlesa w ogóle za kimś się opowiadałem, to właśnie za Uckfieldami, o czym Google doskonale wiedziała.

– Mnie proszę nie winić – oodparłem stanowczo. – Prosiła pani, żebym jej nie zachęcał, więc się zastosowałem. Wszystko ukartowała pani własna córka. Prawda jest taka, że Charles chciał, by Edith wróciła. *Voilà tout*<sup>[70]</sup>. On przypuszczalnie wie, co jest dla niego najlepsze.

Lady Uckfield zaśmiała się.

– On oczywiście właśnie tego nie wie – powiedziała z odrobiną gorzkości, lecz przede wszystkim ze smutkiem. – Mówiłam ci, że moim zdaniem nie będą szczęśliwi; z niecierpliwością czekam na moment, kiedy okaże się, że jednak

się myliłam. No cóż – machnęła pazurkami i klejnoty na jej palcach rozbłysły w świetle ognia – jest jak jest i musimy robić dobrą minę do złej gry. Pora iść dalej. Miejmy chociaż nadzieję, że nie będą bardziej nieszczęśliwi od innych.

I już jej nie było.

Czy byli bardziej nieszczęśliwi od innych? To istotnie było pytanie. Choć Edith wróciła do Charlesa bezwarunkowo, to jednak przy tej okazji wycisnęła z niego znaczne ustępstwa. Na początek, pojmując, jak niesłuszne było jej dawniejsze przekonanie, że lepsza jest nuda na wsi niż rozrywki w Londynie, namówiła Charlesa na dom w Fulham, który został kupiony za kwotę mniej więcej taką, za jaką poszło mieszkanko na Eaton Place. I teraz pozwalała sobie na Londyn raz czy dwa razy w tygodniu. Znalazła również kilka komitetów, w których mogła zasiadać, a w Sussex włączyła się w codzienne zarządzanie hospicjum koło Lewes. Ogólnie rzecz biorąc, zaczęła więc budować sobie życie, jakie miała zamiar prowadzić do sześćdziesiątki, gdy wszyscy – nie wyłączając jej samej – zdążą już zapomnieć o drobnej wpadce z początków małżeństwa. Po namyśle doszedłem więc do wniosku, że istotnie wszystko zapowiada się nie najgorzej.

Z reguły bywaliśmy w Broughton dwa lub trzy razy do roku. Adela i Edith traktowały się życzliwie, ale nic więcej, za to Charles bardzo polubił moją żonę, sądzę więc, że byliśmy tam mile widziani. Nam również sprawiało to wielką przyjemność, chociażby dlatego, że wszędzie jeździliśmy z dzieckiem i było niewiele domów, gdzie mogliśmy przebywać bez poczucia, że narażamy gospodarzy na wybryki małego anarchisty. Nasz syn Hugo był o pięć miesięcy starszy od Anne, więc ku radości obu matek dzieci czasem razem się bawiły. Ponadto stwierdzenie, że im dłużej się kogoś zna, tym mniejsze znaczenie ma fakt, czy lubiło się go na początku, to jak najbardziej oczywista oczywistość. Nic nie jest w stanie zastąpić wspólnej historii, czego dowodem jest choćby moja przyjaźń z Isabel Easton, jasne więc, że za dziesięć lat moja żona i lady Broughton może niekoniecznie bardziej się polubią, ale z pewnością zaczną się uważać za bliskie przyjaciółki.

Nie muszę chyba wspominać, że dość szybko po wielkim pojednaniu Edith dała mi do zrozumienia, że nie jest zainteresowana omawianiem swoich

decyzji, ani dawnych, ani obecnych. Niepotrzebnie się martwiła – całkowicie się z nią zgadzam. Aż nazbyt dobrze wiem, jakie to nieznośne, gdy ktoś, kto wysłuchiwał naszych intymnych zwierzeń, wciąż pęta się po okolicy, gdy my wstydzimy się poufałości, o której chcemy jak najszybciej zapomnieć. W każdym razie Edith, moim zdaniem, poszła za głosem rozsądku i nie mam najmniejszego zamiaru tego kwestionować.

Kilka razy na osobności poddawała mnie próbie, czekając, czy poruszę temat Simona, Charlesa, małżeństwa lub, co gorsza, dziecka, ale nigdy tego nie zrobiłem i z przyjemnością stwierdzam, że trochę się uspokoiła i mogliśmy wrócić do dawnej zażyłości.

Prawdę mówiąc, nawet zapytany nie miałbym z frontu Simona zbyt wielu doniesień. Nie wiem, czy usłyszawszy zdumiewającą wieść o zakończeniu „wielkiego romansu”, jego żona z ochotą przyjęła go z powrotem, niemniej, cokolwiek czuła, tak właśnie uczyniła. Kiedy kilka miesięcy później spotkałem go na jakimś przesłuchaniu, wyjawiał, że zamierza „spróbować szczęścia” w Los Angeles. Wcale mnie to nie zdziwiło; nasi aktorzy często tak reagują, gdy są rozczarowani karierą. W wypadku Anglików hollywoodzki schemat jest bardzo prosty. Wyjeżdżają zachwyceni, gdyż wmawia im się, że czeka na nich mnóstwo pracy, muszą tylko przetrzymać trudny początek; następnie wszystkim opowiadają, że bajecznie im się wiedzie; później kończą im się pieniądze; i wreszcie wracają. Cały cykl trwa zazwyczaj od dwóch do sześciu lat. Jednakże zawsze są jakieś wyjątki i nie byłbym zaskoczony, gdyby Simon się do nich zaliczał. Posiada wszystkie cechy, jakie podziwia tamtejsza publiczność, i żadnej z tych, których by nie lubiła.

Być może przeczuwał, że przez dłuższy czas nie będziemy się widywać, gdyż zapytał mnie o Edith. Mruknąłem, że dobrze się miewa.

– Cieszę się – powiedział.

– To dobrze.

Zachnął się i uniósł brwi.

– No nie wiem – oznajmił. – Baby!

Pokiwałem głową, zaśmiałem się ze zrozumieniem i rozeszliśmy się w przyjaźni. Przypuszczalnie jego reakcja pozwala oszacować, jak dalece

rozstanie było dlań bolesne. Nie sędzę, aby Charles, dowiedziawszy się, że żona do niego nie wróci, potrafił w rozmowie ze znajomym pokręcić głową i wykrzyknąć „Baby!”. Przepuszczalnie wolałby skryć się w jakimś kącie i nigdy nie wspominać jej imienia, wszyscy więc chyba przyznamy, że Edith ostatecznie wylądowała z mężczyzną, który bardziej ją kochał. Nie dostrzegłem jednak w oczach Simona złej woli, myślę zatem, że uczynimy słusznie, pamiętając, iż w ostatecznym rachunku nikogo nie skrzywdził. To chyba nie są najgorsze referencje. Nigdy też nie wyjawilem Edith, jak dalece Eastonowie – a właściwie David – byli skłonni złożyć ją w ofierze, zabiegając o utrzymanie stosunków z Broughtonami. Lecz stopniowo nawet i te stosunki, mimo że dosyć niezręczne, zostały wznowione. Ogólnie rzecz ujmując, sprawy zaskakująco szybko wróciły do normy. Jeszcze tylko niektóre gazety – o ile pamiętam, „Standard” i któryś z tabloidów – zamieściły krótkie wzmianki, i było po wszystkim.

Poruszyła ten temat tylko raz, być może dlatego, że ja tego nie zrobiłem. Pewnej letniej niedzieli, trzy albo cztery lata po jej powrocie na tak zwane łono rodziny, spacerując we dwójkę po ogrodzie, dotarliśmy w pobliże rozarium, gdzie ongiś, dawno temu, na czas kręcenia filmu rozstawiono dla nas leżaki. Pozostali grali w krokieta; z oddali niósł się stukot młotków i odgłosy sporów. Nagle poraziło mnie wspomnienie wyciągniętego na trawniku Simona w falbaniastej koszuli, w pełnej krasie, flirtującego z ówczesną, młodszą i głupszą Edith. Naturalnie nic nie powiedziałem, lecz ze zdumieniem usłyszałem jej słowa, skierowane jakby do moich myśli:

– Widujesz się z nim czasami?

Pokręciłem głową.

– Nie. Chyba nikt się z nim nie widuje. Wyjechał do Kalifornii.

– Będzie grać w jakimś filmie?

– No, taki jest plan. Albo przynajmniej w serialu telewizyjnym.

– I co, zagra?

– Na razie nie, ale nigdy nic nie wiadomo.

– A jego żona?

– Pojechała razem z nim.

Edith pokiwała głową. Weszliśmy do rozarium. Ciepłe powietrze przesycone było ciężką, słodką wonią jakiejś odmiany róż o ciemnoczerwonych kwiatach, być może Papa Meilland.

– Nie zapytasz, czy jestem szczęśliwa? – rzekła Edith, prowokacyjnie zarzucając głową.

– Nie.

– Cóż, i tak ci powiem. – Zerwała na wpół otwarty pęk i wetknęła łądźkę w górną dziurkę mojej rozpiętej koszuli. – Prawda jest taka, że jestem dość szczęśliwa.

Nie kwestionowałem tej deklaracji. Cieszę się, że Edith była – i jest – dość szczęśliwa. To o wiele więcej, niż da się powiedzieć o dużej części osób z mojej książki adresowej.



# Przypisy

[1] *Impetuoso – fiero* (wł.) – „gwałtownie – wyniośle”, w muzyce określenia dotyczące sposobu wykonania utworu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki lub redaktora).

[2] *Haute bourgeoisie* (franc.) – wyższa, najzamożniejsza warstwa mieszczaństwa.

[3] *Ton* (franc.) – tu w znaczeniu: ogłada towarzyska, manieri, styl.

[4] Aluzja do znanego zdania z pamiętnika George’a Gordona Byrona zapisanego po niespodziewanym sukcesie jego *Wędrowek Childe Harolda*: „Obudziłem się pewnego ranka i odkryłem, że jestem sławny”.

[5] *Anciens riches* (franc.) – stara szlachta i plutokracja dziedzicząca majątek po przodkach, w przeciwieństwie do nowobogackich (*nouveaux riches*).

[6] *Almanach Debretta* – wydawnictwo poświęcone brytyjskim tytułom arystokratycznym i historii rodów szlacheckich, stworzone w 1769 roku przez Johna Debretta.

[7] Sir Roderic Victor „Roddy” Llewellyn (ur. 1947) – brytyjski baronet, projektant ogrodów, dziennikarz i prezenter telewizyjny, znany z ośmioletniego związku z księżniczką Małgorzatą, młodszą siostrą królowej Elżbiety II.

[8] *Piano nobile* (wł.) – w pałacach kondygnacja (przeważnie parter lub pierwsze piętro) mieszcząca reprezentacyjne pomieszczenia budowli.

[9] *Pożyczalscy* – bohaterowie serii powieści dla dzieci angielskiej pisarki Mary Norton (1903–1992), maleńkie istoty żyjące w zakamarkach ludzkich domów.

[10] *Bale debutantek* – ekskluzywne bale urządzone w Londynie do końca lat sześćdziesiątych XX wieku w okresie tzw. Sezonu dla wchodzących w świat wysoko urodzonych panien, zwanych „debutantkami”; niegdyś przy takiej okazji były one przedstawiane panującemu monarsze lub monarchini.

[11] Kenneth Peter Townend (1921–2001) – badacz genealogii i wydawca publikacji poświęconych tej tematyce.

[12] Anita Loos (1889–1981) – amerykańska pisarka, scenarzystka i dramatopisarka, znana przede wszystkim ze swojej satyrycznej powieści *Mężczyźni wolą blondynki*.

[13] *Ranelagh Gardens* – publiczne ogrody otwarte w 1742 roku w Chelsea, wówczas pod Londynem; były miejscem spotkań i spacerów modnego towarzystwa.

[14] *Sloane Ranger* (czasem skracane do *Sloane* lub *Sloanie*) – określenie, którym w Wielkiej Brytanii stereotypowo nazywa się młodzież z wyższych sfer o charakterystycznym stroju i stylu życia, wywodzące się od nazwy *Sloane Square*, placu w londyńskiej dzielnicy Chelsea słynącego z zamożności mieszkańców i bywalców. Powstało w 1975 roku, gdy w magazynie „*Harpers & Queen*” ukazał się opisujący to zjawisko artykuł, który później stał się podstawą bestsellera *Official Sloane Ranger Handbook* (1982).

[15] Aluzja do dramatu Jamesa Ellroya Fleckera *Hassan* z muzyką incydentalną Frederika Deliusa, cz. IX, *The Procession of Protracted Death*.

[16] John Beresford Fowler (1906–1977) – angielski projektant wnętrz, zwany „królem dekoratorów”, uważany za odnowiciela stylu, autor wystroju wielu dworów, pałaców i rezydencji.

[17] *Au fond* (franc.) – w istocie.

[18] W powieści science fiction *Inwazja porywaczy ciał* (1954) Jacka Finneya przybyłe z kosmosu wielkie strąki zmieniają się w idealne kopie ludzi, pozbawione jednak jakichkolwiek ludzkich odczuć i emocji.

[19] *Triste* (franc.) – smutno.

[20] *Sic transit gloria mundi* (łac.) – „tak przemija chwała [tego] świata”, średniowieczna sentencja; *sic transit gloria transit* – „tak przemija chwała przewozu” (ang. *transit*).

[21] Frederick Lonsdale (1881–1954) – popularny, zwłaszcza w okresie międzywojennym, angielski autor musicali i sztuk teatralnych, wielokrotnie filmowanych; w Polsce były wystawiane jego *Kokoty z towarzystwa* i *Koniec pani Cheyney*.

[22] Eliza Doolittle – bohaterka sztuki *Pigmalion* (1913) George’a Bernarda Shawa, pochodząca z dołów społecznych dziewczyna, której fatalne maniery i prymitywny język poprawia profesor Higgins, czyniąc z niej prawdziwą damę. Rebeka – tytułowa postać powieści (1938) Daphne du Maurier, fascynująca, a jednocześnie amoralna młoda kobieta, która nawet po swojej tajemniczej śmierci wywiera złowrogi wpływ na życie męża i innych mieszkańców dworu Manderley.

[23] Nell Gwyn (1650–1687) – angielska aktorka, kochanka króla Anglii i Szkocji Karola II Stuarta.

[24] *To fart* (ang.) – pierdzieć.

[25] Kretony Liberty – tkaniny z egzotycznymi lub secesyjnymi wzorami, od nazwy produkującej je londyńskiej firmy Liberty and Co.

[26] Ramsay MacDonald (1866–1937) – polityk brytyjski szkockiego pochodzenia, lider lewego skrzydła Partii Pracy i dwukrotnie premier Wielkiej Brytanii; w 1931 roku w obliczu kryzysu politycznego zawarł sojusz z liberałami i konserwatystami, dzięki czemu za cenę porzucenia laburzystowskich ideałów zachował stanowisko w tzw. rządzie narodowym.

[27] *Plus catholique que le Pape* (franc.) – dosłownie „bardziej katolicki niż papież”, tzn. bardziej gorliwy w przestrzeganiu norm jakichś zachowań, niż jest to wymagane lub oczekiwane.

[28] *Forte – piano* (wł.) – „głośno – cicho”, w muzyce określenia dotyczące dynamiki wykonania melodii.

[29] *Grand Battu* (franc.) – Wielkie Łowy, dosłownie Wielka Nagonka.

[30] *Où est la plume de ma tante* (franc.) – „gdzie jest pióro mojej ciotki”, zwrot często wykorzystywany w początkowej nauce języka francuskiego.

[31] *Épouvantable* (franc.) – okropny.

[32] *Boîte [boîte de nuit]* (franc.) – nocny lokal.

[33] *Gratin* (franc.) – śmietanka towarzyska, elita.

[34] *Dernier cri* (franc.) – ostatni krzyk, w znaczeniu: coś najnowocześniejszego i najmodniejszego.

[35] Cytat z powieści Anthony'ego Trollope'a *The Small House at Allington* (1864) z cyklu „The Chronicles of Barsetshire”, parafraza biblijnego psalmu (Ps 16,6).

[36] Wdowi dworek (ang. *dower house*) – zbudowany na terenie posiadłości dworek, w którym mogła zamieszkać wdowa po właścicielu majątku, jeśli z jakichś powodów (najczęściej po zawarciu małżeństwa przez syna) chciała wynieść się z głównej rezydencji.

[37] Jeremy Paxman (ur. 1950) – brytyjski publicysta i pisarz, autor książki *Anglicy. Opis przypadku* (1998, wyd. polskie 2007), w której z często bezlitosnym humorem opisuje mentalność i obyczaje angielskiego społeczeństwa.

[38] *Ennui* (franc.) – znudzenie, nuda.

[39] Tytuły utworów Anthony'ego Trollope'a znaczą po polsku „Czy jej wybaczysz?” oraz „Wiedział, że ma rację”; pierwsza z powieści otwierała cykl „Palliserowie”, opublikowany w Polsce w formie kompendium pt. *Rodzina Palliserów*, druga nie była tłumaczona.

[40] *Ménage* (franc.) – tu: małżeństwo.

[41] Peter Jones, General Trading Company – firmy specjalizujące się w handlu towarami luksusowymi.

[42] Robert, James i John Adamowie byli osiemnastowiecznymi architektami i dekoratorami wnętrz.

[43] *Au fond* (franc.) – w gruncie rzeczy.

[44] Nigel Dempster (1941–2007) – brytyjski dziennikarz i pisarz, wieloletni autor rubryk plotkarskich m.in. w „Daily Express”, „Daily Mail” oraz „Private Eye”, niezwykle wpływowy komentator życia wyższych sfer.

[45] Alexander Hamilton – pierwszy amerykański sekretarz skarbu i najbliższy doradca Jerzego Waszyngtona. W 1791 roku nawiązał romans z mężatką Mary Reynolds, przez której męża był przez wiele lat szantażowany. Spencerowie, rodzice Diany, późniejszej księżnej Walii, rozwiedli się w 1967 roku z powodu romansu lady Spencer z Peterem Shand Kyddem, bogatym spadkobiercą firmy produkującej tapety, a później hodowcą owiec w Australii.

[46] Lady Teazle – bohaterka farsy *Szkoła skandalu* irlandzkiego dramaturga Richarda Brinsleya Sheridana (1751–1816).

[47] *Noblesse d'épée* (franc.) – szlachta, której nadano tytuły za zasługi wojskowe, mająca większy prestiż od uszlachconych ze względu na zajmowane stanowisko.

[48] Ian McKellen (ur. 1939) – brytyjski aktor, znany m.in. z roli Gandalfa we *Władcy Pierścieni* i *Hobbicie*; Anita Lucia Roddick (1942–2007) – założycielka brytyjskiej marki kosmetyków i sieci sklepów The Body Shop.

[49] Consuelo Vanderbilt (1877–1964) – córka amerykańskiego potentata Williama Kissama Vanderbilta, pierwsza żona Charlesa Spencera-Churchilla, dziesiątego księcia Marlborough. Jej małżeństwo stało się w epoce edwardiańskiej symbolem związku zawartego pod przymusem dla towarzyskich korzyści.

[50] Colefax & Fowler – powstała w 1934 roku firma produkująca wytworne tkaniny dekoracyjne, które można spotkać w rezydencjach angielskiej arystokracji.

[51] Sir Norman Bishop Hartnell (1901–1979) – słynny brytyjski krawiec i projektant mody, szyjący głównie dla dam z rodziny królewskiej.

[52] Blenheim Palace – pałac zbudowany w latach 1705–1722, był darem dla Johna Churchilla, pierwszego księcia Marlborough, za zwycięstwa (zwłaszcza w bitwie pod Blenheim) w wojnie o sukcesję hiszpańską; Houghton Hall – pałac w stylu palladiańskim, zbudowany w 1720 roku dla pierwszego premiera Wielkiej Brytanii sir Roberta Walpole’a; Arundel Castle – gotycki zamek warowny nad rzeką Arun, zbudowany w 1067 roku przez Rogera de Montgomery, był przez ponad 500 lat siedzibą książąt Norfolk; Scone Palace – pałac w stylu georgiańskim, wzniesiony w 1802 roku na miejscu opactwa, które wcześniej stanowiło główną siedzibę królów Szkocji i miejsce posiedzeń parlamentu.

[53] John Vanbrugh (1664–1726) – słynny angielski architekt i dramaturg epoki baroku, zaprojektował m.in. Blenheim Palace.

[54] George Hepplewhite (1727–1786) – słynny angielski projektant i twórca eleganckich mebli.

[55] Wilton House – dwór będący wiejską rezydencją książąt Pembroke, wzniesiony na miejscu opactwa zbudowanego przez króla Egberta około 871 roku.

[56] *Dolente – energico* (wł.) – „żałośnie – energicznie”, muzyczne określenia dotyczące sposobu wykonania utworu.

[57] Hardy Amies – dom mody specjalizujący się w modzie męskiej i ekskluzywnych kreacjach dla kobiet, założony przez Edwina Hardy Amiesa (1909–2003), angielskiego projektanta mody, w latach 1952–1989 oficjalnego krawca królowej Elżbiety II.

[58] Fortnum & Mason – londyński dom towarowy sprzedający głównie luksusowe artykuły spożywcze; mieści też słynną herbaciarnię.

[59] *Bureau plat* (franc.) – rodzaj osiemnastowiecznego biurka z dwiema lub najwyżej trzema szufladami i płaskim blatem, wykorzystywanego głównie do pisania i przechowywania korespondencji.

[60] *Mondaine* (franc.) – światowe.

[61] Król angielski Edward VIII w grudniu 1936 roku abdykował na rzecz swojego młodszego brata Jerzego VI, aby poślubić dwukrotnie rozwiedzioną Amerykankę Wallis Simpson.

[62] *The Way We Live Now* – powieść (1875) Anthony’ego Trollope’a, na której podstawie powstał film (1971) oraz popularny kostiumowy miniseria (2001).

[63] Księżna Michael – Marie Christine von Reibnitz, żona księcia Kentu Michaela, którego jako rozwódka musiała poślubić poza granicami Wielkiej Brytanii; po ślubie królowa Elżbieta II nadała jej tytuł Jej Królewskiej Wysokości Księżniczki Michael z Kentu.

[64] *Faute de mieux* (franc.) – z braku czegoś lepszego.

[65] Harvey Nicks (właśc. Harvey Nichols) – luksusowe delikatesy, których filie znajdują się w Londynie, Leeds i Rijadzie.

[66] *Hay Fever* – komedia Noëla Cowarda rozgrywająca się w wiejskiej posiadłości zamieszkaną przez czworo ekscentrycznych arystokratów, z których każde bez wiedzy pozostałych zaprasza na kolację swojego gościa.

[67] John Singer Sargent (1856–1925) – amerykański malarz, czołowy portrecista epoki edwardiańskiej, nazywany „malarzem wdzięku i luksusu”; Philip de László (1869–1937) – malarz węgierski, od 1914 roku obywatel brytyjski, znany głównie jako twórca portretów członków angielskiej rodziny królewskiej i przedstawicieli arystokracji; Oswald Hornby Joseph Birley (1880–1952) – angielski malarz, portrecista

królewski, tworzący w początkach XX stulecia.

[68] *Smorzando* (wł.) – „zamierając”, określenie muzyczne dotyczące sposobu kształtowania dźwięku.

[69] Norland College – założona w 1892 roku przez Emily Ward szkoła dla przedszkolank, pielęgniarek i opiekunek do dzieci, której absolwentki są niezwykle cenione wśród arystokracji i wyższych sfer.

[70] *Voilà tout* (franc.) – to wszystko.